



TYLKO

MILCZENIE O TAMTEJ NOCY

ONA

WRESZCIE ZOSTANIE

ZOSTAŁA

PRZERWANE

**RILEY
SAGER**



RILEY SAGER

**TYLKO
ONA
ZOSTAŁA**

PRZEŁOŻYŁ
Ryszard Oślizło



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Only One Left

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Agnieszka Nowak

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Lukasz Werpachowski

Zdjęcia na okładce: © Artofinnovation, © LAURA / Stock.Adobe.com

Zdjęcie wykorzystane w książce: © clearviewstock / Stock.Adobe.com

Copyright © 2023 by Todd Riter

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Ryszard Oślizło, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-839-7

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

Mojej rodzinie

Znowu pochylamy się nad maszyną do pisania – Lenora siedzi na swoim wózku inwalidzkim, a ja stoję obok niej i kładę jej lewą dłoń na klawiszach. Czysta kartka już czeka wkręcona w watek zamiast tej z zeszłego wieczoru. Tamta leży teraz tekstem do góry na biurku niczym częściowy zapis naszej rozmowy.

chcę ci opowiedzieć o wszystkim
o rzeczach o których nie mówiłam nikomu innemu
tak o tamtej nocy
bo ci ufam

Ale ja nie ufam Lenorze.

Nie do końca.

Sił ma tak mało, a oskarżana jest o tak wiele. Dręczy mnie rozterka, bo z jednej strony pragnę ją chronić, a z drugiej nie mogę się oprzeć podejrzeniom.

Ale jeśli chce mi powiedzieć, co się wydarzyło, jestem gotowa jej wysłuchać.

Chociaż przypuszczam, że większość z tego, co usłyszę, będzie kłamstwem.

Albo gorzej – całą, przerażającą prawdą.

Palce lewej ręki Lenory niecierpliwie postukują w klawisze. Chce jak najszybciej zacząć. Biorę głęboki oddech, kiwam głową i pomagam wystukać pierwsze zdanie.

To, co pamiętam najwyraźniej

To, co pamiętam najwyraźniej – i co wciąż wraca do mnie w koszmarach – to chwile, kiedy było już prawie po wszystkim.

Pamiętam ryk wiatru, gdy wyszłam na taras. Wiał znad oceanu; jego gwałtowne porywy ocierały się z przeraźliwym wyciem o krawędź klifu i uderzały prosto we mnie. Zachwiałam się. Miałam wrażenie, jak gdyby niewidzialny, niewzruszony tłum pchał mnie z powrotem w stronę rezydencji.

A było to ostatnie miejsce, w którym chciałam się znaleźć.

Stęknęłam z wysiłku i odzyskawszy równowagę, ruszyłam przez śliski od deszczu taras. Trwała ulewa – tak lodowata, że uderzenie każdej kropli było jak ułknięcie igłą. Oszołomienie ustąpiło jak ręką odjął. Nagle znów byłam całkowicie przytomna i zaczęły do mnie docierać kolejne obrazy.

Moja koszula nocna w czerwonych plamach.

Ręce ciepłe i lepkie od krwi.

W dłoni wciąż zaciśnięty nóż.

On też był zakrwawiony, ale zimny deszcz szybko zmywał oblepiającą go czerwień.

Parłam naprzód, walcząc z nieustępliwym wiatrem i wzdrygając się przy każdym smagnięciu lodowatego deszczu. Przede mną rozciągał się rozsierdzony burzą ocean, którego fale rozbijały się o podstawę klifu piętnaście metrów niżej. Od tej mrocznej otchłani w dole dzieliła mnie jedynie biegnąca wzdłuż tarasu przysadzista, marmurowa balustrada. Gdy do niej dotarłam, z gardła wydarł mi się dziwny, szaleńczy wręcz, zduszony dźwięk. Pół śmiech, pół szloch.

Jeszcze kilka godzin temu miałam swoje życie. Teraz straciłam je na zawsze.

Tak jak rodziców.

A jednak w tamtej chwili, gdy z nożem w ręku stałam przechylona przez balustradę tarasu, wiatr kąsał mnie w twarz, a lodowaty deszcz chlostał zakrwawione ciało, czułam jedynie ulgę. Wiedziałam, że wkrótce uwolnię się od wszystkiego.

Odwrociłam się w stronę rezydencji. Wszystkie okna były oświetlone. Lśniły jak świece, którymi przyozdobiono mój urodzinowy tort osiem miesięcy wcześniej. Tak jasny dom wyglądał ładnie. Elegancko. Zza nieskazitelnie czystych szyb bił blask bogactwa.

Ale wiedziałam, że pozory mogą mylić.

I że w odpowiednim świetle nawet więzienie będzie się wydawać urocze.

W środku krzyczała moja siostra. Jej przerażony wrzask wznosił się i opadał niczym odgłos syreny. Kiedy dobiega cię taki krzyk, wiesz, że musiało się stać coś absolutnie strasznego.

I stało się.

Spuściłam wzrok na nóż, wciąż mocno zaciśnięty w dłoni, ale już czysty jak lza. Wiedziałam, że mogłabym go znów zakrwawić. Wykonać ostatnie cięcie. Zadać ostatni cios.

Nie potrafiłam jednak się do tego zmusić. Cisnęłam więc nóż nad balustradą i patrzyłam, jak znika wśród szalejących daleko w dole fal.

Moja siostra ciągle krzyczała, kiedy opuściłam taras i poszłam do garażu po kawałek sznura.

Oto moje wspomnienie – a także koszmar, który mi się przyśnił i przez który cię obudziłam. Byłam przerażona, bo wydawało mi się, że to wszystko dzieje się znów.

Ale ciebie ciekawi coś innego, prawda?

Chcesz wiedzieć, czy jestem takim potworem, jak wszyscy twierdzą.

Odpowiedź brzmi nie.

I tak.

Rozdział 1

Biuro mieści się na Main Street, wciśnięte między salon piękności a okno wystawowe, którego wystrój z perspektywy czasu wydaje się wręcz proroczy. Kiedy przyszłam tu na pierwszą rozmowę w sprawie pracy, znajdowało się tam biuro podróży, a w oknie wisiały plakaty przywodzące na myśl nieskrępowaną wolność, ucieczkę od problemów i słońce na bezchmurnym niebie. Podczas ostatniej wizyty, gdy dowiedziałam się, że jestem zawieszona, witryna była ciemna, a lokal pusty. Teraz, pół roku później, jest tu studio aerobiku, a ja nie mam zielonego pojęcia, co może to wieszczyć.

W biurze czeka na mnie pan Gurlain – siedzi za biurkiem na drugim końcu pomieszczenia, które w pierwotnym zamyśle z pewnością miało być sklepem. Bez półek, stanowisk kasowych i ekspozycji towarów to wnętrze wydaje się za duże i zbyt puste jak na jednoosobowe biuro. Odgłos zamykających się za mną drzwi odbija się w tej pustce nienaturalnie głośnym echem.

– Kit, witaj. – Pan Gurlain brzmi o wiele przyjaźniej niż podczas mojej poprzedniej wizyty. – Miło cię znowu widzieć.

– I wzajemnie – kłamię. W towarzystwie pana Gurlaina nigdy nie czułam się zbyt komfortowo. Wysoki, chudy i jakby nieco drapieżny, mógłby bez trudu uchodzić za właściciela zakładu pogrzebowego. Całkiem stosownie, zważywszy na fakt, że dla większości podopiecznych jego agencji jest to zazwyczaj następny przystanek w życiowej podróży.

Agencja Opieki Domowej Gurlaina specjalizuje się w opiece długoterminowej i jest jedną z nielicznych firm tego rodzaju w stanie Maine. Na ścianach biura wiszą plakaty z uśmiechniętymi pielęgniarkami, choć większość pracowników, tak jak ja, nie ma uprawnień do posługiwania się tym tytułem.

– Od teraz jesteś opiekunką – oznajmił pan Gurlain podczas tamtej nieszczęsnej pierwszej wizyty w jego biurze. – Nie pielęgniarką. Opiekunką. Kimś, kto się troszczy i komu zależy.

Aktualny spis opiekunek i opiekunów jest wywieszony na tablicy ogłoszeń za biurkiem pana Gurlaina. Można się z niego dowiedzieć, kto w danej chwili jest wolny, a kto ma przydzielonego pacjenta. Kiedyś wisiało tam i moje nazwisko – zawsze wśród tych niedostępnych, bo nieustannie miałam kogoś pod opieką. Byłam z tego dumna. Na pytanie o sposób, w jaki zarabiam na życie, przybierałam minę pana Gurlaina i odpowiadałam: „Jestem opiekunką”. To brzmiało szlachetnie. Było godne podziwu. Po takiej odpowiedzi ludzie patrzyli na mnie z większym szacunkiem, utwierdzając mnie w przekonaniu, że w końcu znalazłam swój życiowy cel. Bystra, choć niekoniecznie uważana za dobrą uczennicę, przebrnęłam przez liceum, a po jego ukończeniu nie bardzo wiedziałam, co dalej począć w życiu.

– Dobrze radzisz sobie z ludźmi – powiedziała moja matka, kiedy zwolnili mnie z biura, gdzie pracowałam w hali maszyn. – Może sprawdzisz się w pielęgniarstwie?

Ale żeby zostać pielęgniarką, musiałabym się doksztalcić.

Więc wybrałam najbliższy zamiennik.

I było dobrze, dopóki nie powinęła mi się noga.

A teraz jestem tu – niespokojna, rozdrażniona i zmęczona. Bardzo zmęczona.

– Jak się miewasz, Kit? – pyta pan Gurlain. – Wypoczęta i odprężona, mam nadzieję. Nic tak nie dodaje animuszu jak odrobina wolnego.

Szczerze nie wiem, co mu odpowiedzieć. Czy czuję się odprężona po półrocznym zawieszeniu bez prawa do wynagrodzenia? Czy wypoczęłam, sypiając w swoim dawnym pokoju u rodziców i chodząc na paluszkach wokół milczącego, wiecznie podminowanego ojca, który przy każdej okazji dawał mi odczuć swoje rozczarowanie? Czy dodawał mi animuszu ciągle nadzór agencji, Ministerstwa Zdrowia i Usług Społecznych, policji? Na wszystkie powyższe pytania mogłabym odpowiedzieć, że nie.

Nawet nie próbuję tego tłumaczyć panu Gurlainowi, zbywam go krótkim „tak”.

– Wspaniale – odpowiada. – A skoro tamte nieprzyjemności są już za nami, możemy zacząć od nowa.

Najeżam się. Nieprzyjemności. Jakby chodziło o zwykłe, drobne nieporozumienie. A prawda jest taka, że pracowałam w tej agencji dwanaście lat. Byłam dumna ze swojej pracy. Byłam w niej dobra. Była dla mnie ważna. A jednak kiedy tylko coś poszło nie tak, pan Gurlain natychmiast potraktował mnie jak przestępczynię. Mimo że w końcu oczyszczono mnie z wszelkich zarzutów i pozwolono wrócić do pracy, po całym tym doświadczeniu czułam wściekłość i gorycz. Zwłaszcza do pana Gurlaina.

Nie planowałam powrotu do agencji. Niestety moje poszukiwania nowego zatrudnienia skończyły się totalną porażką. Wypełniłam dziesiątki podań o pracę, której wcale nie chciałam dostać, ale i tak byłam zdruzgotana, kiedy nikt nie zaprosił mnie na rozmowę kwalifikacyjną. Wykładanie towaru w supermarkecie. Praca na kasie w drogerii. Przewracanie hamburgerów w tym nowym McDonalddie przy autostradzie. Obecnie Agencja Opieki Domowej Gurlaina to moja jedyna opcja. I choć nienawidzę pana Gurlaina, to jeszcze bardziej nienawidzę bezrobocia.

– Ma pan dla mnie nowe zlecenie? – pytam go, starając się skrócić to spotkanie do niezbędnego minimum.

– Owszem – odpowiada. – Pacjentka przeszła serię udarów wiele lat temu i wymaga stałej opieki. Miała pełnoetatową pielęgniarkę, prywatną, która niespodziewanie musiała wyjechać.

– Stała opieka. To oznacza...

– Że będziesz musiała z nią zamieszkać, tak.

Kiwam głową, aby zatuszować zaskoczenie. Sądziłam, że bezpośrednio po powrocie pan Gurlain będzie chciał mieć mnie na oku, więc proponuje mi coś z oferty ze zniżką dla miejscowych. Jakies zlecenie polegające na spędzaniu ośmiu godzin dziennie ze starszą osobą. Jednak to, co właśnie usłyszałam, brzmi jak prawdziwa praca.

– Zakwaterowanie i wyżywienie jest, rzecz jasna, zapewnione – ciągnie pan Gurlain. – Ale trzeba być do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Każde wolne musiałabyś uzgadniać z pacjentką. Zainteresowana?

Jasne, że tak. Lecz od wyrażenia natychmiastowej zgody powstrzymuje mnie sto innych pytań. Zaczynam od prostego, choć bardzo istotnego:

– Kiedy miałabym zacząć?

– Od razu. A co do długości zlecenia, to cóż, jeśli twoja praca okaże się satysfakcjonująca, nie widzę powodów, żebyś nie mogła zostać tam tak długo, jak będziesz potrzebna.

Innymi słowy, dopóki pacjentka nie zejdzie. Okrutna rzeczywistość bycia domową opiekunką wygląda tak, że ta praca zawsze jest tymczasowa.

– Gdzie to jest? – pytam z nadzieją, że chodzi o odległy zakątek stanu. Im dalej, tym lepiej.

– Za miastem – odpowiada pan Gurlain, miażdżąc moją nadzieję. Którą zaraz ożywia, kiedy dodaje: – Na Klifach.

Klify. Tam mieszkają tylko absurdalnie bogaci ludzie, zaszyci w swoich bezpiecznych i wygodnych twierdzach na szczycie skalistych urwisk z widokiem na ocean. Siedzę nieruchomo, wbijając paznokcie w splecione na kolanach dłonie. Tego się nie spodziewałam. Mam szansę zamienić obskurny dom na ranczu, w którym dorastałam, na rezydencję na Klifach? Czy to nie jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe? Pewnie tak. Nikt nie porzuca takiej pracy, jeśli nie pojawi się poważny problem.

– Dlaczego poprzednia pielęgniarka odeszła?

– Nie mam pojęcia – mówi pan Gurlain. – Powiedziano mi tylko, że są trudności ze znalezieniem odpowiedniego zastępstwa.

– Czy ta pacjentka... – Urywam. Nie mogę powiedzieć „jest trudna”, nawet jeśli te słowa same cisną mi się na usta. – Wymaga specjalistycznej opieki?

– Nie sądzę, aby chodziło o jej stan zdrowia, choć z pewnością jest bardzo wątpliwa – odpowiada pan Gurlain. – Szczerze mówiąc, problemem jest reputacja pacjentki.

Poprawiam się na swoim miejscu.

– Kim ona jest?

– To Lenora Hope.

Nie słyszałam tego nazwiska od wielu lat. Co najmniej od dziesięciu. Może nawet dwudziestu. Na jego dźwięk aż podnoszę whity w kolana wzrok. Nie jestem zaskoczona – to za mało powiedziane. Jestem osłupiała. Chyba dotąd nie znałam tego uczucia. A tu proszę, jest, coś pomiędzy niepokojem a szokiem trzepocze mi za żebrami niczym ptak uwięziony w klatce.

– Ta Lenora Hope?

– Tak – potwierdza pan Gurlain, pociągając nosem, jakby urażony, że śmiem go nie rozumieć.

– Nie miałam pojęcia, że ona jeszcze żyje.

Gdy byłam młodsza, nie docierał do mnie nawet fakt, że Lenora Hope jest realna. Uznawałam ją za bajeczkę, którą wymyśliły dzieci, aby się nawzajem straszyć. Nagle z mroków pamięci, zapomniany od czasów dzieciństwa, wyłania się powtarzany na szkolnym podwórku wierszyk:

Gdy Lenora Hope siedemnastkę skończyła,

Na kawałku sznura siostrę powiesiła.

Starsze dziewczyny przysięgały, że jeśli pogasisz wszystkie światła i wyrecytujesz go, stojąc przed lustrem, to może na jego tafli pojawi się sama Lenora. A jeżeli tak się stanie, lepiej uważaj, bo to znak, że twoja rodzina zginie jako następna. Nigdy w to nie wierzyłam. Wiedziałam, że to tylko inna wersja Krwawej Mary, która była przecież najzwyczajniejszym wymysłem, co z kolei oznaczało, że Lenora Hope też nie była postacią realną.

Dopiero jako nastolatka dowiedziałam się prawdy. Lenora Hope była nie tylko realna, ale w dodatku miejscowa i wiodła uprzywilejowane życie w rezydencji znajdującej się kilkanaście kilometrów za miastem.

Dopóki pewnej nocy coś w niej nie pękło.

Ojca nożem zadźgała,

Matce życie odebrała.

– Ależ żyje, jak najbardziej – zapewnia pan Gurlain.

– Więc musi mieć ze sto lat.

– Siedemdziesiąt jeden.

To wydaje mi się wręcz niemożliwe. Zawsze miałam wrażenie, że te morderstwa wydarzyły się w innym stuleciu. W epoce krynolin, lamp gazowych i konnych powozów. Ale jeśli pan Gurlain ma rację, to masakra rodziny Hope'ów wydarzyła się, ogólnie rzecz biorąc, nie tak dawno.

Robię w myślach kilka szybkich obliczeń i wychodzi mi, że te morderstwa popełniono w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku. Zaledwie pięćdziesiąt cztery lata temu. Wraz z odpowiednią datą na swoje miejsce wskakują też końcowe wersy rymowanki.

„To nie ja ich zabiłam!” – Lenora wołała,

Lecz z całej rodziny tylko ona została.

I najwyraźniej to się nie zmieniło. Niestawna Lenora Hope żyje, ma się niezbyt dobrze i potrzebuje opieki. Mojej opieki, jeśli przyjmę to zlecenie. Któręto nie chcę.

– Nie ma nic innego? Żadnych nowych pacjentek?

– Obawiam się, że nie.

– I nikt inny nie może wziąć tego zlecenia?

– Wszyscy są obecnie zajęci. – Pan Gurlain składa palce w wieżyczkę. – Masz jakiś problem z tym zadaniem?

Owszem, nawet kilka. Przede wszystkim pan Gurlain najwyraźniej nadal uważa mnie za winną, ale bez dalszych dowodów nie ma podstaw, aby mnie zwolnić. Ponieważ nie udało mu się zniechęcić mnie zawieszeniem, usiłuje to zrobić, przydzielając mnie do opieki nad lokalną Lizzie Borden.

– Chodzi o to, że ja nie... – Szukam odpowiednich słów. – Zważywszy na to, co zrobiła, chyba nie czułabym się komfortowo, opiekując się kimś takim jak Lenora Hope.

– Nie została skazana za żadne przestępstwo – podkreśla pan Gurlain. – A ponieważ nigdy nie dowiedziono jej winy, nie mamy wyboru i musimy wierzyć, że jest niewinna. Kto jak kto, ale ty powinnaś to uszanować.

Ze studia aerobiku za ścianą dobiega nieco przytłumiona muzyka. To *Physical* Olivii Newton-John. Nie o aerobik chodzi w tej piosence, ale dam głowę, że te wyginające się w jej

rytm kuchni wystrojone w modnie podarte bluzy dresowe i getry mają to gdzieś. Są zachwycone, mogąć beztrasko wyrzucić pieniądze na walkę z tuszą wieku średniego. Mnie na taki luksus nie stać.

- Wiesz, jak to działa, Kit - ciągnie pan Gurlain. - Ja załatwiam zlecenia, opiekunki je wykonują. Jeśli taki układ ci nie odpowiada, to może powinniśmy się rozstać na dobre.

Bardzo bym tego chciała. Ale wiem, że potrzebuję pracy. Jakiegokolwiek.

Powinam zacząć odbudowywać oszczędności, które skurczyły się niemal do zera.

A przede wszystkim muszę uciec od ojca, który od pół roku prawie wcale się do mnie nie odzywa. Doskonale pamiętam ostatnie pełne zdanie, jakie do mnie skierował; to wspomnienie jest ostre jak brzytwa. Siedział przy kuchennym stole i czytał poranną gazetę, a nieopodal leżało nietknięte śniadanie. Rzucił gazetę na blat i wskazał palcem nagłówek na pierwszej stronie. Spojrzałam i nagle ogarnęło mnie poczucie odrealnienia. Jakby to nie było prawdziwe życie, ale jakiś kiepski film w telewizji. Artykuł zilustrowano moją fotografią z kroniki szkolnej. Niezbyt udaną. Twarz z wymuszonym uśmiechem na tle specjalnej płachty, którą rozwieszano do zdjęć w sali gimnastycznej; w rzeczywistości płachta była niebieska, a na gazetyowym zdjęciu brudnoszara. Moje puszące się włosy wyglądały na nim dokładnie tak samo jak tamtego ranka. Oszołomiona, w pierwszej chwili pomyślałam, że muszę wreszcie zmienić fryzurę.

- To, co mówią, nie jest prawdą, Kit-Kat - powiedział mój ojciec, jakby próbował mnie pocieszyć.

Ale te słowa nie pasowały do jego zdruzgotanego wyrazu twarzy. Wiedziałam, że nie chodzi mi o mnie, lecz stara się przekonać siebie samego, że to, co przeczytał, to nieprawda.

Wyrzucił gazetę do śmieci i już bez słowa wyszedł z kuchni. Od tamtego czasu niewiele się do mnie odzywał. Teraz przypominam sobie to długie, duszące, pełne napięcia milczenie i mówię:

- Dobrze. Przyjmę to zlecenie.

W myślach powtarzam sobie, że nie będzie tak źle. Że to zajęcie tymczasowe. Góra na kilka miesięcy. Dopóki nie zaoszczędzę dość pieniędzy, by znaleźć sobie nowe miejsce. Lepsze. Gdzieś daleko stąd.

- Wspaniale - rzuca pan Gurlain, bez śladu entuzjazmu w głosie. - Zgłoś się tam jak najszybciej.

Dostaję wskazówki, jak dojechać do domu Lenory Hope, numer telefonu, pod który mam zadzwonić, jeśli zabłądzę, i pożegnalne skinienie głową pana Gurlaina na znak, że sprawa załatwiona. Zanim wychodzę, zerkam na tablicę ogłoszeń za jego biurkiem. Obecnie trzy opiekunki nie mają przydziałów. Czyli nie tylko ja jestem wolna. Powód, dla którego pan Gurlain skłamał w tej sprawie, jest dla mnie jasny.

Nadal karze mnie za złamanie regulaminu i zszarganie nienagannej reputacji jego agencji.

Kiedy jednak wychodzę z biura na przenikliwy chłód, typowy dla października w stanie Maine, przychodzi mi do głowy jeszcze jeden powód, dla którego to właśnie ja dostałam to zlecenie. Powód przyprawiający mnie o większe ciarki niż pogoda.

Pan Gurlain wybrał mnie, ponieważ Lenora Hope jest jedyną pacjentką, której zabicia nikt – nawet policja – nie miałby mi za złe.

Rozdział 2

Spakowanie się zajmuje mi niespełna godzinę. Już na samym początku nauczyłam się, że opiekunka powinna mieć niewielki bagaż. Torba medyczna, walizka i pudełko. Nie trzeba więcej.

W torbie medycznej mam swoje narzędzia pracy. Termometr, mankiet do ciśnieniomierza, stetoskop. Kiedy zostałam zatrudniona przez pana Gurlaina, rodzice kupili mi czarną skórzaną torbę na ramię. Dwanaście lat później wciąż jej używam, choć zamek się zacina, a skóra na rogach popękała.

Do walizki pakuję kosmetyczkę i ubrania. Nijakie spodnie, żeby nie obrażać niczyjego poczucia przyzwoitości, i rozpinane swetry, które wyszły z mody dziesięć lat temu. Już dawno przestałam starać się o stylowy wygląd. Liczą się wygoda i oszczędność.

Pudełko jest wypełnione książkami. Głównie w miękkiej oprawie. Kiedyś należały do mojej matki i noszą ślady użytkowania przez zapaloną czytelniczkę.

– Gdy masz przy sobie książkę, nigdy nie jesteś samotna – mawiała. – Nigdy, przenigdy.

Szanuję jej opinię, ale wiem, że to nieprawda. Przez pół roku żyłam otoczona książkami i czułam się samotna jak nigdy w życiu.

Spakowana, wyglądam na korytarz, żeby sprawdzić, czy droga wolna, bym mogła przemknąć do tylnych drzwi w kuchni. Mój ojciec wrócił do domu na lunch, co czasem robi, kiedy pracuje niedaleko. Teraz jest w salonie, gdzie ogląda telewizję i je kanapkę, głęboko zatopiony w swoim superwygodnym fotelu La-Z-Boy.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy oboje opanowaliśmy do perfekcji sztukę unikania siebie nawzajem. Potrafilismy nie widywać się przez cały tydzień. Ja głównie przesiadywałam w swoim pokoju, a do kuchni zapuszczałam się tylko wtedy, kiedy byłam pewna, że ojciec jest w pracy, śpi albo wyszedł ze swoją dziewczyną, o której nie powinien nic wiedzieć. Nie zostałyśmy sobie przedstawione. O jej istnieniu wiem tylko dlatego, że w zeszłym tygodniu usłyszałam ich rozmowę w salonie i zaskoczył mnie dźwięk głosu innej kobiety w domu. Następnej nocy ojciec wymknął się jak uczeń – albo bojąc się przyznać, że znów zaczął się umawiać, albo zbyt zawstydzony, by zaryzykować, że natknę się na jego nową przyjaciółkę.

Teraz to ja się wymykam i cichcem, na paluszkach, robię dwa kursy do samochodu – jeden z walizką i torbą medyczną, drugi z pudełkiem pełnym książek. Kiedy wracam za drugim razem, o mojego forda escorta opiera się Kenny. Najwyraźniej zobaczył mnie z bagażem i wyszedł z domu naprzeciwko, żeby mnie wybadać. Wpatrując się w pudełko, które trzymam w objęciach, zagaja:

- Wyprowadzasz się?
- Na trochę, tak – odpowiadam. – Może na dobre. Dostałam nowe zlecenie.
- Myślałem, że cię zwolnili.
- Byłam zawieszona. Ale już nie jestem.

- Aha. - Kenny marszczy brwi. U niego to rzadki wyraz twarzy. Zwykle tylko rzuca mi napalone, wygłodniałe spojrzenie. - Szybki numerek na odchodne?

No i to właśnie jest Kenny, do którego zdążyłam przywyknąć, odkąd w maju zaczęliśmy ze sobą sypiać. Podobnie jak ja obecnie jest bez pracy i pomieszkuje u rodziców. W przeciwieństwie do mnie ma dopiero dwadzieścia lat. Jest moim małym, sprośnym sekretem. Albo raczej ja jego.

Zaczęło się od pewnego popołudnia, kiedy oboje jednocześnie leniuchowaliśmy na swoich sąsiednich podwórkach - ja z książką Sidneya Sheldona, a Kenny z jointem. Nasze spojrzenia skrzyżowały się parę razy, po czym Kenny zagadnął:

- Nie pracujesz dzisiaj?
- Nie - odparłam. - A ty?
- Też nie.

Po chwili, z nudów i osamotnienia, zaproponowałam:

- Chcesz piwo?

Kenny powiedział, że jasne. Więc się napiliśmy. Pogadaliśmy o tym i owym. A potem poobściskiwaliśmy się na kanapie w salonie.

- Chcesz się pobzykać albo coś? - spytał w końcu.

Od miesiąca byłam zawieszona w pracy i rozżalona swoim losem. Zmierzyłam Kenny'ego wzrokiem. Wyglądał nieźle, pomimo wąsa, który zwisał mu pod nosem niczym zdechła gąsienica. Reszta prezentowała się o wiele lepiej. Zwłaszcza ramiona - umięśnione, silne i opalone. Mogłam trafić - i trafiałam - znacznie gorzej.

- Pewnie - odparłam, wzruszając ramionami. - Czemu nie?

Po wszystkich obiecałam sobie, że nigdy więcej. Kiedy Kenny się urodził, ja miałam jedenaście lat, na litość boską. Pamiętam, jak jego rodzice przywieźli go do domu ze szpitala i jak moja matka nad nim gruchała, a ojciec wsunął kopertę z kasą w spoconą dłoń jego taty. Gdy jednak dwa dni po naszym pierwszym bzykaniu Kenny pojawił się w tylnych drzwiach, wyglądając jak wygłodniały beżpański pies, wpuściłam go i przemyciłam do swojego pokoju.

Od tamtej pory robimy to raz, dwa, czasem trzy razy w tygodniu. Wiem, jak jest. To nie romans. Przez większość czasu nawet nie rozmawiamy. I choć mam z tego powodu wyrzuty sumienia, wiem też, że po prostu potrzebowałam czegoś oprócz książek, żeby przetrwać te długie, samotne dni.

- Mój tata jest w domu - odpowiadam Kenny'emu. - A na mnie czeka nowa pacjentka.

Nie wspominam, kim jest. Boję się, co sobie o mnie pomyśli, jeśli mu powiem.

- Jasne, kapuję - mówi Kenny, słabo maskując rozczarowanie. - No to do kiedyś.

Patrzę, jak pokonuje krótki odcinek do domu. Kiedy wchodzi do środka, nie obejrzawszy się nawet za siebie, coś ściska mi serce. Nie całkiem smutek, ale coś bardzo podobnego. Może i łączył nas tylko seks, może to tylko Kenny, ale przynajmniej było to coś, a on był kimś. A teraz nie mam niczego ani nikogo.

Wkładam pudełko i walizkę do bagażnika, po czym ostatni raz wracam do domu. Ojciec ogląda w salonie południowe wiadomości, bo tak zawsze robiła matka. To stare przyzwyczajenie, a Pat McDeere jest niereformowalny. Na ekranie widać prezydenta Reagana,

który wygłasza przemówienie na temat gospodarki, a u jego boku pręży się Nancy, co nastolatkom doradza: „Po prostu powiedz nie”. Ojciec, który nie cierpi polityków wszelkiej maści, parska szyderczym śmiechem.

– Pieprzysz, Ronnie – mamrocze z ustami pełnymi kanapki. – Lepiej zrób dla odmiany coś dla takich jak ja.

Odchrząkuję, stojąc w drzwiach.

– Tato, wyjeżdżam.

– O. – W jego głosie nie słyhać zdziwienia. Raczej ulgę.

– Znowu pracuję – dodaję, gdy nie dopytuje o szczegóły. – Moja nowa pacjentka jest po udarze. Mieszka na Klifach.

Mówię to z nadzieją, że mu zaimponuję – albo choć go zaintryguję – sugestią, że bogaci ludzie ufają mi na tyle, by powierzyć kogoś mojej opiece. Jeśli robi to na nim jakiegokolwiek wrażenie, nie daję tego po sobie poznać.

– Okej – odpowiada.

Wiem, że jedyne, co na pewno zwróciłoby uwagę ojca, to nazwisko mojej nowej pacjentki. I tak jak w przypadku Kenny’ego nawet nie biorę pod uwagę, że mogłabym je wypowiedzieć. Informacja, że będę opiekowała się Lenorą Hope, tylko pogorszyłaby jego opinię o mnie. O ile to w ogóle możliwe.

– Potrzebujesz czegoś, zanim wyjadę? – pytam więc tylko.

Odgryza kolejny kęs kanapki i kręci głową. Znow ściska mi się serce, tak jak wcześniej przed domem. Tyle że mocniej. Tak mocno, że wydaje mi się, jakby kawałek się oderwał i teraz spadał w czeluści brzucha.

– Postaram się odzywać co dwa tygodnie.

– Nie trzeba.

I to wszystko, co ma mi do powiedzenia.

Jeszcze przez chwilę stoję w drzwiach – czekając z nadzieją i niemym błaganiem na coś więcej. Na cokolwiek. Do widzenia. Krzyżyk na drogę. Spierdalaj.

Cokolwiek innego niż to wrogie milczenie, które sprawia, że mam wrażenie, jakbym nie istniała. Albo gorzej.

Jakbym była niewidzialna.

Tak właśnie się czuję.

Potem wychodzę, nie siląc się na „do widzenia”. Nie chcę, by znowu odpowiedziała mi cisza.

Rozdział 3

Z samochodu stereo grzmi Duran Duran, kiedy podążam drogą okalającą skaliste wybrzeże i wspinam się coraz wyżej, aż mój escort drży, a daleko w dole wzburzone wody Atlantyku stają się spienioną bielą rozbijającą się o pasma piasku. To, co widzę w lusterku wstecznym, to z pewnością Klify. Ten widok wręcz krzyczy: stare fortuny. Ogromne domy wcepiione w skaliste urwiska niczym gniazda głuptaków, w połowie ukryte za ceglanyimi murami i całunami bluszczu.

Oto jak żyje druga połowa.

Tak właśnie moja matka opisałaby te naskalne domostwa z wieżyczkami, tarasami na dachach i oknami wykuszowymi z widokiem na ocean.

Śmiem się nie zgodzić. Nawet drugiej połowy nie stać na dom na Klifach. Ta okolica zawsze była elitarna – i zawsze taka będzie. Tutaj mieszkają najwyższe sfery, możni tego świata, patrzący z góry na wszystko i wszystkich, jakby na szczycie umieścił ich sam Bóg.

– A tu proszę, Kit-Kat – dodałaby matka. – Właśnie jedziesz do pracy w jednej z tych rezydencji.

Z tym też bym polemizowała. Domu, do którego zmierzam, nikt nie uznałby za cel godny pozazdroszczenia.

Hope's End. Brzmi jak koniec nadziei.

Dotąd słyszałam, jak ludzie nazywali to miejsce po prostu domem Hope'ów, zwykle przyciszonym głosem zarezerwowanym dla tragedii. Teraz wiem dlaczego. Jak na nazwę posiadłości Hope's End brzmi zdumiewająco apokaliptycznie. Zwłaszcza w kontekście tego, co się tam stało.

Moja wiedza nie wykracza zaledwie poza rymowaną. Wiem, że Winston Hope dorobił się fortuny na żegludze handlowej i zbudował posiadłość na skalistym wybrzeżu północnego Maine, a nie w Bar Harbor czy Newport, ponieważ tutejsze tereny były jeszcze w dużej mierze niezagospodarowane i mógł sobie wybrać dowolne miejsce z niczym nieskażonym widokiem na ocean. Wiem też, że Winston miał żonę Evangeline i dwie córki, Lenorę i Virginie. I jeszcze jedno: że pewnej październikowej nocy dawno temu troje z nich zamordowano, a czwartą członkinię klanu posądzono o popełnienie tej zbrodni. Miała wówczas siedemnaście lat, ni mniej, ni więcej. Nic dziwnego, że tamten wierszyk, który po raz pierwszy usłyszałam na porośniętym krzakami placu za podstawówką, uważałam za zmyślony. Brzmiał jak żywcem wyjęty z powieści gotyckiej – zupełnie niewiarygodnie.

A jednak to się zdarzyło naprawdę.

I stało się miejską legendą.

Opowiastką, którą dzieciaki szepczą sobie do ucha podczas piżama party, a której dorośli wolą nie powtarzać nawet szeptem.

Lenora – jedyna pozostała przy życiu – twierdziła, że nie ma z tym nic wspólnego. Wyjaśniła policji, że spała, kiedy to się stało, i dopiero po przebudzeniu, gdy zeszła na dół, odkryła, że reszta jej rodziny nie żyje.

Nie umiała jednak powiedzieć, kto mógł tę zbrodnię popełnić.

Ani jak.

Ani dlaczego.

Nie potrafiła też wyjaśnić, czemu zabójca nie próbował zabić jej, co doprowadziło policję do wniosku, że sprawczynią była sama Lenora, choć nikt nie był w stanie jej tego udowodnić. Dziwnym trafem tego wieczoru cała służba dostała wychodne, więc nie było świadków. A że nie znaleziono żadnych dowodów łączących Lenorę z zabójstwami, nigdy nie została o nie formalnie oskarżona. Wystarczy jednak spojrzeć na dziecięcą rymowanąkę, żeby się dowiedzieć, co myśleli ludzie. Już pierwsza linijka – *gdy Lenora Hope siedemnastkę skończyła* – wskazuje, kogo o wszystko obwiniono. Nie dziwi mnie to. Nie ma czegoś takiego jak domniemanie niewinności.

Wiem to z doświadczenia.

Kiedy miasto wydało wyrok na Lenorę Hope, dziewczyna zaszła się w rodzinnym domu, aby nikt więcej jej nie zobaczył. Co nie znaczy, że ludzie nie próbowali. Gdy chodziłam do liceum, grupki chłopców rzucały sobie nawzajem wyzwania, aby zakraść się na teren posiadłości i zaglądać przez okna do domu, wypatrując Lenory. O ile wiem, nigdy nikomu nie udało się jej zobaczyć, czym panna Hope zyskała sobie moje niechętnie uznanie. Sama też chciałabym tak zniknąć.

Teren przede mną wznosi się jeszcze wyżej, a droga robi się tym bardziej stroma. Mój escort znowu drży, a ja dostrzegam w oddali skąpany w promieniach słońca ceglany mur. Jest wystarczająco wysoki, by przesłonić wszystko, cokolwiek się za nim znajduje, i wystarczająco stary, aby droga obiegała go dookoła, jakby w wyrazie szacunku. Powoli pokonuję zakręt, aż dojeżdżam do nabazgranego sprejem na murze napisu. Neonowoniebieskie litery na tle majestatycznej czerwieni cegieł upewniają mnie, że trafiłam we właściwe miejsce.

ZGNIJ W PIEKLE LENORO HOPE

Patrzę na te słowa z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy powinnam jechać dalej, czy jak najszybciej zawrócić. Znam odpowiedź. Ale na to, co powinnam zrobić, po prostu mnie nie stać.

Więc brnę naprzód swoim escortem, zbliżając się do bogato zdobionej bramy w zdewastowanym murze. Po jej drugiej stronie znajduje się podjazd, który przecina szmaragdowy trawnik i biegnie do domu Hope'ów. Patrząc na wznoszący się przede mną budynek, zastanawiam się, skąd pomysł, aby nazywać go domem.

To wcale nie jest dom.

To rezydencja.

Coś, czego nie widziałam na własne oczy od dnia, w którym rodzice wzięli mnie na jednodniową wycieczkę do Bar Harbor, gdy miałam czternaście lat. Pamiętam, że ojciec przez cały dzień narzekał na „dzianych sukinsynów”, którzy pobudowali tam te wszystkie pałace. Bóg jeden wie, co powiedziałby na Hope's End, który zdecydowanie przyćmiewa każdą okazałą

rezydencję w tamtym nadętym mieście. Jest większy. Wspanialszy. Nadawałby się do *Dallas*, *Dynastii* albo każdej innej z tych emitowanych w prime timie głupawych oper mydlanych, które kiedyś oglądała moja matka.

Dwupiętrowy i szeroki bez mała jak statek rejsowy, stanowi dorodny okaz przepychu rodem z pozłacanego wieku. Mury z czerwonej cegły. Frontowe dwuskrzydłowe drzwi i wszystkie okna obwiedzione marmurowymi ornamentami, których wyłącznym celem jest podkreślenie niegdysiejszego bogactwa Hope'ów. Musiało być ono niebotyczne, sądząc po płataninie rzeźbionych wykretasów i zawijasów. Okna drugiego piętra również są zdobione marmurem, ale sterczą z dwuspadowego dachu zwieńczonego tuzinem wąskich kominów, które wyglądają jak świeczki na ozdobnym torcie urodzinowym.

Przy bramie znajduje się mały interkom. Opuszczam okno i wyciągam rękę, żeby wcisnąć guzik. Mija pół minuty, zanim głoścniczek ożywa i po kilku trzaskach i zakłóceniach rozlega się kobiecy głos:

- Tak.

To nie jest pytanie. Co więcej, to jedno słowo naładowane jest maksymalną dawką niecierpliwości, jaką są w stanie pomieścić trzy litery.

- Dzień dobry. Jestem Kit McDeere. - Urywam, aby źródło głosu też mogło się przedstawić. Nie robi tego, czym zmusza mnie do dodania: - Przesłała mnie Agencja Opieki Domowej Gurlaina. Jestem nową opie...

- Proszę podjechać pod dom - przerywa mi oschle kobieta, po czym interkom milknie.

Brama zaczyna się otwierać z niepewnym, prawie nerwowym drżeniem, jakby przestraszona moją obecnością. Skrzypi, powoli uchylając się coraz szerzej, a ja zastanawiam się, jak często w Hope's End przyjmuje się gości. Niezbyt często, konstatuje, kiedy brama nieruchomieje z głośnym stuknięciem, choć otworzyła się ledwie do połowy. Wolno podjeżdżam bliżej, próbując ocenić, czy dam radę się przecisnąć. Nic z tego. Nie jeśli chcę zachować oba lusterka boczne, a bardzo chcę. Mój budżet w obecnym stanie nie uwzględnia naprawy samochodu. Już mam wysiąść, żeby popchnąć bramę, kiedy z oddali dobiega mnie męski głos:

- Znowu się zacięła?

Właściciel głosu podchodzi bliżej, pchając przed sobą taczkę wyładowaną opadłymi liśćmi. Mężczyzna jest przystojny. Ma jakieś trzydzieści pięć lat. Jest w bardzo dobrej formie, na ile da się to stwierdzić mimo jego flanelowej koszuli i pochłapanych błotem dżinsów. Ma pełną brodę i nieco zbyt długie włosy, które lekko kręcą się na karku. W innych okolicznościach byłabym zainteresowana. W zupełnie innych. W alternatywnej rzeczywistości. Bo tak jak w moim budźecie nie mieszczą się naprawy samochodu, tak w moim obecnym życiu nie ma miejsca na romantyczne związki. I nie, Kenny się nie liczy.

- Nic nie wiem o poprzednim razie - odpowiadam przez otwarte okno - ale teraz zacięła się na pewno.

- Chciałaś powiedzieć „o poprzednich razach” - poprawia mnie, błyskając uroczco asymetrycznym uśmiechem. - Ten to już chyba będzie dziesiąty. Ciągłe zapominam dopisać to do listy stu innych rzeczy do zrobienia. Nowa pielęgniarzka?

- Opiekunka - odpowiadam.

To niezbędne uściślenie. Pielęgniarki chodzą do szkoły. Opiekunki takie jak ja przechodzą specjalistyczne szkolenia – w stanie Maine wymaganych jest sto osiemdziesiąt godzin – na których uczymy się podstaw. Sprawdzania parametrów życiowych, podawania leków, elementów fizjoterapii. Jednak wyjaśnianie tej różnicy nieznanemu to czysta strata czasu.

– Więc otworzymy tę bramę, żebyś mogła zacząć. – Mężczyzna wyciąga parę rękawic roboczych z tylnej kieszeni dżinsów. Wkłada je teatralnym gestem i oznajmia: – Bezpieczeństwo przede wszystkim. Przekonałem się na własnej skórze: to miejsce potrafi kąsać.

Szarpie za bramę, która wydaje pisk tak przejmujący, że opisałabym go jako złołały, gdyby wydała go jedna z moich podopiecznych.

– Pracujesz tu na pełny etat? – pytam, podnosząc głos, żeby przekrzyknąć wydawane przez bramę odgłosy.

– Owszem – odpowiada. – Nie za wiele nas tu zostało, choć dawno temu to miejsce roiło się od służby. Był ogrodnik, dozorca i złota rączka, a do tego kilku pomagierów na pół etatu. Teraz jestem tylko ja: pracownik wielofunkcyjny.

– Podoba ci się tu?

Jeszcze jedno pchnięcie i brama nie zagradza już przejazdu. Mężczyzna odwraca się do mnie i mówi:

– Chcesz wiedzieć, czy się boję.

Tak, właśnie to chcę wiedzieć. To pytanie miało zabrznieć niewinnie. I wydawało mi się naturalne, zważywszy na to, co się tu stało. Jednak po namyśle zdaję sobie sprawę, że można by je uznać za bardzo niegrzeczne.

– Po prostu...

– W porządku – przerywa mi. – Po prostu jesteś ciekawa. Wiem, co ludzie za tymi murami mówią o tym miejscu.

– To chyba znaczy, że nie.

– Słuszne przypuszczenie. – Zdejmuje jedną z rękawic i wyciąga rękę. – Jestem Carter tak przy okazji.

Ściskam jego dłoń.

– Kit McDeere.

– Miło mi cię poznać, Kit. Na pewno się jeszcze spotkamy.

Chwilę zwlekam z odjazdem.

– Dziękuję za pomoc z tą bramą. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś się nie pojawił.

– Myślę, że dałabyś sobie radę. – Carter przygląda mi się uważnie, przechylając głowę na bok, jakby mnie oceniał. – Wyglądasz mi na całkiem zaradną osobkę.

Kiedyś taka byłam. Ale już nie. Zaradne osóbki nie są zawieszane w pracy, potrafią znaleźć nową, jeśli zostaną zawieszane, i nie mieszkają w rodzinnym domu, mając trzydzieści jeden lat. Niemniej przyjmuję komplement skinieniem głowy.

– Jeszcze jedno – dodaje Carter, podchodząc do otwartego okna samochodu i pochylając się tak, że nasze oczy znajdują się na tym samym poziomie. – Zapomnij o tym, co ludzie wygadują o Lenorze Hope, i o tym, co się tu wydarzyło. Nie wiedzą, o czym mówią. Panna Hope jest zupełnie nieszkodliwa.

Choć zamiarem Cartera było dodanie mi otuchy, jego słowa tylko uwydatniły surrealizm tej sytuacji. Owszem, wiedziałam, z czym wiąże się ta praca, od chwili gdy opuściłam biuro pana Gurlaina. Ale wtedy było to dla mnie coś abstrakcyjnego, co spychałam na bok, skupiona na pakowaniu się, radzeniu sobie z ambiwalencją ojca i dotarciu na miejsce. Teraz jednak, kiedy już tu jestem, ta świadomość dociera do mnie z całą mocą.

Zaraz poznam kobietę, która wymordowała własną rodzinę.

Rzekomo wymordowała, upominam się w duchu. Lenory nigdy nie skazano za żadne przestępstwo, jak pan Gurlain był uprzejmy podkreślić. Któż jednak mógł to zrobić, jeśli nie ona? Nikogo więcej nie było w domu, nie znaleziono innych podejrzanych, nikt inny nie został przy życiu. W myślach ciągle przewija mi się ostatnia linijka wierszyka:

Lecz z całej rodziny tylko ona została.

Ciarki przebiegają mi po plecach, gdy oddalam się od Cartera i zmierzam w kierunku domu. Jadę powoli ze wzrokiem utkwionym w wylaniającej się przede mną imponującej budowli. Kiedy jednak podjeżdżam bliżej, luksusowa okazałość rozwiewa się niczym mgła, ukazując zaniedbanie budynku jak na dłoni.

Z bliska widzę wyraźnie, że Hope's End to ruina.

W jednym z okien na pierwszym piętrze nie ma szyb, a ziejącą dziurę zasłonięto sklejką. Kawałki marmurowych zdobień wokół drzwi i niektórych okien odpadły. Na dachu brakuje jednej piątej gontów łupkowych, co nadaje mu zdewastowany, dziobaty wygląd, który – szczerze mówiąc – napawa mnie ulgą. Przynajmniej to miejsce jest w takim stanie jak moje uczucia.

Podjazd dociera do domu i kończy się rondem, od którego odchodzi dodatkowa droga prowadząca do niskiego garażu znajdującego się kilka metrów od głównego budynku. Objeżdżając rondo, liczę garażowe drzwi.

Pięć.

Oto jak żyje druga połowa, bez dwóch zdań.

Parkuję przed domem, wysiadam z samochodu i energicznym krokiem pokonuję trzy stopnie wiodące do masywnych dwuskrzydłowych drzwi mieszczących się dokładnie pośrodku całej rezydencji. Zanim zdążę zapukać, otwierają się gwałtownie, ukazując stojącą tuż za progiem kobietę. Pojawia się tak nagle, że się wzdrygam. A może sprawia to po prostu jej monochromatyczny wygląd. Sięgające do ramion białe włosy. Czarna suknia, ciasno opinająca smukłą sylwetkę. Koronkowy kołnierzyk przywodzący mi na myśl serwetki, które szydełkowała moja babcia. Błada cera. Niebieskie oczy. Mocno wiśniowa szminka. Wszystko to jest tak teatralne i surowe, że nie jestem w stanie dokładnie określić wieku tej kobiety. Gdybym miała zgadywać, dałabym jej siedemdziesiąt pięć lat, z zastrzeżeniem, że mogę się mylić przynajmniej o dziesięć w obie strony.

Wokół jej szyi wiszą na łańcuszku okulary typu kocie oczy. Wkłada je na nos i rzuca mi krótkie spojrzenie, dokonując błyskawicznej oceny.

– Panno McDeere – odzywa się w końcu. – Zapraszam.

– Dziękuję – odpowiadam, choć w jej tonie nie ma nic zapraszającego. Bez wątplenia to z nią rozmawiałam przez interkom. Tego obojętnego głosu nie da się pomylić z żadnym innym.

– Jestem pani Baker, gospodyni.

Milknie, by przyjrzeć się temu, co mam na sobie, i najwyraźniej uznając mój płaszcz za pozostawiający wiele do życzenia. Jest z niebieskiej wełny, zmechaczonej w zbyt wielu miejscach, by je zliczyć. Mam go od tak dawna, że już sama nie pamiętam, kiedy ani gdzie go kupiłam. A może ten oczywisty niesmak pani Baker budzi to, co mam pod płaszczem? Biała bluzka. Szara spódnica. Czarne pantofle na niskim obcasie, które ostatnio włożyłam na pogrzeb matki. Jeśli tak, to nic nie poradzę. To są moje najładniejsze rzeczy.

Po chwili widocznego wahania pani Baker dodaje:

– Proszę wejść.

Ja także się waham – przed przestąpieniem progu. To potężne wejście na chwilę mnie paraliżuje. Niemal tak samo szerokie jak wysokie i okolone tymi wszechobecnymi marmurowymi zdobieniami, przypomina otwartą paszczę. Patrząc na nie, słyszę w myślach głos Cartera, który powiedział: „To miejsce potrafi kąsać”.

Nagle ogarnia mnie tęsknota za domem. Zaskakujące, zważywszy na fakt, że od śmierci matki wcale nie czułam się tam jak w domu. A jednak kiedyś było to miejsce szczęśliwe i pełne równie szczęśliwych wspomnień. Śnieżne święta Bożego Narodzenia, torty urodzinowe i matka w swoim śmiesznym fartuszkowi w kwiatki, przygotowująca francuskie tosty w niedzielne poranki. Czy w Hope's End są jakieś szczęśliwe wspomnienia? Czy raczej wszystkie wyparowały tamtej straszliwej nocy? Czy pozostał tu tylko smutek?

– Wchodzi pani, moja droga? – odzywa się pani Baker, odchrząknąwszy ze zniecierpliwieniem.

Część mnie wcale tego nie chce. Całe to miejsce – jego rozmiary, ostentacyjność, a zwłaszcza reputacja – sprawia, że najchętniej odwróciłabym się na pięcie i wróciła do domu.

Ale wtedy przychodzi mi na myśl ojciec, mój pokój i nędzne ochłapy na koncie. Nic z tego się nie zmieni, jeśli sama czegoś z tym nie zrobię. Jeżeli teraz odjadę – czego rozpaczliwie pragnę – ugrzęznę w tej samej próżni, w której tkwiłam przez ostatnie pół roku. Praca w tym miejscu, choćby przez kilka tygodni, może odmienić mój los.

Z tą myślą biorę głęboki oddech, przestępuję próg i pozwalam, by Hope's End połknął mnie w całości.

Rozdział 4

Wewnątrz rezydencja jest ładniejsza niż na zewnątrz, ale tylko trochę. Tuż za drzwiami znajduje się wielki hol wyłożony marmurowymi płytkami, z aksamitnymi kotarami w oknach i gobelinami na ścianach. Wnętrze wypełnione jest dekoracjami i meblami, poczynając od wielkich donic z palmami, a kończąc na fantastycznych drewnianych krzesłach o przykurzonych miękkich siedziskach przykrytych brokatowymi poduszkami. Łukowy sufit zdobi namalowane farbami olejnymi niebo pokryte puchatymi, różowymi chmurkami. Całość wygląda jednocześnie elegancko i obskurnie, jakby czas się zatrzymał. Jakbym znalazła się w holu czterogwiazdkowego hotelu, który od kilkudziesięciu lat stoi opuszczony.

Po lewej ciągnie się długi korytarz z rzędem wysokich okien po jednej stronie i pojedynczym otwartym przejściem w przeciwległej ścianie. Korytarz prowadzi do szerokich dwuskrzydłowych drzwi, obecnie zamkniętych, po czym ostro skręca w prawo i niknie za rogiem. Po prawej stronie holu widzę drugi korytarz, a na jego końcu zalany słońcem pokój.

Jednak moja uwaga koncentruje się głównie na tym, co mam przed sobą. Dokładnie naprzeciwko drzwi wejściowych znajdują się wyłożone czerwonym dywanem schody, które biegną w górę i po dwunastu stopniach rozchodzą się na boki niczym skrzydła. Dalej każda z tych symetrycznych połówek zakręca i wiedzie na pierwsze piętro. Nad podestem widnieje witrażowe okno, przez które wpadają do środka promienie słońca, barwiąc dywan wszystkimi odcieniami tęczy.

– Wielkie Schody – mówi pani Baker. – Zbudowane razem z domem w tysiąc dziewięćset trzynastym. Od tamtej pory zmieniło się tu bardzo niewiele. Pan Hope dbał o ponadczasowy wystrój.

Idzie dalej, a stukot obcasów na marmurowej posadzce brzmi jak tykanie metronomu. Podążam za nią, potykając się nieco, bo podłoga jest miejscami nierówna, wznosi się i opada niczym ocean na zewnątrz.

– Swoje rzeczy może pani wziąć później – stwierdza pani Baker. – Pomyślałam, że miło będzie najpierw pogawędzić na oszklonej werandzie. To takie przyjemne miejsce.

Uwierzę, kiedy zobaczę. Jak na razie nic w Hope's End nie wydaje się przyjemne, nawet tych kilka ładnych rzeczy, które widzę wokoło. Mam wrażenie, że czarna rozpacz gnieździ się po kątach, zbiera się w nich jak pajęczyny. W powietrzu czuć dziwny chłód – słonawe, nieuchwytnie coś, co sprawia, że przesywa mnie dreszcz.

Wiem, że to tylko moja wyobraźnia. Zginęły tu trzy osoby. W przerażający sposób, jeśli wierzyć legendzie. Taka świadomość może nieźle namieszać w głowie.

Jakby dla zilustrowania tej myśli mijamy oprawiony w ramę obraz olejny, przedstawiający nastoletnią dziewczynę w różowej atlasowej sukni.

– Panna Hope – wyjaśnia pani Baker, truchtając przed siebie i nawet nie spoglądając na portret. – Zamówiony przez ojca dla uczczenia jej urodzin.

W przeciwieństwie do gospodyni zatrzymuję się pod portretem jak wryta. Lenora siedzi na białej otomanie na tle tapety w różowe paski, a tuż nad jej ramieniem widać fragment zwierciadła w pozłacanej ramie. Dziewczyna opiera się dość niezgrabnie o podłokietnik otomany. Jej dłonie spoczywają na kolanach, palce ma splecione w sposób zdradzający napięcie, które malarz usiłował zakamuflować, przedstawiając modelkę w przesadnie swobodnej pozie.

Jej blada cera i delikatne rysy twarzy przywodzą mi na myśl pęk tuż przed pełnym rozkwitem. Młoda Lenora miała zgrabny, zadarty nosek, pełne wargi i zielone oczy niemal tak jasne i żywe jak witraż nad Wielkimi Schodami. Patrzy prosto na malarza, a w jej spojrzeniu błyska szelmowska iskierka, zupełnie jak gdyby wiedziała, co ludzie będą o niej mówili kilkadziesiąt lat później.

Pani Baker, pięć kroków przede mną, ogląda się na mnie ze zniecierpliwieniem.

– Do oszklonej werandy tędy, panno McDeere.

Ruszam za nią, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie na portret Lenory. Trzy inne, identyczne pod względem kształtu i rozmiarów, wiszą w rzędzie obok pierwszego – wszystkie zasłonięte czarną jedwabną krepą. Materiał nie został jednak luźno narzucony na obrazy, lecz mocno napięty i przybity gwoździami do ram. Mimo tego wysiłku tkanina nie zasłania portretów całkowicie. Prześwitują słabo spod przezroczystej krepy, zamglone i bezkształtne. Jak duchy.

Winston, Evangeline i Virginia Hope'owie.

Tylko Lenora jest wciąż widoczna, bo ona jedna została przy życiu.

Doganiam panią Baker i pokonuję resztę korytarza, idąc za nią szybkim krokiem i mijając pokoje o szczelnie pozamykanych drzwiach, które zdają się sugerować zakaz wstępu. Przy każdym przeniku mnie kolejny krótki dreszcz. Przeciagi, przekonuję się w myślach. Normalna sprawa w takich dużych, starych rezydencjach jak ta.

Oszklona weranda jest przynajmniej jaśniejsza niż reszta domu, nawet jeśli nie do końca przyjemna. Meble załatują stęchlizną tak samo jak wszystkie inne starocie, które widziałam po drodze. Tyle tu aksamitów, haftów i frędzli. A na dokładkę ten stojący w przeciwnym końcu pokoju fortepian z opuszczoną klapą, zatrzaśniętą szczególniej niż trumna.

Zaduch łągodzą sięgające od podłogi do sufitu okna, których rzędy zajmują dwie ściany. Przez te wychodzące na trawnik widzę w oddali Cartera, który dalej grabi opadłe liście. Drugi rząd okien wychodzi na pusty taras. Przez całą jego długość biegnie niska marmurowa balustrada, niesięgająca nawet do pasa. Za nią nie widzę nic więcej, bo dosłownie niczego więcej tam nie ma. Tylko nieskończony błękit nieba, który sprawia, że mam wrażenie, jakby rezydencja unosiła się w powietrzu.

Pani Baker pozwala mi pogapić się jeszcze przez kilka sekund, po czym wskazuje gestem na czerwoną aksamitną dwuosobową kanapę.

– Proszę usiąść.

Przysiadam na skraju mebla, jakbym się bała, że go połamie. Bo faktycznie się boję. Wszystko w Hope's End wydaje się tak stare i kosztowne, że chyba niczego nie można by tu zastąpić ani wymienić. Pani Baker bez tego typu wahań zasiada na podobnej kanapie

naprzeciwno. Ruch sprawia, że z tapicerki wzbija się chmurka kurzu w kształcie miniaturowego grzyba atomowego.

– A zatem, panno McDeere – zagaja – proszę mi trochę o sobie opowiedzieć.

Nim zdążę się odezwać, ktoś nagle pakuje się do pokoju, głośno tupiąc i czymś grzechocząc. To jakaś młoda kobieta, która w jednej ręce trzyma metalowe wiadro, a drugą ciągnie za sobą odkurzacz. Zastyga na nasz widok, dzięki czemu mam kilka sekund, żeby się jej przyjrzeć, a stanowi niezłe widowisko. Ma około dwudziestu lat, nie więcej, i jest ubrana w najprawdziwszy strój pokojówki rodem z czarno-białego filmu. Czarna sukienka do kolan. Wykrochmalony biały kołnierzyk z ostrymi wyłogami. Biały fartuszek, na którym widać niewyraźną smugę w miejscu, o które prawdopodobnie wytarła ręce.

Jej reszta to jednak technicolor w pełnej krasie. Włosy ma ufarbowane na krzykliwą czerwień z dwoma neonowoniebieskimi pasemkami, które dyndają po obu stronach jej twarzy jak macki ośmiornicy. Podobny odcień niebieskiego znaczy jej powieki i blaknie dopiero w okolicach skroni. Usta pociągnęła szminką w kolorze gumy balonowej, a na policzki nałożyła róż w podobnym, lecz nieco ciemniejszym odcieniu.

– Ups, sorry! – mówi, wykazując się nieco spóźnionym refleksem na mój widok. Jest wyraźnie zaskoczona obecnością kogoś nieznanego w Hope's End. Podejrzewam, że coś takiego zdarza się tu nieczęsto. – Myślałam, że tu będzie pusto.

Odwraca się, żeby wyjść, i znowu czymś grzechocze, a ja zdaję sobie sprawę, że ten dźwięk wydają plastikowe bransoletki we wszystkich odcieniach tęczy, których po pół tuzina nosi na każdym nadgarstku.

– To moja wina, Jessico – mówi pani Baker. – Powinnam była cię powiadomić, że będę potrzebowała tego pokoju dzisiejszego popołudnia. To panna McDeere, nowa opiekunka panny Hope.

– Cześć – witam się i macham do niej ręką.

Dziewczyna odmachuje ze stukotem bransoletek.

– Hej. Witaj na pokładzie.

– Właśnie zamierzałyśmy się lepiej poznać – wyjaśnia pani Baker. – Może tymczasem dokończysz sprzątanie w holu. Wygląda mi na nieco zaniedbany.

– Ale sprzątałam tam wczoraj.

– Sugerujesz, że wzrok mnie zawodzi? – pyta gospodyni, uśmiechając się przez zaciśnięte wargi, niemal złośliwie.

Dziewczyna kręci głową, wprawiając w ruch swoje kolczyki koła.

– Nie, pani Baker. – Dyga, a pani Baker najwyraźniej uznaje ten akt sarkazmu za wyraz szczerego poddaństwa. Pokojówka rzuca mi jeszcze jedno zaciekawione spojrzenie, po czym wychodzi razem ze swoim wiadrem, odkurzaczem i grzechoczącą biżuterią.

– Proszę wybaczyć Jessice – zwraca się do mnie pani Baker. – Dzisiaj tak trudno o dobrą służbę.

– Och. – To wszystko, co jestem w stanie z siebie wykrztusić. Czy ja też nie należę do służby? Tak jak i sama pani Baker?

Zakłada okulary, poprawia je u nasady nosa, po czym spogląda na mnie przez grube szkła.

- A zatem, panno McDeere...

- Proszę mówić mi Kit.

- Kit - powtarza pani Baker z taką miną, jakby moje imię pozostawiło w jej ustach nieprzyjemny posmak. - Przypuszczam, że to jakiś skrót.

- Tak. Od Kittredge.

- Nieco wymyślne imię.

Rozumiem, o co jej chodzi. Wymyślne dla kogoś takiego jak ja.

- Tak brzmiało nazwisko panienskie mojej babci ze strony matki.

Pani Baker bąka pod nosem. To nie całkiem „hmm”, ale coś w tym rodzaju.

- A twoja rodzina? Gdzie mieszka?

- Tutaj - odpowiadam.

- Czy mogłabyś to bardziej sprecyzować?

To też rozumiem. Jest więcej niż jedno „tutaj”. Są rezydencje na Klifach, gdzie mieszka klasa posiadająca, na której szczytce znajdowali się niegdyś Hope'owie. I jest cała reszta świata.

- W mieście - wyjaśniam.

Pani Baker kiwa głową.

- Tak myślałam.

- Mój ojciec to złota rączka, a matka była bibliotekarką - dodaję sama z siebie, próbując wpoić pani Baker przekonanie, że moja rodzina jest równie godna szacunku jak Hope'owie i im podobni.

- Interesujące - rzuca gospodyni tonem wyraźnie wskazującym, że nic jej to nie obchodzi. - Masz duże doświadczenie jako opiekunka?

- Tak. - Spinam się, niepewna, ile ona już wie. - Co powiedział pan Gurlain?

- Bardzo niewiele. Chciałabym powiedzieć, że cię bardzo wychwalał, ale to byłaby nieprawda. Dowiedziałam się o tobie tyleż co nic.

Głęboko wciągam powietrze. To może wyjść mi na dobre. Albo i nie. Bo będę musiała sama wszystko wyjaśnić, jeśli zostanie o to spytana.

Proszę, nie pytaj, błagam w myślach.

- W Agencji Opieki Domowej Gurlaina pracuję od dwunastu lat - mówię.

- To całkiem sporo. - Pani Baker patrzy mi w oczy z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Zakładam, że wiele się przez ten czas nauczyłaś.

- Owszem.

Zaczynam wyliczać wszystkie posiadane umiejętności, poczynając od tych pospolitych, jak przygotowywanie prostych posiłków, lekkie sprzątanie, zmienianie pościeli, gdy pacjentka leży w łóżku, a kończąc na kompetencjach zawodowych, takich jak obmywanie gąbką, zakładanie cewników, pobieranie krwi i wstrzykiwanie insuliny oraz badanie odleżyn na łopatkach i pośladkach.

- Niemalże jak pielęgniarka - przerywa mi pani Baker, gdy ta wyliczanka trwa już zbyt długo. - Czy masz doświadczenie w opiece nad osobami po udarze?

- Umiarkowane – odpowiadam, myśląc o pani Plankers, którą opiekowałam się przez niespełna dwa miesiące, zanim jej biednemu mężowi skończyły się pieniądze i nie mógł dłużej płacić za usługi agencji. Panią Plankers przeniesiono do państwowego domu opieki, a mnie przydzielono nową pacjentkę.

- Stan panny Hope może wymagać więcej uwagi, niż do tego przywykłaś – uprzedza pani Baker. – Zawsze nękały ją różne dolegliwości zdrowotne. Atak polio, który przeszła po dwudziestym roku życia, osłabił jej nogi tak bardzo, że od tamtej pory nie może chodzić. W ciągu ostatnich dwudziestu lat przeżyła serię udarów, po których przestała mówić i ma sparaliżowaną prawą połowę ciała. Umie poruszać głową i szyją, ale czasem trudno jej nad nimi zapanować. Właściwie pozostała jej tylko ograniczona władza w lewej ręce.

Zginam lewe ramię, nie mogąc sobie wyobrazić, jak by to było mieć kontrolę nad tak niewielką częścią własnego ciała. Teraz przynajmniej już wiem, dlaczego Lenora nigdy nie opuściła Hope's End. Nie była w stanie.

- Czy to dlatego poprzednia pielęgniarka odeszła?

- Mary? – upewnia się pani Baker z wyraźnym zakłopotaniem. To pierwsza szczerza emocja, jaką u niej zobaczyłam. – Nie, radziła sobie całkiem dobrze. Była u nas przez ponad rok. Panna Hope ją uwielbiała.

- To czemu odeszła tak nagle?

- Żebym to ja wiedziała. Nikomu nie wyjaśniła, dlaczego ani dokąd odchodzi. Właściwie w ogóle nikogo o tym nie uprzedziła. Po prostu odeszła. W środku nocy, ni mniej, ni więcej. Biedna panna Hope została bez opieki przez całą noc, mogło jej się stać coś bardzo złego. O czym sama dobrze wiesz, zważywszy na to, co się stało z twoją poprzednią podopieczną.

Tracę dech w piersiach.

Ona wie.

Oczywiście, że tak.

Wijąc się pod miazdzącym spojrzeniem pani Baker, jestem w stanie wykrztusić jedynie:

- Mogę to wyjaśnić.

- Słucham.

Odwracam wzrok, zawstydzona. Czuję się zdemaskowana. Wręcz obnażona, aż zaczynam wygładzać spódnicę na kolanach, starając się zakryć tkaniną jak najwięcej odsłoniętego ciała.

- Miałam... – Głos mi się załamuje, mimo że opowiadałam tę historię mnóstwo razy wielu sceptycznie nastawionym osobom. Policji. Urzędnikom państwowym. Panu Gurlainowi. – Miałam pacjentkę. Była chora. Rak żołądka. Kiedy się dowiedziała, było już za późno. Miała przerzuty... wszędzie. Operacja nie wchodziła w grę. Chemia zrobiła, co mogła. Nie pozostało nic więcej, jak tylko zapewnić jej możliwie największy komfort i czekać, aż nadejdzie koniec. Ale ból, cóż, był potworny.

Wciąż wbijam wzrok w dłonie ostrożnie wygładzające spódnicę na kolanach. Moje słowa nie są już jednak tak ostrożne. Zaczynam mówić szybciej, swobodniej, zupełnie inaczej niż w tej szarej klitce – pokoju przesłuchań na komisariacie. Przypisuję to atmosferze panującej w Hope's End. To miejsce jest obeznane ze śmiercią.

- Lekarz dał jej receptę na fentanyl – kontynuuję. – Z zaleceniem, aby zażywać go sporadycznie i tylko w ostateczności. Pewnej nocy było to naprawdę konieczne. Nigdy nie wiedziałam, żeby ktoś tak bardzo cierpiał. Tego rodzaju ból nie jest przelotny. Jest uporczywy. Wyniszczający. Kiedy patrzyłam w jej oczy, widziałam czystą udrękę. Więc podałam jej jedną dawkę fentanylu i monitorowałam ból. Lek zdawał się działać, więc poszłam się położyć.

Milknę, jak za każdym razem, kiedy docieram do tego punktu. Zawsze potrzebuję chwili, nim zagłębię się w szczegóły własnej porażki.

- Następnego ranka obudziłam się wcześniej niż zwykle – mówię, przypominając sobie ciemnoszare niebo za oknem, wciąż poznaczone przez nocne cienie. Ta ponurość była jak zły omen. Jeden rzut oka i już wiedziałam, że coś jest nie tak. – Poszłam sprawdzić stan pacjentki i okazało się, że nie reaguje na bodźce. Natychmiast zadzwoniłam pod numer alarmowy, zgodnie ze standardową procedurą.

Pomijam fakt, że już wtedy wiedziałam, że to strata czasu. Umieć rozpoznać, gdy ktoś nie żyje.

- Czekałam na przyjazd pogotowia, kiedy ujrzałam buteleczkę fentanylu. Regulamin agencji nakazywał, aby wszystkie leki były trzymane w zamkniętej kasetce pod łóżkiem opiekunki. Dzięki temu wyłącznie my mamy do nich dostęp. Może byłam zmęczona. Albo wstrząśnięta tym bólem, który musiała znosić moja podopieczna. Tak czy inaczej zapomniałam zabrać leki ze sobą.

Mocno zaciskam powieki, starając się nie przypominać sobie przewróconej buteleczki obok lampki nocnej. Mimo to wspomnienie powraca. Widzę wszystko. Buteleczkę. Nakrętkę leżącą kilka centymetrów dalej. Ostatnią pozostałą pigułkę. Niewielki jasnoniebieski krążek, który zawsze uważałam za zbyt ładny jak na coś tak niebezpiecznego.

- W nocy połknęła wszystkie tabletki oprócz jednej – mówię. – Zmarła, kiedy spałam. Na miejscu stwierdzono zgon i zabrano zwłoki. Później coroner stwierdził zgon w wyniku nagłego zatrzymania krążenia spowodowanego przedawkowaniem fentanylu.

- Myślisz, że zrobiła to celowo? – pyta pani Baker.

Otwieram oczy i widzę, że twarz nieco jej zmiękła. Nie na tyle jednak, by dopatrzeć się w niej wyrazu współczucia. To nie w stylu pani Baker. Zamiast współczucia w oczach tej starej kobiety widzę coś głębszego: zrozumienie.

- Tak. Myślę, że doskonale wiedziała, co robi.

- A jednak ludzie winili ciebie.

- Tak. Zostawiając leki w jej zasięgu, dopuściłam się zaniedbania. Temu nie mogę zaprzeczyć. I nigdy nie zaprzeczałam. Ale wszyscy mnie potępiali. Zostałam zawieszona bez prawa do wynagrodzenia. Wszczęto oficjalne śledztwo. Włączyła się policja. Zrobiło się takie zamieszanie, że sprawa trafiła do lokalnej prasy. – Urywam, przypominając sobie pochylonego nad gazetą ojca i jego wielkie, zażawione oczy.

„To, co mówią, nie jest prawdą, Kit-Kat”.

- Nigdy o nic mnie nie oskarżono – ciągnę. – Uznano to za nieszczęśliwy wypadek, moje zawieszenie dobiegło końca i wreszcie mogę wrócić do pracy. Ale wiem, że większość ludzi

podejrzewa mnie o najgorsze. Że celowo zostawiłam te pigułki. Albo nawet że pomogłam je zażyć.

– A zrobiłaś to?

Gapię się na panią Baker ze zdumieniem i z urazą.

– Co to w ogóle za pytanie?

– Szczere – odpowiada. – Takie, które zasługuje na szczerą odpowiedź, nie sądzisz?

Siedzi spokojnie, niczym uosobienie cierpliwości. Jej postura jest nienaganna. Proste jak struna plecy nie dotykają oparcia kanapy. W przeciwieństwie do mnie, bo ja siedzę przygarbiona, z założonymi rękami, przytłoczona ciężarem jej pytania.

– Uwierzyłaby pani, gdybym zaprzeczyła?

– Tak – odpowiada pani Baker.

– Większość ludzi nie wierzy.

– My w Hope's End nie jesteśmy jak większość. – Odwraca się w stronę rzędu okien i znajdującego się tuż za nimi tarasu z balustradą. Dalej jest... nicość. Otchłań złożona z nieba w górze i prawdopodobnie wody w dole. – Tutaj młode kobiety posądzone o straszne czyny otrzymują kredyt zaufania.

Wyprostowuję się zaskoczona. Z rzeczowego zachowania gospodyni wnioskowałam, że rozmowa na temat tragicznej przeszłości Hope's End jest zakazana.

– Nie udawajmy, że nie wiesz, co się tu stało, moja droga – dodaje. – Wiesz. Tak samo jak wiesz, co wszyscy myślą: że panna Hope jest za to odpowiedzialna.

– A jest?

Tym razem zaskakuję nawet samą siebie. Zwykle nie jestem tak śmiała. I znowu podejrzewam, że to sprawka tego domu. Prowokuje do śmiałych pytań.

Pani Baker uśmiecha się ironicznie, może z zadowoleniem, a może nie.

– Uwierzyłabyś, gdybym zaprzeczyła?

Rozglądam się po pokoju, patrzę na zbyt wyszukane meble, rzędy okien, trawnik, taras i bezmiar nieba.

– Skoro tu jestem, będę musiała dać jej kredyt zaufania.

Najwyraźniej jest to właściwa odpowiedź. A przynajmniej możliwa do przyjęcia. Bo pani Baker wstaje i mówi:

– Pokażę ci teraz resztę domu. A potem przedstawię ci pannie Hope.

Zatem to już oficjalne. Jestem nową opiekunką Lenory Hope.

Nieważne, że okłamałam panią Baker.

Nie tylko co do mojej poprzedniej pacjentki.

Także w sprawie Lenory Hope, o której moja opinia się nie zmieniła. Nadal uważam, że jest zabójczynią. Wiem jednak, że to, co uważam, nie ma znaczenia. To moja pacjentka. Moim zadaniem jest opieka nad nią. Jeśli go nie wykonam, nie dostanę zapłaty. Proste.

Opuszczamy oszkloną werandę i wracamy korytarzem w stronę serca domu. Gdy docieramy do portretów, jeszcze raz zerkam ukradkiem na ten jedyny odsłonięty.

Olejne oczy Lenory zdają się śledzić każdy nasz ruch.

Rozdział 5

Ograniczenia budżetowe zmuszają nas do poprzestania na skromnej służbie domowej – mówi pani Baker już w holu. – Prace wokół domu wykonuje Carter, którego, jak sądzę, już poznałaś.

Sztywnieję, nagle wytrącona z równowagi. Skąd ona o tym wie?

– Rzeczywiście – potwierdzam.

Mijamy Wielkie Schody i wchodzimy w korytarz prowadzący na drugi koniec rezydencji.

– W domu pracuje Jessica, która sprząta, i Archibald, który gotuje.

– A czym zajmuje się pani?

Kolejne śmiałe pytanie. Śmiałość niezamierzona. Tym razem jednak wyraz twarzy pani Baker nie budzi żadnych wątpliwości. Wyraźne niezadowolenie.

– Jestem gospodynią – odpowiada i pociąga nosem z taką irytacją, że aż biust jej faluje. – Utrzymuję ten dom w możliwie najlepszym stanie w poważnie ograniczonych warunkach. To ja o wszystkim decyduję. I wszystkie moje decyzje są ostateczne. Odkąd panna Hope nie może zajmować się posiadłością, wzięłam to brzemię na siebie. Tym się zajmuję.

– Jak długo pracuje pani u panny Hope?

– Od kilkadziesiątu lat. Przyjechałam tu w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku i zostałam zatrudniona jako guwernantka, aby uczyć pannę Hope i jej siostrę zachowania stosownego dla młodych dam. Miałam wówczas zaledwie dziewiętnaście lat i zamierzałam tu zostać przez rok lub dwa. Ten plan się zmienił, rzecz jasna. Kiedy liczbę personelu domowego ograniczono w wyniku tego... incydentu, wyjechałam na jakiś czas do Europy, a gdy zmarł mój narzeczony, postanowiłam wrócić do Hope's End i poświęcić życie opiece nad panną Hope.

Nie jest to wybór, którego sama bym dokonała. Ale cóż, nigdy nie miałam narzeczonego. Ani nawet chłopaka na dłużej. Moja praca na to nie pozwala. „Uciekaj, póki masz jeszcze urodę – poradziła mi kiedyś koleżanka z Agencji Opieki Domowej Gurlaina. – Inaczej nigdy nie złapiesz żadnego faceta”.

Teraz zastanawiam się, czy już jest za późno. Może jestem skazana na stanie się kimś takim jak pani Baker – kobietą w czerni z białymi włosami i bladą cerą, wypraną z wszelkiego koloru.

– Skoro nie wyszła pani za mąż, to dlaczego nazywa się pani „panią Baker”?

– Ponieważ taki tytuł przysługuje gospodyni, moja droga, niezależnie od tego, czy jest zamężna, czy nie. To wzbudza respekt.

Posuwając się w głąb korytarza, bacznie przyglądam się otoczeniu. Zamknięte dwuskrzydłowe drzwi na wprost, otwarte przejście po mojej prawej. Zerkam do środka i widzę formalną jadalnię – nieoświetloną, ale jasną dzięki dwóm przeszklonym drzwiom wychodzącym na taras. Między nimi znajduje się bogato zdobiony kominek tak wielki, że

mogłabym zaparkować w nim samochód. Nad każdym z końców stołu, który pomieściłby ze dwa tuziny gości, wisi żyrandol.

– W Hope's End jest trzydzieści sześć pokoi – mówi pani Baker, gdy dochodzimy do zamkniętych drzwi na końcu korytarza. – Ciebie powinny interesować tylko trzy z nich. Kwatery panny Hope, twoje własne i to pomieszczenie.

Pani Baker skręca w prawo, za róg, i wchodzimy do kuchni, która jest duża jak w restauracji. Jest tu mnóstwo pieców, piekarników i palników, a także obudowany cegłą kominek, w którym trzaska niewielki ogień. Ściany są wyłożone półkami z porcelanowymi pojemnikami, a pod sufitem, na wieszakach z kutego żelaza, wiszą dziesiątki miedzianych garnków. Na środku pomieszczenia znajduje się solidny drewniany blat, który ciągnie się niemal od ściany do ściany.

Kilkadziesiąt lat temu po tej podłodze w szachownicy prawdopodobnie krzątała się armia kucharek i służby kursującej między kuchnią a przyległą do niej jadalnią. Teraz jest tu tylko jeden człowiek – mężczyzna o okazałym torsie i jeszcze okazańszym brzuchu, ubrany w kraciaste spodnie i biały kitel kucharski. Jest po siedemdziesiątce i ma ogoloną głowę oraz nieco skrzywiony nos, ale za to szeroki uśmiech.

– Archibaldzie, to jest nowa opiekunka panny Hope – przedstawia mnie pani Baker. – Kit, to Archibald.

Mężczyzna podnosi wzrok znad blatu, na którym zagniata ciasto na domowy chleb.

– Witaj, Kit. I mów mi Archie.

– Archibald przygotowuje wszystkie posiłki panny Hope, więc twoja pomoc nie będzie potrzebna w tym względzie – oznajmia pani Baker. – Gotuje także dla reszty personelu. Oczywiście możesz sama przygotowywać posiłki dla siebie, ale odradzam. Archibald to najlepszy kucharz na wybrzeżu Maine.

Nagle dociera do mnie, jak szybko zmieniło się moje życie. Dziś rano obudziłam się w tym samym łóżku, w którym sypiałam, odkąd skończyłam dziesięć lat. Wieczorem zasnę w rezydencji, która ma własnego profesjonalnego kucharza. I pokojówkę. I taras z widokiem z lotu ptaka na ocean.

Jakby bezgłośnie chcąc sprowadzić mnie na ziemię, pani Baker rusza dalej, prowadząc do wciśniętej w narożnik kuchni klatki schodowej. Wąskiej, stromej i ciemnej, stanowiącej całkowite przeciwieństwo Wielkich Schodów. To przejście dla służby. Do której należę. Nie wolno mi o tym zapomnieć.

– Archibald i Jessica mają pokoje na drugim piętrze – wyjaśnia pani Baker, wspinając się na górę, a jej głos odbija się echem w głębi wąskiego biegu schodów. – Twoje kwatery znajdują się na pierwszym piętrze, obok pokoju panny Hope.

– Ma pokój na piętrze? – pytam zaskoczona. – Skoro jest unieruchomiona, to czy nie powinna mieszkać na parterze? Dla łatwiejszego dostępu?

– Panna Hope nie narzeka, zapewniam cię.

– Czy w domu jest winda?

– Oczywiście, że nie.

– Więc jak mam wychodzić z nią na zewnątrz?

Pani Baker zatrzymuje się w połowie schodów jak wryta. Tak nagle, że prawie na nią wpadam. Aby uniknąć zderzenia, cofam się na niższy stopień, co sprawia, że pani Baker zdaje się nade mną górować, gdy odpowiada:

- Panna Hope nie wychodzi na zewnątrz.

- Nigdy?

- Nigdy. - Gospodyni rusza dalej, szybko pokonując resztę chybotałych schodów. - Panna Hope nie opuszcza tego domu od kilkudziesięciu lat.

- A co, jeśli potrzebuje lekarza?

- Wtedy lekarz przyjeżdża do niej - wyjaśnia pani Baker.

- A jeśli trzeba będzie ją zabrać do szpitala?

- To się nie zdarzy.

- Ale jeśli...

Jeśli nastąpi jakiś nagły wypadek. To właśnie próbuję powiedzieć. Nie udaje mi się to, bo pani Baker znowu się zatrzymuje, tym razem na podeście.

- Panna Hope urodziła się w tym domu i tutaj też umrze - mówi. - Do tego czasu musi zawsze przebywać w środku. Tego sobie życzy, a moim zadaniem jest to życzenie spełnić. Jeśli się z tym nie zgadzasz, to możesz od razu odejść. Czy wyrażam się jasno?

Spuszczam wzrok, bo uświadamiam sobie, że ledwo przyjęto mnie do pracy, a już prawie grozi mi zwolnienie. Jedynym, co może mnie uchronić przed przymusowym powrotem do swojego dawnego pokoju i milczenia ojca, jest to, co teraz powiem.

- Tak - odpowiadam. - Przepraszam za kwestionowanie życzeń panny Hope.

- Dobrze. - Czerwone wargi pani Baker układają się w uśmiech szybki i ostry jak cięcie brzytwy. - Kontynuujemy.

Ruszamy w głąb długiego korytarza. Podobnie jak korytarze na parterze biegnie z jednej strony rezydencji na drugą, a pośrodku znajduje się górna część Wielkich Schodów. W przeciwieństwie jednak do tamtych szerszych i lepiej oświetlonych - ten jest wąski i pogrążony w półmroku jak tunel. Dywan jest czerwony, a tapeta niebieska, z adamaszkowym motywem. Po każdej stronie widać tuzin drzwi, wszystkie zamknięte.

Gdy idę tym korytarzem, ogarnia mnie dziwne uczucie. To nie zawrót głowy. Nic aż tak silnego.

Lekka niestabilność.

Właśnie to czuję.

Jakbym wypila parę bardzo mocnych drinków.

Przytrzymuję się ściany, muskam palcami niebieską tapetę. Jest przytłaczająca. Ma za ciemny odcień, a nadruk zbyt kwiecisty na tak ograniczoną przestrzeń. Wszystkie te ozdobne płatki, bujne i splątane, przywodzą na myśl dziki, rozszaławy ogród, który wdziera się do domu. Na tę myśl odrywam dłoń od ściany i w rezultacie przechyłam się nieco w przeciwnym kierunku.

- To ten dom wywołuje takie uczucie - mówi pani Baker, nawet się nie oglądając. - Skłania się lekko w stronę oceanu. Na parterze nie jest to zbyt zauważalne. Czuje się to tylko na piętrach.

- Skąd to przechylenie?

- To klif, moja droga. Z czasem grunt na szczycie się obsunął, wskutek erozji.

Czego pani Baker nie dodaje, a co wnioskuję z pochyłej podłogi, to fakt, że Hope's End eroduje wraz z klifem. Pewnego dnia – może już wkrótce, a może za sto lat – część klifu wraz z rezydencją oderwie się od reszty gruntu i runie do oceanu.

- Nie martwi to pani?

- Och, wszyscy do tego przywykliśmy – odpowiada pani Baker. – Wymaga to jedynie trochę czasu. Zupełnie jak na statku.

Nic mi to nie mówi. Moje żeglarskie doświadczenie ogranicza się do wycieczki z obserwacją wielorybów, na którą popłynęłam w szóstej klasie. I nie wyobrażam sobie, że kiedykolwiek mogłabym do tego przywyknąć. Gdy pani Baker przystaje przed jednymi z zamkniętych drzwi po lewej, z ulgą opieram się o ścianę.

- To twoje kwatery – oznajmia i przekręca gałkę, ale nie otwiera drzwi. Wskutek złowrogiego przechylenia domu same się uchylają z lekkim skrzypnięciem. – Kiedy się przebierzesz, przedstawię cię pannie Hope.

- Mam się przebrać? – odrywam się od ściany i staję prosto. – W co?

- W swój uniform, rzecz jasna.

Pani Baker odstepuje od drzwi, pozwalając mi zajrzeć do środka. Pokój jest mały, ale schludny. Maślanożółte ściany, komoda, fotel do czytania i wielki regał na szczęście wypełniony książkami. Jest nawet widok na ocean, który w innych okolicznościach sprawiłby, że serce skakałoby mi z radości. Teraz jednak mój wzrok przyciąga łóżko, na którym leży biały strój pielęgniarki, złożony równiuteńko jak serwetka w eleganckiej restauracji.

- Jeśli nie będzie pasował, znajdę szwaczkę, która dokona stosownych poprawek – mówi pani Baker.

Łypię na uniform jak na tykającą bombę zegarową.

- Naprawdę chce pani, żebym to nosiła?

- Nie, moja droga – prostuje gospodyni. – Ja wymagam, żebyś to nosiła.

- Ale ja nie jestem pielęgniarką.

- Tutaj jesteś.

Powinam była się tego spodziewać. Widziałam przecież Jessicę w tym idiotycznym stroju pokojówki i Archiego w kitlu kucharskim.

- Wiem, że twoim zdaniem to głupie – mówi pani Baker. – Tak samo myślały poprzednie pielęgniarki. Nawet Mary. Ale my trzymamy się starych zasad. A jedną z nich jest przepisowy strój. Poza tym panna Hope jest do tego przyzwyczajona. Odstępstwo od tego zwyczaju mogłoby ją zdezorientować i zdenerwować.

Ten ostatni argument każe mi dać za wygraną. Chociaż mam gdzieś trzymanie się starych zasad – po co ich przestrzegać, skoro nie ma tu nikogo, kto by to docenił? – to jednak z pewnością nie chcę zdenerwować pacjentki. Nie mam wyboru, muszę zacisnąć zęby i włożyć mundurek.

Pani Baker czeka na korytarzu, a ja tymczasem zamykam drzwi, po czym zdejmuję płaszcz, spódnicę i bluzkę. Wkładam uniform, który nie leży na mnie zbyt dobrze. W biodrach jest zbyt

szeroki, w białym w sam raz, a w ramionach ciasnawy, więc można powiedzieć, że jest jednocześnie zbyt opięty i zbyt luźny. Kiedy przypinam do włosów czepek, czuję się wręcz głupio.

W przyległej do pokoju łazience sprawdzam, jak wyglądam.

Cóż... właściwie to nieźle.

Ogólnie rzecz biorąc, bardzo oficjalnie, ale obcisłość w ramionach sprawia, że wydaję się nieco wyższa. Likwiduje moje wieczne przygarbienie, dzięki czemu bardziej przypominam prawdziwą pielęgniarkę niż opiekunkę. Pierwszy raz od wielu miesięcy czuję ożywczy przypływ energii. Znow jestem zaradną osobką.

Pani Baker przyjmuje tę zmianę z aprobatą. Kiedy wyłaniam się z łazienki, podnosi okulary do oczu i konstatuje:

- Tak, znacznie lepiej.

I rusza dalej, do następnych drzwi.

Drzwi do pokoju Lenory Hope.

Gdy je otwiera, aż wciągam powietrze, jakbym chciała się na coś przygotować. Na co? Tego nie wiem. Przecież Lenora Hope nie będzie stała tuż za progiem, dzierżąc w jednej ręce nóż, a w drugiej stryżek. A jednak właśnie taki obraz mam w myślach, kiedy pani Baker zaprasza mnie gestem do środka.

Biorę drugi głęboki oddech i wchodzę.

Pierwsze, co zauważam, to tapeta. W różowe paski. Dokładnie taka jak na portrecie na dole. Jest i biała otomana, a choć tapicerka nieco pociemniała z upływem czasu, wyraźnie widać, że to ta, na której Lenora pozowała. Na ścianie za nią wisi zwierciadło w połączanej ramie, którego fragment uchwycono na portrecie. Tu widzę je w całości – a w nim swoje odbicie w pielęgniarskim mundurku – i czuję się trochę jak Alicja po drugiej stronie lustra. Zamiast jednak w Krainie Czarów znalazłam się wewnątrz portretu Lenory Hope i teraz wpatruję się w siebie spoza jego ram.

Następne, co przyciąga mój wzrok, to wysokie okna wychodzące na Atlantyk. Pejzaż za nimi oszałamia jeszcze bardziej niż ten oglądany z oszklonej werandy. Stąd ocean jest widoczny: olbrzymia połać wzburzonej wody przypomina niebo odbite w krzywym zwierciadle. Dwa błękity – jeden usiany chmurami, drugi grzywami fal. Z wysokości pierwszego piętra wyraźniej widzę, jak blisko krawędzi klifu znajduje się ten dom. Właściwie stoi tuż nad przepaścią. Za balustradą tarasu nie ma już ziemi. Tylko pionowe urwisko, a pod nim ocean.

Przez ten lekki przechył domu widok za oknem przyprawia o porządny zawrót głowy. Mimo że stoję na środku pokoju, czuję się tak, jakbym przyciskała czoło do szyby i spoglądała w dół. Znowu dopada mnie wrażenie niestabilności i przez pełną napięcia chwilę boję się, że zaraz się przewrócę.

Ale wtedy dostrzegam stojący w kącie pokoju i zwrócony przodem do okna wózek inwalidzki. Jest staroświecki, wiklinowo-drewniany, z dwoma dużymi kołami z przodu i jednym małym z tyłu, jak trycykl. Takich wózków nie używa się już od bardzo dawna.

Siedzi w nim kobieta, milcząca i nieruchoma, z głową zwieszoną na piersi, jakby spała.

Lenora Hope.

Zawrót głowy mija mi jak ręką odjął. Za bardzo zajmuje mnie obecność Lenory, by zwracać uwagę na pochyłą podłogę. Albo na widok za oknami.

A nawet na obecność pani Baker za moimi plecami. Skupiam się wyłącznie na Lenorze, która siedzi w tym staromodnym wózku, skąpana w słońcu tak jasnym, że w jego blasku wydaje się blada, prawie półprzezroczysta. Niesławna Lenora Hope, wyglądająca jak własny duch.

Cała jej postać wydaje się pozbawiona koloru. Szlafrok jest znoszony i szary, podobnie jak pantofle. Szare skarpety kończą się poniżej kolan; marszczą się i zwisają bezładnie. Koszula nocna pod szlafrokiem zapewne była kiedyś biała, ale po zbyt wielu praniach zrobiła się szara jak cera noszącej ją kobiety. Szarość obejmuje też włosy – długie i proste, opadające kaskadami na ramiona.

Dopiero kiedy Lenora unosi głowę, dostrzegam jedyny w całej jej postaci przebłysk koloru.

Oczy.

Ich zielen jest niemal tak żywa jak na portrecie na dole. Ale to, co fascynujące w obrazie, w rzeczywistości jest wręcz zdumiewające, zwłaszcza na tle całej tej szarości. Oczy Lenory przywodzą mi na myśl lasery. One płoną.

Ta ognista zielen przyciąga mój wzrok. Mam ochotę wpatrywać się w te niesamowicie jasne oczy, by się przekonać, czy zdołam w nich dostrzec jakąś cząstkę siebie. Bo jeśli nie, to może jednak nie jestem tak zła, za jaką uważają mnie inni.

Nawet mój ojciec.

Robię chwiejny krok w stronę Lenory i uczucie nierównowagi powraca, jeszcze silniejsze niż wcześniej. Być może jednak nie jest to skutek pochyłej podłogi. Może po prostu chodzi o to, że jestem w jednym pokoju z Lenorą Hope – ta świadomość jest równie surrealistyczna, jak zaskakująca. Rymowanka znów wkrada się w moje myśli.

Gdy Lenora Hope siedemnastkę skończyła...

Ciekawe, czy powinienem się bać.

Na kawałku sznura siostrę powiesiła...

Bo się boję.

Ojca nożem zadźgała...

Choć nie mam po temu żadnego powodu.

Matce życie odebrała...

To nie jest Lenora Hope z tego paskudnego wierszyka. To nawet nie jest Lenora z portretu na dole – młoda i dojrzała, być może właśnie knująca zamordowanie swojej rodziny. Ta Lenora jest stara, zwiędnięta, to cień człowieka. Przypomina mi się *Portret Doriana Graya*, który czytałam w liceum. Tu jest odwrotnie niż w książce: z każdym dniem obraz w holu nabiera większej świeżości, podczas gdy niedołężne ciało Lenory pokutuje za jej grzechy.

Podchodzę bliżej; już nie przeszkadza mi przechylenie domu. Może pani Baker ma rację. Może faktycznie przyzwyczajam się do tego miejsca.

– Dzień dobry, Lenoro – mówię.

- Panno Hope – poprawia mnie pani Baker od drzwi. – Służbie nie wolno zwracać się do pani domu po imieniu.

- Przepraszam. Dzień dobry, panno Hope.

Lenora siedzi bez ruchu i bez żadnej oznaki, że zauważyła moją obecność. Klękam przed wózką z nadzieją, że uda mi się spojrzeć w jej zdumiewające zielone oczy. Ciało mam spięte, jakbym się spodziewała wyczytać z nich coś niezwykłego. O Lenorze. O sobie.

Ale Lenora mi w tym nie pomaga. Patrzy przeze mnie na przestrzał, za okno, na wzburzony ocean w dole.

- Jestem Kit – przedstawiam się. – Kit McDeere.

Wzrok Lenory nagle skupia się na moich oczach.

Odpowiadam spojrzeniem na spojrzenie.

I widzę coś nieoczekiwanego.

W jej oczach pojawia się o dziwo błysk zaciekawienia. Zupełnie jakby już mnie znała. Jakby wiedziała o mnie wszystko. Że wpadłam w pułapkę. Że mnie oskarżono. Osądzono, odtrącono i zmarginalizowano. Spoglądając w oczy Lenory Hope, czuję się tak, jakbym patrzyła w to lustro w pozłacanej ramie i znowu widziała gapiące się na mnie własne odbicie.

- Bardzo mi miło panią poznać – ciągnę. – Od tej pory będę się panią opiekowała. Chciałaby pani tego?

Lenora Hope kiwa głową.

A potem się uśmiecha.

Zanim zaczniemy, muszę coś wyjaśnić. Po pierwsze, nie próbuj mi pomagać w tym pisaniu. Wiem, co chcę powiedzieć. Ty masz tylko zastępować moją beзуżyteczną rękę. Po prostu rób to, czego potrzebuję, wtedy, kiedy tego potrzebuję.

Rozumiesz?

Dobrze.

Po drugie, nie piszę tego po to, żebyś mi współczuła. Nie potrzebuję ani nie chcę twojej litości. Nie robię też tego, by dowieść swej niewinności. O tym zdecydują inni, jeśli lub kiedy to skończę.

Piszę to, bo kiedy umrę, co może się stać każdego dnia, chcę, aby istniał zapis faktów. To cała prawda – dobra i zła.

Wszystko zaczęło się w dniu portretu. To był początek końca, choć wtedy jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy. Działo się to osiem miesięcy przed zabójstwami. To cała wieczność, kiedy się jest taką młodą dziewczyną, jaką ja byłam wtedy. Był to też dzień moich urodzin. Ostatnich, jakie kiedykolwiek świętowano w tym domu.

Tamtego roku mój ojciec postanowił, że każde z nas w dniu swoich urodzin będzie pozowało do portretu. Uznał, że to będzie dobry prezent. Być może ten pomysł podobał się jemu i matce, ale niekoniecznie mojej siostrze i mnie. Żadna dziewczynka w naszym wieku nie chciałaby dostać portretu na urodziny, szczególnie że do pozowania trzeba się było wystroić, a potem siedzieć w bezruchu całymi godzinami. Najlepszy w tym wszystkim był artysta, który okazał się całkiem przystojny.

Miał na imię Peter.

Peter Ward.

Ponieważ mój ojciec zlecił mu namalowanie portretów każdego członka naszej rodziny, był w Hope's End już po raz czwarty. Przez ten czas zdążyłam się w nim zadurzyć. Włożyłam swoją najlepszą sukienkę – tę z różowego atlasu – i starałam się wyglądać jak najładniej. Bardzo chciałam przyciągnąć jego uwagę.

Niestety tego samego pragnęła moja siostra, która ciągle kręciła się wokół malarza, choć panna Baker nie spuszczała go z oka. Ponieważ portret był malowany w mojej sypialni, obawiała się, że jeśli zostawi Petera i mnie samych, mogłoby zdarzyć się coś niestosownego. Takie zachowanie było typowe dla panny Baker, którą zatrudniono rok wcześniej, aby uczyła nas etykiety i wysławiania się. Ja jednak dobrze wiedziałam, kim była naprawdę. Guwernantką dziewcząt, które wcale nie potrzebowały guwernantki.

Siedziałam na otomanie, starając się nie ruszać. Panna Baker stała sztywno w kącie z miną pełną dezaprobaty. Za to moja siostra bez przerwy snuła się za plecami Petera, zerkała na płótno i mówiła coś w rodzaju: „Och, to cudowne. Cóż za podobieństwo”.

Za każdym razem, kiedy to robiła, zbierało mi się na śmiech, więc Peter musiał mnie kilka razy skarcić.

– Nie ruszaj się, proszę – mówił śmiertelnie poważnym tonem, co rozśmieszało mnie jeszcze bardziej. Przez większość czasu starałam się powstrzymywać uśmiech, ale i tak pojawił się on na portrecie. Moja siostra miała co do tego rację. Peter uchwycił mnie idealnie.

– Ale ja się tak nudzę – marudziłam, kiedy pozowanie przeciągało się do popołudnia. – Czy nie mogłabym chociaż poczytać książki w tym czasie?

– Mogłabyś, ale wtedy nie widziałbym twoich oczu – odrzekł Peter. – A są takie śliczne.

I to właśnie był prezent urodzinowy, o jakim marzyła każda dziewczyna w moim wieku. Nikt wcześniej nie nazwał śliczną żadnej części mnie, więc gdy usłyszałam ten komplement z ust Petera, aż cała zadrżałam.

Niespodziewanie zaczęłam się zastanawiać, czy Peter kiedykolwiek malował nagą kobietę. Dojrzałą i o bujniejszych kształtach niż ja; taką, która nie wstydzila się swojego ciała. Rozmyślałam, jak by to było wysliznąć się z tej różowej sukienki, położyć się na otomanie i pozwolić, aby Peter patrzył na moją nagą postać. Czy nadal uważałby mnie za śliczną? Czy poczułby pragnienie, aby odejść od sztalug, usiąść obok mnie na otomanie, dotknąć mojej skóry, pogładzić mnie po włosach?

Zaczęłam się rumienić, wstrząśnięta dzikością własnych myśli. Spojrzałam na pannę Baker, która przyglądała mi się ciemnymi oczami, jakby doskonale wiedziała, co roi się w mojej głowie.

Najwyraźniej moja siostra również to wiedziała. Podeszła do Petera, stanęła za nim tak blisko, że aż dotykała jego pleców. Położyła mu rękę na ramieniu i zagruchała:

– Peterze, naprawdę jesteś najbardziej utalentowanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam.

Nagle w pokoju zrobiło się gorąco i w tym momencie zapragnęłam znaleźć się gdzieś daleko od nich wszystkich. Chciałam wybiec na dwór, usiąść na skraju klifu i poczuć chłodny wiatr we włosach.

– Czy już kończymy? – spytałam.

– Za godzinę lub dwie – odparł Peter.

– Bądź cierpliwa – dodała panna Baker.

Ale nie miałam już ani grama cierpliwości. Nienawidziłam panny Baker. Nienawidziłam siostry. Nienawidziłam ojca za to, że sprowadził Petera do tego domu. W tamtej chwili jedynym członkiem rodziny, którym nie pogardzałam, była matka.

Jej współczułam.

Nie mogąc usiedzieć bez ruchu ani chwili dłużej, zeskoczyłam z otomany i ruszyłam do drzwi.

– Jeszcze nie skończyłem! – zawołał za mną Peter.

– Ale ja tak! – odkrzyknęłam.

Zbiegłam tylnymi schodami do kuchni, gdzie kucharki i pokojówki uwijały się jak w ukropie, przygotowując moją urodzinową kolację. Mój gniew mnie zaskoczył. Wiedziałam, że w rzeczywistości siostra nie jest zainteresowana Peterem, a on nie jest zainteresowany mną. Szczere mówiąc, on też mnie nie interesował. Po prostu rozpaczliwie pragnęłam, aby ktoś mnie zauważył, zobaczył i zrozumiał prawdziwą mnie.

Poza tym miałam już serdecznie dość Hope's End. Ta nazwa idealnie pasowała do domu, bo czułam się tam, jakbym mieszkała na końcu świata, pozbawiona wszelkiej nadziei wyrwania się z tego miejsca.

Mój ojciec wybudował Hope's End jako hołd dla samego siebie. Twierdził, rzecz jasna, co innego. Osobliwą cechą wspólną zadufanych w sobie ludzi jest potrzeba ukrywania własnego zadufania. Ojciec robił to, twierdząc, że zbudował Hope's End dla ukochanej żony i córeczki, która właśnie im się urodziła.

Ale to nie była prawda.

Zbudował ten dom, gdyż chciał pokazać wszem wobec, jak bardzo jest bogaty.

Udało mu się. Bo nie da się spojrzeć na Hope's End i nie pomyśleć: „Ten dom należy do wielkiego bogacza”.

Byliśmy bogaci, owszem. A czy szczęśliwi? Niekoniecznie. I ten dom, choć tak wykwintry, doskonale to odzwierciedlał. To chłodne miejsce. Nieprzyjazne. Wiem, że to czujesz. Nie znajdziesz tu za wiele otuchy.

A ja chciałam tylko poznawać ludzi, podróżować, doświadczać rzeczy, o których czytywałam w książkach. W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku świat tętnił życiem – wszyscy jeździli szybkimi samochodami, słuchali jazzu, tańczyli całymi nocami i pili chałupniczy, „wannowy” gin. Nie poznałam żadnej z tych rzeczy. I jak niby miałam zostać wielką pisarką, nie mając żadnych doświadczeń, o których mogłabym pisać?

Czasami Hope's End wydawało mi się więzieniem i miałam wrażenie, że jeśli spędzę w jego murach jeszcze minutę, to zacznę krzyczeć. W takich chwilach pomagało mi tylko jedno: wyjście na świeże powietrze.

Uwielbiałam tę ziemię, ocean i niebo. Zawsze potrafiły mnie ukoić i tak właśnie zrobiły również tamtego dnia.

Stojąc na tarasie, wdychałam słone powietrze i czułam na twarzy chłodny wiatr. Oparłam się o balustradę i spojrzałam w górę, w wysokie okna ciągnące się wokół południowo-wschodniego narożnika domu. Należały do sypialni matki, ojciec miał własną, odrębną. Moi rodzice dawno temu przestali dzielić łóżko.

Kotary były zasłonięte, co znaczyło, że ma jeden ze swoich „epizodów nerwowych”. Już wtedy rzadko opuszczała swój pokój.

Zadrzałam na widok tych szczerlnie zaciągniętych zasłon. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym całymi dniami siedzieć uwięziona w swoim pokoju i nigdy z niego nie wychodzić. Taki los wydawał mi się gorszy od śmierci.

A teraz proszę, sama żyję według tego samego scenariusza.

Okazuje się, że miałam rację.

Pozwól, że zdradzę ci pewien intrygujący fakt na temat Hope's End: drzwi do wszystkich sypialni można zamknąć na klucz wyłącznie od zewnątrz, a do każdego zamka potrzebny jest inny klucz. Kiedy byliśmy z siostrą małą, jedną z ulubionych zabaw naszego ojca było zamykanie nas w naszych pokojach. Ta, która wytrzymała najdłużej, nim zaczynała błagać, by ją wypuścić, otrzymywała nagrodę. Zazwyczaj drobną sumę pieniędzy albo wymyślny deser, a jeden raz złotą bransoletkę. Zwycięzcy decydowała też, jak długo przegrana ma pozostać w zamknięciu.

Za każdym razem wygrywała moja siostra.

Ona nie miała nic przeciwko tej grze, która mnie wręcz doprowadzała do szału. Wystarczało kilka godzin w zamknięciu, abym poczuła, że ściany zaczynają na mnie napierać i uwiężą mnie na wieki, jeśli natychmiast się nie wydostanę. Ponieważ to zawsze ja pierwsza zaczynałam błagać, by ojciec otworzył drzwi, musiałam potem zostawać w swoim pokoju tak długo, jak zdecydowała moja siostra. Raz postanowiła trzymać mnie w zamknięciu przez kolejne dwanaście godzin. Całą noc krzyczałam i waliłam w drzwi, domagając się, by mnie wypuścili. Kiedy to nie podziałało, próbowałam rozbić drzwi, rzucając się na nie z całej siły. Ani drgnęły. Choć i tak byłam przegraną w grze, ojciec i siostra nie dali się ubłagać. Pozostałam zamknięta w pokoju do późnego ranka.

Tak właśnie się czuję w tym domu, w tym pokoju, w tym ciele. Jakbym utknęła w zamknięciu podczas jednej z gier ojca, a po drugiej stronie drzwi nie było nikogo, kto miałby klucz i mógłby mnie uwolnić.

Rozdział 6

Lenora i ja mamy przylegające pokoje, co odkrywam po przyniesieniu na górę swoich rzeczy. Pierwszym, co wyjmuję z bagażu, jest metalowa kasetka do przechowywania leków. Ta sama, której kiedyś nie użyłam, co doprowadziło do zawieszenia mnie w pracy i wszczęcia policyjnego śledztwa. Teraz jest pusta. Wsuwam ją pod łóżko, a kluczyk wrzucam do szuflady stolika nocnego.

Następnie chcę rozpakować ubrania. Otwieram walizkę, a potem – jak mi się wydaje – szafę. Ale zamiast wnętrza garderoby mam przed sobą pokój Lenory. Pani Baker ciągle tam jest i właśnie zakłada Lenorze na głowę cienki pałąk słuchawek podłączonych do walkmana wielkości cegły, spoczywającego na kolanach starszej pani.

– Ach, Kit – mówi pani Baker, wcisnąwszy klawisz „odtwórz” walkmana. – Omówmy porządek dnia panny Hope.

Zaciekawiona, przekraczam próg pokoju Lenory. Stanowi dziwny widok – kobieta po siedemdziesiątce, zapadnięta w wózku inwalidzkim, którego prawdopodobnie nie produkuje się od lat czterdziestych, korzysta z najnowszej technologii lat osiemdziesiątych.

– Czego ona słucha?

– Książki na kasecie – odpowiada pani Baker takim tonem, jakby obrażał ją sam ten pomysł. – Jessica czyta na głos i się nagrywa, a potem daje te taśmy do słuchania pannie Hope.

– To bardzo miło z jej strony.

– Skoro tak twierdzisz.

Pani Baker podchodzi do kredensu pod oknem. W środku znajdują się dziesiątki kaset magnetofonowych w plastikowych opakowaniach opisanych czerwonym mazakiem. Wiele z tych nabytych tytułów rozpoznałam. *Ptaki ciemnych krzewów*. *Klan Niedźwiedzia Jaskiniowego*. Więcej niż kilka książek Jackie Collins.

Nieopodal Lenora słucha jednej z tych taśm. Na twarzy ma wyraz zadowolenia jak dziecko, które właśnie dostało swoją ulubioną zabawkę. Tymczasem gospodyni robi mi intensywny kurs opieki nad panną Hope. Zaczynamy od jej leków, których jest sporo. Aspiryna, środek moczopędny, lek przeciwzakrzepowy, statyny, pigułka na skurcze mięśni i jeszcze coś na zapobieganie osteoporozie. Wszystkie znajdują się na stoliku nocnym Lenory. Sześć pomarańczowych buteleczek ustawionych w rzędzie na srebrnej tacy.

Odkręcam każdą z nich, aby zapoznać się z kształtami, rozmiarami i kolorami pigułek. Na tacy znajdują się też moździerz i tłuczek. Ich widok uświadamia mi, że powinnam kruszyć leki przed podaniem.

– Mam je dodawać do jedzenia panny Hope, prawda?

– Trzy ze śniadaniem, trzy podczas kolacji – wyjaśnia pani Baker. – Buteleczki są oznakowane.

Zauważam na nich nalepki, kiedy gospodyni instruuje mnie, że przez dwie godziny każdego dnia – jedną rano, jedną wieczorem – powinnam delikatnie poruszać rękami i nogami Lenory, aby poprawić jej krążenie. Również co rano i co wieczór mam myć jej zęby, szczotkować włosy, a także przebierać ze stroju nocnego w dzienny i odwrotnie. Muszę ją karmić. I kąpać. I w zależności od sytuacji albo pomagać jej w toalecie, albo zmieniać pieluchę dla dorosłych.

Rozmawiamy tak, jakby Lenora nie siedziała obok nas w swoim wózku, milcząca i nieruchoma. Od czasu do czasu zerkam w jej stronę, próbując odgadnąć, na ile jest świadoma tego, co się wokół niej dzieje. Raz zdaje się nie dostrzegać naszej obecności i z zadowoleniem wygląda przez okno, słuchając książki z kasy, a za chwilę wyczuwam skupioną na sobie jej uwagę. Jak gdyby śledziła każdy mój ruch. W pewnym momencie jej wzrok zeslizguje się z okna i błądzi ku mnie. Ukradkowe zerknięcie, którego nie powinnam dostrzec. Gdy jej spojrzenie napotyka moje, szybko wraca do okna.

– Co panna Hope robi dla zabawy?

– Zabawy? – powtarza pani Baker, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tego słowa. – Panna Hope się nie bawi. Ona odpoczywa.

– Przez cały dzień?

Rozglądam się po pokoju, który jest większy niż mój, ale równie duszny i zagracony. Okna są szczelnie pozamykane; zastanawiam się, kiedy ostatnio je otwierano. Rześka oceaniczna bryza zdziałałaby cuda. Ale przynajmniej nie czuć tu choroby. Co za ulga. Zbyt wiele czasu spędziłam w zatęchłych pokojach cuchnących potem, przykrym zapachem ciała i rozkładem.

Co do mebli, to cóż, niewiele mogę poradzić. Oprócz kredensu pod oknem i spłowiej otomany stoi tu szafa pod przeciwległą ścianą, biurko w kącie, fotel stanowiący komplet z otomaną i kilka stolików z lampami Tiffany'ego. Wnętrze jest dość frywolne i nieco dziewczęce, z czego wnioskuję, że to sypialnia Lenory z czasów dzieciństwa, w której niczego nie zmieniono od kilkudziesięciu lat. Myśl, że dorosła kobieta wciąż sypia w swoim dziecięcym pokoju, wydałaby mi się dziwna, gdyby nie fakt, że do niedawna sama to robiłam.

Jedynym ukłonem w stronę nowoczesności jest stojący przy łóżku podnośnik, który ułatwia przenoszenie pacjentki na wózek i z powrotem na łóżko. Mnóstwo razy używałam podobnych urządzeń, choć to wygląda mi na jeden z wcześniejszych modeli. Podstawa w kształcie litery U, wygięty pręt podtrzymujący i pompa hydrauliczna nie są tak eleganckie jak w nowych wersjach. Z góry – z czegoś, co wygląda jak za duży wieszak – zwisa nylonowe nosidło.

Samo łóżko jest pełne poduszek z wgłębieniami układającymi się w kształt człowieka. Wzdrygam się na myśl, że musiałabym tam leżeć przez cały dzień, nie mając nic do roboty.

– Na pewno jest coś, co lubi robić – mówię, rozglądając się za telewizorem. Większość moich pacjentek uwielbiała mieć włączony telewizor, nawet jeśli akurat niczego nie oglądały. Byle coś gadało w tle, tak dla towarzystwa.

Zamiast telewizora dostrzegam maszynę do pisania na biurku. Jest stara – miętowozielona, z klawiszami w kolorze złamanej bieli, najwyraźniej relikwint lat sześćdziesiątych – ale na chodzie, o czym świadczy kartka wkręcona w wałek.

– Czy to dla panny Hope?

Pani Baker rzuca w stronę maszyny przelotne spojrzenie.

- W młodości chciała zostać pisarką. Kiedy Mary to odkryła, kupiła maszynę do pisania i zamierzała nauczyć pannę Hope posługiwania się nią.

- Udało się?

- Nie - odpowiada pani Baker. - Ale z biegiem lat wymyśliłyśmy sposób, dzięki któremu może komunikować nam swoje potrzeby. Umie odpowiadać na proste pytania, stukając w klawisz lewą ręką. Raz na nie, dwa razy na tak. Nie jest to sposób idealny, ale jak dotąd się sprawdza.

Znów zginaam lewe ramię, wytrącona z równowagi myślą, że mogłabym się porozumiewać tylko tak.

Zerkam na Lenorę, która ponownie zaczęła mi się przyglądać. Tym razem nie próbuje tego ukrywać. Najzwyczajniej w świecie gapi się na mnie.

- Wracając do opieki nad panną Hope - mówi pani Baker, podkreślając odpowiednie słowo, by mi dać znać, że wszelkie inne tematy uważa za błahe - kolację podajemy o dziewiętnastej. Oczywiście możesz dołączyć do nas w kuchni, kiedy nakarmisz pannę Hope, ale większość pielęgniarek uważała, że prościej jest jadać tu z nią. Po kolacji jest pora na drugą godzinę terapii krążeniowej, a potem kąpiel.

Otwiera drzwi znajdujące się po jednej stronie szafy. Za nimi jest łazienka wyłożona lśniącymi, białymi kafelkami, a w niej kaloryfer syczący pod wieszakiem na ręczniki, drugi podnośnik pacjenta obok wanny na ozdobnych nóżkach i umywalka na tyle wysoka, by zmieścił się pod nią wózek Lenory.

- Panna Hope kładzie się spać punktualnie o dwudziestej pierwszej. Jeśli nocą będzie potrzebowała pomocy, wezwie cię tym przyciskiem.

Pani Baker podchodzi do stolika nocnego po lewej stronie łóżka Lenory i podnosi masywny plastikowy kwadrat przypominający kontroler do Atari - bez joysticka, ale guzik jest identyczny: wielki, czerwony i okrągły. Gospodyni wciska go kciukiem i w moim pokoju rozlega się głośne brzęczenie. Dźwiękowi towarzyszy czerwone światło, które widzę przez otwarte drzwi. Błyska z plastikowego stojaka na moim stoliku nocnym.

- Masz jakieś pytania? - pyta pani Baker.

- Jeśli coś przyjdzie mi do głowy, to na pewno zapytam.

- W to nie wątpię - mruknęła pani Baker tonem suchym jak pustynny piach. - A zatem oficjalnie powierzam ci opiekę nad panną Hope. Obyś jej dobrze służyła.

W jej słowach nie słycać entuzjazmu, jakby nie dowierzała, że to życzenie się spełni. Potem odwraca się i wychodzi z pokoju, szeleszcząc czarną spódnicą. Przez chwilę stoję przy drzwiach, lekko się chwiejąc. Chciałabym myśleć, że to вина przechylenia rezydencji, ale znam prawdziwą przyczynę.

Zostałam sama z Lenorą Hope.

Mój puls nieoczekiwanie przyspiesza. Zobaczywszy w oczach Lenory cząstkę siebie, nie sądziłam, że zareaguję tak nerwowo. Ale kiedy jesteśmy tu sam na sam, ten pokój wydaje się inny. W powietrzu wisi napięcie, dotąd tłumione obecnością pani Baker. Teraz, gdy wyszła, czuję je w pełni - ma w sobie coś elektryzującego i dziwnie złowieszczonego.

A także przerażającego. O dziwo.

Wiele lat temu, gdy byłam mała, a ojciec jeszcze ze mną rozmawiał, byliśmy razem na podwórku za domem, kiedy na moim ramieniu usiadła pszczoła. Zanim zdążyłam choć pisnąć albo rzucić się do ucieczki, ojciec chwycił mnie za ramiona i zatrzymał w miejscu.

– Nigdy nie okazuj strachu, Kit-Kat – wyszeptał. – Jeśli się boisz, one to wyczuwają. I wtedy żądają.

Stałam bez ruchu, udając, że jestem odważna, gdy pszczoła pełzła mi po ramieniu, po szyi i po policzku. Stamtąd odleciała, nie robiąc mi krzywdy.

Teraz też próbuję stworzyć pozory nieustraszoneści, kiedy podchodzę do Lenory, przechylając się lekko, aby zneutralizować pochyłość podłogi. Sprawdzam walkmana leżącego na kolanach mojej podopiecznej. Taśma już się nie obraca – dobiegła końca jakiś czas temu. Ostrożnie zdejmuję Lenorze słuchawki z głowy i razem z walkmanem odkładam je na kredens, a wtedy ona rzuca mi zirytowane spojrzenie.

– Przepraszam – mówię. – Skoro zostałyśmy same, pomyślałam, że powinnyśmy... powinnyśmy... porozmawiać. Żeby mogła mnie pani lepiej poznać.

Zajmuję miejsce na otomanie twarzą do Lenory, której spojrzenie błądzi przez chwilę wokół, zanim te zielone oczy znów spoczną na mnie. Są nie tylko niepokojąco żywe, ale także niezwykle wyraziste. To skutek uboczny niemożności mówienia. Oczy Lenory to jej główny środek komunikacji. W tej chwili przebłyskuje w nich rezerwa i odrobina niezdecydowania. Jakby nie do końca wiedziała, co o mnie sądzić.

I nawzajem, Lenoro. Nawzajem.

– A zatem, panno Hope...

I milknę, bo nie podoba mi się, jak brzmią moje słowa. Zbyt oficjalnie, bez względu na to, co mówi pani Baker. Poza tym nieraz się przekonałam, że osoba, do której zwracamy się po imieniu, staje się mniej onieśmielająca. Zapewne z tego powodu pani Baker nie zdradziła mi swojego. W ten sposób zachowała przewagę. Jako że panna Hope onieśmiela mnie nawet i bez tych formalności, w ułamku sekundy podejmuję decyzję, by zwracać się do niej po imieniu, kiedy pani Baker nie będzie w pobliżu.

– A zatem, Lenoro – zaczynam od nowa. – Jak już mówiłam wcześniej, mam na imię Kit. I jestem tu po to, aby pomagać ci w razie potrzeby.

Czyli we wszystkim.

Kolejna przytłaczająca świadomość.

Każda moja poprzednia pacjentka umiała samodzielnie jeść i chodzić z moją pomocą. I wszystkie umiały mówić, więc mogły mi komunikować, kiedy czegoś potrzebowały. Lenora potrafi jedynie poruszać lewą ręką i nawet nie wiem, czy ta zdolność wykracza poza wciśnięcie czerwonego guzika.

– Zacznijmy od wypróbowania tego systemu komunikacji, o którym wspomniała pani Baker – proponuję. – Dasz radę, prawda?

Lenora zwija palce lewej ręki w luźną pięść. Po czym stuka knykiami w podłokietnik wózka inwalidzkiego raz i drugi. Czyli tak.

– Świetnie – mówię. – Teraz sprawdźmy twój stan zdrowia.

Przynoszę swoją torbę medyczną i przeprowadzam rutynowe badanie parametrów życiowych. Ciśnienie krwi jest nieco podwyższone, ale nie budzi niepokoju, a puls w normie jak na kobietę w jej wieku i kondycji. Kiedy badam jej odruchy, wszystkie kończyny w jakimś stopniu reagują. Normalnie w przypadku zarówno prawej ręki – paraliż nie oznacza, że ciało nie reaguje – jak i nóg, które są zbyt osłabione przez polio, by funkcjonować. Co do lewej ręki, to reaguje dokładnie tak, jak powinna reagować sprawna ręka osoby po siedemdziesiątce.

Jedyny powód do lekkiego niepokoju to wyblakły siniak po wewnętrznej stronie przedramienia Lenory. Jest niewielki – tylko filetowa smużka z żółtą obwódką – i wydaje się prawidłowo goić.

– Co się tu stało? – pytam. – Uderzyłaś się o coś?

Lenora stuka dwa razy. Znowu tak.

– Boli cię?

Tym razem jedno stuknięcie. Nie.

– Daj mi znać, jeśli zacznie. A teraz sprawdzimy, co ta ręka potrafi. – Ściskam jej lewą dłoń. Jest zimna i blada. Praktycznie półprzezroczysta. Płatanina żył biegnie tuż pod pergaminową skórą. – Porusz, proszę.

Czuję w dłoni ruch palców.

– Dobrze. Teraz zaciśnij pięść. Najmocniej, jak potrafisz.

Skrobie paznokciami o moją dłoń, zaciskając palce mocniej, niż kiedy szykowała się do stukania w podłokietnik.

– Nieźle – chwalę ją. – Przekonajmy się, ile ta dłoń zdoła utrzymać.

Z tacki na stoliku nocnym chwytam buteleczkę z pigułkami i wkładam ją w otwartą dłoń Lenory. Zaciska wokół niej palce i trzyma mocno.

– Bardzo dobrze – mówię, odstawiając buteleczkę na tackę.

Rozglądam się po pokoju za kolejnym przedmiotem, który mogłabym wykorzystać, i dostrzegam stojącą na kredensie kulę śnieżną. Wielkością przypomina piłeczkę do tenisa i wygląda na bardzo starą. Jest ze szkła, nie z plastiku, a w środku znajduje się ręcznie malowana scenka z Paryża oraz maleńka wieża Eiffla wznosząca się pod sam szczyt kopuły. Potrząsam kulą. Wszelki płyn, jaki kiedykolwiek ją wypełniał, dawno zniknął i złote płatki opadają w środku niczym sfatygowane konfetti.

Wkładam to cacko w lewą dłoń Lenory. Jest niewielkie, ale ciężkie i dłoń zaczyna drżeć. Z gardła mojej pacjentki wydobywa się chrapliwy odgłos – cichy wyraz udręki, który każe mi natychmiast odebrać jej kulę, a wówczas uwolniona od ciężaru dłoni opada z powrotem na podłokietnik. Kobieta marszczy brwi, wyraźnie zawiedziona poniesioną porażką.

– W porządku. Zrobiłaś, co w twojej mocy. – Odkładam kulę śnieżną na kredens, a ruch wywołuje w jej wnętrzu kolejne migotliwe kłębowisko. Wracam do Lenory i ujmuję jej rękę. Pod skórą lekko pulsują żyły. – Byłaś kiedyś w Paryżu?

Zaciska palce w luźną pięść i odpowiada jednym, smutnym stuknięciem w moją dłoń.

– To tak jak ja – konstatuje. – Czy ta kula śnieżna to prezent od kogoś, kto tam był?

Tym razem dwa stuknięcia.

– Twoi rodzice?

Znów dwa stuknięcia.

– Tęsknisz za nimi?

Zastanawia się. Niezbyt długo. Akurat tyle, że zauważam jej wahanie. Potem stuka dwa razy w moją dłoń.

– A za siostrą? – pytam. – Za nią też tęsknisz?

Tym razem otrzymuję jedno stuknięcie. Tak mocne, że aż zapiekło.

Nie.

Niepokojąca odpowiedź, której towarzyszy jeszcze bardziej niepokojąca myśl: tą ręką Lenora powiesiła siostrę.

Na kawałku sznura.

I zabiła ojca.

Nożem zadźgała.

I matkę.

Życie odebrała.

Świadomość, że dłoń, którą właśnie trzymam, dokonała tych wszystkich okropieństw, sprawia, że wypuszczam ją z uścisku i gwałtownie wciągam powietrze. Ręka opada bezwładnie na kolana Lenory, która rzuca mi ostre spojrzenie, trochę zaskoczona, a trochę urażona. Zaraz potem na jej twarzy pojawia się wyraz zrozumienia graniczącego z rozbawieniem.

Ona wie, co właśnie pomyślałam.

Bo nie jestem pierwszą opiekunką, której to przyszło do głowy.

Innym też się to nasunęło. Być może niektóre z nich również cofnęły dłoń jak oparzone. Nawet Mary. I prawdopodobnie wszystkie zastanawiałyśmy się nie tylko nad tym, jak Lenora zabiła swoich bliskich, ale także dlaczego. To przecież stanowi największą zagadkę. Musiał być jakiś powód. Nikt nie morduje całej swojej rodziny bez żadnego motywu.

A raczej nikt przy zdrowych zmysłach.

Patrząc na Lenorę, zastanawiam się, czy za jej milczeniem i bezruchem kotłuje się szaleństwo. Nie wygląda na szaloną, zwłaszcza kiedy oddaje mi spojrzenie. Przeciwnie, gdy jej zielone oczy przesuwają się ze mnie na maszynę do pisania na biurku, widzę w nich żywą inteligencję. I ponaglenie. Zupełnie jakby próbowała mi coś powiedzieć.

– Chcesz coś napisać? – pytam.

Stuka dwa razy.

– Mary cię nauczyła?

Znowu dwa stuknięcia. Zdecydowane, aż echo niesie. Mimo to mam wątpliwości. Wydaje się niemożliwe, aby w swoim stanie mogła sobie poradzić, choćby z czyjąś pomocą. Zwolniono mnie z hali maszyn. Wiem, że obsługa tych urządzeń może przysporzyć problemów nawet komuś, kto ma sprawne obie ręce.

Tak czy inaczej podwożę ją do biurka i kładę jej lewą dłoń na klawiaturze. Wtedy w Lenorze zachodzi subtelna zmiana. Ożywia się, przytomnieje i przesuwa palcami po klawiszach, jakby się zastanawiała, który nacisnąć jako pierwszy. Podejmuje decyzję i palcem wskazującym wali w niego z całej siły. Metalowe ramię wyskakuje z maszyny i uderza o papier z głośnym pnięciem.

Lenora promienieje. Jest zachwycona.

Po naciśnięciu kolejnych ośmiu klawiszy, w tym spacji, wzdycha z wyraźnym zadowoleniem.

Ponieważ nie może zrobić tego sama, do mnie należy naciśnięcie dźwigni wierszowej, dzięki czemu karetki wraca do pozycji wyjściowej. Równocześnie obraca się wałek i kartka przesuwa się o jeden wiersz do góry, więc mogę zobaczyć, co Lenora napisała.

cześć kit

Uśmiecham się mimo odczuwanej nerwowości.

– Cześć.

Lenora kiwa głową w stronę maszyny. Czyli chce kontynuować.

– Czy to dla ciebie nie za trudne? – pytam.

Ponownie przesuwa lewą dłoń po klawiszach, zanim naciska wybraną literę. Pisze niezbyt szybko. Podejrzewam, że średnio jeden wyraz na minutę. Czyli w tempie niewiele gorszym niż moje w hali maszyn. Jednak w przeciwieństwie do mnie jest wytrwała i pracuje w głębokim skupieniu. Wyszukując odpowiednie klawisze i uderzając w nie, marszczy brwi, a z kącika ust wysuwa się język. Wkrótce dopisuje dziewięć kolejnych słów, każde z nich oddzielając od poprzedniego pacnięciem w spację.

moje ciało jest martwe ale mój umysł jest żywy

Lenora spogląda na mnie wyczekująco i nerwowo przygryza dolną wargę, próbując ocenić moją reakcję. Ma te uczucia wręcz wypisane na twarzy. Niczym nastolatka, w której można czytać jak w otwartej księdze.

Przychodzi mi do głowy, że pod wieloma względami Lenora może wciąż być jak nastolatka. Od kilkadziesiąt lat mieszka w tym domu i w tym pokoju, otoczona przedmiotami ze swojej młodości. Odkąd skończyła siedemnaście lat, w jej życiu nic się nie zmieniło. Bez rodziny, bez przyjaciół, bez zmiany otoczenia – pozbawiona wszelkich bodźców, które pomogłyby jej dojrzeć, Lenora mogła zatrzymać się mentalnie na poziomie nastolatki. A jeśli tak, to niewykluczone, że jej obecny stan emocjonalny jest dokładnie taki sam jak tamtej nocy, kiedy zginęła jej rodzina. Znowu przypomina mi się ta szydercza rymowanka.

Gdy Lenora Hope siedemnastkę skończyła...

Wytracona z równowagi, gwałtownie odrywam dłoń od maszyny do pisania, jakby Lenora miała zniemacka chwycić mnie za rękę. Zauważa to, rzecz jasna, i skinieniem głowy prosi o naciśnięcie dźwigni wierszowej. Robię to szybkim ruchem, starając się nawet przypadkiem nie dotknąć Lenory.

W odpowiedzi wystukuje trzy krótkie, lecz bardzo znaczące słowa.

nie bój się

Kolejne skinienie głowy. Kolejne przesunięcie karetki, aby Lenora mogła napisać następną linię.

nie mogę cię skrzywdzić

Jeśli chciała mnie tym uspokoić, to poniosła całkowitą porażkę.

„Nie skrzywdzę cię”.

Owszem, takie słowa mogłyby ukoić mi nerwy.

Te, które faktycznie napisała Lenora, wywierają skutek dokładnie odwrotny. To podstępne „nie mogę” sugeruje brak możliwości, ale nie chęci.

Sugeruje, że Lenora by mnie skrzywdziła, gdyby mogła.

Rozdział 7

Jemy kolację w milczeniu – to coś, do czego zdążyłam przywyknąć w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Siedzę naprzeciwko Lenory, starając się, aby nasze kolana się nie stykały. Odkąd odeszliśmy od maszyny do pisania, ograniczam nasz kontakt do minimum.

Nasze talerze leżą na drewnianej tacy, którą doczepiłam do wózka inwalidzkiego. Pieczone kurczak i glazurowane marchewki dla mnie, a purée z dyni żółdziejowej doprawione rozgniecionymi pigułkami dla Lenory. Ponieważ nie wiem, kto ma pierwszeństwo, postanawiam jeść i karmić na zmianę. Jedna łyżka dla niej, jeden kęs dla mnie – dopóki oba talerze nie są puste.

Po obiedzie pora na deser. Mnie dostaje się ciasto czekoladowe, a Lenorze budyń.

Następnie czas na wieczorną terapię krążeniową. Nie mam ochoty jej przeprowadzać, bo to będzie koniec ograniczania naszego kontaktu fizycznego. Przez resztę wieczoru będziemy ze sobą krępująco blisko.

Za pomocą podnośnika wydobywam ją z wózka i kładę na łóżku. Wymaga to wsunięcia nosidla pod pacjentkę, podniesienia jej, a kiedy dynda na nylonowym siedzisku niczym dziecko na huśtawce, przekierowania całego tego ustrojstwa i opuszczenia jej na łóżku, następnie zaś wyjęcia spod niej nosidla. Łatwiej to wszystko powiedzieć, niż wykonać, zwłaszcza że Lenora tylko wygląda na lekką. Za jej ptasią posturą kryje się zaskakująca solidność budowy.

Kiedy Lenora leży na łóżku, unoszę i zginam jej prawą nogę, przybliżając kolano do jej klatki piersiowej. Gdy to robię, wpatruje się w sufit, wyraźnie znudzona. Pewnie musiała tak ćwiczyć wielokrotnie, z różnymi pielęgniarkami. Tysiące razy. Rano i wieczorem, dzień w dzień. Przechodzę do jej lewej nogi, a ona przechyla głowę w bok, jakby próbowała spojrzeć przeze mnie na wylot, w kierunku okna.

Mimo że jest już ciemno i niewiele tam widać, wiem, dlaczego to robi. Lepsze to niż gapienie się w sufit. Widok za oknem oferuje przynajmniej jakieś urozmaicenie, nawet w ciemności. Księżyc w pełni wisi tak nisko nad horyzontem, że zdaje się unosić na powierzchni oceanu. Przesłaniają go chmury cienkie jak palce. W oddali jakiś statek przemierza noc, a jego światła rozbłyskują niczym gwiazdy.

Spuszczam wzrok na Lenorę i w jej oczach dostrzegam tęsknotę. Rozumiem ją. Przez całe życie miałam wrażenie, jakby świat przechodził mi koło nosa. Urodziłam się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, a moja nastoletnia młodość przypadła na koniec lat sześćdziesiątych. Przez całe liceum pracowałam w knajpie, podczas gdy moi nieliczni znajomi wybywali do San Francisco, uciekali do Kanady, aby uniknąć poboru do wojska, jeździli na Woodstock i wracali uświadomieni, nakręceny, zbuntowani. Oglądałam lądowanie na Księżycu, pracując na nocnej zmianie; strzępy historii migały mi przed oczami, gdy roznosiłam tace z daniami firmowymi.

Matka wciąż powtarzała, żebym się nie martwiła. Że dzięki czytaniu książek mogę poznać cały świat, nie wychodząc z domu. Ojciec przeciwnie: ostrzegał mnie, żebym się do tego stanu rzeczy nie przyzwyczajała.

„Taki nasz los, Kit-Kat – mawiał. – Tacy jak my ciągle tylko harują. A dziane sukinsyny, które tym wszystkim kręcą, za nic nam nie popuszczą”.

Wierzyłam mu. Myślę, że po części dlatego zostałam w końcu opiekunką, która przedkłada cudze potrzeby nad własne i nawet nie marzy o czymś lepszym.

– Też nie mam za wiele z życia – wyznaję Lenorze. – Praktycznie utknęłam i trwa to od dwunastu lat.

Ujawszy to w ten sposób, sama czuję się zaskoczona. Dwanaście długich lat. Nie na tak długo jak Lenora, ale nie da się ukryć, że utknęłam. Zmieniały się tylko pokoje i pacjentki. Staram się przypomnieć sobie je wszystkie i ze zdumieniem stwierdzam, że nie potrafię.

Jakie to dziwne spędzić tyle czasu w jednym miejscu z tą samą osobą i kompletnie o tym zapomnieć. O nich. Składam to na karb monotonii. Pacjentki i miejsca były inne, ale praca wciąż taka sama. Dni, tygodnie i lata zlały się ze sobą. Dociera do mnie, że – prawdopodobnie tak jak Lenorze – lata siedemdziesiąte zleciały mi niezauważenie. Wszystkie te rzeczy, których każdy chciał wtedy doświadczyć, przemknęły obok mnie jak rozpędzony samochód. Nigdy nie byłam w dyskotecy. Nie obejrzałam *Szczęk*, dopóki nie wyemitowano ich w telewizji. Gładko przeszłam przez oba kryzysy naftowe i nigdy nie musiałam stać w kolejce po paliwo. Watergate i wszystkie następne wstrząsy polityczne były zaledwie szumem w tle, kiedy karmiłam łyżeczką pacjentki, podawałam im pigułki i obmywałam gąbką ich przywiedle ciała. Nagle czuję krótkie ukłucie w boku. Jakby nóż wbijał mi się między żebra. Dociera do mnie, że to tęsknota. Za życiem, którego nigdy nie miałam i prawdopodobnie już nigdy mieć nie będę.

– Czulaś się tak kiedyś, Lenoro? – pytam. – Że gdzieś tam toczy się życie, które mogło być twoje, ale nigdy nie było?

Lenora dwukrotnie stuka dłonią w materac.

– Tak właśnie myślałam.

Zaraz potem kończymy ćwiczenia i przechodzimy do następnego zadania – pora na kąpiel. Odkręcam kurek nad wanną, po czym wtaczam do łazienki wózek z Lenorą. Kiedy wanna jest pełna, chcę ująć lewą dłoń staruszki, ale nie mogę się zmusić do tego, aby jej dotknąć. Ni stąd, ni zowąd znowu zaczynam się denerwować.

Przeklinając w myślach pana Gurlaina, przełamuję się, ujmuję rękę pacjentki i zanurzam ją w wodzie.

– Za gorąca?

Lenora stuka raz w wannę. Nie.

– Na pewno? – dopytuję się, odwołując się na chwilę to, na co nie mam najmniejszej ochoty: rozbieranie Lenory.

Po dwóch stuknięciach wskazujących na potwierdzenie dłużej czekać nie mogę. Za chwilę poznam Lenorę Hope bardziej intymnie.

Na początku swojej kariery zawodowej odwracałam oczy przy rozbieraniu pacjentek. Z szacunku dla nich, owszem, ale również dlatego, że nie chciałam oglądać tego, co przyszłość

trzyma dla mnie w zanadrzu. Wszystkie te zmarszczki, wybroczyny i obwisłe piersi. W końcu się z tym pogodziłam. Sama też tak będę wyglądać. Jak wszyscy. Jeśli będziemy mieć szczęście. Albo pecha. Wciąż waham się, jak to ocenić.

Oglądanie nagich pacjentek jest po prostu częścią tej pracy. Podobnie ma się sprawa z płynami ustrojowymi. Przez ostatnie dwanaście lat stykałam się z większością z nich. Z krwią i uryną. Z wymiocinami i smarkami. Z gównem. Aż za często.

Za pomocą podnośnika wkładam Lenorę do wanny. Zadanie utrudnia mi ciasnota łazienki, źle dopasowany mundurek i ta uporczywa niechęć do fizycznego kontaktu z podopieczną. Przez to wszystko robię się tak niezręczna i niezgrabna, że przypadkowo uderzam łokciem Lenory o krawędź wanny. Kobieta rzuca mi zirytowane spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Przepraszam – kajam się.

Lenora wzdycha i pierwszy raz wyczuwam jej frustrację, że nie może mówić. To uczucie jest wspólne dla nas obu. O tak wiele chciałabym ją zapytać. Tak wiele muszę się dowiedzieć. Bo chyba dłużej tego nie wytrzymam. Tych nerwów w jej obecności. Obaw przed dotykaniem jej, choć po to właśnie tu jestem – aby robić wszystko to, czego prawa ręka i obie nogi Lenory zrobić nie mogą.

– Musimy porozmawiać – mówię. – To znaczy ja muszę.

Milknę, jakby Lenora mogła mi odpowiedzieć. Jej milczenie wypełnia łazienkę niczym para, przez co to pomieszczenie zdaje się jeszcze mniejsze, wręcz przytłaczające.

– Masz rację. Boję się. Postaram się nie bać. Ale to trudne. Może byłoby łatwiejsze, gdybym wiedziała, dlaczego...

Urywam, zanim zdążę dokończyć to zdanie. „Dlaczego wymordowałaś całą swoją rodzinę”. Lenora wie, co chcę powiedzieć. Czuję to, wyciskając szampon na rękę i wcierając go jej we włosy.

– Bo wtedy mogłabym zrozumieć.

Nabieram wody w złożone dłonie i wylewam na głowę Lenory, uważając, aby mydliny nie dostały się jej do oczu. Kiedy byłam dzieckiem, mama robiła tak samo. Odwdzięczyłam się jej, gdy wiele lat później musiałam ją kąpać. W tej czynności zawsze widziałam coś świętego. Była jak chrzest. Wykonując ją teraz, w tej dusznej, cichej łazience, popadam w nastrój do zwierzeń. Właśnie coś takiego sugerował mi ojciec, tuż zanim przestał ze mną rozmawiać. Aby iść do księdza. Wyznać swoje winy.

Wtedy tego nie zrobiłam. Ale teraz próbuję.

– Okazuje się, że jesteśmy bardzo do siebie podobne, Lenoro. – Nabieram w ręce więcej wody, wylewam na jej głowę i pozwalam, aby spływała po włosach, jakby ten akt miał nas rozgrzeszyć. – Obie lubimy książki. Od wieków nigdzie nie byliśmy. I wiem, przez co przechodzisz. – Milknę, niepewna, czy powinnam kontynuować. Ani czy w ogóle tego chcę. Ale wtedy Lenora posyła mi spojrzenie z ukosa, wydaje się przy tym zaciekawiona mną tak bardzo jak ja nią. – Jest coś, co bardzo nas łączy – dodaję wreszcie. – O mnie też wszyscy myślą, że zabiłam swoją matkę.

Rozdział 8

Choć opiekowałabym się matką za darmo, moi rodzice nalegali, aby zatrudnić mnie przez Agencję Opieki Domowej Gurlaina. To był pomysł mamy. Była niezwykle dumną kobietą. Kathleen McDeere nigdy nie przyjęłaby jałmużny. Choć zżerał ją rak żołądka – i choć wszyscy wiedzieli, że już za późno, żeby coś na to poradzić – ona upierała się płacić.

Zostawiłam więc pacjentkę, którą akurat się opiekowałam, dość nudną osiemdziesięciolatkę z przewlekłym zapaleniem stawów, i ponownie wprowadziłam się do swojego pokoju z dzieciństwa. Z początku dziwnie było traktować własną matkę jak jedną ze swoich pacjentek. Wszystkie wydawały się takie stare. W przeciwieństwie do niej.

Nie żeby była młoda. Urodziła mnie, mając trzydzieści cztery lata; ojciec miał wówczas trzydzieści dziewięć. Zawsze zakładałam, że kiedyś będę musiała się nimi zaopiekować. Po prostu nie sądziłam, że nastąpi to tak szybko.

Albo tak brutalnie.

Nie byłam na to przygotowana, mimo że opiekowałam się wieloma innymi pacjentkami. Jest inaczej, kiedy chodzi o własną matkę. Bardziej ci zależy. I bardziej boli. Cały mój ból nie mógł się jednak równać z tym, przez co przechodziła ona. Przez kilka pierwszych tygodni choroby trwała w oszołomieniu, zdumiona zdradą swojego ciała. Potem przyszedł ból, tak ostry, że czasem aż zginała się wpool i szlochała. Wymogłam na jej lekarzu, aby przepisał jej fentanyl, choć chciał z tym jeszcze poczekać.

– Za parę tygodni – powiedział.

– Ale ona cierpi teraz – upierałam się.

Wypisał receptę.

Dwa tygodnie później matka zmarła w wyniku przedawkowania fentanylu.

Laik mógłby uznać to za wypadek. Chora kobieta, doprowadzona do szaleństwa bólem, zażyła więcej pigulek, niż należało. Ale profesjonalista wiedział, że sprawa wyglądała inaczej. Z uwagi na zaawansowanie choroby można było wątpić w poczytalność mojej matki. A to oznaczało, że to ja, jej opiekunka, byłam odpowiedzialna za podejmowanie decyzji w jej imieniu i najlepszym interesie. Skoro pozostawiłam w zasięgu jej ręki lek grożący przedawkowaniem, można było posądzić mnie o niedopełnienie obowiązku, a co za tym idzie: o spowodowanie jej śmierci.

Tak właśnie pomyślał pan Gurlain, kiedy przyznałam, że zapomniałam odłożyć buteleczkę do kasetki pod łóżkiem. Nie powiedział mi tego, rzecz jasna. Po prostu skontaktował się z Ministerstwem Zdrowia i Usług Społecznych, a oni powiadomili lokalną policję.

Dzień po pogrzebie matki do domu przyszedł detektyw. Richard Vick. Trochę go znałam, bo w tamtych czasach on i mój ojciec się przyjaźnili. Wyglądał jak dziadek z jakiegoś sitcomu. Bujna siwa czupryna. Przyjazny uśmiech. Życzliwe spojrzenie.

– Cześć, Kit – powiedział. – Moje najszczerze kondolencje z powodu niedawnej straty.

Spojrzałam na niego zdezorientowana, choć wtedy powinnam była już wiedzieć, po co przyszedł.

– Mogę panu w czymś pomóc, panie Vick?

– Detektywie Vick, jeśli pozwolisz. – Posłał mi półuśmiech, jakby przeproszał za ten oficjalny ton. – Jest twój tata?

Nie było go. Mój ojciec, wykazujący istny stoicyzm w obliczu żałoby, poszedł tego dnia jak zwykle do pracy. Miał naprawiać brzęczące rury w domu starej pani Mayweather. Oznajmiłam to detektywowi Vickowi, po czym uprzejmie dodałam:

– Przekażę mu, że pan był.

– Ja właściwie do ciebie.

– Och. – Otworzyłam drzwi szerzej i zaprosiłam go do środka.

Detektyw Vick poprawił krawat, odchrząknął i powiedział:

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy załatwili to na posterunku.

– Potrzebuję prawnika?

Odparł, że nie, oczywiście, że nie, gdyż chodzi jedynie o nieoficjalną rozmowę o tym, co się stało. Nie jestem podejrzana, bo nie było czego podejrzawać. Same kłamstwa, czego się dowiedziałam, gdy poszłam za detektywem Vickiem na posterunek, gdzie zostałam odprowadzona do pokoju przesłuchań z magnetofonem, który policjant włączył, gdy tylko usiedliśmy.

– Proszę podać swoje imię i nazwisko – poprosił.

– Wie pan, jak się nazywam.

– Takie są wymogi.

Wbiłam wzrok w kręcące się szpule magnetofonu. Dopiero wtedy zorientowałam się, że mam kłopoty.

– Kit McDeere.

– Czym się zajmujesz, Kit?

– Jestem domową opiekunką, pracuję w Agencji Opieki Domowej Gurlaina.

– Od jak dawna tam pracujesz?

– Od dwunastu lat.

– To długo – mówi detektyw Vick. – Przypuszczam, że teraz jesteś już prawdziwą specjalistką.

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba tak.

Detektyw Vick otworzył leżącą przed nim teczkę, w której znajdował się raport koronera dotyczący śmierci mojej matki.

– Stąd wynika, że twoja matka zmarła w wyniku przedawkowania środków przeciwbólowych na receptę i że to ty, jako jej opiekunka, znalazłaś jej ciało.

– To prawda.

– Co poczułaś, gdy uświadomiłaś sobie, że matka nie żyje?

Wróciłam myślami do tamtego poranka. Obudziłam się wcześniej, rzuciłam jedno spojrzenie na poprzecinane szarymi smugami niebo i już wiedziałam, że matka odeszła.

Zanim przeszłam przez korytarz do jej pokoju, mogłam obudzić ojca, który od jakiegoś czasu sypiał na kanapie, żeby mama miała więcej miejsca w łóżku. Mogliśmy pójść do niej razem, a wtedy nie zostałabym tą, która znalazła ją martwą. Ja jednak zajrzałam do jej sypialni i ujrzałam, jak leży z głową na poduszce, zamkniętymi oczami i rękami skrzyżowanymi na piersi. W końcu znalazła ukojenie.

- Smutek – odparłam. – I ulgę.

Detektyw Vick uniósł brew. W jego spojrzeniu nie było już życzliwości. Zastąpiła ją podejrzliwość.

- Ulgę?

- Bo już nie cierpiała.

- W tej sytuacji to chyba naturalne uczucie.

- Owszem – odparłam ostrzej, niż wydawało się stosowne w tych okolicznościach. Nie mogłam nic na to poradzić.

- Twój pracodawca, pan Gurlain, powiedział mi, że w nocy, zgodnie ze standardową procedurą, należy trzymać wszystkie pigułki pod kluczem, aby pacjentki nie miały do nich dostępu. Czy to prawda?

Skinęłam głową.

- Musisz odpowiedzieć na głos, Kit – upomniał mnie detektyw Vick, wskazując na magnetofon.

- Tak – odparłam.

- Podobno wyznałaś panu Gurlainowi, że nie postąpiłaś tak z pigułkami, które przedawkowała twoja matka.

- Nie wyznałam – odpowiedziałam, zdeprymowana tym słowem.

- Więc jednak zamknęłaś te pigułki w bezpiecznym miejscu?

- Nie – zaprzeczyłam. – Zapomniałam o nich. Ale nie wyznałam tego. To słowo brzmi tak, jakbym była czemuś winna. Ja po prostu powiedziałam panu Gurlainowi, że zapomniałam je schować.

- Zdarzało ci się już kiedyś nie schować leków?

- Nie.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Czyli pierwszy raz zapomniałaś zamknąć je na klucz w kasetce, tak jak należy?

- Tak – potwierdziłam z westchnieniem, czując, jak moja frustracja rośnie. Jeszcze raz spojrzałam na magnetofon i zastanowiłam się, jak to westchnienie zabrzmiałoby przy odtwarzaniu nagrania. Jakbym była zniecierpliwiona? Winna?

- Czy celowo zostawiłaś je niezamknięte? – spytał detektyw Vick.

- Nie. To się stało przypadkiem.

- Trudno mi w to uwierzyć, Kit.

- Co nie znaczy, że to nieprawda.

- Jesteś opiekunką od dwunastu lat i nigdy nie zostawiłaś leków w zasięgu ręki żadnej pacjentki. A kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, dziwnym trafem pacjentka przedawkowała.

I nie jest to jakaś tam pacjentka, ale twoja matka, która tak bardzo cierpiała, że błagała lekarza o przepisanie jej leków, które ją później zabiły. A kiedy umarła, twierdzisz, że poczułaś ulgę. To mi nie wygląda na przypadek, Kit.

Nie odrywałam oczu od magnetofonu, którego szpule kręciły się niezmiernie.

– Chcę prawnika – powiedziałam.

Potem wszystko posypało się jak domino. Policja wszczęła oficjalne śledztwo. Pan Gurlain mnie zawiesił i przydzielono mi obrońcę z urzędu, który powiedział mi, że prawdopodobnie zostanę oskarżona o nieumyślne spowodowanie śmierci, i to w najlepszym razie, a o zabójstwo w najgorszym, jeśli policja uzna, że zmusiłam matkę do połknięcia tych pigułek. Radził mi przyjąć każdą ugodę, jaką mi zaproponują. Ostatnią kostką domina – a dla mojego ojca kroplą, która przelała czarę goryczy – stał się nagłówek na pierwszej stronie lokalnej gazety.

„Policja podejrzewa córkę o spowodowanie śmierci matki z przedawkowania”.

Ostatecznie jednak nie dowiedziono, że celowo zostawiłam te pigułki na wierzchu albo że zmusiłam matkę, by je zażyła. Nie mam wątpliwości, że jestem wolna wyłącznie z braku dowodów. Wiem, że detektyw Vick uważa mnie za winną. Wszyscy tak uważają.

– Łącznie z moim ojcem – dodaję na zakończenie swojej smutnej historii, którą opowiadałam Lenorze, wyjmując ją z wanny, osuszając ręcznikiem i ubierając w czystą koszulę nocną, a potem zakładając jej pieluchę dla dorosłych i kładąc ją do łóżka. – Może już nigdy się do mnie nie odezwie. Dlatego jestem tutaj, a nie tam, z nim.

Zbieram jej leki ze stolika nocnego i wszystkie buteleczki wrzucam do kasetki, którą następnie wkładam pod swoje łóżko. Chociaż Lenora nie byłaby w stanie dosięgnąć do stolika, nie mogę sobie pozwolić na żadną nieostrożność. Nie po tym, co stało się z moją matką.

Wracam do pokoju Lenory i kładę czerwony przycisk obok jej lewej ręki, żeby mogła bez trudu go wcisnąć.

– W razie potrzeby będę w pokoju obok – zapewniam ją, tak jak co noc zapewniałam matkę, gdy się nią opiekowałam.

Lenora podnosi na mnie wzrok; zieleń jej oczu mąci przestraszonych. Ścisną mi się żołądek, kiedy dociera do mnie, co to znaczy.

Nawet ona uważa, że jestem winna.

Więc chyba jesteśmy kwita.

Moja urodzinowa kolacja okazała się nieprzyjemna, wręcz nie do zniesienia, mimo wszystkich wysiłków, jakie włożono w jej przygotowanie. Podano mleczną jagnięcinę, zupę z porów i pieczone ziemniaki z rozmarynem.

Do stołu zasiadło tylko pięć osób: ja, panna Baker, mój ojciec, moja siostra i zaproszony przez nią gość specjalny – Peter. Co prawda nakryto także dla mojej matki, ale powiadomiła nas przez pokojówkę, że czuje się zbyt słaba, aby zejść na kolację.

Na koniec podano deser, który personel kuchenny przywiózł na specjalnym wózku: olbrzymi, trzypiętrowy tort z różowym lukrem i zapalonymi świeczkami urodzinowymi. Starałam się wyglądać na rozentuzjasmowaną, kiedy je zdmuchiwałam. Naprawdę się starałam. Ale wszystko wydawało mi się tak okropne, że nie dałam rady.

Nie żeby ktoś to zauważył. Siostra była zajęta flirtowaniem z Peterem, a ojciec pożerał wzrokiem najnowszą służącą Sally. Mogłabym wepchnąć sobie do ust garść tortu i tylko sroga panna Baker rzuciłaby mi karzące spojrzenie.

Po kolacji poszłam na górę odwiedzić matkę. Leżała w łóżku, rzecz jasna, z koldrą naciągniętą po samą szyję. Wyglądała tak niepozornie i żałośnie, aż trudno było uwierzyć, że kiedyś uchodziła za wielką piękność.

– Najpiękniejsza dziewczyna w Bostonie – mawiał z dumą mój ojciec, kiedy moja siostra i ja byliśmy małe, a nasi rodzice przynajmniej udawali, że się kochają.

Wiem, że mówił prawdę. W młodości matka była oszałamiająco piękna. Co więcej, pochodziła z jednej z najzamożniejszych rodzin w Nowej Anglii. Ten fakt, w połączeniu z jej urodą, sprawił, że mój ojciec – nowobogacki w każdym calu – nie mógł się jej oprzeć. Gnany niepohamowaną ambicją, zagiął parol na Evangeline Staunton.

Nie miało znaczenia, że w całym Bostonie szeptano, iż zadawała się z jednym ze służących, szargając dobre imię rodziny i ryzykując wydziedziczenie. Mój ojciec i tak się za nią uganiał.

Matce, rzecz jasna, schlebiała jego uwaga. Nieraz słyszałam o niej, że jest jak róża rozkwitająca w słonecznym blasku. Blask ojca musiał świecić naprawdę jasno, bo nie upłynęło więcej niż kilka tygodni, gdy wzięli ślub. Zaraz potem matka zaszła w ciążę, a ojciec wybudował Hope's End.

Wiele lat później, kiedy jego uwaga zaczęła słabnąć, matka – jak każdy kwiat pozbawiony światła – przymierzała. Tamtego urodzinowego wieczoru w niczym nie przypominała różanego pąku. Była błada, zmierzwiowana i szczupła, by nie rzec wychudła; jakby z róży zostały tylko kolce.

– Witaj, moje kochanie – powiedziała, używając czulego słówka zarezerwowanego tylko dla mnie. Każda z nas, moja siostra i ja, miała swoje, wybrane przez naszych rodziców w dniu przyjsia na świat. Siostra była „skarbem”, a ja „kochaniem”.

A jednak tamtego wieczoru matka wymamrotała to słowo w taki sposób, że nie byłam pewna, czy zwraca się do mnie, czy do leżącej na sąsiedniej poduszce brązowej butelki wypełnionej płynem.

Laudanum.

Jej złoty środek na wszystko, który, o ile mi wiadomo, nie leczy niczego.

– Dobrze się bawiłaś na swoich urodzinach?

Upewniona, że jednak mówi do mnie, skłamałam i powiedziałam, że tak.

– Szkoda, że nie mogliśmy świętować ich w Bostonie – rzekła.

Ja również tego żałowałam. Dla mnie Boston był innym wszechświatem, do którego uzyskiwałam dostęp zaledwie raz w roku i zaraz ponownie wracałam do banalnej rzeczywistości Hope's End. Boston miał wszystko, czego nie było tutaj. Restauracje i sklepy, teatry i kina. Ostatnio byliśmy tam tuż po świętach Bożego Narodzenia. Wtedy po raz pierwszy skosztowałam szampana, przepłynęłam się rowerem wodnym w kształcie łabędzia w parku Boston Common, poszłam do kina zobaczyć Myszkę Miki w Parowcu William. Nie mogłam się doczekać, aby to powtórzyć.

– Może następnym razem – powiedziałam z nadzieją.

Moja matka sennie skinęła głową i oznajmiła:

- Tam jest prezent dla ciebie. Taki mały upominek od twojego ojca i ode mnie.

Na komodzie leżało niewielkie pudełko owinięte w różowy papier i przewiązane niebieską wstążeczką. W środku znalazłam małą szklaną kulę śnieżną z miniaturową wieżą Eiffla górującą nad rzędem maleńkich mansardowych dachów.

- Potrząśnij nią - poleciła mi matka, a gdy to zrobiłam, we wnętrzu kuli zawirowały drobniutkie złote płatki.

- Tak bardzo pragnęłam zabrać was, dziewczęta, do Paryża - rzekła matka, jak gdyby taka podróż była już niemożliwa. - Obiecuj mi, że pewnego dnia tam pojedziesz.

Mocno ścisnęłam w dłoniach szklane cacko i skinęłam głową.

- Pojedź do Paryża i zakochaj się, a potem o tym napisz. Wiem, jak bardzo lubisz pisać. Zapisuj wszystkie swoje myśli, nadzieje i marzenia podczas każdej wielkiej podróży. Obiecuj, że to zrobisz, kochanie. Obiecuj, że tu nie zostaniesz.

- Obiecuję - odparłam.

Wtedy matka zaczęła płakać. Głośno szlochając, sięgnęła po laudanum i podniosła butelkę do ust.

Wysłałam, nim zaczęła łapczywie pić.

Rozdział 9

Nie dziwi mnie odkrycie, że w moim pokoju też nie ma telewizora. Zdażyłam już poznać Hope's End na tyle, by wiedzieć, że wciąż trwa w przeszłości – od archaicznego telefonu, który zauważyłam w kuchni, aż do staroświeckiej toalety w mojej łazience, takiej ze spłuczką uruchamianą pociągnięciem za sznurek. Choć nie mam nic przeciwko brakowi telewizora – i tak nigdy nie oglądałam zbyt wiele telewizji – cieszę się, że przywiozłam ze sobą mnóstwo książek.

Stawiam wypełnione nimi pudełko na podłodze i otwieram je, zastanawiając się, czy wystarczy mi energii, aby spróbować upchnąć swój księgozbiór na mocno już przepełnionym regale. Całodzienna opieka nad Lenorą i to ciągle podświadome równoważenie przechylenia domu dały mi niezłe w kość – jestem obolała i wyczerpana. Opieka nad chorymi to ciężka praca. Angażuje mięśnie, z których istnienia nawet nie zdajesz sobie sprawy aż do tego pierwszego dnia spędzonego ze swoją pacjentką.

A może to rozmowa o mojej matce mnie wyczerpała? Zwykle tak właśnie jest. Mówienie o tym, co się stało, dodaje mocy złym wspomnieniom, sprawia, że wydają się wyraźne i świeże. W tej chwili jestem nimi tak wykończona, że kusi mnie, aby zamiast rozpakowywać pudełko i walizkę, po prostu paść na łóżko i nie wstawać, dopóki słońce nie wyjrzy znad horyzontu. Ale wtedy słyszę mocne stukanie do drzwi mojego pokoju. To pewnie pani Baker, która chce mnie skrytykować lub zbesztać, ewentualnie powiadomić o czymś, co jeszcze muszę zrobić.

Zamiast niej w korytarzu zastaję Jessicę. Już bez stroju pokojówki, który zastąpiły getry i za duży T-shirt z Madonną. Biżuteria została na swoim miejscu i znowu grzechocze, kiedy dziewczyna macha do mnie radośnie i mówi:

– Cześć! Jesteś Kit, prawda?

– Prawda. A ty jesteś Jessica.

– Jessie. Tylko pani Baker mówi do mnie Jessica. – Zaczyna się bawić jedną z bransoletek. – A tak w ogóle, to chciałam cię oficjalnie powitać w Hope's End. Swoją drogą, nazwa idealna. Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie.

Zmuszam się do uśmiechu, chociaż jej żart bardziej mnie niepokoi niż bawi. Już po raz enty dzisiaj zastanawiam się, w co tak naprawdę się wpakowałam.

– Już zadowolona? – pyta Jessie.

– W trakcie. – Gestem wskazuję na walizkę na łóżku i pudełko książek na podłodze. – Jeszcze nie miałam czasu się rozpakować. Lenora... panna Hope... nie dała mi dziś odpocząć.

– Przy mnie możesz sobie darować tę szopkę z panną Hope. Tylko pani Baker się tym przejmuje. – Jessie zakłada ręce z tyłu i staje na palcach. – Ale skoro byłaś taka zajęta, to pewnie nie masz ochoty na rundkę po domu.

– Pani Baker już mnie oprowadziła.

- To obchód nieoficjalny – zaznacza Jessie. – Tropem zbrodni. Mary zabrała mnie na taką wycieczkę, kiedy zaczęłam tu pracować. Powiedziała, że dobrze jest wiedzieć, gdzie co się działo tamtej nocy. Kto gdzie zginął. I takie tam.

- To bardzo miło z twojej strony, ale chyba sobie odpuszczę – odpowiadam, bo ten pomysł wydaje mi się odstręczający. Wystarczy, że wiem, co się tu stało. Nie potrzebuję szczegółów. – Wolałabym unikać tych miejsc.

Jessie wzrusza ramionami.

- W porządku. Ale jak chcesz ich unikać, skoro nie wiesz, gdzie są?

Bardzo słuszna uwaga. Z tego, co wiem, ktoś z rodziny Hope'ów mógł zostać zamordowany właśnie w tym pokoju. Ale to nie jedyny powód, dla którego jednak postanawiam przyjąć propozycję Jessie. Przebywając w towarzystwie mojego ojca i Lenory, czyli osób, które nie mogą – lub nie chcą – mi odpowiadać, zapomniałam już, jak miłą rzeczą jest rozmowa. Szczególnie z kimś poniżej sześćdziesiątki.

- Dobra – zgadzam się. – Możesz mnie oprowadzić. Dowiem się, do których pokoi nigdy więcej nie wchodzić.

- Niemożliwe – odpowiada Jessie z szerokim, szelmowskim uśmiechem. – Jedno z tych miejsc nie jest pokojem.

Rusza w głąb korytarza, w kierunku Wielkich Schodów. Idę za nią, starając się nie robić hałasu, kiedy mijamy pokój Lenory, choć Jessie za sprawą swej grzechoczącej biżuterii jest jak chodzący dzwonek wietrzny. Zza zamkniętych drzwi następnego pokoju dobiega nas muzyka. To jakiś stary jazzowy kawałek, którego rozpoznanie zajmuje mi chwilę: *Let's Misbehave*.

Jessie unosi palec do ust i mówi bezgłośnie: „Pani Baker”.

Zwalniam kroku, stąпам na paluszkach. Nawet Jessie się ucisza i idzie z rozłożonymi rękami, żeby bransoletki nie postukiwały o siebie. W ten sposób docieramy do szczytu Wielkich Schodów i schodzimy na dół: jedną stroną ja, a drugą Jessie.

- Jak ci się tu podoba? – pyta, kiedy spotykamy się na podeście.

- Sporó do przetrawienia.

- Totalna zgoda – przytakuje Jessie. – Ale nie jest tak źle. Poznałaś już Cartera?

- Tak. Przy bramie.

- Totalne ciacho, co nie?

- Chyba tak – odpowiadam ostrożnie, choć całkowicie się zgadzam.

Zatrzymujemy się w cieniu witrażowego okna, którego kolory tłumi panująca na zewnątrz ciemność. Większość podestu pod naszymi stopami zajmuje niesforna czerwona plama, o dwa tony ciemniejsza od reszty dywanu. Wcześniej sądziłam, że to efekt światła wpadającego przez witraż. Teraz jednak, kiedy na niej stoję, widzę, co to naprawdę jest.

Plama krwi.

Wielka.

Uskakuję z niej na jeden z niższych stopni, gdzie zauważam drugą, mniejszą plamę. A potem kolejną, na następnym schodku. Skaczę tak coraz niżej, aż do holu, skąd następnie zadzieram głowę i mówię z wyrzutem do Jessie:

- Mogłaś mnie ostrzec.

- I nie zobaczyć tej reakcji? No co ty!

Schodzi z reszty schodków, depcząc po jeszcze kilku krwawych plamach na czerwonym dywanie, co skłania mnie do odkrycia, że plamy te tworzą pewien wzór. Wygląda to tak, jakby ktoś, kto obficie krwawił, próbował wspiąć się po Wielkich Schodach na piętro, nim został zatrzymany na podeście.

- Evangeline Hope - wyjaśnia Jessie, doskonale wiedząc, o czym myślę. - Podobno dźgnięto ją w holu, a gdy próbowała uciec po schodach na górę, dostała kolejny cios na spoczniku i tam się wykrwawiła.

Wzdrygam się i odwracam wzrok w stronę wielkich drzwi frontowych prowadzących na zewnątrz.

- Dlaczego nie próbowała uciec?

- Nikt nie wie - odpowiada Jessie. - O tamtej nocy wciąż nie wiadomo wielu rzeczy.

Rusza w głąb korytarza po prawej, na którego końcu mieści się oszklona weranda. Nie docieramy aż tak daleko. W połowie drogi, tuż za portretem Lenory, Jessie zatrzymuje się przed jednymi z licznych zamkniętych drzwi. Otwiera je i wciska znajdujący się tuż za nimi przełącznik. Pokój zalewa światło zielonej lampy wiszącej pod sufitem i stanowiących z nią komplet kinkietów na ścianach.

- Pokój bilardowy - oznajmia z entuzjazmem, którego można by się spodziewać po przewodniczce wycieczki uwielbiającej swoją pracę. - Gdzie Winston Hope spotkał swój koniec.

Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to to, że owszem, właśnie w takim wnętrzu mógłby umrzeć człowiek pokroju pana Hope'a. Wystrój tego pokoju jest dość prymitywny. Na ścianach wiszą różne zabytkowe strzelby oraz łby zwierząt, które prawdopodobnie z nich zastrzelono. Lew. Niedźwiedź. Kilka jeleni. Na leżącej przed kominkiem skórze zebry stoi komplet skórzanych foteli. Na jednej ze ścian wisi stojak na kije bilardowe, mimo że nigdzie nie widać stołu. Jedyne, co świadczy o tym, że kiedyś tu w ogóle był, to prostokątny ślad na środku pokoju, gdzie podłoga została wydeptana przez wypasione buty.

- Co się stało ze stołem bilardowym?

- Winston Hope na nim umarł - wyjaśnia Jessie. - Miał poderżnięte gardło, więc pewnie stół był zalany krwią i nie dało się go wyczyścić.

Odwracam się ku niej, zaskoczona.

- Wierszyk mówi, że został zadżgany.

- Och tak - potwierdza Jessie. - Dostał w bok, a potem poderżnięto mu gardło. To chyba zbyt skomplikowane do zwykłej rymowanki.

- Skąd tyle o tym wiesz?

- Głównie od Mary - wyznaje Jessie. - Ona sporo wie o tym, co się stało tamtej nocy. Ma kompletnego fiola na punkcie morderstw. Pewnie dlatego wzięła tę pracę, no wiesz.

Nie wiem. Nie licząc domu mojego ojca, Hope's End to ostatnie miejsce, w którym chcę być.

- A czemu ty wzięłaś tę pracę? - pytam.

Jessie wzrusza ramionami, aż postukują jej bransoletki.

- To miejsce wydawało mi się równie dobre jak każde inne. A ja musiałam mieć zajęcie, co nie? Praca to praca, a kasa to kasa.

I takie podejście rozumiem. Nigdy nie sądziłam, że zostanę opiekunką, tak jak zapewne Jessie nigdy nie sądziła, że będzie sprzątać dom zbrodni. Ale lepsze to niż nic - czyli to, co miałam zaledwie wczoraj.

W pokoju bilardowym nie mamy nic więcej do roboty, więc wychodzimy. Jessie gasi światła i zamyka drzwi, po czym prowadzi mnie do pomieszczenia naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza.

- Co tu jest?

- Niespodzianka - oznajmia Jessie i pstryknięciem przełącznika zapala światła. Naszym oczom ukazuje się biblioteka. Oglądam ciągnące się od sufitu do podłogi regały, skórzaną kanapę i komplet dwóch foteli przysuniętych do marmurowego kominka. Na jego obudowie stoją trzy pokryte emalią komórkową wazony ze wzorem w kwiaty w kolorze kości słoniowej i wijące się niebieskie pędy winorośli. Za nimi widnieje duży prostokąt tapety, wyraźnie ciemniejszy niż reszta.

- Wisiał tam kiedyś jakiś obraz?

- Bingo - odpowiada Jessie. - Oryginalny Winslow Homer, zdaniem Archiego. Pani Baker musiała go sprzedać wiele lat temu.

Podchodzę bliżej, aby móc dokładniej przyjrzeć się wazonom. Za winoroślą kryją się koliberki o oczkach jak maleńkie rubiny. W środku każdego kwiatka w kolorze kości słoniowej znajduje się złote kółeczko.

- Dlaczego nie sprzedała także ich?

- To chyba ostatnia rzecz, jaką chciałaby sprzedać - wyjaśnia Jessie. - Może nawet byłoby to nielegalne. Zdaje się, że prawo zabrania sprzedawania martwych osób.

Odsuwam się o krok od kominka, uświadomiwszy sobie swój błąd. To nie są wazony. To urny. A w środku szczątki Winstona, Evangeline i Virginii Hope.

- Chcesz zajrzeć do środka? - pyta Jessie.

- Na pewno nie. Ty zaglądałaś?

Jessie robi minę.

- W życiu. Wystarczy, że raz w tygodniu muszę ścierać z nich kurz.

- Dziwne, że nie zostali pochowani.

- Chyba łatwiej było ich skremować - mówi Jessie. - To bardziej kameralny sposób. Przynajmniej bez gapiów. Prawdopodobnie Lenora już wtedy wiedziała, że wszyscy uważają ją za winną.

Znów jesteśmy przy drzwiach, bo obie nieświadomie oddaliłyśmy się od urn. Przebywanie w ich pobliżu wytrąca mnie z równowagi. Problemem nie jest to, co znajduje się w tych urnach. To tylko proch trzech osób. Bardziej niepokoi mnie myśl o tym, jak ci ludzie umarli.

Tragicznie.

Gwałtownie.

Na podeście wykwintnej klatki schodowej, na stole bilardowym i w miejscu, którego jeszcze nie widziałam, ale które z pewnością zaraz poznam. Aby mieć to już za sobą, wychodzę

z biblioteki, a Jessie tuż za mną. Znowu na korytarzu, przystajemy przed portretami, z których trzy są zakryte, a jeden odsłonięty. Choć panuje tu półmrok, zielone oczy Lenory wciąż błyszczą na powierzchni płótna, jakby płonęły od środka.

- Dlaczego twoim zdaniem to zrobiła? - pytam.

- Może nie zrobiła. - Jessie wzrusza ramionami. - Mam przecucie, że to sprawka samego Winstona Hope'a. Te morderstwa wydarzyły się w nocy dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku. W czarny wtorek. Załamała się giełda, masa bogaczy straciła miliony i zaczął się wielki kryzys. To dlatego niewielu ludzi spoza Maine w ogóle wie, co się tu stało. Czarny wtorek zgarnął wszystkie nagłówki. Ludzie za bardzo się bali, że zbiednieją, aby zwracać uwagę na Winstona Hope'a i jego martwą rodzinę. Nie winię ich za to. Sama jestem biedna i rozumiem, że taka obawa może przyćmić wszystko inne. Myślę, że Winston Hope wiedział, że wkrótce zostanie bankrutem - ciągnie Jessie. - Zamiast żyć tak jak reszta z nas, co jest do bani, spójrzmy prawdzie w oczy, postanowił ze wszystkim skończyć. Załatwił żonę, potem Virginie, a następnie... - Udaje, że przeciąga sobie nożem po gardle. - Stare dobre samobójstwo rozszerzone.

- A to dźgnięcie w bok? - rzucam, zanim do głowy przychodzi mi jeszcze logiczniejsze pytanie. - I po co oszczędził Lenorę? Dlaczego ona nie powiedziała policji prawdy?

- I jeszcze co się stało z tym nożem? - dodaje Jessie. - Winston miał poderżnięte gardło, a Evangeline wielokrotnie pchnięto, a jednak narzędzia zbrodni nie znaleziono.

- Co oznacza, że to musiała być Lenora. Zabiła ich i pozbyła się noża.

- Tak chyba myśli większość ludzi. - Jessie przechyla głowę w bok, studiując portret niczym znawczyni sztuki. - A na tym obrazie ona naprawdę wygląda na zdolną do popełnienia morderstwa, co nie?

- Więc dlaczego jej nie aresztowano i nie postawiono przed sądem?

- Mieli za mało dowodów - odpowiada Jessie. - Zdjęli odciski palców, ale znaleźli ich zbyt wiele, od wszystkich członków rodziny i służby, więc nie dało się niczego rozstrzygnąć. A skoro nie było narzędzia zbrodni, nie dało się udowodnić, że Lenora jest winna.

- Ani niewinna - uzupełniam, w pełni świadoma hipokryzji własnego kontrargumentu. Brak dowodów to jedyny powód, dla którego mnie samej nie aresztowano i nie postawiono przed sądem.

- To prawda. Istnieje też możliwość, że skłamała, aby kogoś kryć. Na przykład jego. - Jessie wskazuje na podpis w prawym dolnym rogu portretu. Nachyliłam się i odczytuję imię i nazwisko nagryzmołone białą farbą.

- Peter Ward?

- Ten artysta. To jedna z teorii Mary. Miała ich mnóstwo. Według innej Hope's End jest nawiedzony. Twierdziła, że widziała ducha Virginii Hope błakającego się na pierwszym piętrze.

Chłód, który poczułam, gdy pierwszy raz znalazłam się w tym korytarzu, teraz powraca. To na pewno nie jest przeciąg. Jest zbyt zimny, zbyt nienaturalny. Chociaż nie wierzę w duchy, mogę zrozumieć, dlaczego Mary uznała Hope's End za nawiedzony.

- To dlatego odeszła?

- Tak - odpowiada przyciszonym głosem Jessie. - Myślę, że się bała. Hope's End to nie jest zwyczajny dom. Panuje tu jakiś mrok. Czuję to. Mary też to czuła. I chyba nie mogła tego dłużej znieść.

Idziemy dalej korytarzem, a Jessie ogląda się przez ramię, jakby coś czaiło się tuż za naszymi plecami. Gdy mijamy Wielkie Schody, nie mogę się powstrzymać, aby znowu nie zerknąć na krwawe plamy na dywanie. Potem przechodzimy przez drugą część domu i zatrzymujemy się przed dwuskrzydłowymi drzwiami, tuż zanim korytarz skręca w prawo, w stronę kuchni.

- Sala balowa - oznajmia Jessie uroczysto i pchnięciem otwiera drzwi. - Gdzie zginęła Virginia Hope.

Włącza światła, czyli parę kinkietów wiszących między dużymi lustrami na ścianach i trzy żyrandole, które zwisają z sufitu. Są olbrzymie, każdy na blisko czterdzieści żarówek. Połowa z nich jest przepalona, a inne brzęczą i migoczą, wywołując atmosferę niepokoju.

Mimo że Jessie swobodnie krąży po sali, ja wolę trzymać się skraj parkietu do tańca, świadoma, że gdziekolwiek stąpnę, może to być miejsce, w którym kiedyś leżały zwłoki Virginii Hope.

- Nie bój się - uspokaja mnie Jessie. - Virginia umarła tam.

Wskazuje na żyrandol w samym centrum sali balowej. Wisi niżej niż pozostałe i pod lekkim kątem, jakby nadal obciążony ciałem Virginii.

- Więc pod tym względem wierszyk się zgadza.

- A tak - potwierdza Jessie. - „Na kawałku sznura siostrę powiesiła”.

Robię kilka ostrożnych kroków w kierunku środka sali, aby przyjrzeć się żyrandolowi z bliska. Choć wisi wystarczająco nisko, aby przywiązać do niego sznur, stojąc na krześle, nie potrafię sobie wyobrazić, że robi to siedemnastoletnia dziewczyna, która następnie podciąga własną siostrę na tyle wysoko, by ją powiesić. Coś takiego wydaje mi się nieprawdopodobne, jeśli nie niemożliwe.

Tyle że te morderstwa w ogóle nie mają sensu, także pod względem miejsc, gdzie zostały popełnione. Trzy zbrodnie w trzech różnych punktach na pierwszym piętrze. Jeśli popełnił je Winston Hope, to czy najpierw powiesił Virginie, a gdy został złapany na gorącym uczynku przez żonę, dopadł i ją na Wielkich Schodach, gdzie ją zadźgał, by potem pójść do pokoju bilardowego i tam się zabić? Czy raczej sam zginął jako pierwszy - zabity przez Lenorę lub kogoś innego - i czy w takim wypadku Evangeline znalazła jego ciało, po czym uwalana jego krwią, wbiegła na schody i na podeście natknęła się na zabójcę? Nie wiedząc, kto zginął pierwszy, nie da się tego stwierdzić. Żadna z tych teorii nie wyjaśnia też losu biednej Virginii ani braku noża.

- Zastanawiam się, dlaczego Virginie powieszono, skoro pozostałe ofiary zginęły od noża - mówię.

- Wszyscy się nad tym zastanawiają - odpowiada Jessie. - Chyba mogłybyśmy o to zapytać.

- Mogłybyśmy. Ale Lenora nie może odpowiedzieć. A nawet kiedy mogła, nie powiedziała zbyt wiele.

– Miałam na myśli Virginię. – Jessie nerwowo obraca jedną z bransoletek na nadgarstku. – A jeśli Mary ma rację i Virginia naprawdę nawiedza to miejsce? Wtedy mogłybyśmy się skontaktować z jej duchem i spytać, co się wtedy stało.

– Szkoda, że nie mamy tabliczki ouija.

To ma być żart. Przede wszystkim nie sądzę, że Hope's End jest nawiedzony. I nie wierzę, że tabliczka ouija pozwala się kontaktować ze zmarłymi. Ale po moich słowach oczy Jessie aż błyszczą.

– Przyniosę swoją – mówi. – Zaczekaj tu. Zaraz wracam.

Wybiega, zostawiając mnie sam na sam z moim odbiciem w licznych lustrach na ścianach sali balowej. Od tak wielu różnych wersji kręci mi się w głowie. Widzę się wszędzie, gdziekolwiek spojrzę. Przychodzi mi na myśl ciało Virginii Hope kołyszące się na żyrandolu. Co za straszna śmierć. Tym gorsza, że jeśli miała wtedy otwarte oczy, widziała w tych wszystkich lustrach, jak uchodzi z niej życie. Mam nadzieję, że nie musiała tego oglądać.

Nad moją głową jedna z żarówek żyrandola, z którego niegdyś zwisała Virginia, zaczyna brzęczeć i na chwilę rozbłyska mocniej, po czym ostatecznie gaśnie w upiornym, elektrycznym pyknięciem. Choć jestem pewna, że zawiniły wiekowa instalacja oraz fakt, że najpewniej nie wymieniano tu żarówek od tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku, biorę to za znak, by czym prędzej opuścić salę balową.

Już mam wyjść, kiedy wraca Jessie ze sfatygowaną tabliczką ouija. Drewniany wskaźnik ślizga się po planszy przy każdym ruchu dziewczyny, jakby sterowały nim niewidzialne dłonie.

– Nie jesteśmy na to odrobinę za stare? – pytam.

– Mów za siebie. – Jessie kładzie tabliczkę ouija na samym środku sali balowej. – Ja jestem młoda i głupia. Przynajmniej według pani Baker. A teraz siadaj tu ze mną albo powiem wszystkim, jaki z ciebie cykor.

Siadam posłusznie, bardziej dla niej niż dla siebie. Pewnie trudno takiej młodej osobie mieszkać i pracować w tym dużym starym domu. Podejrzewam, że pomyślała na całe to oprowadzanie wziął się z jej poczucia osamotnienia i chęci nawiązania nowej znajomości. Ja też tego chcę. Jeszcze przed śmiercią matki mój krąg znajomych drastycznie się skurczył. Po jej pogrzebie nie został mi już nikt.

Kładziemy palce na wskaźniku i Jessie zaczyna:

– Czy jest z nami jakiś duch?

– To głupie – mówię.

– Ciii. – Jessie wpatruje się we wskaźnik. – Coś czuję.

– Wcale nie.

– Cicho, mówię. Nie czujesz tego?

Z początku nie czuję. Ale wkrótce wskaźnik zaczyna sunąć w kierunku słowa wydrukowanego w lewym górnym rogu tabliczki.

TAK

Zachwycona Jessie gwałtownie wciąga powietrze. Ja przewracam oczami. Wiadomo, że sama popchnęła wskaźnik.

– Duchu, czy chcesz nam coś przekazać? – pyta Jessie.

I wskaźnik znowu się porusza, powoli okrążając to samo słowo.

TAK

Krąży dalej, mimo że opuszki moich palców ledwie dotykają drewnianka. Co znaczy, że to sprawa Jessie.

– Duchu – mówi – proszę, powiedz nam, kim jesteś.

Wskaźnik powoli przesuwa się na środek tabliczki, ku dwóm łukowatym rzędom liter. Jak można się było spodziewać, zatrzymuje się przy końcu drugiego rzędu.

V

Potem sunie do litery wydrukowanej bezpośrednio nad tą pierwszą.

I

Wraca do drugiego rzędu i nieuniknionej następnej litery.

R

– Prześiań udawać, że tym nie poruszasz – szepczę.

– Nie poruszam – odszeptuje Jessie, a potem mówi w głąb pustego pokoju: – Czy jesteś duchem Virginii Hope?

Wskaźnik ponownie przesuwa się do lewego górnego rogu tabliczki. Tym razem szybciej. Zaskakująco nagłym ruchem.

TAK

Jessie patrzy na mnie nad tabliczką. W jej oczach widzę zaskoczenie i odrobinę strachu.

– To nie ja – zastrzega się.

A jednak to musiała być ona. Bo na pewno nie ja. Dotykam wskaźnika tak lekko, że prawie wcale. Ale kiedy spuszczam wzrok, widzę, że opuszki palców Jessie też ledwie go muskają. Mimo to wskaźnik wciąż się porusza, przesuając się tam i z powrotem pod słowem TAK, jakby próbował je podkreślić.

Jessie przetyka ślinę i zerka na żyrandol nad naszymi głowami, jakby Virginia Hope wciąż na nim wisiała.

– Virginio, czy zamordowała cię twoja siostra?

Wskaźnik wystrzeliwuje na drugą stronę tabliczki, prosto ku słowu w prawym górnym rogu.

NIE

Wskaźnik przez chwilę szarpie do przodu, ostrym końcem dźgając we wskazywane słowo, a potem spada z tabliczki i przetacza się po podłodze.

Gwałtownie odrywam dłoń od planszy ouija, a Jessie wydaje okrzyk przestrawu.

– Co to było, do diabła? – pyta.

– To nie jest zabawne.

– Ale to nie ja! Ledwo tego dotykałam! To musiała...

Nagle Jessie szeroko otwiera oczy i usta ze zdumienia, patrząc na coś za moimi plecami. Odwracam się na pięcie i patrzę na wyłożoną lustrami ścianę, spodziewając się ujrzeć... cóż, sama nie wiem co.

Widzę własne zaniepokojone odbicie oraz, tuż nad swoim ramieniem, twarz Jessie i jej coraz szerszy uśmiech, który usiłuje ukryć, przesłaniając usta dłonią.

- Niefajnie - mówię.

- Wybacz! - Teraz Jessie śmieje się już otwarcie. - Ale szkoda, że nie widziałas swojej miny. Nabrałam cię na całego.

Wstaję i strzepuję kurz ze spódnicy mundurka.

- Czyli to, co mówiłaś o Mary, że uważała to miejsce za nawiedzone, było...

- Kompletnie zmyślane - przyznaje Jessie, składając tabliczkę ouija i sięgając po wskaźnik. - Zrobiłam ci kawał.

- Więc dlaczego Mary odeszła? Ale tak naprawdę?

- Nie wiem. - Jessie wyłącza światła i opuszcza salę balową. Wychodzę za nią i zamykam za sobą drzwi. - Pewnego dnia po prostu... jej nie było.

- Nie przyjaźniłyście się?

- Myślałam, że tak - odpowiada Jessie. - Przynajmniej na tyle, by mogła mi powiedzieć, że odchodzi.

- I nikt nie wie, dlaczego odeszła?

- Nie.

Jesteśmy już w kuchni, gdzie Jessie kieruje się ku schodom dla służby, a ja opieram się o blat na środku.

- Nie martwisz się o nią?

- Trochę - przyznaje Jessie. - Ale Mary jest mądra. I zazwyczaj bardzo odpowiedzialna. Wiem, że nie odeszłaby tak sobie, nie mając ważnego powodu.

- Myślisz, że Lenora miała z tym coś wspólnego?

- Że niby Mary się jej bała? - Jessie kręci głową. - Mowy nie ma. Uwielbiała Lenorę. Myślę, że chodziło o jakąś nagłą sprawę rodzinną czy coś. Jej rodzice mieszkają w sąsiednim hrabstwie. Może jedno z nich zachorowało, więc musiała wyjechać natychmiast. Pewnie odezwie się do mnie, jak będzie mogła, i powie, co się stało.

Mam nadzieję, że się nie myli, ale z osobistego doświadczenia wiem, że to tak nie działa. Zanim odeszłam od pacjentki, żeby zająć się matką, trzeba było załatwić za mnie zastępstwo. Nie zniknęłam w środku nocy jak Mary.

- Powinłam wracać do siebie - mówi Jessie z lekkim ziewnięciem. - Muszę zacząć nagrywać nową książkę dla Lenory. *Koronkę* Shirley Conran.

- Czytałam ją. Jest dobra. Pikantna.

- Ekstra. Lenora uwielbia pikantne.

Życzę jej dobrej nocy i przez chwilę stoję bez ruchu w tej ogromnej, pustej kuchni. Przebiegam wzrokiem po ścianach, próbując oszacować rozmiary tego pomieszczenia, które jest chyba większe niż cały dom mojego ojca. Ten fakt zrobiłby wielkie wrażenie na matce. Na ojcu niekoniecznie, bo on nienawidzi bogaczy niemal tak samo jak polityków.

Dotykam telefonu, który jest tak stary, że mógłby się znaleźć w muzeum. Ale nadal działa. Kiedy podnoszę słuchawkę z widełek, słyszę w niej ciągły sygnał. Szybko wykręcam numer ojca, przekonując samą siebie, że będzie chciał przynajmniej wiedzieć, gdzie jestem. Według kuchennego zegara, równie wiekowego, dopiero minęła dwudziesta druga, więc przypuszczam, że ojciec jeszcze nie śpi. I rzeczywiście, odbiera po trzecim sygnale.

- Halo?

Nie odzywam się, ochota na rozmowę wyparowuje na dźwięk jego głosu. W tle słyszę jakąś kobietę. Może to telewizor. A może jego nowa dziewczyna, której pozwolił zostać na noc, skoro mnie nie ma.

- Halo? - powtarza. - Kto mówi?

Rozłączam się i odsuwam od telefonu, obawiając się, że on wie, że to ja, i zaraz spróbuje oddzwonić. Ale to niemożliwe. Nie wie, gdzie jestem, i nie zna numeru do Hope's End. A skoro nie chciał ze mną rozmawiać, kiedy z nim mieszkałam, nie widzę powodu, by zmienić zdanie, gdy się wyprowadziłam.

Jedynie, czego jestem pewna, idąc po schodach na górę, to to, że teraz ojciec wie przynajmniej, jak to jest zderzyć się z czyimś milczeniem.

Rozdział 10

Tak jak za pierwszym razem, kiedy pani Baker przyprowadziła mnie do mojego pokoju, drzwi wydają się poruszać same. Jedno dotknięcie klamki wystarczy, aby otworzyły się na oścież z głośnym skrzypnięciem.

Pokój zalewa czerwony blask. Ściany pulsują nierównym światłem i całe wnętrze wygląda jak z koszmarnego snu. Każdemu błyskowi czerwieni towarzyszy natarczywy, brzęczący dźwięk.

Alarmowy przycisk Lenory.

Potrzebuję mnie.

Wpadam do pokoju i czuję, jak oczy mnie pieką od tego czerwonego światła bijącego z szafki nocnej. Potykam się o pudełko z książkami stojące na środku podłogi i przewracam je. Wszystkie czytadła się rozsypują i płaczą pod nogami, utrudniając poruszanie się.

W kierunku drzwi.

Do pokoju Lenory.

Ku jej łóżku, w którym leży z lewą dłonią zaciśniętą kurczowo na przycisku alarmowym. W jej wytrzeszczonych oczach widać dzikie spojrzenie.

– Co się stało? – pytam, zbyt zaniepokojona, aby pamiętać, że nie może mi odpowiedzieć. To mogło być cokolwiek. Kolejny udar. Zawał. Jakiś atak, mdłości albo nieuchronnie zbliżająca się śmierć.

Na mój widok Lenora rozluźnia uścisk na urządzeniu. Wzdycha i przez chwilę wygląda jak zawstydzone dziecko, a ja już rozumiem, co się stało.

– Miałaś zły sen?

Lenora, wciąż trzymając przycisk, stuka nim dwukrotnie w narzutę.

– To musiała być prawdziwa zmora. – Tym właśnie słowem moja matka nazywała szczególnie okropne koszmary. Te, które zdają się trwać nawet po przebudzeniu. Te, przez które boisz się ponownie zamknąć oczy. – Chcesz, żebym tu została, dopóki znowu nie zaśniesz?

Kolejne dwa stuknięcia.

Gdy byłam mała i przyśniła mi się prawdziwa zmora, matka wślizgiwała się do mojego łóżka i obejmowała mnie mocno, tak samo jak ja teraz obejmuję Lenorę. Wygląda na wstrząśniętą – nadal potwornie przerażoną – i po prostu nie mogę tego nie zrobić.

– Koszmary to tylko wymysły mózgu, któremu się zdaje, że to Halloween – odpowiadam. Kolejne powiedzenie mojej matki. – Tylko psikusy, żadnych cukierków.

Lewa dłoń Lenory znajduje moją prawą i splata palce z moimi. Ten gest, choć delikatny i niemal rozpaczliwy, robi na mnie piorunujące wrażenie. Lenora Hope, lokalna wersja Baby-Jagi, postać, której wina została uwieczniona w dziecięcej rymowance, trzyma mnie za rękę.

Część mnie wzdryga się przed jej dotykiem. Inna część czuje się z tego powodu okropnie. Niezależnie od tego, co Lenora zrobiła w przeszłości – a powiedzmy sobie szczerze, chodzi o coś bardzo, bardzo= złego – nadal jest człowiekiem i zasługuje, by tak ją traktować.

Nawet jeśli popełniła wszystkie te zbrodnie, o które się ją oskarża. Wraca do mnie ta sama myśl, która naszła mnie w sali balowej: czy siedemnastoletnia dziewczyna byłaby w ogóle zdolna do zabicia trzech osób, i to w taki sposób? To były brutalne zbrodnie. Poderżnięcie gardła ojcu. Zasztyletowanie matki. Założenie stryczka na szyi siostry i powieszenie jej. Ja nie byłabym w stanie tego zrobić, więc trudno mi uwierzyć w winę kogoś o połowę ode mnie młodszego. Może teoria Jessie jest słuszna i zrobił to Winston Hope albo ktoś inny. Jeśli tak, to Lenora zapłaciła straszliwą cenę. Jasne, nie trafiła do więzienia. A jednak jest uwięziona od kilkudziesięciu lat.

We własnym domu.

W pokoju z dzieciństwa.

W ciele, które odmawia jej posłuszeństwa.

Jeśli jednak to, co się o niej mówi, jest prawdą, to znaczy, że właśnie obejmuję morderczynię. Za której opiekę i stan zdrowia odpowiadam. Sama nie wiem, który scenariusz jest gorszy. I nie wiem, czy mogę tu pracować, nie znając prawdy. Może to dlatego Mary odeszła bez uprzedzenia. Nie potrafiła dłużej znieść tej niewiedzy.

– Lenoro – szepczę. – Naprawdę to zrobiłaś?

Wypuszcza moją dłoń z uścisku, a ja wstrzymuję oddech, szykując się na odpowiedź wystukaną o narzutę. Ku mojemu zaskoczeniu Lenora robi coś zupełnie innego. Skinieniem głowy wskazuje w kierunku maszyny do pisania na drugim końcu pokoju.

– Chcesz pisać?

Lenora stuka dwukrotnie w moją dłoń.

– Teraz?

Znowu dwa stuknięcia. Tym razem bardziej nagłące.

Przyniesienie maszyny wydaje mi się łatwiejsze niż zawożenie do niej Lenory, więc taszczyć urządzenie przez cały pokój, drepzcząc niezgrabnie jak kaczką, i z ulgą stawiam je na skraju materaca. Następnie wdrapuję się z powrotem do łóżka i opieram Lenorę o siebie, aby zapewnić jej łatwy dostęp do klawiatury. Po tym wszystkim jestem złana potem. Lepiej, żeby to było warte moich wysiłków.

– Proszę – mówię, kładąc lewą dłoń Lenory na klawiszach. Kobieta marszczy brwi z namysłem. Potem wystukuje trzy słowa i skinieniem głowy daje mi znak, abym nacisnęła dźwignię wierszową.

nie skrzywdzę cię

Gdy odczytuję to zdanie, mój puls przyspiesza.

– Doceniam to – mówię, nie bardzo wiedząc, jak inaczej mogłabym na to odpowiedzieć. Skąd ona wiedziała, że chcę to usłyszeć? Czy moje emocje tak łatwo odczytała jak jej?

Lenora pisze dalej.

przyпускаjąc że słyszała tę piosenkę o mnie

- Tę rymowaną? – upewniam się, zaskoczona, że wie o jej istnieniu. To musi być straszne wiedzieć, że jej życie... i śmierć jej bliskich... sprowadzono do dziecięcego wierszyka. – Słyszałam. Jest... okrutna.

ja myślę że zabawna

Kolejne zaskoczenie.

- Naprawdę?

tyle wysiłku dla mnie maluczkiej

- Czy to prawda?

możesz się dowiedzieć

Ogarnia mnie ciekawość.

A także strach i niepewność.

- Jak?

chcę ci opowiedzieć o wszystkim

- O wszystkim? Co to znaczy?

o rzeczach o których nie mówiłam nikomu innemu

- O morderstwach? – upewniam się, zaskoczona, że słyszę sama siebie, mimo łomotu własnego serca i pulsującej w uszach krwi.

tak o tamtej nocy

Spoglądam na Lenorę. Panujący w pokoju półmrok w niewiadomy sposób podkreśla zieleń jej oczu. Bije od nich żywy blask. Są jak dwa płonące szmaragdy i nie jestem w stanie oderwać od nich wzroku.

Mój Boże, ona mówi poważnie.

- Dlaczego mnie? Dlaczego teraz?

bo ci ufam

- Jesteś pewna?

Dłoń Lenory zsuwa się z maszyny do pisania i opada na materac. Język jej ciała nie pozostawia żadnych wątpliwości. Jest pewna.

- Pomyślę o tym – obiecuję, odnosząc maszynę z powrotem na biurko. Gdy wracam, Lenora już śpi. Widzę to po jej oddechu – głębokim, rytmicznym. Wyłączam światło i kładę przycisk alarmowy obok jej lewej dłoni, po czym wychodzę na paluszkach.

W swoim pokoju wreszcie zrzucam mundurek pielęgniarki. Zupełnie jakbym zdejmowała zbroję. Czuję się swobodniej, owszem, ale też dziwnie bezbronna. Zniknęło poczucie sensu, które ogarnęło mnie, kiedy włożyłam ten strój po raz pierwszy. Znowu została tylko pozabawiona celu, przygarbiona ja.

Wkładam koszulę nocną i puchate skarpetki, a potem przyciskam dłoń do serca. Nadal galopuje jak szalone. Tym razem dokładnie wiem dlaczego.

Po kilkudziesięciu latach milczenia Lenora Hope zamierza o wszystkim opowiedzieć.

A ja muszę zdecydować, czy chcę jej wysłuchać.

Część mnie oczywiście tego chce. Już samo to miejsce – z jego morderczą przeszłością, mieszącym w głowie przechyleniem i ogólną posepnością – daje mi niezłe popalić. Podejrzewam, że byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, co się stało tamtej nocy i jaką rolę odegrała w tym wszystkim Lenora. Szczególnie że to właśnie ja będę spędzała z nią większość czasu. To ja będę ją karmiła, kąpała, ubierała i utrzymywała przy życiu. Przynajmniej nie musiałabym się więcej nad tym zastanawiać ani niczego podejrzewać.

Z kolei niewiedza pozwala zachować choć trochę optymizmu. Jeżeli Lenora przyzna się do zabicia swojej rodziny, wszelki optymizm straci rację bytu.

Wciąż rozważając te opcje, zaczynam się rozpakowywać. Najpierw książki, które porzuciłam, gdy Jessie zapukała do moich drzwi. Biorę kilka i zanoszę je do regału, który jest już tak zapełniony, że nie ma tam miejsca na nic nowego. Wyjmuję jedną z powieści – to *Igła* Kena Folletta – i otwieram ją. Po wewnętrznej stronie okładki znajduje się wykonany długopisem napis:

„Ta książka jest własnością Mary Milton”.

Te same słowa wypisano w następnej książce, którą biorę do ręki – to sfatygowany egzemplarz *Hotelu New Hampshire* Johna Irvinga. Trochę się dziwię, że Mary nie zabrała swoich książek, ale jestem w stanie to zrozumieć. Są ciężkie, a poza tym Mary mogła uznać, że sprawia przyjemność komuś, kto przyjdzie na jej miejsce.

Takie wyjaśnienie traci sens, kiedy zostawiam książki i zabieram się do rozpakowywania ubrań. Górna szuflada komody jest wypełniona nieskazitelnie czystymi mundurkami pielęgniarki, dokładnie takimi jak mój. I choć w pełni rozumiem, dlaczego Mary je tu zostawiła – sama postąpiłabym tak samo – w pozostałych szufladach leżą też jej ubrania. Nie tylko mundurki, ale także spodnie, bluzki i bielizna. Przyjmuję, że należą do Mary, bo na niektórych metkach widnieją wypisane mazakiem inicjały.

„MM”.

Przeglądając zawartość szuflad, znajduję parę designerskich dżinsów Jordache, różową koszulkę polo Lacoste czy bluzkę w paski, do której wciąż przyczepiona jest metka z ceną. Dom towarowy Sears. Dwanaście dolarów. Wszystkie ubrania wydają się nowe i w dobrym stanie – i są znacznie ładniejsze niż moje własne.

W szafie zwisa z wieszaka wełniany płaszcz. Pod nim, na dnie, stoją buty oraz puste kartonowe pudełko z wypisanym mazakiem jednym słowem: „Książki”.

Obok, otoczone cienką warstewką kurzu, znajduje się wąski prostokąt czystej podłogi, na której coś stało. Co to mogło być, nie mam pojęcia. Zapewne drugie pudełko. A teraz go nie ma. Na półce leży torba medyczna, kształtem i rozmiarem podobna do tej, którą dali mi rodzice. Zdejmuję ją i zaglądam do środka, gdzie widzę głównie takie same rzeczy, jakie trzymam w swojej, bardzo porządnie ułożone. Obecność torby w szafie nie ma sensu. Jeśli nastąpiła jakaś nagła sprawa rodzinna, jak podejrzewa Jessie, to Mary na pewno zabrałaby torbę medyczną i przynajmniej część ciuchów. A ona zostawiła tu prawie wszystko.

Rezygnuję z próby rozpakowania się. Zrobiło się późno, jestem zmęczona i nie ma miejsca na moje rzeczy. Gdy gaszę światło i kładę się spać, nachodzą mnie dwie myśli, jedna po

drugiej, w postaci pewnego faktu i pytania.

Fakt: Mary wyjechała w pośpiechu.

Pytanie: co ją do tego skłoniło?

Zaniosłam kulę śnieżną do swojego pokoju i zesłałam na dół z zamiarem wyjedzenia resztek urodzinowego tortu. Niestety nie znalazłam ani okruszka. W kuchni zastałam za to Berniece Mayhew, która nie wyglądała na zachwyconą tym, że musi zmywać naczynia o tak późnej porze.

– Dużo radości z okazji urodzin, panno Hope – wymamrotała na mój widok bez śladu radości w głosie.

Gdy szłam korytarzem, zauważyłam, że drzwi do pokoju bilardowego są uchylone. Może był tam ktoś ze służby; czasem sobie grywali za plecami mojego ojca. Zazwyczaj pozwalali mi się przyłączyć, ku niezadowoleniu panny Baker.

– Damy nie powinny grać w bilard – oznajmiła mi kiedyś.

– Na szczęście nie jestem damą – odparłam.

Przystanąłam pod drzwiami i zajrzałam do pokoju. Faktycznie w środku była służąca. Nie widziałam która, bo pochylała się nad stołem bilardowym i miała opuszczoną głowę, za to spodnicę zadartą do pasa.

Za nią stał mój ojciec ze spodniami wokół kostek i twarzą purpurową z wysiłku, gdy raz po raz wbijał się w dziewczynkę.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Na tyle głośno, by mnie usłyszeli. Ojciec spojrział w stronę drzwi, od których natychmiast odskoczyłam. Ale było już za późno. Zostałam przyłapana. Mimo to uciekłam; pobiegłam korytarzem, mijając namalowane przez Petera portrety członków mojej rodziny. Gapili się na mnie z tych obrazów, jakbym to ja zrobiła coś złego.

Pobiegłam do drugiej części domu i wśliznęłam się do sali balowej. Tam osunęłam się na podłogę – w głowie miałam mętlik myśli, w większości becznych. Zastanawiałam się, ile innych służących wychędożył mój ojciec i w ilu jeszcze pokojach to robił. Kim była ta, którą przed chwilą widziałam, i czy czerpała z tego przyjemność, czy też ojciec ją zmusił. Czy Peter właśnie w tej chwili pragnie robić to samo z moją siostrą? A przede wszystkim: czy ktoś kiedyś zapragnie w ten sposób mnie?

Wkrótce w drzwiach stanął ojciec, rzucając długi cień na podłogę sali balowej. Przez chwilę sądziłam, że przyzna się do swoich uczynków, przeprosi i obieca zrobić wszystko, co w jego mocy, by za nie odpokutować. Być może wtedy matka poczułaby się dość silna, by wyjść ze swego pokoju. Być może moja siostra i ja nie byłybyśmy traktowane jak więźniarki. I być może w tym zapomnianym przez Boga domu znów zapanowałoby szczęście.

Zamiast tego ojciec przysiadł się do mnie na podłodze i otarł mi łzy, które już zaczęły toczyć się po moich policzkach. Uświadomiłam sobie, że dotyka mnie pierwszy raz od miesięcy.

– Cicho, moje kochanie – powiedział. – Nie trzeba się tym denerwować.

– Kto to był? – zapytałam.

– Nieważne.

Dla mnie było ważne. Słyszałam plotki, że ojciec lubi uwodzić służące. Berniece tyle o tym szeptała, że nie mogło mi to umknąć. Chciałam jednak wiedzieć, kto to był i dlaczego ojciec to zrobił.

– Nie kochasz matki? – spytałam, ze wszystkich sił próbując powstrzymać łzy.

– Kocham – odparł ojciec. – W bardzo skomplikowany sposób. A ty ją kochasz?

– Oczywiście.

– Więc najlepiej będzie jej o tym nie mówić. To by ją zabiło. A przecież nie chciałaś tego, prawda?

– Nie – odparłam, spuszcżając wzrok, bo nie mogłam na niego patrzeć.

Ujął mój podbródek, jakbym była dzieckiem. Albo gorzej – psem.

– Grzeczna dziewczynka.

Gdy się odwrócił i wyszedł z sali balowej, prawie za nim krzyknęłam, że wolałabym, aby to on umarł. Bo na to zasłużył. Nie zrobiłam tego, bo czułam, że muszę się zachowywać jak grzeczna dziewczynka, tak jak tego ode mnie oczekiwał.

Ale w tym właśnie rzecz, że ja nie byłam grzeczną dziewczynką.

Ani trochę.

Wkrótce sama się o tym przekonasz.

Rozdział 11

Sen nie przychodzi łatwo.

Przyznaję, nigdy nie śpię zbyt dobrze przez kilka pierwszych nocy u nowej pacjentki. Inny pokój. Inne łóżko, czasem bardziej wygodne, a czasem mniej. Inny dom z całkowicie nową gamą nocnych odgłosów. W Hope's End dominują ocean i wiatr – niezgrany duet, który nie daje mi spać. Fale są ciche i rozbijają się o klif w dole w jednostajnym rytmie, który uznałabym za kojący, gdyby nie te porywy wiatru nieregularnie uderzające w dom. Przy każdym podmuchu grzechoczą okna, a ściany drżą, swoim skrzypieniem i pojękiwaniem przypominając mi, gdzie jestem.

W rezydencji balansującej na krawędzi klifu.

Razem z kobietą, którą większość ludzi podejrzewa o zamordowanie własnej rodziny.

Z kobietą, która właśnie zaproponowała, że o wszystkim mi opowie.

I tak na okrągło. Myślę o Lenorze, przysypiam ukołysana odgłosem fal i nagle wybudza mnie wiatr. Za każdym razem, kiedy uderza w dom, kurczowo chwytam za krawędź materaca, pewna, że czuję, jak dom przechyla się w stronę oceanu. Ale potem wiatr się uspokaja, myśli płyną, fale szumią i cały proces zaczyna się od nowa.

Dopóki nie dociera do mnie inny hałas.

To nie wiatr.

Ani fale.

Brzmi jak cichuteńkie skrzypienie desek podłogi.

Siadam na łóżku i rozglądam się po pokoju – cóż, sama nie wiem, czego się spodziewam. Intruza? Włamywacza? Tego, że rezydencja w końcu zaczyna się zsuwać do Atlantyku? Tak czy inaczej niczego nie widzę. W pokoju nie ma nikogo poza mną, więc dochodzę do wniosku, że to jednak był tylko wiatr, który sprawił, że Hope's End zaskrzypiał inaczej niż dotąd.

Wyczołguję się z łóżka, uchylam drzwi i wyglądam na korytarz. W tej chwili jest pusty. Świadoma, że ktoś mógł przed chwilą tędy przechodzić, wysuwam się z pokoju i nasłuchuję dźwięku oddalających się kroków albo zamykanych drzwi.

– Halo? – odzywam się przyciszonym głosem. – Czy ktoś tu jest?

Nikt nie odpowiada.

Nie słychać żadnego dźwięku.

Dopóki nie wracam do pokoju.

Kiedy skrzypienie znów się rozlega, uzmysławiam sobie, skąd dobiega.

Z sypialni Lenory.

Przyciskam ucho do drzwi między naszymi pokojami i nasłuchuję odgłosów ruchu. Znowu nic. Tylko nocna cisza i smużka księżycowej poświaty wślizgująca się z pokoju Lenory przez szparę między drzwiami a podłogą.

I znów ten dźwięk.

Tym razem otwieram drzwi i zerkam do środka.

Nie ma tam nikogo. Jedynie Lenora, w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłam – leży w łóżku, płasko na plecach, z rękami wzdłuż ciała, przy czym lewa spoczywa tuż obok przycisku alarmowego. Cichy, powolny oddech mówi mi, że wciąż śpi.

Nie mam pojęcia, co mogło wywołać to skrzypienie. Na pewno nie Lenora.

Zamykam drzwi i wracam do łóżka, gdzie fale i wiatr znów zaczynają rywalizować o moją uwagę. Kiedy w końcu zasypiam, śni mi się koszmar.

Prawdziwa zmora.

Znów jestem dziewczynką i sunę w dół metalowej zjeżdżalni na boisku mojej podstawówki. Nigdy tej zjeżdżalni nie lubiłam, bo zimą robiła się za zimna, a latem wręcz parzyła. Wokół mnie grupka dzieciaków, których nie widać, ale irytująco wyraźnie słychać, recytuje chórem:

Gdy Lenora Hope siedemnastkę skończyła...

Wciąż jestem na zjeżdżalni – nie żebym utknęła, ale też nie szusuję w dół. Zsuwam się powoli, słuchając dalszego ciągu rymowanki:

Na kawałku sznura siostrę powiesiła...

U dołu zjeżdżalni stoi moja matka; wygląda nie tak jak wtedy, gdy byłam mała, ale jak w ostatnich dniach swojego życia. Skóra i kości w bladoniebieskiej koszuli nocnej. Ledwo się trzyma na nogach.

Ojca nożem zadźgała...

Matka o coś mnie błaga, ale nie słyszę jej słów. Za każdym razem, kiedy otwiera usta, wydobywa się z nich tylko klekot klawiszy maszyny do pisania.

Matce życie odebrała

Mimo to wiem, co mówi, zupełnie jakby jej słowa pojawiały się na czystej kartce wkręconej w wałek maszyny.

„Proszę, Kit-Kat.

Proszę.

Wezmę tylko jedną.

Obiecuję”.

Rozdział 12

Myliliam się co do wschodzącego słońca.
Wcale nie wyziera znad horyzontu.

Bezczelnie się gapi.

Siadam na łóżku, mrużąc oczy przed żółtopomarańczowym blaskiem bijącym przez okno. Nagle zauważam coś dziwnego. W ciągu nocy wszystko, co się znajduje na łóżku – materac, koce i ja – zsunęło się o kilka centymetrów w stronę jego nóg. To wina przechylenia domu. Przynajmniej mam wyjaśnienie uczucia powolnego zsuwania się w moim koszmarze.

Po wstaniu z łóżka lekko się chwieję, jakby w nocy podłoga przechyliła się o kilka kolejnych stopni. Co, o ile się orientuję, jest całkiem możliwe. Pod prysznicem zauważam, że poziom wody spływającej do odpływu jest nieco wyższy po jednej stronie brodzika. Tak samo jest w umywalce, gdy myję zęby. Patrząc, jak nagromadzona woda znika z bulgotem w odpływie, zastanawiam się, czy to dlatego Mary odeszła. Bo nie mogła spędzić ani minuty dłużej w tym krzywym domu.

Po przebraniu się w jeden z mundurków pozostawionych przez moją poprzedniczkę, podchodzę do drzwi łączących mój pokój z pokojem Lenory. Waham się chwilę przed ich otwarciem, przypomniawszy sobie skrzypienie, które słyszałam w nocy. Nie mam pojęcia, co mogło je spowodować, jeśli nie czyjeś kroki.

A przecież nikogo innego tam nie było.

Tylko Lenora.

Uchylam drzwi, zaglądam do środka i widzę, że wciąż śpi, w tej samej pozycji, w której widziałam ją poprzednio. Co jest oczywiste. Bez czyjejś pomocy Lenora nie może poruszyć żadną częścią ciała z wyjątkiem lewej ręki. Idiotypem – i paranoją – byłoby myśleć inaczej.

Uważając, żeby jej nie obudzić, cicho zamykam drzwi między naszymi pokojami, po czym wyslizguję się na korytarz i schodzę na dół. W połowie schodów dla służby dostrzegam pęknięcie w ścianie, którego – jestem prawie pewna – nie było tam wczoraj. Ma dobrze ponad metr długości i jest postrzępione jak błyskawica, wręcz nie do przeoczenia. Więc albo wczoraj przez cały dzień byłam ślepa, albo pęknięcie pojawiło się tej nocy.

Przypominam sobie porywy wiatru, które zdawały się wstrząsać całym domem. W głowie mi się kręci na myśl, że to one mogły spowodować to uszkodzenie. I że takich pęknięć może być więcej. I że jeśli zwykły wiatr jest w stanie zrobić coś takiego, to jakich spustoszeń może dokonać prawdziwa burza. To ostatnie każe mi biegiem pokonać resztę schodków, aby móc jak najszybciej poczuć pod stopami pewny grunt. O ile grunt na szczycie klifu podmywanego przez ocean może być pewny.

W kuchni zastaję przy kuchence Archiego, który wygląda tak, jakby gotował od wielu godzin, choć ledwie minęła siódma. Na blacie leży półmisek ze stosem racuchów, a obok talerz pełen bekonu i koszyczek ze świeżo upieczonymi jagodowymi muffinkami.

- Widzę, że z ciebie też ranny ptaszek – mówię.

- Jest wtorek – odpowiada Archie. – Dzień dostawy. Wszystkie zakupy na cały tydzień dostarczają bladym świtem w każdy wtorek. – Zachęcającym gestem wskazuje jedzenie na blacie. – À propos, częstuj się. Jest też świeża kawa.

Ruszam prosto w kierunku kawy i nalewam sobie kubek. Już sam zapach stawia mnie na nogi. Wracam do blatu i opróżniam kubek trzema ogromnymi łykami.

Nie uchodzi to uwadze Archiego.

- Ciężka noc? – pyta.

- Miałam problemy z zaśnięciem.

- Nic dziwnego. Nowe miejsce i tak dalej. Ten potworny wiatr też pewnie nie pomagał. – Stojący wciąż przy kuchence Archie odmierza trochę płatków owsianych Quaker Oats z tekturowej tuby i wsypuje je do garnka z wrzątkiem. – Zawsze nam się obrywa od tego wichru, bo dom stoi na samym szczycie urwiska i nic go nie chroni. A zeszłej nocy dał nam popalić szczególnie.

Co jednak wcale nie wyjaśnia dźwięków, które słyszałam w nocy. Wiem, jak brzmi wiatr. Nie tak jak czyjeś kroki. Znowu przychodzi mi do głowy Mary. Czy ona też je słyszała? To dlatego odeszła stąd tak nagle?

- Czy poprzednia pielęgniarka panny Hope wspominała kiedyś, że coś słyszała albo miała problemy ze snem?

- Mary? Nie przypominam sobie.

Sięgam po muffinkę i zaczynam zdejmować z niej papilotkę.

- A dobrze ją znasz?

- Chyba wystarczająco. Miła dziewczyna. Zdaje się, że świetnie jej szło z panną Hope – odpowiada Archie, dowodząc, że Jessie nie miała racji, twierdząc, że tylko pani Baker nie mówi o Lenorze po imieniu. – Nie pochwalam jednak sposobu, w jaki Mary odeszła. Rozumiem, że to nie jest miejsce dla każdego. Ale nawet stąd nie wyjeżdża się w samym środku nocy.

- Nic nie wskazywało, że coś jest nie tak?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Więc nie miała problemów z panną Hope?

- Nie sądzę.

- I Mary nigdy nie mówiła, że czuje się przy niej nieswojo?

Nie przerywając mieszania teraz już bulgoczącej owsianki, Archie odwraca się do mnie.

- A ty czujesz się nieswojo przy pannie Hope?

- Nie – odpowiadam i natychmiast zdaję sobie sprawę, że powiedziałam to zbyt szybko, zbyt dobitnie. Aby ukryć zmieszanie, odgryzam kawałek muffinki. Jest przepyszna i już wiem, że zaraz zjem drugą, a nieco później pewnie i trzecią.

- Dobrze, co? – mówi Archie. – Obtaczam jagody w mące. Żeby nie opadały.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Tutaj – odpowiada, na powrót odwracając się do garnka. – Właściwie dorastałem w tej kuchni. Zaczynałem od zmywania, jako czternastolatek. Kiedy skończyłem osiemnaście lat,

byłem już zastępcą szefa kuchni.

– Od jak dawna tu pracujesz?

– Od prawie sześćdziesięciu lat.

Zamieram z czubkiem muffinki w dłoni uniesionej do ust.

– Więc byłeś tu w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym?

– Tak. Ja i pani Baker jesteśmy jedynymi, którzy zostali tu ze starych dobrych czasów.

– I byłeś tu tamtej nocy, kiedy...

– Nie – przerywa mi Archie, również zbyt szybko i zbyt dobitnie. – Tamtej nocy nie było tu nikogo ze służby. Nawet pani Baker. Wcześniej tamtego dnia zrezygnowała z posady.

A to ciekawostka. Zwłaszcza że sama powiedziała mi wczoraj, że opuściła Hope's End po morderstwach. Odgryzam kolejny kęs muffinki, głównie po to, aby ukryć fakt, że od wielu pytań kręci mi się w głowie.

– Pewnie bardzo ci się tu podoba – podejmuję, przełknąwszy. – Albo panna Hope bardzo cię lubi. Słyszałam, że większość personelu zwolniono.

– Tak, wielu odprawiono. Reszta odeszła natychmiast po... – Archie milknie, nie kończąc zdania.

Nie żeby było to konieczne. I tak rozumiem. Większość służby wolała odejść, niż pracować u morderczyni.

– Wybacz, że poruszyłam ten temat – mówię. – Po prostu byłam zaskoczona, że znasz pannę Hope od tak dawna.

– Odkąd byliśmy dziećmi. – W głosie Archiego znów słychać zwykłe ciepło. Oddycham z ulgą. Nie mam najmniejszej ochoty wkurzać faceta, który przygotowuje mi posiłki. – Gdy dorastaliśmy, panna Hope i ja byliśmy sobie całkiem bliscy.

– I nadal jesteście?

– Nie tak jak kiedyś. – Szerokie plecy Archiego sztywnieją, a ręka mieszająca w garnku nagle nieruchomieje. – Wiele rzeczy się zmieniło.

Nie mówi tego wprost, ale ja wiem, że chodzi o jedną zmianę. Mianowicie o zamordowanie reszty rodziny Hope'ów.

– Możesz przyjść na górę i ją odwiedzić – mówię. – Myślę, że czuje się samotna.

– I dlatego ty tutaj jesteś – odpowiada Archie znów tym chłodnym tonem, po czym nakłada owsianki do miski stojącej na drewnianej tacy, którą następnie stawia przede mną i dodaje: – Śniadanie dla panny Hope. Lepiej zanieś to na górę, zanim wystygnie.

Rozumiem aluzję, jeszcze zanim Archie znowu odwraca się do kuchenki. Nie będziemy więcej rozmawiać o Lenorze. Na pewno nie dzisiaj, a może już nigdy.

– Dziękuję za śniadanie – rzucam, po czym dokładam na tacę swoją kawę oraz kolejną muffinkę i zanoszę wszystko na górę schodami dla służby.

W połowie drogi spotykam panią Baker, która właśnie schodzi. Wygląda tak samo jak wczoraj: czarna suknia, blada skóra, czerwone usta i okulary, które unosi do oczu, aby ocenić moją prezentację.

– Dzień dobry, Kit. Mam nadzieję, że pierwsza noc tutaj była przyjemna.

– Tak – kłamię. – Dziękuję, że pani pyta.

Zerkam na postrzępione pęknięcie w ścianie, zastanawiając się, czy pani Baker już je zauważyła. Na pewno. Bo bardzo rzuca się w oczy. A jednak gospodyni zachowuje się tak, jakby nic się nie stało.

- Zadowolona ze swojej nowej kwatery?

- Bardzo. Chciałabym jednak zapytać o rzeczy Mary.

- Rzeczy? - powtarza pani Baker, przechylając po belfersku głowę w bok. - Musisz wyrażać się precyzyjniej, moja droga.

- Jej rzeczy osobiste. Wszystko wciąż jest w moim pokoju.

- Wszystko?

- Jej książki, ubrania, nawet torba medyczna - uściślam. Kiedy to mówię, coś nagle przychodzi mi do głowy. - Czy to możliwe, że ona zamierza wrócić?

Że też wcześniej na to nie wpadłam. To ma więcej sensu niż wszystkie inne powody, dla których mogła zostawić tu cały swój dobytek. Może naprawdę wezwała ją rodzina albo jakaś inna sprawa niecierpiąca zwłoki i Mary ma zamiar tu wrócić.

- Gdyby wróciła, nie byłaby tu mile widziana - oznajmia pani Baker. - Nie po tym, jak porzuciła pannę Hope w taki sposób.

Oddycham z lekką ulgą. Przynajmniej nadal mam pracę.

- Ale może wrócić po swoje rzeczy, prawda?

- Minął tydzień. Gdyby coś z tego chciała, już by się po to zgłosiła.

- Więc co mam z tym zrobić?

- Na razie wszystko zachowaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu - radzi pani Baker, ale rzecz w tym, że mam wiele przeciwko temu. Hope's End to ogromna rezydencja pełna pustych pokoi. Na pewno można by przechować rzeczy Mary gdzie indziej. - Później pomyślę, co z tym zrobić.

Zachowuje się tak, jakby sprawa została załatwiona, choć wcale tak nie jest. Rusza na dół, więc jestem zmuszona zawołać za nią:

- Mam jeszcze jedno pytanie! - Urywam i czekam, aż się zatrzyma, co robi z wyraźną niechęcią, zszedłszy o kolejne trzy stopnie. - Czy wczoraj w nocy była pani w pokoju panny Hope?

- Skoro ty tutaj jesteś, nie mam powodu, aby wchodzić do kwatery panny Hope.

- Czyli że nie - konstatuje.

- Tak, moja droga. Zdecydowanie nie.

- Bo zdawało mi się... - Waham się, spuszczać wzrok na tacę. - Chyba w nocy słyszałam tam czyjeś kroki.

- Kroki? - Pani Baker patrzy na mnie z takim niedowierzaniem, jakbym mówiła o kosmitach albo Świętym Mikołaju. - To absurd.

- Ale słyszałam skrzypienie podłogowych desek.

- Sprawdziłaś to?

- Tak. Nikogo nie zobaczyłam.

- Więc może była to sprawka twojej wyobraźni - kwituje pani Baker. - Albo wiatru. Czasami, gdy jest tak porywisty, wywołuje najdziwniejsze dźwięki.

– Czy ktoś jeszcze regularnie wchodzi do pokoju panny Hope? Na przykład Archie? Albo Jessie?

– Jedyną osobą, która ma obowiązek regularnie przebywać w kwatery panny Hope, jesteś ty – ucina gospodyni. – I radzę ci tam wracać, zanim się obudzi.

– Tak, pani Baker – odpowiadam, o mało nie dygając, jak Jessie wczoraj. Pewnie bym to zrobiła, gdybym w obu rękach nie trzymała tacy. – Przepraszam, że zawracam pani głowę.

Idę do pokoju Lenory, gdzie zastaję ją przebudzoną i oświetloną porannym słońcem, które nadaje jej postaci niepokojąco anielski blask. Zamiast mrużyć oczy jak ja, Lenora zdaje się rozkoszować jasnym światłem. Głowę ma odchyloną do tyłu, a z lekko otwartych ust wydobywa się zadowolone westchnienie.

Plama światła przesuwana się powoli po łóżku, kiedy podnoszę ją do pozycji siedzącej i karmię owsianką, do której wcześniej wkruszyłam jej poranne pigułki. Zanim kończę mycie, przebieranie i terapię krążeniową mojej podopiecznej, słońce ześlizguje się z materaca na podłogę, gdzie tworzy równy prostokąt. Lenora wpatruje się weń z wózka inwalidzkiego, kiedy badam jej parametry życiowe i sprawdzam, czy siniak na przedramieniu się goi. Gdy kończę, jej spojrzenie wędruje ku maszynie do pisania.

Pamięta wczorajszy wieczór.

Miałam nadzieję, że zapomniła.

Żałuję, że tak się nie stało.

Bo cokolwiek zamierza napisać, jeszcze nie wiem, czy chcę to przeczytać.

Ona jednak już podjęła decyzję. Przenosi spojrzenie z maszyny na mnie, a w jej oczach widać niepokój zmieszany z nadzieją. Prawdopodobnie żadne z tych uczuć samo w sobie nie byłoby w stanie mnie poruszyć. Jednak ich połączenie uświadamia mi, że to, czego chcę ja, nie ma znaczenia.

Ważne, czego chce Lenora.

A ona chce pisać.

Nadal nie mam pojęcia dlaczego. Nie potrafię sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego miałyby tak długo czekać z opowiadaniem o tamtej nocy. Gdyby była niewinna, opowiedziałyby swoją historię dziesiątki lat temu.

Chyba że uważała, że nikt jej nie uwierzy.

Wczoraj pani Baker powiedziała mi, że Hope's End jest miejscem, w którym młode kobiety otrzymują kredyt zaufania. Nie wszędzie tak jest. A właściwie prawie nigdzie. Może Lenora próbowała opowiedzieć swoją historię wiele lat temu i nikt jej nie uwierzył. Albo jeszcze gorzej – nikt nawet nie słuchał.

Może sądzi, że ja ją wysłucham.

I uwierzę, że jest niewinna.

Bo ona tak właśnie sądzi o mnie.

Koniec końców to ta myśl – że jej pragnienie mówienia wynika z przekonania o łączącej nas nie winie, lecz raczej niewinności – każe mi podwieźć ją do biurka, na którego blacie, obok maszyny do pisania, leży wczorajsza kartka. Nie pamiętam, żebym ją wyjmowała, ale

widocznie musiałam to zrobić. Usilnie staram się sobie przypomnieć kolejne wydarzenia wczorajszego wieczoru.

Propozycję Lenory, że o wszystkim mi opowie.

Znalezienie rzeczy Mary.

Wiatr, fale i skrzywienie podłogi.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że zostawiłam kartkę w maszynie.

– Lenoro, czy wczoraj w nocy ktoś tu był?

Odpowiada przecząco pojedynczym stuknięciem w podłokietnik wózka.

– Jesteś pewna?

Dwa stuknięcia.

Wpatruję się w nią. W odpowiedzi ona patrzy na mnie spojrzeniem najzupełniej niewinnym. Jeśli kłamie – a nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby to robić – świetnie to ukrywa. A choć jestem prawie pewna, że nie wyjmowałam tej kartki, mam świadomość, że ktoś inny mógł to zrobić w czasie, kiedy Lenora spała. Na przykład pani Baker, która wśliznęła się tu na przeszpiegi. Albo Jessie, która przyszła bladym świtem, żeby posprzątać.

– Nieważne – kwituję, bo faktycznie nie ma to znaczenia. Istotne jest to, że Lenora zamierza wszystko wyjawić. A moim zadaniem jest jej w tym pomóc.

W szufladzie biurka znajduję napoczętą ryzę papieru i wkręcam nową kartkę w wałek maszyny do pisania. Potem kładę lewą dłoń Lenory na klawiaturze, zastanawiając się, czy to początek czegoś wspaniałego, czy raczej czegoś, czego będę żałować.

Albo czy w ogóle coś z tego wyniknie.

Palce Lenory drgają nerwowo na klawiszach, jakby nie mogła utrzymać ich nieruchomo ani chwili dłużej.

Robię wdech, wydech, kiwam głową.

A potem zaczynamy.

Rozdział 13

To, co pamiętam najwyraźniej – i co wciąż wraca do mnie w koszmarach – to chwile, kiedy było już prawie po wszystkim.

To pierwsze słowa, które Lenora napisała kilka godzin temu, kiedy słońce jeszcze wznosiło się nad Atlantykiem. Zaskoczyła mnie tym pełnym zdaniem. Dotąd wystukiwała jedynie fragmenty, ignorując zasady pisowni i interpunkcji. Dopiero po paru sekundach mojej dezorientacji i kilku jej zniecierpliwionych stuknięciach zrozumiałam, że mam wcisnąć klawisz zmieniacza, aby mogła napisać to pierwsze duże T. Jeszcze więcej czasu upłynęło, zanim ustaliłyśmy mniej więcej zgodny rytm współpracy. W końcu się jednak udało.

I odtąd nieprzerwanie piszemy, mimo że słońce zniknęło za horyzontem i nad oceanem zapada zmierzch. Sprawną ręką Lenora dotyka mojej dłoni, jeśli chce, abym wcisnęła zmieniacz. Kiedy maszyna sygnalizuje dźwiękiem koniec wiersza, naciskam dźwignię, karetką wraca i zaczynamy pisanie w nowej linijce. Lenora kontynuuje jeszcze przez chwilę, po czym kiwa głową – to znak, aby ponownie nacisnąć dźwignię wierszową i w ten sposób rozpocząć nowy akapit.

Drzwi są zamknięte, aby nikt nam nie przeszkadzał. Lenora upierała się przy tym, choć sama nie wiem dlaczego. Oprócz Archiego, który raz krótko zapukał, gdy przyniósł lunch, nie słyszałam, aby ktoś jeszcze wchodził na piętro. Właściwie mam wrażenie, jakby Lenora była drugorzędną postacią we własnej rezydencji, choć może to skutek mojej obecności. Jestem jej opiekunką. To moja rola, której staram się nie zaniedbywać, jednocześnie odgrywając też drugą – jej sekretarki.

Po napisaniu każdej strony masuję lewą ręką Lenory, podaję jej wodę, którą pije przez słomkę, i pytam, czy chce kontynuować. Odpowiedzią są zawsze dwa niecierpliwe stuknięcia w maszynę. Wyraźnie aż się pali do tego pisania. Rzadko przerywa, aby się zastanowić, co dalej. Przelewa swoją historię na papier, jakby napisała ją w głowie już dawno temu, a teraz tylko ją uwalnia.

Wciąż nie wiem, co to za historia. Muszę czujnie reagować na każdy sygnał Lenory, co chwila naciskać dźwignię wierszową, wyjmować zapisane kartki i wkręcać w wałek nowe, więc nie mam zbyt wielu okazji, żeby czytać to, co pisze.

Lenora muska moją dłoń, więc wciskam klawisz zmieniacza. Po dwóch kolejnych wcisnięciach i dwóch skinieniach głową w końcu kładzie dłoń płasko na klawiaturze – to znak, że skończyła następny rozdział.

Wyjmuję kartkę z maszyny i odkładam ją tekstem do dołu na szesnaście innych, które zapisałyśmy dzisiaj. Oszłamiająca liczba. A jednak jeśli Lenora jest zmęczona, to wcale tego po niej nie widać. Rzucił mi wyczekujące spojrzenie, jakby chciała, abym wkręciła w wałek kolejną kartkę.

- Dostyc już dzisiaj zrobiliśmy - protestuję. A przynajmniej ja mam już dość. W przeciwieństwie do Lenory jestem wyczerpana. Przez to ciągle pochylanie się obok niej przez cały dzień czuję się zeszywniała i obolała. Kiedy się wyprostowuję, połowa moich stawów aż trzeszczy z ulgą. - Już prawie pora na kolację.

Reszta wieczoru przebiega zgodnie z harmonogramem. Kolacja i pigułki. Deser. Terapia krążeniowa, potem kąpiel i do łóżka. Lenora przez cały ten czas jest pogrążona w myślach. Przypuszczalnie układa sobie w głowie, co napisze jutro.

Dobrze znam to uczucie. Kiedy w gazecie pojawił się tamten artykuł o mnie, zadzwoniłam do dziennikarza i zażądałam, aby wysłuchał mojej wersji tego, co się stało. Słuchał bez zainteresowania, kiedy mówiłam mu, że śmierć mojej matki była samobójstwem, że zostawiłam tabletki w zasięgu jej ręki przez przypadek i że nigdy bym jej nie skrzywdziła.

- Detektyw Vick mówi co innego - odparł dziennikarz, jakby słowo policji było prawdą objawioną, a mnie uważał za zwykłą kłamczuchę, która stara się zatrzeć za sobą ślady.

To było pół roku temu, a mnie nadal czasami ogarnia chęć, aby wykrzyczeć światu, że jestem niewinna. Wyobrażam sobie, jak musi się czuć Lenora. W jej przypadku minęły pięćdziesiąt cztery lata. Nic dziwnego, że nie chce przerywać pisania.

Po położeniu jej do łóżka i umieszczeniu przycisku alarmowego obok dłoni pytam:

- Chcesz, żebym została, aż zaśniesz?

Dwukrotnie stuka w narzutę.

Kiwam głową.

- W takim razie zostanę.

Przymyka oczy, a ja zbieram zapisane kartki i siadam z nimi na otomanie. Gdy sen pogłębia oddech Lenory, zaczynam czytać to, co napisała. Choć oglądałam fragmenty przez cały dzień, zaskakuje mnie jakość jej prozy. Spodziewałam się dość nieociosanej i kiepskiej pisaniny - ciągu urywanych zdań podobnych do odpowiedzi, których udzielała na moje pytania. Okazuje się jednak, że Lenora jest urodzoną gawędziarką. Pisze jasno i prosto, a przy tym wyraziście. Tekst wciąga mnie od pierwszej linijki.

Kiedy jednak docieram do końca, moje zaskoczenie przeradza się w szok.

Już wiem, co się stało z nożem, od którego zginęli Winston i Evangeline Hope'owie.

Lenora cisnęła go do oceanu.

Ten czyn - w połączeniu z faktem, że jej koszula nocna była cała we krwi - sprawia, że teraz wydaje się bardziej winna niż kiedykolwiek.

Tym bardziej że sama określa się jako zarazem dobrą i złą. Po części można by to przypisać jej sytuacji w domu, której nie nazwałabym szczęśliwą. Uzależniona matka. Ojciec kobieciarz. Siostra, z którą najwyraźniej niewiele ją łączyło. Nic dziwnego, że Lenora pragnęła ucieczki od codzienności i uwagi ze strony płci przeciwnej. Znam to uczucie aż za dobrze, nawet teraz, gdy jestem po trzydziestce. To właśnie dlatego zaczęłam sypiać z Kennym. A przecież Lenora była taka młoda i niedoświadczona. W takim wieku buzują w nas wszystkie uczucia - tak, pożądanie również - i bardzo możliwe, że Lenora uważała te naturalne emocje za grzech. Albo jeszcze coś gorszego.

To jednak nie wyjaśnia zakrwawionej koszuli nocnej.

Ani pozbycia się narzędzia, którym zamordowano jej rodziców.

Ani tego, że poszła po sznur, gdy krzyki jej siostry wstrząsały domem.

Nie mogę przestać myśleć o tym wszystkim, czytając ostatnie trzy zdania, które Lenora dziś wystukała.

Ale w tym właśnie rzecz, że ja nie byłam grzeczną dziewczynką.

Ani trochę.

Wkrótce sama się o tym przekonasz.

Opuszczam rękę z kartkami i patrzę w stronę łóżka, gdzie leży Lenora, pogrążona w głębokim śnie. Gdy na nią patrzę, zaczynam czuć się nieswojo.

Sądziłam, że chce opowiedzieć mi swoją historię, aby w końcu spróbować oczyścić swoje imię. I że do pomocy wybrała mnie, bo uznała nas za pokrewne dusze. Jedna niesłusznie oskarżona kobieta zapagnęła opowiedzieć swoje dzieje drugiej i z jej pomocą oznajmić własną niewinność.

Teraz obawiam się, że jest zupełnie odwrotnie.

Lenora nie wybrała mnie dlatego, że uważa mnie za niewinną.

Zrobiła to, ponieważ sądzi, że jestem winna.

A to, co dzisiaj pisałyśmy, nie jest próbą oczyszczenia jej imienia.

To jest wyznanie.

Rozdział 14

Wkładam kartki do kasetki pod moim łóżkiem, udając, że wcale ich nie ukrywam, choć właśnie to robię. Chowam je skrzętnie pod turlające się i grzechoczące buteleczki z pigułkami Lenory, bo nie chcę, aby ktoś je znalazł. Kiedy jednak zamykam je w pudełku, które następnie wsuwam pod łóżko, nie kieruje mną troska o Lenorę. Martwi mnie raczej fakt, że posiadanie fragmentu wyznania Lenory Hope sprawi, że będę się wydawała równie zła jak ona.

Winna przez skojarzenie.

Kluczyk wrzucam do szuflady nocnego stolika i nagle słyszę serię hałasów dobiegających z góry i zza okna.

Trzask, zgrzyt, stukot na tarasie.

Podbiegam do okna, żeby sprawdzić, co się stało. Na zewnątrz jest ciemno, a światło w pokoju jedynie odbija w szybie moją zaniepokojoną, zmęczoną twarz.

Przychodzi mi na myśl, że cokolwiek właśnie usłyszałam, może mieć związek z hałasami dobiegającymi zeszłej nocy z pokoju Lenory, dlatego postanawiam zbadać sprawę dokładniej. Wypadam na korytarz i schodami dla służby zbiegam do kuchni. Stamtąd pędzę przez jadalnię, kierując się na taras. Wychodzę na zewnątrz i czuję, że coś chrzęści mi pod nogami.

Gont łupkowy, który niedawno spadł z dachu.

Na to przynajmniej jedna tajemnica wyjaśniona.

Na całym tarasie leży kilkanaście innych gontów, wiele z nich rozbitych na drobne kawałki i kilka jakimś cudem wciąż całych. Przestępując je i omijając, docieram do barierki. Znad oceanu powiewa zimna bryza o słonawym zapachu. Zamykam oczy i kieruję ku niej twarz, rozkoszując się chłodem. Co za przyjemność po tak długim przebywaniu w dusznym zamknięciu Hope's End. Lenora nie wie, co traci.

Taras biegnie przez długość całej rezydencji i kończy się po obu stronach czterema schodkami. Te po lewej schodzą na wyłożone kamiennymi płytkami patio otaczające pusty basen. Schodki po prawej prowadzą na trawnik, po którego drugiej stronie stoi parterowy domek z kamienia, tak uroczy i schludny, jakby żywcem wyjęty z bajki. Z okna przy łukowych drzwiach bije ciepłe światło.

W innym oknie – za mną, na piętrze samej rezydencji – również zapala się światło, rzucając na taras prostokąt blasku. W tej jasnej plamie, wśród kawałków rozbitych płytek, błyska jakiś metalowy zawijas.

Schylam się po niego i podnoszę go do światła. W pierwszej chwili mam wrażenie, że może to spinacz wygięty w owalny krążek. Tyle że to coś jest znacznie grubsze niż spinacz. I solidniejsze. Potrzeba nieco siły, żeby wygiąć to bardziej. Oba końce są skierowane ku sobie, jeden nieco dalej niż drugi, co każe mi się domyślać, że było to coś w rodzaju haczyka, który albo się złamał, albo odpadł. Może to dlatego spadły te gonty. Odwracam się ponownie do

oświetlonego okna i przebiegam wzrokiem po znajdującej się piętro wyżej części dachu. Potem wyciągam szyję, aby określić położenie tej jasnej plamy światła względem mojego pokoju. Dwoje drzwi dalej, zdaje się. Po drugiej stronie pokoju Lenory.

Pani Baker.

Robię kilka kroków do tyłu, żeby mieć lepszy wgląd do wnętrza pomieszczenia. Widzę falbaniaste zasłony, skrawek fioletowej tapety w kwiaty i rozciągający się na suficie cień.

A potem mój wzrok przyciąga coś innego.

Coś z prawej strony oświetlonego okna, w pokoju Lenory.

Na tle ciemnego prostokąta majaczy szary kształt.

Gwałtownie wciągam powietrze, patrząc, jak kształt mija okno i znika mi z pola widzenia. Nie rozpoznaję go. W pokoju jest ciemno, a ruch trwa zbyt krótko. Wiem tylko, że z całą pewnością ktoś chodzi po pokoju Lenory.

Cały czas się cofam, nie odrywając oczu od okna z nadzieją, że jeszcze ujrzę tego, kto tam jest. Tak bardzo się skupiam na pokoju Lenory, że nie zwracam uwagi na porozrzucane na tarasie gonty. Potykam się o jeden i upadam do tyłu na balustradę, która uderza mnie w krzyż i pozbawia równowagi.

Zataczam się i metalowy zawijas wymyka mi się z palców.

Młóćę powietrze rękami.

Serce wali mi jak młotem.

Ramiona i głowa przechylają się przez balustradę, zawisając nad rozbijającymi się w dole falami. Przez chwilę odnoszę wrażenie, jakby ta przepaść pode mną wyciągała ku mnie rękę, próbując przeciągnąć mnie przez barierkę i porwać na dno otchłani.

Rzucam się w bok i obracam, dopóki nie poczuje, że przyciskam brzuch do balustrady. Patrę w dół urwiska. Piętnaście metrów pode mną fale uderzają o brzeg u podstawy klifu. Wąski pas najeżonego skałami piasku połyskuje bielą w świetle księżyca. Uznałabym to za piękny widok, gdyby nie fakt, że wystarczyłby jeden niewłaściwy ruch i runęłabym w dół.

Z prawej strony, z pokrytego rosą trawnika dobiega mnie szmer kroków. Nocną ciszę przecina głos Cartera:

– Mary?

Odwracam się i widzę, że się zbliża, jest już w połowie trawnika. Zatrzymuje się, kiedy zdaje sobie sprawę, że to ja.

– Wybacz. – Przystaje oszołomiony, jakby dosłownie ujrzał ducha. – Wszystko w porządku?

– Chyba tak – sapię, wciąż nie mogąc złapać tchu po tym, co się przed chwilą wydarzyło.

Carter odzyskuje zdolność ruchu, dociera do końca trawnika i wskakuje na schodki prowadzące na taras.

– Przez chwilę myślałem, że wypadniesz.

– Ja też.

Odstępuję od balustrady, slaniając się na nogach. Zupełnie jak wtedy, gdy pierwszy raz znalazłam się na piętrze Hope's End i poczułam przechylenie. Jest to całkiem uzasadnione, zważywszy, że prawdopodobnie taras też jest nachylony w kierunku oceanu. Ta myśl sprawia, że robię jeszcze jeden chwiejny krok w tył.

Carter podbiega, żeby mnie podtrzymać.

– Posadźmy cię na parę minut.

– Nic mi nie jest – zapewniam go. – Serio.

– Nie wyglądasz najlepiej.

Zamiast odprowadzić mnie z powrotem do rezydencji, Carter kieruje mnie ku schodkom, a potem przez trawnik do kamiennego domku. Przez otwarte drzwi wylewa się na trawę złote światło.

– Mieszkasz tu? – pytam.

– Owszem. Ciasny, ale własny.

– A dlaczego nie w głównym domu?

– Bo jestem dozorcą, a to domek dozorczy – kwituje Carter. – Poza tym jest przyjemniejszy niż tamto krzywe dworzyszcze. Przytulnie tu.

Kiedy wprowadza mnie do środka, natychmiast rozumiem, co ma na myśli. Domek, chociaż nieduży, ma niezaprzeczalny urok. Całe wnętrze stanowi jedno pomieszczenie podzielone na dwie części – kuchnię i sypialnię z małą, oddzieloną łazienką w kącie. Czuć rustykalny charakter tego miejsca. Pod sufitem biegną odsonięte belki, a okna z ukośnie ułożonymi szprosami wychodzą na ocean. Ozdobne poduszki na kanapie i starannie zasłanym łóżku stanowią akcent kolorystyczny, a ryciny Audubona przedstawiające lokalne ptaki morskie ożywiają ściany.

Carter sadza mnie przy drewnianym stole jadalnianym, przy którym mieszczą się tylko dwie osoby. Moje krzesło zwrócone jest w stronę stojącego na blacie kuchennym kineskopowego telewizora, w którym leci pierwszy mecz turnieju baseballowego World Series. Orioles kontra Phillies. Carter przycisza głos, po czym otwiera pobliską szafkę.

– Włączam telewizor, żeby coś szumiało w tle – wyjaśnia. – World Series zacznie mnie obchodzić, kiedy do rozgrywek wejdą Red Sox. Czyli nigdy.

Z szafki wyjmuje dwie szklaneczki, do których nalewa po porcji whiskey. Jedną szklanekę stawia na stole przede mną. Drugą trzyma w dłoni, opierając się o blat kuchenny.

– Do dna – mówi. – Dobrze robi na nerwy.

– Pani Baker to by się nie spodobało.

– Pani Baker pewnie już chlapnęła ze trzy kieliszki chardonnay i właśnie dopija czwarty.

– Och. – Zaskoczona gapię się w swoją szklaneczkę. Nigdy bym nie pomyślała, że może mieć problem z piciem. Wydaje się bardzo... poważna. Zastanawiam się, czy była taka już przed przybyciem do Hope's End, czy dopiero to miejsce skłoniło ją do picia. – Nie wiedziałam.

– Oczywiście, że nie wiedziałas. Dopiero tu przyjechałaś. Ale poczekaj trochę, a poznasz wszystkie nasze sekrety.

Upijam małe łyki whiskey. Carter ma rację. Bursztynowe ciepło natychmiast mnie uspokaja.

– Może powinnam wiedzieć o pani Baker coś jeszcze?

Carter odrywa się od blatu i podchodzi do stołu. Odwraca wolne krzesło i siada na nim okrakiem, a ręce opiera na oparciu. We wnętrzu i w świetle dostrzegam w nim rzeczy, które

wcześniej mi umknęły. Jak mały dołek w brodzie, ledwo widoczny pod zarostem. Albo to, jak jego skóra pachnie mydłem i szamponem świeżo po prysznicu.

- Na przykład co? - pyta.

- Choćby to, jak ma na imię.

- Pojęcia nie mam. Zielonego. A jak myślisz?

- Morticia - odpowiadam. - Albo Cruella.

Carter parska śmiechem ze szklaneczką przy ustach.

- Może Archie wie, bo jest tu tak długo jak ona.

- Myślisz, że są parą?

- Wątpię. Z tego, co wiem, ledwo ze sobą rozmawiają.

- To dlaczego twoim zdaniem zostali tu tak długo? Archie powiedział mi, że jest tu od prawie sześćdziesięciu lat, a pani Baker co prawda wyjechała, ale koniec końców wróciła. Na pewno oboje znaleźliby pracę gdzie indziej.

- Myślę, że sytuacja jest bardziej złożona - mówi Carter. - Oni znali Lenorę przed morderstwami. A po prawdzie bez nich byłyby bezradna. Oni to wiedzą i może dlatego są tu od tak dawna.

- A od jak dawna ty tu jesteś?

- Ach, więc teraz ciekawią cię moje sekrety - mówi Carter z uśmiechem, który można by uznać za flirtowski, choć pewnie wynika z uprzejmości. Nikt nie flirtował ze mną od bardzo dawna. Na pewno nie Kenny. Pomiął etap flirtu i przeszedł od razu do rzeczy. Niestety podziałało.

- Sam powiedziałaś, że w końcu i tak się dowiem - odpowiadam, też siląc się na lekko flirtujący ton. To na pewno wina whiskey. - Równie dobrze możesz mi powiedzieć teraz.

- Mój sekret jest taki, że nie jestem dozorcą. A przynajmniej nie byłem, dopóki nie przyjąłem tej pracy.

- A kim byłeś?

- Barmanem. - Carter unosi szklaneczkę i upija łyk. - Mam wrażenie, że wieki temu, choć minął ledwie rok. Tutejszy były dozorca był jednym z moich stałych klientów. Kiedy przeszedł na emeryturę, zaproponował, żebym go zastąpił. Nawet szepnął o mnie dobre słowo.

- Niezły przeskok. Z barmana na dozorcę.

- Racja. Domyślałam się, że uznał mnie za godnego zaufania, a to niezbędna cecha w takim miejscu jak Hope's End. Pani Baker się zgodziła, no i jestem.

Z telewizora dobiega stłumiony ryk. Na małym ekranie zawodnik Phillies okrąży bazy po odbiciu home run. Carter wyciąga rękę i wyłącza telewizor.

- I naprawdę ci się tu podoba? - pytam.

Carter szeroko rozkłada ręce.

- Mam swój domek, i to z widokiem na ocean. Niewielu ludzi może się tym pochwalić. Jasne, pracy jest trochę za dużo na mnie jednego, ale co mi tam. W Hope's End nie mamy zbyt wielu gości, więc nie muszę robić na nikim wrażenia. Nie mam na co narzekać.

- Hmm, może na fakt, że zamordowano tu troje ludzi. I że na dywanie nadal są ślady krwi.

- Zdaje się, że odbyłaś wycieczkę tropem zbrodni.

– Jessie oprowadziła mnie wczoraj w nocy. – Przytakuję skinieniem głowy.

– Tylko nie mów mi, że teraz myślisz, żeby stąd zwać jak Mary.

– Jak dobrze ją znasz?

– Na tyle, żeby pomylić ją z tobą – odpowiada Carter.

Przyglądam się swojemu mundurkowi, który kiedyś należał do Mary. Fakt, że na mnie pasuje, oznacza, że jesteśmy tego samego wzrostu i nosimy ten sam rozmiar. Nic dziwnego, że po ciemku Carter wziął ją za mnie.

– Pewnie jej nagły powrót wydał ci się dziwny.

– Nie tak dziwny jak odejście – mówi Carter. – Bez wypowiedzenia i bez uprzedzenia. Pewnego dnia Mary po prostu zniknęła. To mnie zaskoczyło. Sądziłem, że jest tu szczęśliwa.

– Jessie też powiedziała, że ją to zaskoczyło.

– Były ze sobą dość blisko. Ja jestem raczej typem samotnika. Nie zrozum mnie źle. Byliśmy z Mary przyjaciółmi. Tyle że nie widywałem jej zbyt często. Mieszkam tutaj. Ona przebywała w rezydencji, głównie z Lenorą. Więc nie spędziliśmy czasu razem. Najczęściej gawędziliśmy wieczorami na tarasie. Kiedy widziałem jej mundurek, wychodziłem się przywitać.

– Myślisz, że Lenora miała coś wspólnego z jej odejściem? – pytam. – Może Mary, sama nie wiem... bała się jej albo coś w tym rodzaju?

– Mówisz, jakbyś uważała, że Lenora jest winna – mówi Carter.

Wpatruję się w swoje odbicie drżące na powierzchni bursztynowego płynu w mojej szklaneczce. Całkiem stosownie, bo w środku też cała drzę. Przez ostatnie dwa dni moja opinia o Lenorze zmieniła się tak bardzo, że sama już nie wiem, co o niej myślę.

– A ty mówisz, jakbyś uważał, że nie jest. Więc kto twoim zdaniem to zrobił? Winston Hope czy ten malarz?

– Żaden z nich – odpowiada Carter. – Myślę, że zrobił to Ricardo Mayhew.

Podnoszę wzrok znad whiskey, zdezorientowana.

– Kto?

– Ówczesny dozorca. Mieszkał z żoną w tym domku, gdy miały miejsce te morderstwa. Jej akurat nie było. Pracowała jako pomoc kuchenna i dostała wolny wieczór jak reszta służby. Poszła do kina w mieście. Natomiast Ricardo został w domu.

– Policja o tym wiedziała?

– Owszem – odpowiada Carter. – Wtedy, w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, powszechnie podejrzewano, że nie cała służba domowa wyszła wieczorem.

– A skąd ty o tym wiesz?

– Od mojego poprzednika. Ja nalewałem drinki, a on opowiadał mi o tym miejscu. To jeden z powodów, dla których wziąłem tę pracę. Tyle się nasłuchiwałem o Hope's End, że chciałem w końcu poznać to miejsce osobiście.

– Więc ten dozorca...

– Ricardo -- wtrąca Carter.

Kiwam głową.

– Właśnie. Ricardo. Został w domu i... co robił?

– Nikt nie wie.

- Policja nie przesłuchiwała go po morderstwach?

- Nie było jak. Ricardo Mayhew zniknął. Po tamtej nocy już nigdy go nie widziano.

Carter obrzuca mnie wzrokiem znad okularów, czekając na moją reakcję. Reaguję stosownie do sytuacji – szczęka opada mi ze zdumienia.

- A jego żona...

- Berniece.

To imię coś mi przypomina. Lenora wspomniała o niej mimochodem. Berniece była tą pomocą kuchenną, która złożyła jej niezbyt entuzjastyczne życzenia urodzinowe.

- Ona też nigdy więcej go nie zobaczyła?

- Nie.

- I nie miała pojęcia, gdzie zniknął ani co się z nim stało?

- Najmniejszego – odpowiada Carter. – Wciąż mieszka w okolicy. Ludzie mówią, że nie wyjechała z miasta, bo nadal czeka na powrót męża. Choć bardziej prawdopodobne, że ta biedna kobieta nie ma gdzie się podziać.

- Więc myślisz, że Ricardo Mayhew zamordował rodzinę Hope'ów, a potem uciekł?

- Tak przypuszczam. Jeśli nie zabiła ich Lenora, to jedyne sensowne wyjaśnienie.

- Ale po co dozorca miałby zabijać Winstona Hope'a i jego rodzinę?

- Nie wiem – odpowiada Carter. – A po co miałyby to robić Lenora?

Słuszna uwaga. Sama wciąż próbuję to rozgryźć. Ale Carter nie spędził z nią całego dnia, pomagając jej pisać na maszynie. Nie czytał o zakrwawionej koszuli nocnej. Ani o tym, że Lenora cisnęła nóż do oceanu. Ani o tym, że zeszła z tarasu, aby wziąć sznur, który jak sądzę, był później zaciągnięty wokół szyi jej siostry.

I choć chcę powiedzieć mu o tym wszystkim, nie robię tego. Czuję, że nie powinnam o niczym wspominać, dopóki nie poznam całej historii. Dopiero wtedy będę mogła zdradzić szczegóły. Myślę, że tego właśnie pragnie Lenora – żebym stała się głosem, którego jej brakuje. Nawet jeśli to, co powiem, będzie jej spowiedzią, z którą tak długo zwlekała.

- Jeśli masz rację, co wcale nie jest takie pewne, to i tak nie ma sensu. Bo dlaczego Lenora niczego nie powiedziała? Jeżeli Ricardo zabił jej rodziców i siostrę, czemu nie powiedziała tego policji?

Albo mnie, nawiasem mówiąc. Jak dotąd ani razu nie wspomniała nazwiska Ricarda Mayhewa. Jeśli uważała go za winnego, to dlaczego nie napisała tego w pierwszej kolejności? Zamiast tego zaczęła od chwili, kiedy – jak sama to ujęła – było już prawie po wszystkim.

- Może nie wiedziała – zasugerował Carter.

Ale Lenora wiedziała, że jej rodzice nie żyją. Sama to napisała. Byli martwi, a ona miała zakrwawioną koszulę nocną i wyrzuciła nóż nad balustradą tarasu, chociaż była świadoma, że to dowód dwóch brutalnych zbrodni. Dlaczego miałyby to zrobić, jeśli to nie ona go użyła? Dopijam whiskey; myśli kołaczą mi się w głowie jak kostki lodu w pustej szklance. Z tego mentalnego chaosu nagle wyłania się nowa teoria. Taka, którą nie mogę podzielić się z Carterem.

Jeszcze nie.

- Muszę iść – mówię, nagle wstając. – Dzięki za drinka.

Carter patrzy z zakłopotaniem, jak pospiesznie macham mu na pożegnanie, wychodzę z domku i przechodzę przez wilgotny trawnik. Na tarasie uważam na gonty pod nogami i trzymam się z dala od balustrady. Dopiero gdy jestem już pod oknem Lenory, ryzykuję spojrzenie w górę. Choć w jej pokoju nadal jest ciemno, a w oknie nie mający żaden kształt, nie mogę pozbyć się myśli o Lenorze, która leży w pokoju, całkowicie obudzona, i powtarza w myślach jedną linijkę rymowanki, którą znam od podstawówki.

„To nie ja ich zabiłam!” – Lenora wołała.

Może ta część wierszyka mówi prawdę.

Podejrzewam jednak, że w tej sprawie kryje się więcej, niż Lenora zdradziła komukolwiek – wtedy czy teraz.

W domu szybko wspinam się po schodach dla służby. Na piętrze zaczynam chwiać się na nogach; wypita whiskey jeszcze wzmaga skutek przechylenia rezydencji. Czuję się tak, jakbym wypila nie jednego, a cztery drinki, co wyjaśnia, dlaczego bezczelnie wpadam do pokoju Lenory.

Włączam lampkę na stoliku nocnym i Lenora budzi się, przestraszona.

A może tylko udaje przestrasz. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że nie spała – i wiedziała, że przyjdę. Zanim mnie rozpoznała, wcale nie próbowała nacisnąć przycisku alarmowego. No i to zaintrygowane spojrzenie w jej oczach. Błyszczą zadowoleniem, choć na reszcie twarzy widać szok i wyraźny znak zapytania.

– Chcę, żebyś powiedziała mi o Ricardzie Mayhewie – wypalam.

Przez dziesięć minut szlochałam w sali balowej, zanim pobiegłam poszukać Archiego. On wiedziałby, co powiedzieć, żebym poczuła się lepiej. Jak zawsze. Ostatnio jednak Archie jakby usunął się w cień. Dzisiaj widziałam go tylko przelotnie, kiedy przed kolacją przechodziłam przez kuchnię, i nawet wtedy nie ośmieliłam się do niego odezwać. Mojej siostrze i mnie zabroniono spoufalać się ze służbą i vice versa, ale to nie zdołało powstrzymać mnie i Archiego przed zostaniem najlepszymi przyjaciółmi.

Nie mogąc go znaleźć, wybiegłam na zewnątrz, na taras. Według kalendarza była już wiosna, ale zima wciąż nie odpuszczała i nocne powietrze było orzeźwiająco chłodne. Nie przeszkadzało mi to. Najważniejsze, że mogłam wyjść z tego okropnego, wstrętnego domu.

Wspięłam się na balustradę. Jeszcze jedna rzecz, którą robiłam mimo zakazów, głównie dlatego, że była tak niska. Jeśli ojciec nie chciał, abym się na nią wdrapywałam, to powinien był założyć wyższą. Siedząc tam i niebezpiecznie balansując, wpatrywałam się w wodę w dole. Księżyc skrzył się na falach oceanu, a ich białe grzywy połykiwały w mroku nocy. Były tak piękne, że przez krótką chwilę miałam ochotę zeskoczyć z balustrady i dołączyć do nich.

Wydawało się to lepszą alternatywą niż życie w Hope's End. Byłam młoda i targała mną tęsknota. Za miłością. Za przygodą. Za życiem. Ale nic z tego nie czekało mnie tutaj, w miejscu, gdzie moja matka faszerowała się lekami do nieprzytomności, ojciec otwarcie zdradzał ją z pokojówkami, a siostra udawała, że wszystko jest w porządku. Czy w ten sposób miałam spędzić resztę życia?

Jeżeli tak, to wolałabym zakończyć je teraz. I jakże stosowny byłby to koniec, gdyby dzień moich urodzin stał się zarazem dniem mojej śmierci.

Zanim zdołałam rozwinąć tę myśl, zza pleców dobiegł mnie czyjś głos.

– Ostrożnie. Jeśli spadniesz i się zabijesz, to w tym miejscu nie będzie już nic godnego uwagi.

Odwrociłam się, o mały włos nie tracąc przy tym równowagi. Zachwiałam się na balustradzie, nagle przerażona perspektywą upadku. Sekundę wcześniej myślałam, aby z tym wszystkim skończyć. Teraz niczego nie pragnęłam bardziej, niż tylko żyć – choćby po to, aby zbesztać mego nieznanego towarzysza za to, że mnie szpieguje.

Odzyskawszy równowagę, zeskoczyłam z balustrady. W tej samej chwili właściciel głosu wysunął się z cienia przy ścianie budynku. Wiedziałam, kim jest, bo słyszałam, jak Berniece wspomniała o nim w kuchni, i podśluchałam służące, które mówiły, jak bardzo jest przystojny.

I rzeczywiście: był przystojny. W tych zwykłych roboczych spodniach i bawełnianym podkoszulku miał w sobie coś pierwotnego. Siłę z nutką brutalności. Zamiast zaczesywać włosy do tyłu i przyglądać je brylantyną jak większość mężczyzn w tamtych czasach, pozwalał im rosnąć swobodnie i niesformnie. Odgarnął kosmyk sprzed oczu i rzucił mi spojrzenie, które można opisać jedynie jako wilcze. Na ustach igrał mu uśmiech, jakby znał każdą bezecną myśl, jaka przeszła mi przez głowę tego dnia.

– Tak naprawdę wcale nie chciałaś skoczyć, prawda? – powiedział.

Spojrzałam w jego stronę, choć starałam się tego nie zrobić. Nie chciałam się gapić, bo wiedziałam, co sobie wówczas pomyśli: że uznaje go za warte uwagi, a zdecydowanie był jej wart. Jednak to, co powiedział, zmusiło mnie, aby odważnie się z nim zmierzyć. Choć miał zupełną rację, jego słowa zabrzmiały niestosownie.

– Nie muszę się tłumaczyć. Zwłaszcza komuś takiemu jak ty.

– Słusznie – odparł. – Nie musisz. Ale jestem ciekaw, dlaczego ktoś, kto ma twoje życie, ryzykuje, że zginie, wdrapując się na tę balustradę.

Odwrociłam się do oceanu, aby dłużej na niego nie patrzeć.

– Nic nie wiesz o moim życiu.

– Zamieniam się w słuch. – Podszedł do balustrady, całą uwagę skupiając na mnie, jakby nie mógł się doczekać, aby usłyszeć, co mam do powiedzenia. – Powiedz mi, co jest w nim nie tak.

– Wszystko.

Gwizdnął cicho.

- To brzmi naprawdę poważnie.

- Czyżby moje problemy cię bawiły? - spytałam.

- Ależ skąd, panno Hope. Ale na pewno nie wszystko jest takie straszne.

- Ten dom jest - odparłam. - Straszny w każdym calu.

Odwrócił się i obrzucił spojrzeniem mieniącą się rezydencję za naszymi plecami.

- Mnie wydaje się całkiem ładny.

- Nie jest taki, zapewniam cię - odparłam. - Szczerze mówiąc, mogłabym zabić, żeby się stąd wyrwać.

Zbliżył się do mnie tak bardzo, że dzieliło nas ledwie kilka centymetrów. Wręcz czułam bijące z jego skóry ciepło, od którego aż przechodziły mnie rozkoszne dreszcze.

- Nie zostaliśmy sobie odpowiednio przedstawieni - powiedział, wyciągając rękę. - Jestem Ricky.

Rozdział 15

Ricky

Lenora wystukuje to imię z taką siłą, że czcionki kaleczą kartkę niczym żelazo do wypalania piętna. Zaraz potem wpatruje się we mnie wyzywająco i z wyraźną irytacją. Jej oczy, zwięzione jak u czarnego charakteru w kreskówce, zdają się pytać, czy jestem zadowolona.

Nie jestem, mimo tego rozdziału wybębionego w środku nocy i mimo odpowiedzi wystukanych na moje pytania, które zadałam, nim zaczęła pisać. Pierwsze, zadane zaraz po tym, jak wtargnęłam do jej pokoju, brzmiało:

- Znałaś go, Lenoro?

Potwierdziła stuknięciami w narzutę.

- Wiesz, co się z nim stało?

Pojedyncze stuknięcie. Nie.

- Czy Ricardo to zrobił?

Carter miał rację. Jeśli to nie ona, było to jedyne sensowne wyjaśnienie. Tamtej nocy Ricardo tu był. Potem zniknął – najprawdopodobniej po zabiciu Winstona i Evangeline Hope'ów. A moim zdaniem Lenora albo o tym wiedziała, albo to podejrzewała.

W odpowiedzi Lenora przeniosła wzrok ze mnie na maszynę do pisania po drugiej stronie pokoju. Zdążyłam już poznać to spojrzenie na tyle dobrze, aby od razu pomaszerować do biurka, wręcić w wałek czystą kartkę i całość zanieść do łóżka. Lenora zaczęła pisać, a pacnięcia klawiszy odbijały się głośnym echem w nocnej ciszy jej sypialni.

Jeszcze nie mogę ci powiedzieć

- Dlaczego?

Bo muszę to zrobić po kolei

Powtórzyłam swoje pytanie:

- Dlaczego?

Skinęła głową, dając mi znak, abym nacisnęła dźwignię wierszową.

Żebyś zrozumiała co się stało

Kolejne skinienie.

I jak

Trzecie skinienie.

I dlaczego

– Albo możesz po prostu napisać, kto to zrobił – powiedziałam z nadzieją. – A zrozumieć pomożesz mi później.

Przez twarz Lenory przebiegł cień uśmiechu. Zdałam sobie sprawę, że sprawia jej to przyjemność. Opowiadanie swojej historii kawałek po kawałku. Intrygowanie mnie. Trzymanie w napięciu.

Położyła dłoń płasko na klawiaturze. Zwykle sygnalizowała w ten sposób, że skończyła rozdział. W tym przypadku chodziło o to, że chce czystą kartkę. Posłusznie przyniosłam kilka z biurka i wkręciłam jedną w wałek.

Zaraz miał się zacząć nowy rozdział.

Następne dwie godziny spędziłyśmy na pisaniu. Z upływem czasu – północ nadeszła i minęła – atmosfera w pokoju zaczęła się subtelnie zmieniać. Zrobiło się zimniej. Nie od razu. Stopniowo. Chłód zakradał się w taki sam sposób jak zima po wspaniałej jesieni. Kiedy Lenora zaczęła wystukiwać trzecią stronę, zadrżałam z zimna.

Gorsze było jednak wrażenie, które ogarnęło mnie w połowie pisania – że nie jesteśmy same, choć przecież w pokoju nie było nikogo innego. Wiem, bo zerknęłam w stronę zamkniętych drzwi i potoczyłam spojrzeniem po ciemnych kątach, gdzie nie sięgało światło lampki ze stolika nocnego.

Nie było nikogo. Tylko my.

A mimo to nie potrafiłam otrząsnąć się z wrażenia, że ktoś się czai w pobliżu i nas obserwuje. Nawet kiedy Lenora pisała o spotkaniu z przystojnym nieznajomym na tarasie, odpływałam myślami ku temu, co Jessie opowiadała mi podczas wycieczki tropem zbrodni.

Że Mary jakoby widziała snującego się po piętrze ducha Virginii Hope.

Że bała się tego miejsca.

Że to dlatego stąd uciekła.

„Hope’s End to nie jest zwyczajny dom. Jest tu jakiś mrok. Czuję to. Mary też to czuła”.

Chociaż Jessie powiedziała to, aby zrobić mi dowcip w sali balowej, przyszło mi do głowy, że może kryje się w tym trochę prawdy. Z mojego doświadczenia wynika, że większość kłamstw ma w sobie przynajmniej ziarnko prawdy. Bo ja też czułam tu mrok.

I wcale mi się to nie podobało.

Lenora klepnęła moją dłoń, wyrывая mnie z zamyślenia i dając mi do zrozumienia, że mam wcisnąć klawisz zmieniaacza. Zrobiłam to i spytałam:

– Czujesz to? Jakby był tu ktoś jeszcze?

Stuknęła „nie” i podjęła pisanie, a ja nadal czułam spojrzenie obserwujących nas niewidzialnych oczu i upiorny dreszcz, który przenikał mnie coraz mocniej, dopóki na kartce nie pojawiło się to ostatnie słowo.

Ricky.

W pokoju robi się cieplej, gdy tylko Lenora je wystukuje. Chłód, który czułam jeszcze przed chwilą, znika w jednej chwili, a wraz z nim wrażenie, że jest tu ktoś jeszcze, kto obserwuje nas z ukrycia. Teraz jedyną obserwującą osobą jest Lenora, która wpatruje się we mnie, pytając bez słów, czy to, co właśnie napisała, mi wystarczy.

- Na razie tak - odpowiadam i odnoszę maszynę na biurko, a wkręcona w wałek kartka powiewa w rytm moich kroków.

Wciąż nie znam połowy wydarzeń, które rozegrały się wcześniej - podczas morderstwa rodziców lub później - ale Lenora nie musi opisywać wszystkiego dziś wieczorem. To, co napisała, aż zapierało dech w piersiach i pozwoliło mi wydedukować kilka kluczowych faktów.

Na przykład teraz wydaje mi się, że wiem, dlaczego Lenora pozbyła się narzędzia zbrodni. Zrobiła to z tego samego powodu, dla którego tak niewiele powiedziała policji o tamtej nocy.

Próbowała kogoś ochronić.

Jasne wydaje mi się też, dlaczego to zrobiła.

Osiem miesięcy przed tymi morderstwami Lenora zakochała się w Ricardzie Mayhewie.

Rozdział 16

Budzę się, czując narastający w gardle krzyk. Duszę go w sobie, przełykam z trudem ślinę, aby nie pozwolić mu wdrzeć się w mrok mojego pokoju. Potem siadam w łóżku i próbuję otrząsnąć się z kolejnego koszmaru, który nieomal wyrwał ze mnie wrzask.

Znowu moja matka.

Stała nad moją śpiącą postacią.

Wpychała mi do ust pigułki, aż zaczęłam się krztusić.

Koszmar był tak żywy, że wpycham sobie palec wskazujący do ust, szukając w nich pigulek, których przecież nie może tam być.

I wtedy to słyszę. Skrzygnięcie.

Takie samo jak to, które usłyszałam zeszłej nocy, dochodzące z tego samego miejsca.

Z pokoju Lenory.

Drugie skrzygnięcie wyrывa mnie z łóżka. Wszelkie myśli o koszmarze sprzed chwili błyskawicznie wyparowują mi z głowy, kiedy podkradam się do drzwi między naszymi pokojami. Teraz myślę tylko o jednym: muszę odkryć, co, do diabła, powoduje te odgłosy.

Stojąc przy drzwiach, spoglądam pod nogi. Cienka smużka księżycowego blasku wydostająca się przez szczelinę nad podłogą niemal dosięga palców moich stóp.

Widzę też jakiś cień.

Mija drzwi po drugiej stronie, przesłaniając światło księżyca.

Wstrzymuję oddech, przekręcam gałkę i gwałtownym ruchem otwieram drzwi.

W pokoju Lenory nie ma nikogo innego. Jest tylko ona, leżąca na wznak w swoim łóżku, pogrążona w głębokim śnie.

Przypominam sobie ten szary, niewyraźny kształt w oknie, który widziałam wcześniej i który wyleciał mi na chwilę z pamięci w obliczu późniejszych wydarzeń. O mały włos nie wypadłam przez balustradę tarasu. Długo rozmawiałam z Carterem. Jeszcze dłużej asystowałam Lenorze przy pisaniu. Niemniej jestem pewna, że ktoś chodził po tym pokoju – i wtedy, i teraz. Podchodzę do łóżka i klękam przy boku Lenory, aby sprawdzić, czy naprawdę śpi, a nie tylko udaje, tak jak zgodnie z moimi podejrzeniami kilka godzin temu, kiedy wparowałam do jej pokoju. Macham dłonią przed jej twarzą, na co nie reaguje. W żaden sposób nie daje po sobie poznać, że jest świadoma tego, co robię. Potem dotykam jej lewego nadgarstka, aby sprawdzić jej puls. Jest wolny, miarowy.

– Lenoro? – szepczę mimo to. – To byłaś ty?

Nie odpowiada mi, rzecz jasna. Nie może. Tak jak nie może chodzić. A nawet gdyby mogła, ma siedemdziesiąt jeden lat. Nie ma mowy, żeby poruszała się dość szybko, by wskoczyć do łóżka, gdy tylko otworzyłam drzwi. Nawet ktoś o połowę młodszy nie dałby rady tego zrobić.

Ponieważ nie była to Lenora, a w pokoju nie ma nikogo innego, wiem, że powinnam winić własną wyobraźnię. Jest późno, jestem wyczerpana i możliwe, że ten dom miesza mi w głowie. Niemniej te odgłosy były faktem. Tak samo jak cień pod drzwiami i niewyraźny kształt w oknie. Nie wyobraziłam ich sobie.

Słyszałam je, widziałam i wiem, że musi istnieć dla nich jakieś logiczne wyjaśnienie.

„Rano wszystko nabierze sensu”.

Kolejna rada, którą powtarzała mi matka, kiedy zmagalam się z bólem i napięciami okresu dojrzewania. Idź spać. Wyśpij się porządnie. Rano wszystko nabierze sensu. Zwykle miała rację. Nawet jeśli sprawy nie do końca nabierały sensu, rano często czułam się lepiej.

Tym razem jednak ta rada okazuje się do niczego.

Wciąż nie widzę w tym wszystkim sensu, gdy budzę się kilka godzin później, czując, jak słońce muska moje siatkówki, a materac znajduje się o kilka centymetrów niżej niż wtedy, kiedy kładłam się spać. Wyczerpana zwlekam się z łóżka i zaczynam poranną rutynę.

Biorę prysznic w przechylonej wannie.

Myję zęby nad przechylonym zlewem.

Wkładam mundurek, który należał do kogoś, kto uciekł z tego miejsca.

Nim zejść na dół, zaglądam do Lenory. Przystaję na chwilę pod drzwiami, po czym otwieram je gwałtownym ruchem. Jak podejrzliwy kochanek. Albo nieufny ojciec. Jakbym próbowała przyłapać ją na gorącym uczynku. Na czym konkretnie, nie mam pojęcia. Poza pisaniem na maszynie najczęściej po prostu lustruje pokój, tak jak teraz, kiedy rzuca mi pytające spojrzenie z łóżka.

Pierwsze, co sprawdzam, to biurko.

Maszyna stoi dokładnie w tym miejscu, w którym ją wczoraj postawiłam. Kartka leży obok, zapisaną stroną do góry, jakby ktoś ją czytał.

Jednak w przeciwieństwie do wczoraj tym razem jestem pewna, że zostawiłam ją wkręconą w wałek. Pamiętam, że widziałam, jak powiewa, kiedy odnosiłam maszynę z powrotem na biurko.

Odwracam się do Lenory.

– Ktoś tu był w nocy. Mam rację, prawda?

Odpowiada mi jednym z tych swoich niejasnych skinień, które wciąż uczę się interpretować. Tym razem znowu domyślam się, że mam przynieść maszynę do łóżka. Wykonuję polecenie, po czym umieszczam dłoń Lenory na klawiszach i pozwalam wystukać odpowiedź.

nie spałaś dobrze

Nie potrafię rozszyfrować tonu tego zdania. Bez interpunkcji wygląda na stwierdzenie, a to oznacza, że Lenora wie, że nie spałam dobrze. Z pytajnikiem – którego brakuje, ponieważ wymaga wciśnięcia zmieniacza – te słowa stają się bardziej niewinne. Stanowią pytanie, być może spowodowane tym, że mam podkrążone oczy.

Lenora patrzy na mnie, czekając na odpowiedź. Malujące się na jej twarzy oczekiwanie i dezorientacja przekonują mnie, że chodzi o tę drugą opcję.

- Nie najlepiej - potwierdzam.

Znowu zaczyna poruszać dłońią po klawiaturze i w rezultacie wystukuje znajome słowo.

zmora

Tym razem domyślam się, że to pytanie, bo Lenora wygina brwi z zaciekawieniem. Kiwam głową i uśmiecham się.

- Tak. Ale nawet przedtem nie mogłam zasnąć.

Znów coś pisze.

wiatr

I jeszcze coś dopisuje.

wywołuje dziwne odgłosy

Robię krok do tyłu i przyglądam się Lenorze.

- Skąd wiesz, że słyszałam jakieś odgłosy?

Bo sama je wywołała.

Ta myśl wwierca mi się w mózg niczym świder. Nagła, wytrącająca z równowagi, niepożądana.

I absurdalna.

Nie, to był ktoś inny.

A Lenora mnie okłamuje.

Prawdopodobnie nie pierwszy raz.

Przychodzi mi do głowy, że znaczna część tego, co do tej pory napisała, może być jeśli nie kłamstwem, to przynajmniej naginaniem prawdy. Być może Lenora kształtuje swoją historię w sposób, który najbardziej jej odpowiada. Sama tak zrobiłam w rozmowie z panią Baker zaraz po przyjeździe. Mogłam jej powiedzieć, że to moja matka przedawkowała pigułki. A zamiast tego powiedziałam, że zrobiła to pewna pacjentka. Nie było to właściwie kłamstwo, ale też nie cała prawda. Bynajmniej. Podejrzewam, że Lenora robi to samo.

I zaczyna mnie to męczyć.

- Wiem, że wczoraj w nocy ktoś tu był - mówię. - Więc teraz powiesz mi kto albo nie będzie więcej pisania. Koniec z opowiadaniem twojej historii.

Lenora przygląda mi się badawczo, próbując ocenić, czy nie blefuję. Życzę powodzenia. Nawet ja sama nie wiem, na ile poważnie to mówię. Choć podejrzewam, że chcę poznać całą tę historię równie mocno, jak Lenora chce ją spisać, to jednocześnie się waham. Jak już wspominałam, to może nie być cała prawda. A jeśli jest, to być może wcale nie chcę jej znać.

Najwidoczniej wyglądam na bardziej zdeterminowaną, niż się czuję, bo Lenora znowu zaczyna pisać.

ktoś tu był

Rozkoszuję się tą chwilą triumfu. Wiedziałam, że to nie była moja wyobraźnia!

- Ale nie tylko wczoraj, prawda? Poprzedniej nocy też.

wiele nocy

– Więc kto to jest? – pytam wstrząśnięta. – Kto był w twoim pokoju?

Lenora znów mierzy mnie wzrokiem, wciąż się wahając. Po chwili, z wyraźną niechęcią, podejmuje pisanie. Całą minutę zajmuje jej wciśnięcie ośmiu klawiszy. Kiedy kończy, wyszarpuje kartkę z maszyny. Na białym papierze odznacza się wypisane czarnym jak noc tuszem jedno imię.

virginia

Rozdział 17

Wysłuchawce rzeźbi muzyczka, kiedy czekam, aż pan Gurlain podejdzie do telefonu. Każę mi czekać już od pięciu minut. Wystarczająco długo, by mdłą wersję piosenki duetu Captain & Tennille zastąpił jeszcze gorszy cover *You Don't Bring Me Flowers*. Czekam ze słuchawką przy uchu i rozglądam się po pustej kuchni, mając nadzieję, że nikt tu teraz nie wejdzie. Nie chcę się tłumaczyć, dlaczego zostawiłam Lenorę samą w wózku i poszłam zadzwonić. A już na pewno nie chcę wyjaśniać powodu, dla którego dzwonię. Wyjawienie go panu Gurlainowi będzie wystarczająco trudne.

Kiedy wreszcie odbiera, szczęśliwie przerywając muzyczkę, w jego głosie słychać nerwowość. Przypuszczam, że myśli o poranku, w którym znalazłam matkę martwą, bo właśnie wtedy ostatnio odebrał ode mnie pilny telefon.

– Czy coś się stało? – pyta.

– Nie... Cóż, tak. – Wciążam powietrze, wstrzymuję oddech i robię wydech. – Dzwonię z prośbą o nowe zlecenie.

– Właśnie dałem ci nowe zlecenie – mówi pan Gurlain.

– Chciałabym inne – mówię i dorzucam grzecznie: – proszę.

– Minęło dopiero kilka dni, Kit.

– Wiem. Po prostu...

Głos mi się zacina. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Że się boję? Nie boję się. Lęk wymaga pewności. Wiesz, czego się boisz. Ze mną jest odwrotnie. Nie mam pewności i jestem wytrącona z równowagi. Czy można mnie winić? Tkwią w przechylonej rezydencji, gdzie zamordowano troje ludzi. Na Wielkich Schodach są plamy krwi, a w sali balowej wisi żyrandol, z którego zwisała martwa dziewczyna. Ta sama, która najwyraźniej pęta się nocami po pokoju mojej pacjentki.

– Nie wierzę w duchy.

– W żadnym razie nie sądzę, aby to, co słyszałam, było duchem Virginii Hope.

A jednak w Hope's End coś jest nie tak. To oczywiste. I być może przeraziło to Mary do tego stopnia, że odeszła w środku nocy, niczego ze sobą nie zabierając. Nie chcę tu tkwić i czekać, aby się przekonać, czy w końcu i ja popadnę w taką desperację. Wolałabym odejść już teraz, w biały dzień, zabierając ze sobą swoje rzeczy.

– Nie podoba mi się tu – mówię w końcu. – Mówiłam panu, że nie czuję się komfortowo na myśl o pracy w tym domu.

– A ja odpowiedziałem, że nie mamy wyboru – przypomina mi pan Gurlain.

– Ale są inne opiekunki. Widziałam ich nazwiska na tablicy. Nie może pan przysłać tu jednej z nich, a mnie umieścić gdzie indziej? Niekoniecznie natychmiast. Mogę poczekać tydzień czy dwa na nowy przydział.

Ta ostatnia część to przesada. Może mi nie starczyć pieniędzy, żeby przetrwać kilka tygodni. Ale pan Gurlain nie musi o tym wiedzieć. Musi mnie tylko przenieść – choć najwyraźniej nie ma na to ochoty.

– Już o tym rozmawialiśmy, Kit – mówi z westchnieniem. – Ja załatwiam...

– Zlecenia, opiekunki je wykonują. Tak, wiem. Po prostu miałam nadzieję, że rozważy pan zrobienie jednorazowego wyjątku.

– Nie mogę – odpowiada bez chwili namysłu pan Gurlain. – Oczywiście masz prawo zrezygnować z tego zlecenia. Jeśli jednak to zrobisz, zakończymy współpracę na dobre. Już raz zrobiłem dla ciebie wyjątek. Większość innych agencji zwolniłaby cię pół roku temu. Decydujesz się czy nie?

Nie mam wyboru, muszę się zgodzić. Owszem, mogłabym rzucić tę pracę tu i teraz albo jak Mary odejść w środku nocy, ale w ten sposób zaszkodziłabym jedynie samej sobie. Kończą mi się pieniądze i nie mam żadnych widoków na pracę. Nawet nie jestem pewna, czy mogę wrócić do domu. Odejście stąd tylko pogorszyłoby te problemy.

Innymi słowy utknęłam w Hope's End.

– Rozumiem – odpowiadam szybko, żeby pan Gurlain nie domyślił się, że jestem bliska płaczu. – Przepraszam, że zawracałam panu głowę.

Poddając się swemu losowi, rozłączam się i rozglądam po tej ogromnej, pustej kuchni w ogromnym, pustym domu.

Jak ja, do diabła, się tutaj znalazłam?

Dumam nad tym, jak inaczej mogło potoczyć się moje życie – i kiedy wszystko się tak posypało. Czy wtedy, gdy moja matka zachorowała? A może wcześniej? Na przykład kiedy zwolniono mnie z hali maszyn i postanowiłam zostać opiekunką? Lub kiedy znudzona szkołą uświadomiłam sobie, że nigdy zbyt wiele nie osiągnę, i uznałam, że nie warto nawet próbować? A może wstąpiłam na tę drogę w chwili, gdy po raz pierwszy usłyszałam wierszyk o Lenorze.

Gdy Lenora Hope siedemnastkę skończyła...

W koszyku na blacie kuchennym leży jedna muffinka z jagodami, która została ze śniadania. Chwytam ją i biorę gryza, przechodząc przez jadalnię na taras. Na zewnątrz jest rześko, ale słonecznie – idealna pogoda na rozjaśnienie umysłu. Co jest mi niezbędne po rozmowie z panem Gurlainem. Słońce, wiatr i słonawe powietrze uspokajają mnie i pozwalają znów zacząć myśleć racjonalnie.

Skoro już wiem, że tutaj utknęłam, muszę się skupić na tym, jak mogę się uwolnić.

Odpowiedź jest oczywista: robić swoje.

Pracować, zarabiać, zaoszczędzić tyle, by móc się wyrwać jak najdalej stąd, zacząć od nowa.

Znaczy to również, że muszę spełnić groźbę daną Lenorze, jeżeli nie powie mi, kto był w jej pokoju.

Koniec z pisaniem. Koniec z opowieścią.

Powtarzam sobie, że to prawdopodobnie i tak same kłamstwa. Skoro Lenora nie może zdobyć się na szczerość w kwestii tego, kto skrada się po jej pokoju, to na pewno nie powie mi

też prawdy o tamtej nocy, kiedy wymordowano jej rodzinę. Czuję się jak pierwsza naiwna, by nie rzec głupia, bo uwierzyłam, że będzie ze mną szczerą.

Postanawiam, że w następnej kolejności muszę się dowiedzieć, co było źródłem tych dźwięków w pokoju Lenory. Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie. To samo dotyczy cienia w szczelinie pod drzwiami i niewyraźnego kształtu, który widziałam w oknie.

Ponieważ Archie, pani Baker, a nawet Lenora wskazywali na wiatr, to jest on najbardziej prawdopodobnym winowajcą. Znają Hope's End lepiej niż ja. Z kolei ten kształt w oknie mógł być złudzeniem optycznym, odbiciem księżyca w szybie. A co do cienia pod drzwiami, mogły go spowodować przesuwające się po niebie chmury, które na krótką chwilę przesłoniły księżyc. Taki sam efekt mógłby wywołać samolot albo duży ptak. Zważywszy na kiepski stan domu, jeszcze bardziej prawdopodobną przyczyną byłaby obluźwana okiennica albo naderwana rura spustowa.

Odwracam się przodem do wznoszącej się za mną dwupiętrowej, majestatycznej rezydencji. Ostrożnie, aby nie stracić równowagi, opieram się o balustradę i uważnie lustruję budynek. Wokół okien Lenory wszystko wydaje się w porządku. Żadna okiennica nie kołysze się na wietrze, a z dachu nie zwisa żadna rura.

Jest jednak mnóstwo ptaków. Mewy krążą w górze, po czym nurkują, wabione widokiem krabów piaskowych odsłoniętych przez odpływ. Odwracam się i spoglądam na pas piasku ciągnący się między wodą i podstawą klifu. Gładkie fale spokojnie rozbijają się o brzeg, a spieniona woda oblewa wystające z piachu skały.

Przechyliłam się, by spojrzeć uważniej, i nagle dociera do mnie, że się mylę.

To nie skały wystają z mokrego piasku.

To coś innego.

Ręka.

Stopa.

Głowa.

Wystają z wybrzuszenia w piasku, które ma kształt zwłok.

I zanim jeszcze zacznę krzyczeć, wiem ze straszną pewnością, że patrzę na trupa Mary Milton.

Rozdział 18

Jestem na oszklonej werandzie, marnie oświetlonej, bo nie ma słońca. Niebo na zewnątrz przecinają ciemne chmury, które nadciągnęły niedługo po tym, jak znalazłam ciało Mary. Wszystko wydaje się szare i napastliwe, jakby zbliżająca się burza napierała na dom, usiłując wdrzeć się do środka. W tej posępnej atmosferze towarzyszy mi ostatnia osoba, jaką mam ochotę oglądać.

Detektyw Vick.

Siedzi na tej samej dwuosobowej kanapie, którą zajmowała pani Baker w dniu mojego przyjazdu, i wygląda na wymiętego i niezadowolonego z faktu, że się tu znalazł. I że mnie widzi. Czuję dokładnie to samo. W jego obecności robię się spięta. To odruch bezwarunkowy. W rezultacie ogarnia mnie zbitka emocji – niedowierzenie i smutek mieszają się z intensywnym niepokojem, że detektyw Vick przybył tu nie po to, aby pytać mnie o Mary, ale żeby w końcu mnie aresztować.

– Cóż, Kit – mówi – jestem zdecydowanie zaskoczony.

Szarpię za rąbek mundurka, próbując ściągnąć go bliżej kolan. Jest mi zimno, wciąż czuję ziaęb, który przeszył mnie, gdy tylko zdałam sobie sprawę, że patrzę na zwłoki Mary Milton. To szok, wiem, nasilony świadomością, że rozmawiam z człowiekiem, który chciał wtrącić mnie do więzienia.

– Zaskoczony, że jestem w Hope's End? – pytam. – Czy tym, że wciąż mogę pracować po tym, jak oskarżył mnie pan o morderstwo?

Detektyw wzdycha.

– Po co się spierać. Ja tylko próbuję ustalić, co się stało.

– Ostatnim razem chyba nie za bardzo to pana interesowało.

– Puszczę to mimo uszu – mówi detektyw Vick. – Masz prawo być zdenerwowana.

I jestem. Boję się choćby mrugnąć, żeby przypadkiem nie ujrzeć pod powiekami obrazu wystających z piasku zwłok Mary. Zdenerwowanie pogłębia świadomość, że zobaczyłam jej ciało już wczoraj wieczorem, po tym, jak prawie przekezoziółkowałam przez balustradę tarasu.

Spojrzałam w dół i dostrzegłam ciemne kształty, które wtedy uznałam za skały, a które teraz okazały się zwłokami Mary. Wciąż myślę o tym, jak długo tam leżała – i że mogłam oszczędzić jej przynajmniej kilku godzin upokorzenia, gdybym wcześniej zrozumiała, na co patrzę. Świadomość, że tak się nie stało, sprawia, że ogarnia mnie smutek i poczucie winy tak dojmujące, że zapiera mi dech w piersiach.

Nie zamierzam jednak pozwolić, aby detektyw Vick zorientował się w stanie moich uczuć. Prędzej stąd wybiegnę i nigdy nie wrócę.

– Lepiej niech pan zadaje swoje pytania – mówię.

– Czym się zajmujesz w Hope's End?

Chociaż mundurek i moja przeszłość nie powinny zostawiać żadnych wątpliwości, udzielałam mu odpowiedzi:

- Jestem opiekunką.
- Kim się opiekujesz?

Waham się. Nie chcę mu tego mówić, bo wiem, jaką reakcję wywoła ta informacja. Zapewne ironiczny uśmiezek. Detektyw Vick mógłby nawet zakpić, że to całkiem sensowne: zabójczyni opiekuje się zabójczynią.

- Lenorą Hope – odpowiadam w końcu.

Trzeba to detektywowi przyznać: obyło się bez uśmiezków. Ale zauważam lekkie uniesienie brwi wskazujące na zaskoczenie.

- Od jak dawna się nią opiekujesz?
- To mój trzeci dzień.

Brew detektywa znowu wędruje do góry, tym razem wyżej.

- Pierwszy tydzień pracy obfituje w wydarzenia.

To niedomówienie roku, zważywszy na wszystko, co przeżyłam od chwili przyjazdu do Hope's End.

- To ty pierwsza zobaczyłaś zwłoki, mam rację?

Odpowiadam krótkim skinieniem głowy, wciąż usiłując nie wyobrazić sobie Mary leżącej pod piaskiem od ponad tygodnia. Za kilka dni jej ciało mogłoby zostać całkowicie przysypane. Może nawet szybciej. Wiem, że to dobrze, że znaleziono ją, zanim było za późno – wolałabym tylko nie być tą, która ją znalazła.

- Opowiedz mi o tym – prosi detektyw Vick.

Posłusznie relacjonuję krótko to wydarzenie: byłam na tarasie, zauważyłam mewy, wychyliłam się przez balustradę i zobaczyłam Mary.

- Po co w ogóle wychodziłaś na taras?

To brzmi jak podchwytliwe pytanie, choć wiem, że tak nie jest. Jednak szczerza odpowiedź wymagałaby opowiedzenia o dziwnych odgłosach i cieniach krążących po pokoju Lenory. Nie zamierzam wdawać się w takie wyjaśnienia, mowy nie ma. Zamiast tego udzielałam odpowiedzi nie całkiem niezgodnej z prawdą.

- Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wyglądałam przez rząd okien wychodzących na ocean. Na zewnątrz dwóch gliniarzy kręci się po tarasie. Jeden z nich chodzi tam i z powrotem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Drugi ciągle wychyla się przez balustradę i patrzy na wodę w dole, chociaż zwłoki Mary zabrano już ponad dwie godziny temu. Z uwagi na stromość klifu policja potrzebowała łodzi, aby do nich dotrzeć. Następnie na wąską plażę wparowała mała armia funkcjonariuszy, którzy wykopali Mary z piasku, nim znów zaczął się przyptyw.

- Czego oni szukają?

- Wszystkiego, co mogłoby dać nam jakieś pojęcie o tym, co się stało – odpowiada detektyw Vick.

- Ale Mary spadła, prawda?

Wbijam wzrok w tarasową balustradę, myśląc o tym, jak wczoraj w nocy o mały włos sama przez nią nie wypadłam. Wspomnienie paniki tamtej chwili wciąż jest niezwykle żywe w moim umyśle. Najpierw zdziwienie, potem niezborne ruchy, a w końcu czysty strach. Wyobrażam sobie, że to samo przytrafiło się Mary. Potknięcie. Poślizgnięcie. Długi, straszliwy upadek. Aż się wzdrygam. Biedna, biedna dziewczyna.

– To jedna z kilku możliwości – odpowiada wymijająco detektyw Vick, co brzmi tak, jakby sam brał pod uwagę tylko jedną.

Przyglądam się jego twarzy tak pozbawionej wyrazu, że równie dobrze mogłaby być maską. Już widziałam u niego tę minę. Wiem, co oznacza: że już zdecydował.

– Pan uważa, że ona skoczyła – mówię.

To wyjaśnienie ma więcej sensu niż upadek, chociaż o mało nie przytrafił się także i mnie. Taras, z tą swoją niską balustradą i ziejącą tuż pod nim przepaścią, wydaje się wręcz stworzony do samobójstwa. Z łatwością można by się wspiąć na barierkę i wykonać ten ostatni skok. W zwykłych okolicznościach poświęciłabym chwilę biednej Mary Milton, pozwoliłabym sobie poczuć smutek i współczucie do kobiety, którą jej osobiste demony skłoniły do odebrania sobie życia. Ale w tej chwili mogę myśleć jedynie o swojej matce, innej kobiecie przywiedzionej do samobójstwa, a także o tym, że detektyw Vick nie wierzył, że zrobiła to sama.

– Tym razem nie chcę niczego zakładać – odpowiada identycznym irytującym tonem.

– W stosunku do mnie nie miał pan takich obiekcji.

Te jego założenia trafiły w końcu do lokalnej gazety, a wtedy zostałam zawieszona w pracy na pół roku i prawie wylądowałam w więzieniu. To przez nie moi nieliczni przyjaciele nagle wyparowali, a mój własny ojciec podejrzewał mnie o najgorsze. Błyskawicznie wzbiera we mnie gniew o sile wulkanu; czuję, że zaraz poderwę się z kanapy i rzucę na detektywa Vicka. Tylko czysta siła woli zatrzymuje mnie w miejscu. Siedzę z rękami ciasno założonymi na piersi, nie mogąc się zmusić, by spojrzeć mu w oczy. Boję się, że jeśli to zrobię, znów zawrze we mnie gniew i tym razem nie zdołam go opanować. Najwyraźniej czując, co się we mnie kotłuje, detektyw Vick próbuje mnie uspokoić.

– To coś więcej niż zwykłe założenie – mówi. – W kieszeni mundurka pani Milton znaleziono liścik wskazujący, że zamierzała się zabić.

Nie pytam o jego treść. Po pierwsze, to nie moja sprawa, a po drugie, za bardzo zaprzęta mnie myśl o tym, jak wyglądałoby moje życie, gdyby matka zostawiła list samobójczy. Podejrzewam, że potoczyłoby się zupełnie inaczej, skoro jak widać, jest to coś, czego detektyw Vick bardzo potrzebuje.

– Zna pani jakiś powód, dla którego Mary Milton chciałaby odebrać sobie życie? – pyta.

– Nie znam. Nigdy jej nie poznałam. Już jej nie było, kiedy tu przyjechałam. – Mówiąc to, wzdrygam się. „Już jej nie było” może znaczyć różne rzeczy. Na przykład, że umarła. Że zniknęła. Albo odeszła, choć jak się okazuje, tego akurat nie zrobiła. Była tu przez cały czas.

Detektyw Vick testuje inną taktykę.

– Myślisz, że podobała jej się praca w Hope's End?

– Z tego, co powiedzieli mi inni, domyślam się, że tak – odpowiadam.

- A tobie się tu podoba?

Zaskoczona, poruszam się niespokojnie na kanapie.

- Dopiero zaczęłam.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Które jest proste. Albo ci się tu podoba, albo nie.

- Podoba mi się tu. - Błyskam cierpkim uśmiechem, żeby moja odpowiedź nie wyglądała na kłamstwo, którym w istocie jest. Całkiem niepotrzebnie, jak się okazuje.

- Swojemu pracodawcy powiedziałaś co innego - mówi detektyw Vick.

- Kiedy rozmawiał pan z panem Gurlainem?

- Jakiś kwadrans temu. Przed naszą rozmową chciałem się upewnić, że jesteś tą samą Kit McDeere, którą znam. Pan Gurlain powiedział mi wtedy, że niedawno do niego dzwoniłaś.

Mój gniew powraca. Zanim postawiłam stopę w tym pokoju, detektyw Vick wiedział, że pracuję w Hope's End, wiedział, od jak dawna tu jestem i co należy do moich obowiązków. Wie także, że poprosiłam pana Gurlaina o nowe zlecenie dosłownie kilka minut przed tym, jak znalazłam ciało Mary Milton. Całe to przesłuchanie wydaje mi się pułapką zastawioną po to, by udowodnić, że jestem niegodna zaufania. Pułapką, w którą raz-dwa się wpakowałam. Gdybym tylko mogła się z niej wykaraskać, zrobiłabym to od razu. Ale muszę wziąć pod uwagę Mary. Choć sama jej nie znałam, wszyscy inni w Hope's End najwyraźniej ją lubili. To w pełni wystarcza, aby się zmierzyć z detektywem Vickiem. Poza tym Mary była opiekunką, jak ja. Kimś, kto się troszczy i komu zależy. Powinnam spróbować pomóc w wyjaśnieniu jej przedwczesnej śmierci. Jestem jej to winna. Nie znaczy to jednak, że należy odpuścić detektywowi.

- Zamierza mnie pan zapytać o coś, czego jeszcze pan nie wie?

- Nie wiem, dlaczego właśnie skłamałaś, że ci się tu podoba.

- Bo chcę zachować pracę.

- A jednak według pana Gurlaina poprosiłaś o nowe zlecenie.

- Muszę zachować pracę - cedzę przez tak mocno zaciśnięte zęby, że aż boli mnie szczęka. - Przez pana to moja jedyna opcja.

Detektywowi opada szczęka, jakby chciał coś powiedzieć, ale czuje, że nie może. Skoro milczy, pozostaje mi tylko się zastanawiać, co by to było. Przeprosiny wydają się mało prawdopodobne.

- Powiedziałaś panu Gurlainowi, że nie czujesz się tu komfortowo - odzywa się w końcu. - Skąd ten dyskomfort?

- W tym domu zamordowano troje ludzi, panie detektywie. Pan się tu czuje komfortowo?

- Owszem. Ale przyznaję, że jestem przyzwyczajony do miejsc zbrodni. Myślisz, że Mary czuła się tutaj niekomfortowo?

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Wykonujesz tę samą pracę co ona. Na pewno masz coś do powiedzenia na temat tego, jak to jest opiekować się Lenorą Hope. Jaką ona jest pacjentką?

- W porządku - odpowiadam.

- Sprawia jakieś problemy? - drażni detektyw Vick.

- Tylko takie jak każda nowa pacjentka.

Nie licząc jej paskudnej reputacji, nocnych hałasów i upiornego twierdzenia, że jej martwa siostra nawiedza jej pokój. Jednak o tych sprawach lepiej nie wspominać. Detektyw Vick zawsze szukał powodu, żeby mi nie wierzyć. Nie zamierzam dokładać mu kilku kolejnych, nawet jeśli będzie przez to zawiedziony. Zdaje się, że moja odpowiedź jest dokładnie taka, jak się spodziewał.

– Nie martwi cię to, że to Lenora Hope mogła popełnić te trzy morderstwa, o których przed chwilą wspomniałaś? – pyta detektyw.

– Nie boję się, że mnie zabije, jeśli o to panu chodzi.

Detektyw wydyma wargi. Zaskakująco dystygowana mina na twarzy tak pooranej zmarszczkami wieku.

– Nie o to – odpowiada. – Ale skoro już poruszyłaś ten temat, to czy nie sądzisz, że Mary się tego bała?

– Być może, ale wątpię. Lenora jest nieszkodliwa – stwierdzam, powtarzając to, co powiedział mi Carter, kiedy tu przyjechałam.

– Myślisz, że Mary miała z nią jakieś problemy? Albo z czymkolwiek innym, co wiązało się z życiem i pracą w tym domu?

Sama się nad tym zastanawiałam, zwłaszcza gdy sądziłam, że Mary znienacka odeszła w środku nocy. Nawet teraz, kiedy wiem, że było inaczej, ta kwestia nadal mnie dręczy. Czy coś związanego z Hope's End – z jego dziejami, osobliwościami, tajemniczymi odgłosami – skłoniło Mary do targnięcia się na swoje życie? A może chodziło o przeszłość i osobliwości jej podopiecznej? Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba, która może mieć coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Nie jestem pewna – odpowiadam. – Ale jest ktoś, kto może coś o tym wiedzieć.

– Kto?

Przynajmniej raz mogę udzielić detektywowi Vickowi odpowiedzi, której na pewno się nie spodziewa.

– Lenora Hope.

Rozdział 19

Ruszam przodem i prowadzę detektywa Vicka w górę Wielkich Schodów.

– Uwaga na plamy krwi – mówię sucho po drodze. Omijam je.

Detektyw Vick przechodzi po nich, nie zwalniając kroku. Rozczarowanie. Miałam nadzieję, że zareaguje w ten sam sposób jak ja, kiedy zauważyłam je po raz pierwszy.

Doczekuję się jednak pewnej reakcji u szczytu schodów. Wchodząc na podest, detektyw natychmiast przytrzymuje się ściany.

– O! – wrywa mu się.

– Rezydencja jest przechylona – informuję go, jakbym spędziła tu wiele lat, a nie zaledwie kilka dni.

– Czy to bezpieczne?

– Pewnie nie.

– Rany, nie tak to wyglądało, kiedy tu byłem ostatnio.

Zatrzymuję się na środku korytarza.

– Co pan ma na myśli?

– Kiedyś tu pracowałem. – Detektyw odrywa dłoń od ściany, uznaje, że to nie najlepszy pomysł, i znowu opiera ją o niebieski adamaszek. – Tylko przez jedno lato plus parę weekendów wiosną i jesienią. Pan Hope zatrudniał chłopaków z miasta, gdy było więcej pracy.

– Kiedy to było?

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym – odpowiada detektyw. – Pamiętam z powodu tych morderstw.

– Więc zna pan Lenorę?

– Nie osobiście.

Ruszam dalej korytarzem i rzucam przez ramię do wciąż chwiejącego się detektywa:

– To dlatego został pan policjantem?

– Bo kiedyś spędziłem lato, pracując w miejscu, gdzie popełniono trzykrotnie morderstwo? – Detektyw prychnął lekceważąco, jakby uważał ten pomysł za niedorzeczny. – Praca detektywa jest czymś więcej, zapewniam cię. To powołanie. Ma się we krwi potrzebę łapania ludzi, którzy robią złe rzeczy, i pociągania ich do odpowiedzialności.

Mimo że idę przed nim, wiem, że detektyw patrzy na mnie krzywo. Czuję na karku jego palące spojrzenie. Nie ma wątpliwości, że uważa mnie za osobę, która zrobiła coś złego i uniknęła kary.

Na razie.

Skრęcam w lewo do pokoju Lenory, gdzie siedzi w wózku inwalidzkim z walkmanem na kolanach i słuchawkami na głowie. Wzdryga się, kiedy wchodzę, prowadząc nieznanego. Lewa dłoń dygocze na kocu otulającym jej nogi, a zielone oczy robią się okrągłe. Większość

dnia spędziła z Archiem lub panią Baker, podczas gdy ja czekałam na dole w oszklonej werandzie. I choć nie jestem pewna, które z nich powiedziało jej, co spotkało Mary, jasne jest, że o tym wie. Gdy zaskoczenie mija, w jej oczach błyszczący smutek.

Chmury burzowe na zewnątrz pociemniały i zrobiły się bardziej złowieszcze, zasnuwając pokój ponurą szarością – duszną i adekwatną.

– Lenoro – mówię, podchodząc do niej. – To detektyw Vick. Chciałby zadać ci kilka pytań o Mary. Zgadzasz się?

Lenora wbija w niego niepewne spojrzenie. Waha się tak długo, że spodziewam się odmowy. Jestem zaskoczona, kiedy po kilku kolejnych sekundach zastanowienia stuka dwa razy w kolana.

– Dwa stuknięcia znaczą „tak” – wyjaśniam detektywowi. – Jedno znaczy „nie”.

Detektyw kiwa głową i podchodzi do Lenory tak samo jak ja przy pierwszym spotkaniu – z respektem i niepokojem. Po tym, co i jak mówił w oszklonej werandzie, podejrzewam, że jego zdaniem Lenora jest winna jak diabli. A mimo to – niepewnie na skutek przechylonej podłogi – klęka przy jej wózku i mówi:

– Dzień dobry, Lenoro. Przykro mi z powodu Mary. Słyszałem, że byliście sobie bliskie?

Zamiast wystukać odpowiedź, ona powoli i ze smutkiem kiwa głową.

– Więc lubiła ją pani?

Lenora wraca do stukania: odpowiada dwoma szybkimi pacnięciami dłonią o kolana.

– A Mary lubiła panią?

Znów dwa stuknięcia.

– Jaką była pielęgniarką? – Detektyw Vick kręci głową. – Przepraszam. Nie może pani odpowiedzieć na takie pytanie.

– Może. – Zwracam się do Lenory. – Chcesz odpisywać na maszynie?

Zanim zdąży wystukać odpowiedź, zawożę ją do biurka i wkręcam w wałek czystą kartkę. Kładę jej lewą dłoń na klawiszach i odwracam się do detektywa Vicka.

– Nie umie pisać zbyt szybko, więc proszę zadawać pytania wymagające krótkich odpowiedzi.

– Och, jasne. – Niepewnym gestem pociera dłońmi o siebie. Najwyraźniej jeszcze nigdy nikogo nie przesłuchiwał za pomocą maszyny do pisania. – Pani Lenoro, kiedy po raz ostatni widziała pani Mary?

Lenora mruga, zdezorientowana.

– On chce, żebyś napisała odpowiedź – wyjaśniam, delikatnie ją szturchając.

Zamiast pisać, Lenora wpatruje się w maszynę, jakby nigdy wcześniej nie widziała jej na oczy. Unosi dłoń, która niepewnie zawisa nad klawiaturą, po czym znów na nią opada. Siła uderzenia o klawisz jest wystarczająca, by spowodować niewyraźne odbicie się jednej litery na pustej kartce.

P

– Mam ci pomóc? – pytam.

– Czy coś jest nie tak? – Detektyw Vick płonie z niecierpliwości.

- Nie wiem.

Spoglądam na Lenorę. Jej zazwyczaj wyrazista twarz teraz wydaje się frustrująco bezmyślna. Przychodzi mi do głowy, że może to dla niej za dużo. Śmierć Mary. Obecność detektywa. Te wszystkie pytania. Klękam obok niej, przykrywam jej dłoń swoją i pytam:

- Jesteś zbyt zmartwiona tym, co spotkało Mary, żeby pisać?

Lenora zaciska dłoń w pięść i stuka w klawiaturę jeden raz.

- Więc dlaczego tego nie robisz?

- Czy pani w ogóle umie pisać na maszynie? - pyta ją detektyw Vick.

Lenora znowu stuka jeden raz.

Poryw wiatru uderza w rezydencję, sprawiając, że cały pokój - i nas w jego wnętrzu - przenika chłód. Wiatr wyje, a krople deszczu biją w okna.

Nadeszła burza. Wraz z nią nadchodzi kolejna fala chłodu. Takiego, który czuję tylko ja. Wewnętrzny dreszcz wywołany uświadomieniem sobie czegoś.

Lenora udaje.

Detektyw Vick klęka po drugiej stronie wózka inwalidzkiego. Rzucił mi zirytowane spojrzenie i pyta Lenorę:

- Żeby było jasne, pani McDeere kłamie, twierdząc, że potrafi pani pisać na maszynie?

Tym razem Lenora unosi dłoń i stuka nią w maszynę dwukrotnie.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

- Potrafi - zapewniam. - Przysięgam.

Posyłam Lenorze rozpaczliwe spojrzenie, jakby mogła potwierdzić to, co przed chwilą powiedziałam, w inny sposób niż faktyczne wciśnięcie jednego z klawiszy maszyny. Ale nie może. I nie chce. Z powodów, których nie rozumiem.

Burza osiąga apogeum. Woda zalewa szyby okien, na podłodze kładą się faliste cienie. Wpatruję się w nie, wściekła na Lenorę, że przez nią wychodzę na kłamczuchę, zastanawiam się, dlaczego ona to robi, i próbuję wykombinować coś, co dowiedzie, że mam rację. I wtedy uderza mnie pewna myśl.

- Pisałyśmy dzisiaj rano - mówię. - Zanim znalazłam Mary. Kartka jest tutaj, na biurku.

Rozglądam się po blacie w poszukiwaniu kartki, która przecież wciąż tkwiła w maszynie, kiedy schodziłam na dół, aby zadzwonić do pana Gurlaina. Pamiętam nawet to, co Lenora na niej napisała: że jej martwa siostra jest w tym pokoju.

Ale kartki nie ma na biurku.

W ogóle nigdzie jej nie widzę.

- Przed chwilą tu była! - wołam, omiatając wzrokiem blat, na którym stoją tylko maszyna do pisania i lampka.

- W maszynie nie było kartki - mówi detektyw Vick. Może próbuje być pomocny, ale przy tym wygląda na zadowolonego. - Na pewno sobie tego nie wyobraziłaś?

- Na pewno. - Otwieram szuflady biurka, szukając kartki z imieniem Virginii. Nigdzie jej nie ma. Nawet na podłodze. Patrzę na Lenorę. - Wiesz, że tu była.

Jej lewa dłoń spoczywa na klawiszach maszyny, nieruchoma i pozornie bezwładna.

- Powiedz mi, że nie kłamię, Lenoro. - Mój głos zbliża się niebezpiecznie do błagalnego tonu. - Proszę.

Detektyw Vick wstaje, chwyta mnie za nadgarstek i wyciąga na korytarz, gotując się ze złości.

- W co ty pogrywasz, Kit? Nie uwierzyłem w to, co wygadywałaś w sprawie swojej matki, więc teraz postanowiłaś zabawić się moim kosztem?

- Nic podobnego - protestuję. - Lenora umie pisać na maszynie. Wczoraj robiłyśmy to przez cały dzień. Opowiada mi o tym, co się stało w noc, kiedy zamordowano jej rodzinę. Myślę, że zamierza albo się przyznać, albo zdradzić mi, kto to naprawdę zrobił.

- To szaleństwo, Kit. Ta kobieta ledwo siedzi. Serio oczekujesz, że w to uwierzę? Że Lenora Hope pisze cholerną historię swojego życia?

- Ale to prawda!

- Jasne. - Głos detektywa ocieka sarkazmem. - Powiedzmy, że tak. Tylko dlaczego teraz? Dlaczego po tylu latach postanowiła akurat tobie opowiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy?

- Nie wiem. Ale już mi co nieco opowiedziała. - Wyrzucam z siebie słowa w dzikim pośpiechu, pragnąc rozpaczliwie, aby detektyw Vick uwierzył mi w jakiegokolwiek sprawie. - O tym, co działo się na kilka miesięcy przed morderstwami. O swojej rodzinie. O siostrze. Powiedziała, że w jej pokoju był duch jej siostry.

- Chyba w to nie wierzysz?

- Nie - odpowiadam, bo rzeczywiście nie wierzę. Nie całkiem. Przynajmniej na razie. - Ale uważam, że to miejsce jest jakieś dziwne. Że coś z nim jest... nie tak.

Detektyw Vick robi krok w tył i wbija we mnie wzrok. Jego złość przeradza się w coś innego. Jakby litość.

- Wystarczy, Kit - mówi, po czym wyciąga z kieszeni wizytówkę i wciska mi ją w dłoń. - Zadzwoń, jeśli zechcesz powiedzieć mi prawdę.

Szywnym krokiem oddala się korytarzem w stronę Wielkich Schodów. Wmaszerowuję z powrotem do pokoju Lenory. Widząc ją przy biurku, teraz w pełnej gotowości do pisania, łamię jedną z kardynalnych zasad obowiązujących pracownice Agencji Opieki Domowej Gurlaina - nie kłać na pacjentki.

- Co to, do jasnej cholery, było?!

Lenora przywołuje mnie skinieniem głowy, wykazując się świętą cierpliwością. Potem wystukuje dwa słowa.

przykro mi

- I słusznie. Przez ciebie wyszłam przed tym policjantem na kłamczuchę.

musiałam

- Dlaczego?

to musi być sekret

- To, że umiesz pisać na maszynie, musi być sekretem? - pytam. - Przed kim?

przed każdym

Szkoda, że o tym nie wiedziałam, zanim zaprosiłam detektywa Vicka do jej pokoju. Teraz, kiedy już wiem – i gdy zaprzepąciłam szansę, że ten policjant jeszcze kiedykolwiek uwierzy w choć jedno moje słowo – czuję, że muszę jej zadać te same pytania, które moim zdaniem na pewno zadałby on.

– Czy Mary powiedziała ci, że odchodzi?

Lenora stuka jeden raz w klawiaturę.

– A kiedy widziałas ją ostatni raz, jak się zachowywała?

Lenora zaczyna pisać, przerywa, żeby się zastanowić, po czym zaczyna od nowa. W rezultacie powstaje słowny dziwoląg.

dziwnerwowo

Wpatruję się w ten wyraz, który całkiem precyzyjnie opisuje mój obecny stan ducha.

– Czyli jak? Dziwnie czy nerwowo?

tak i tak – odpisuje Lenora.

– Czy zachowywała się tak od pewnego czasu?

Lenora stuka w klawiaturę dwa razy. Tak.

– Czy Mary mówiła ci kiedykolwiek, że słyszy nocami dziwne odgłosy?

Znowu dwa stuknięcia. A więc ponownie „tak”.

Nagle przypomina mi się coś, co Jessie powiedziała mi pierwszego wieczoru w tym domu.

„Myślę, że się bała. Hope’s End to nie jest zwyczajny dom. Panuje tu jakiś mrok. Czuję to. Mary też to czuła”.

Choć zapewniła mnie potem, że to był żart, zaczynam myśleć, że nie żartowała. Nie całkiem.

– Myślisz, że się dowiedziała, czym były? – pytam.

Zamiast stukać, Lenora odpisuje:

nie

– To z ich powodu zachowywała się dziwnie i nerwowo?

Lenora bębni w klawisze, pisząc trzy słowa.

i się bała

Serce wali mi w piersi. Więc to prawda. Może Jessie o tym wiedziała, bo Mary jej się zwierzyła, a może tylko podświadomie przeczuwała, że coś jest nie w porządku. Tak czy inaczej nie zmienia to faktu, że coś w Hope’s End przestraszyło Mary Milton.

– Czego się bała, Lenoro?

Patrzę, jak dłoń Lenory sunie po klawiaturze niczym wskaźnik po tabliczce ouija. Gdy kończy naciskać dwanaście klawiszy i spację, widzę odpowiedź, której cały czas się spodziewałam.

mojej siostry

Moja siostra wiedziała, że się zakochałam. Siostry wyczuwają takie rzeczy. Nawet te, które za sobą nie przepadają, jak bez dwóch zdań my.

– Kto to jest? – spytała przy jednej z tych rzadkich okazji, kiedy obie znalazłyśmy się w tym samym pokoju w tym samym czasie. Zazwyczaj udawało nam się trzymać z dala od siebie nawzajem. Ale tamtego wieczoru obie postanowiłyśmy posiedzieć w bibliotece.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz – odparłam. Czytałam przy kominku jeden z romansów matki, które zwykle uważałam za lekturę poniżej mojej godności. Chciałam pisać poważną literaturę i przeważnie tylko taką czytywałam. Zmieniłam zdanie, kiedy zakochałam się w Rickym.

Bo to była miłość.

Od pierwszego wejrzenia, by posłużyć się frazesem. Jednak w moim przypadku to prawda. Od chwili, w której ujrzałam Ricky'ego po raz pierwszy, wiedziałam, że jestem w nim zakochana. Nie mogłam się nie zakochać. Nie tylko był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam, ale w dodatku rozumiał mnie jak nikt inny. Ujrzałam to w jego spojrzeniu. Nie widział we mnie rozpuszczonej córeczki bogatego tatusia, lubiącej flirtować i paradować w ładnych sukienkach. Widział młodą, inteligentną kobietę pełną nadziei, marzeń i ambicji.

Widział osobę, którą chciałam być.

– Jesteś zupełnie inna niż reszta twojej rodziny – powiedział mi tamtego pierwszego wieczoru po godzinnej rozmowie na tarasie.

– Mam nadzieję, że to dobrze – odparłam.

– Wspaniale.

Wtedy pozwoliłam mu się pocałować. Mój pierwszy pocałunek. Był cudowniejszy, niż kiedykolwiek go sobie wyobrażałam. Gdy jego usta dotknęły moich, poczułam się tak, jakby cała moja egzystencja eksplodowała niczym fajerwerk. Wszystko rozbłysło, roziskrzyło się i rozplomieniło.

Oderwałam się od niego zarumieniona i bez tchu. Przez chwilę myślałam, że zemdleję. Zakręciło mi się w głowie i osunęłam się na balustradę. Pewnie bym wypadła, gdyby Ricky nie chwycił mnie w ramiona.

– Kiedy mogę cię znowu zobaczyć? – wyszeptał.

– Jutro wieczorem – odparłam również szeptem, jakbym była Julią, a on Romeem czekającym pod moim balkonem. – Tutaj.

Od tamtej pory minęły dwa tygodnie, w czasie których widywaliśmy się każdego wieczoru. Spotykaliśmy się na tarasie i umykaliśmy gdzieś, gdzie nikt nie mógł nas znaleźć. Kiedy byliśmy razem, świat wokół przestawał istnieć i ogarniała nas niezmiernie rozkosz. Gdy nie było go przy mnie, tylko o nim myślałam i marzyłam, tylko o niego dbałam.

Drugiej nocy znowu się całowaliśmy, tym razem bez skrępowania. Byliśmy obok domku, na pół ukryci w cieniu, dzieląc się swymi marzeniami i zawodami. Wyznałam Ricky'emu, że chcę uciec do Paryża, żyć wśród bohemy, doświadczać wszystkiego, a potem to opisywać.

Ricky powiedział mi, jak ciężkie czasy i zły los przywiodły go tutaj do pracy.

– Moja rodzina nie śmierdzi groszem – rzekł, używając słów, które mnie zaszokowały i podekscytowały swoją ordynarnością. – Matka umarła przy moim porodzie. Ojciec jest podłym pijakiem, który wołał mnie bić, niż pracować. Szybko się nauczyłem, że na nic mi szkoła. Kasa zawsze wygrywa z wiedzą. A że ręce mam zręczne, to przyszedłem tutaj. – Westchnął i spojrzał w niebo. – Chcę czegoś więcej, możesz być pewna. To dobijające nie móc żyć, jak się człowiekowi należy. Straszna udręka.

Próbowałam mu ulżyć, jak tylko umiałam – pozwalając, by obejmował mnie w pasie silnymi ramionami, przyciskał do siebie i namiętnie całował.

Wciąż się całowaliśmy, gdy usłyszałam szmer kroków w trawie. To Berniece wracała do domu po skończonej pracy w kuchni. Oderwałam się od Ricky'ego i uciekłam, zanim nas przyłapała. Ale choć o mało nie wpadliśmy, niczego to nie zmieniło. Wiedziałam, że to, co robimy z Rickym, jest złe, ale nie obchodziło mnie to. Pragnęłam

tych fajerwerków, które odpalał we mnie pocałunkami. Potrzebowałam ich. Z każdym spotkaniem poczynaliśmy sobie coraz śmiej. Całowanie, dotykanie, odkrywanie. Trzeciego wieczoru, kiedy dłoń Ricky'ego przesunęła się na moją pierś, pozwoliłam jej tam pozostać. Czwartego wieczoru wsunęłam mu rękę w spodnie i chwyciłam za jego męskość. Oszczędzę ci bezwstydných szczegółów, ale robiło się coraz pikantniej, aż wreszcie, dokładnie tydzień po naszym pierwszym spotkaniu, oddałam Ricky'emu swoje dziewictwo.

Gdy było po wszystkim, leżąc w jego objęciach, wyszeptalam:

– Kocham cię.

Ricky uśmiechnął się szeroko i odparł:

– Ja też cię kocham.

W tamtej chwili stałam się kobietą. Podejrzewam, że właśnie tę zmianę moja siostra ujrzała we mnie tamtego wieczoru w bibliotece.

– To jasne, że za kimś szalejesz – stwierdziła. – A ja wiem, za kim.

Podniosłam wzrok znak książki, sparaliżowana niepokojem. Czyżby Berniece nas zobaczyła? Wiedziała? I teraz rozgłasza to innym?

– Co słyszałaś?

– Nic – odparła moja siostra. – Ale to jasne, że zakochałaś się w Archibaldzie.

Zalała mnie fala ulgi i z trudem powstrzymałam się od wybuchnięcia śmiechem. Archie i ja nie moglibyśmy być razem z wielu powodów, przede wszystkim zaś dlatego, że traktowałam go jak brata i był mi bliższy niż rodzona siostra.

– To nie Archie – powiedziałam.

– Nie mów mi, że nadal wdychasz do Petera. To beznadziejne. On się tobą nie interesuje.

– Ani tobą.

– Zmieni zdanie – oświadczyła moja siostra. – Jestem tego pewna. Potem się pobierzemy i spędzimy resztę naszych dni tutaj.

– W Hope's End?

Rozłożyła szeroko ręce, jakby próbowała objąć cały dom.

– Oczywiście. Nigdy nie opuszczę tego miejsca.

– Ale przecież jest cały świat, którego jeszcze nie widziałaś – powiedziałam. – Ja w każdym razie zamierzam zobaczyć go tyle, ile zdołam.

– Ze swoim tajemniczym chłopcem? – Siostra posłała mi uśmiech, który widywałam tak często, że nie zauważałam, jak bywa złośliwy. Nie było w nim ani wesołości, ani ciepła. Był tak zimny i wyrachowany jak dziewczyna, do której należał. – Równie dobrze możesz mi powiedzieć, kim on jest. Wiesz, że prędzej czy później i tak to odkryje.

Koniec końców miała rację.

Rzeczywiście to odkryła i wkrótce potem nastąpiła katastrofa.

Przynajmniej jej marzenie się spełniło. Minęło tyle lat, a ona nadal tu jest, nadal snuje się po korytarzach.

I nigdy nie odejdzie.

Dopóki stoi Hope's End, moja siostra w nim pozostanie.

Rozdział 20

Drugie piętro Hope's End mnie zaskakuje. Choć wszystko wygląda tak samo, oprócz szczytu Wielkich Schodów pośrodku, to jednak robi zupełnie inne wrażenie. Tutaj, na górze, przechylenie rezydencji jest wyraźniejsze. Nie tylko odczuwalne, ale także widoczne. Widok ze szczytu schodów dla służby w głąb korytarza przypomina pokład przechylonego statku.

Nic dziwnego, że Carter wybrał domek. Nie mam pojęcia, jak Jessie i Archie mogą tu mieszkać. Odrobinę niepewnym krokiem ruszam naprzód. Podłoga skrzypi mi pod stopami, a nad głową zacinający deszcz bębni o dach. Z otwartych drzwi przede mną wylewają się światło i muzyka.

To pewnie pokój Jessie.

Wątpię, że Archie słucha Talking Heads.

Okazuje się, że mam rację, kiedy zaglądam do środka i widzę, że siedzi po turecku na podłodze, przeglądając stertę polaroidów.

– Hej – mówię. – Jak się trzymasz?

Bezsensowne pytanie. Każdy, kto ma oczy w głowie, widzi, że Jessie wcale się nie trzyma. Podnosi wzrok znad fotografii, ukazując smugi tuszu do rzęs rozmazanego przez łzy.

– Kijowo – odpowiada.

Wchodzę do pokoju i uświadamiam sobie, jak bardzo różni się on od mojego. Mimo niemal identycznych rozmiarów i kształtu. Jessie urządziła go po swojemu. Ściany są oblepione plakatami zespołów; niektóre z nich znam, o większości nawet nie słyszałam. Jedwabny szalik przykrywa jeden z abażurów i pomieszczenie zalewa blask stłumionej czerwieni, który przywodzi mi na myśl przycisk alarmowy Lenory. Sufit przy drzwiach jest na standardowej wysokości. Po drugiej stronie pokoju opada ostrym skosem ku mansardowym oknom, z których jedno jest otwarte, więc słychać odgłosy ulewy – stosowny akompaniament do łez Jessie.

– Nie mogę uwierzyć, że Mary nie żyje – mówi, podając mi jeden z polaroidów.

Przysiadam się do niej na podłodze i sięgam po zdjęcie. Ukazuje ją i Mary na tarasie; wiatr rozwiewa im włosy, a w tle, na niebie, wiszą puszyste chmury. Pierwszy raz widzę Mary – to, co leżało zagrzebane w piasku u podnóża klifu, się nie liczy – i nagle uderza mnie jej młody wiek. Wygląda na dwadzieścia kilka lat. I wydaje mi się tak znajoma, że aż ścisza mi się serce. Promienny uśmiech, praktyczna fryzura, a w uszach złote kolczyki sztyfty, bo jakieś większe mogłyby przeszkadzać jej w pracy. Opiekunka w każdym calu. Rozumiem, dlaczego wszyscy ją lubili. Myślę, że ja też bym ją polubiła.

– Wiedziałam, że nie mogła odejść w taki sposób – ciągnie Jessie. – Bez pożegnania i nie mówiąc mi, dokąd się wybiera.

– Dlaczego w ogóle pomyślałaś, że odeszła?

- Bo tak nam powiedziała pani Baker.

- A dlaczego ona tak pomyślała?

- Pewnie dlatego, że tak to wyglądało - odpowiada Jessie. - Nie powinnam była w to wierzyć. Takie odejście nie było w stylu Mary. Samobójstwo też nie jest. Nie obchodzi mnie, co gada ten policjant. Mary się nie zabiła.

- Czasem ludzie robią rzeczy, których się po nich nie spodziewamy - mówię, myśląc o matce i o tym, jak ze wszystkim skończyła. Bez pożegnania. Bez listu. Bez domykania czegokolwiek. Tęsknię za nią, ale jestem też na nią wściekła za to, że zostawiła mnie i ojca. Że potem sami musieliśmy się z tym jakoś uporać. Co jak się okazuje, nam nie wyszło. - Może coś było nie tak, o czym nikt nie wiedział.

- Niby co?

Choćby to, że dręczył ją duch Virginii Hope. Na razie jednak nie chcę w to wchodzić. W ten temat lepiej zagłębić się ostrożnie, stopniowo. O ile coś takiego jest w ogóle możliwe.

- Jak zachowywała się Mary, kiedy widziałaś ją ostatni raz?

Jessie pociąga nosem i ociera policzek grzbietem dłoni, rozmazując na boki spływający po twarzy tusz do rzęs.

- Gadasz jak ten detektyw.

- A co mu odpowiedziałaś?

- Że Mary wydawała się w porządku. - Jessie sięga po następną fotkę i wpatrując się w nią, dodaje cicho: - Nawet jeśli nie była to do końca prawda.

- Więc coś było nie tak?

Kiwa głową, upuszcza zdjęcie na podłogę i podnosi inne, które mi pokazuje. Jest na nim Mary w holu na piętrze; biel jej mundurka - możliwe, że tego samego, który w tej chwili mam na sobie - mocno kontrastuje z ciemnym otoczeniem.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś temu detektywowi?

- Nie wiem. - Jessie wzrusza ramionami. - Chyba próbowałam chronić Mary.

Dobrze to rozumiem. Nawet po śmierci matki czułam potrzebę, by ją chronić. To dlatego na początku sugerowałam, że nie miała pojęcia, ile pigułek zażywa. Że to przedawkowanie było przypadkowe, choć wszyscy wiedzieli, że było inaczej. W końcu dotarło do mnie, że nie tyle próbuję ją chronić, ile kurczowo trzymam się myśli, że nie zostawiłaby ojca i mnie w taki sposób. Że nie zrobiła tego z wyboru.

- W tej chwili najlepszym sposobem, by pomóc Mary, jest odkrycie, co dokładnie się stało.

- Spadła - odpowiada Jessie. - To jedyne wyjaśnienie.

Już kiedyś słyszałam ten ton w głosie ojca. Niby dźwięczy w nim pewnością, ale jakoś tak bez przekonania.

„To, co mówią, nie jest prawdą, Kit-Kat”.

- Może nie. Zwłaszcza jeśli Mary zachowywała się dziwnie albo nerwowo. - Celowo używam tych dwóch słów, które Lenora spoila w jedno.

Jessie wpatruje się w ścianę za mną, skąd plakat Eurythmics oddaje jej spojrzenie.

- Dlaczego tak cię interesuje, co się stało? Nawet nie znałaś Mary.

Nie, nie znalazłam. Ale to ja ją znalazłam. To ja popatrzyłam w dół, ujrzałam jej zwłoki i krzyknęłam tak głośno, że echo odbiło się od tylnych ścian domu. I to ja się teraz boję, że w nocnych koszmarach zobaczę jej przysypiane piaskiem ciało.

Ale to nie wszystko. Głównym powodem mojego niepokoju – który być może w ogóle nie da mi dziś zasnąć – jest to, że cokolwiek przydarzyło się Mary, może spotkać i mnie. Jest to myśl równie paranoiczna, co racjonalna. Mamy tę samą pracę, ten sam pokój, nawet ten sam mundurek. Jeżeli coś związanego z tą pracą doprowadziło do śmierci Mary, to naprawdę chciałabym uniknąć podobnego losu.

– Czy Mary mówiła ci kiedyś, że słyszy nocami dziwne odgłosy? Dochodzące z pokoju Lenory? Albo że coś widuje?

– Nie – mówi Jessie. – A ty coś słyszysz albo widzisz?

Nie odpowiadam, co stanowi odpowiedź samą w sobie. Czasem nie mówiąc „nie”, mówisz „tak”.

– Wczoraj wieczorem powiedziałaś mi, że Mary bała się tego miejsca.

– Żartowałam.

– Tak, wiem. – Znowu urywam. – Ale myślę, że mogło być w tym ziarno prawdy.

Choć Jessie zaczyna zaprzeczać, kręcąc głową, nagle ten ruch zmienia kierunek i kończy się niepewnym przytaknięciem. Jeszcze bardziej gmatwa tę odpowiedź, dodając:

– Może. Już sama nie wiem.

– Czy Mary kiedykolwiek powiedziała wprost, że się boi?

– Tak, ale to był... no, tylko taki żart. Obie cały czas się tak wygłupiałyśmy. Gadałyśmy bzdury w rodzaju: „Właśnie widziałam Virginie w korytarzu. Kazała cię pozdrowić”. Głupoty, żeby trochę rozluźnić nastrój. Tutaj naprawdę tego potrzeba. Ale potem Mary przestała się w to bawić.

Nachylam się, zaciekawiona.

– Kiedy to było?

– Parę tygodni temu. Żartowałam z Virginii albo Winstona, a Mary kręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Nie mów takich rzeczy”. Wszystko zaczęła traktować poważnie. Jakby naprawdę się bała.

– Virginii? – pytam, myśląc o tym, co napisała Lenora. Że Virginia była w jej pokoju. Że Mary się jej bała.

– Może? – Jessie znowu kieruje uwagę na polaroidy na podłodze. Wszystkie leżą wierzchem do góry, tuzin podobizn Mary, które Jessie rozkłada niczym karty tarota. – Wiem, że to brzmi, jakby Mary była jakąś zestrachaną szajbuską. Nie była. Chyba nie wierzyła w duchy. Ale...

– Ale co? – naciskam.

– Coś jakby ją wystraszyło – ciągnie Jessie. – Nie wiem co. Może naprawdę zobaczyła ducha Virginii Hope. A może po prostu nie chciała już więcej z tego żartować. Pewnie dlatego, że spędzała tak wiele czasu z Lenorą.

– To część tej pracy – mówię. – Stała opieka.

– Ale to było... no, dużo czasu. Może uznała, że to brak szacunku albo coś.

– Czy Mary kiedykolwiek wspomniała o takim facecie, Ricardzie Mayhewie?

Jessie marszczy twarz.

– O kim?

– Kiedyś tu pracowałam – wyjaśniam. – Carter mi o nim powiedział.

– Nigdy o nim nie słyszałam – odpowiada Jessie. – Jeżeli Mary wiedziała, kim był, to mi o nim nie wspominała. A nie wiem, dlaczego miałyby tego nie zrobić. Opowiedziała mi o tym miejscu wszystko. Chyba wiedziała o tych morderstwach więcej niż ktokolwiek inny, nie licząc Lenory.

Moją uwagę przyciąga jedno zdjęcie ze stosu. Zrobione w pokoju Lenory, ukazuje ją samą i Mary przy biurku. Lenora siedzi w swoim wózku, zgarbiona nad maszyną do pisania. Mary stoi za nią, blisko nachylona. Widok tak znajomy, że oczy bołą.

Podnoszę je i pokazuję Jessie.

– Kiedy było zrobione?

– Parę tygodni temu. – Wrywa mi je z palców i wkłada między inne fotografie. – One wiecznie pisały na maszynie.

– Wiesz co?

– Mary nigdy mi nie mówiła. – Jessie wstaje, podchodzi do komody po drugiej stronie pokoju i wrzuca polaroidy do górnej szuflady. – Na początku myślałam, że to jakiś rodzaj fizjoterapii. No wiesz, dla poprawienia funkcji motorycznych. Ale one robiły to bez przerwy. Czasem nawet wtedy, gdy Lenora już powinna być w łóżku. – Podchodzi do magnetofonu, który stoi na komodzie, obok *Koronki* w twardej oprawie i z nalepką biblioteczną na grzbiecie. Wyjmuje kasetę i wręcza mi ją. – To dla Lenory. Pierwsza część nowej książki. Może odciągnie jej myśli od tego wszystkiego.

– Dzięki. – Wkładam kasetę do kieszeni i ruszam do drzwi. Zanim wyjdę, odwracam się i mówię: – Czy ktoś jeszcze wiedział o tym pisaniu?

– Nie sądzę – odpowiada Jessie. – Ja wiedziałam tylko dlatego, że jednego wieczoru weszłam tam bez pukania i je nakryłam. Pomyślałam, że fajnie to wyjdzie na zdjęciu, więc stanęłam w drzwiach i pstryknęłam, zanim zdały sobie sprawę, że tam jestem. Mary trochę przez to ścirowała. Kazała mi przysiąc, że nikomu nie powiem. Tobie też chyba nie powinnam o tym mówić.

Cieszę się, że to zrobiła.

Bo teraz już wiem, skąd Mary tyle wiedziała o rodzinie Hope'ów i o tym, co się wydarzyło tamtej nocy.

Lenora jej o tym opowiedziała.

Widzę, jak na mnie patrzysz. Jestem bardziej spostrzegawcza, niż się ludziom wydaje. Teraz też wiem, co sobie myślisz: że nie spodoba ci się to, ku czemu to wszystko zmierza.

I masz rację.

Ale przyrzekłam ci opowiedzieć o wszystkim, więc to właśnie robię. Zdradzam ci moje najgłębsze i najmroczniejsze sekrety. Rzeczy, o których nigdy nikomu nie mówiłam.

Tylko tobie, Mary.

Tylko tobie.

Rozdział 21

Palce lewej dłoni Lenory spoczywają na klawiaturze w nietypowym bezruchu. W normalnych okolicznościach sunęły od klawisza do klawisza, powoli, lecz pewnie nanosząc słowa na czystą kartkę wkręconą w wałek maszyny do pisania.

Te okoliczności nie mają w sobie jednak nic normalnego.

Kiedy policja odjechała, dom ogarnęła żałoba. Zapanowały w nim cisza i posępna atmosfera. Odeszła mieszkanka Hope's End, a choć nigdy nie poznałam Mary Milton, i tak odczuwam jej stratę. Pod wieloma względami byliśmy do siebie podobne. Bardziej, niż sobie wyobrażałam.

To dlatego po kolacji przywiozłam Lenorę do biurka, zamiast przeprowadzić z nią ćwiczenia na poprawę krążenia. Pani Baker nie pochwaliłaby tego naruszenia wieczornej rutyny. Stoję obok Lenory, obejmując się ramionami mimo narzuconego na mundurek szarego kardiganu. Co prawda burza minęła, ale zostawiła po sobie wilgotny ziąb, który teraz sączy się przez okna, napełniając pokój upiorną atmosferą statku widmo.

Bardzo stosownie, zważywszy na fakt, że obok maszyny do pisania leży kartka, na której Lenora pisała wcześniej. Mój wzrok przykuwają dwa słowa.

mojej siostry

– Dłaczego skłamałaś, że Mary bała się twojej siostry?

Lenora podnosi na mnie spojrzenie, w jej zielonych oczach błyska obawa. Potem coś pisze.

to nie było kłamstwo

– Twoja siostra nie żyje, Lenoro – mówię, otulając się ciasniej kardiganem. – A duchy nie istnieją. Więc będziesz musiała się bardziej postarać, aby zatuszować fakt, że ty i Mary spędzałyście dużo czasu na pisaniu.

Lenora nie potrafi ukryć zaskoczenia. Próbuje, ale zdradza ją jej wyrazista twarz. Zaciska usta, a tik w prawym oku świadczy o tym, że bardzo stara się go nie wytrzeszczać.

– Opowiadałaś jej swoją historię, prawda?

Lenora stuka dwa razy w maszynę, a ja czuję ukłucie zawodu, że nie jestem jedyną osobą, której zaufała na tyle, by się zwierzyć. Sądziłam, że jestem wyjątkowa i że wybrała mnie z określonego powodu. Teraz nie mam pojęcia, czemu to robi.

– Dłaczego mi o tym nie powiedziałaś? Ani detektywowi Vickowi?

Lenora powoli stuka w klawisze.

to musiał być sekret

– Kto tak postanowił? Ty czy Mary?

Mary

– A czyj to był pomysł, żebyś opisała swoją historię?

Zamiast dać mi znak, abym nacisnęła dźwignię wierszową, Lenora wystukuje imię Mary po raz drugi, jakby to było jedno słowo.

marymary

Nie jestem zaskoczona, bo przecież Jessie mówiła mi, że Mary miała obsesję na punkcie masakry rodziny Hope'ów. Powiedziała nawet, że mógł to być powód, dla którego przyjęła zlecenie opieki nad Lenorą. Jeśli to prawda, ma sens przypuszczenie, że chciała poznać wersję wydarzeń Lenory.

– To dlatego kupiła maszynę do pisania, prawda? – pytam. – Żebyś wszystko jej opisała.

W odpowiedzi Lenora stuka dwa razy.

– A ty tego chciałaś?

Zastanawia się przez chwilę, jej twarz przybiera ten zamyślony wyraz, który już tak dobrze poznałam. Zaczyna pisać, a jej odpowiedź okazuje się równie zawiła jak myśli, które zapewne kłębią się teraz w jej głowie. Kolejny dowód, że to, co pisała ze mną, opisywała już wcześniej. Można by rzec, że to drugi szkic.

nie na początku nie chciałam mówić o tym co się stało bo to smutne wspomnienia ale podobał mi się pomysł aby znów pisać więc się zgodziłam

– Jak długo nad tym pracowałyście?

tygodniami

Chociaż właściwie jestem pewna, że znam odpowiedź, pytam:

– Więc to, co napisałaś ze mną, pisałaś też z nią?

Lenora stuka dwukrotnie, po czym dopisuje:

i więcej

– O ile więcej? O tobie i Rickym?

Lenora pisze dalej. Każdy z ośmiu klawiszy wciska powoli i z namaszczeniem, aby wyraźnie podkreślić wagę tej odpowiedzi.

wszystko

– Kiedy skończyłaś?

Lenora nie musi się nad tym zastanawiać.

tej nocy kiedy odeszła

Nagle żołądek podchodzi mi do gardła. Mary wiedziała wszystko o tamtej nocy, podczas której doszło do morderstw. Wiedziała, kto je popełnił, jak to zrobił i dlaczego. I kiedy poznała całą prawdę...

Skoczyła.

Tak powinnam uważać, skoro detektyw Vick stwierdził, że właśnie to się stało. A jednak czuję, że coś tu nie gra. Że to brzmi jak kłamstwo. Przez głowę przebiega mi inne słowo.

Zginęła.

Oto brutalna prawda.

I to nie może być zbieg okoliczności.

– Czy Mary kiedykolwiek powiedziała ci, dlaczego ma to być sekret?

Lenora odpisuje, zamiast wystukać odpowiedź.

tak

Potem dodaje jeszcze dwa słowa:

bała się

Znów zerkam na leżącą obok maszyny kartkę, na której wczoraj Lenora napisała tę samą odpowiedź na inne pytanie. I wtedy coś mi przychodzi do głowy. Coś, co powinno było zastanowić mnie wcześniej, ale chyba za bardzo się tej myśli obawiałam. Teraz nie mogę już jej unikać.

– Lenoro, czy ty naprawdę sądziłaś, że Mary odeszła?

Bacznie obserwuję jej twarz – klucz do wszystkich jej emocji. Nawet do tych, które usiłuje zataić. Tym razem jednak nawet nie stara się ukrywać tego, co czuje. Na jej obliczu maluje się smutek, kiedy jeden raz stuka w maszynę do pisania.

Nie.

– Myślałaś, że skoczyła?

Znów pojedyncze stuknięcie. Od którego serce mi przyspiesza.

– Czy... – Przełykam ślinę. Usta, nagle wyschnięte ze strachu, nie są w stanie wykrztusić kolejnego słowa. – Czy sądzisz, że Mary umarła przez to, co jej opowiedziałas?

Dwa stuknięcia potwierdzają moje najgorsze obawy.

Ona uważa, że Mary zamordowano.

Z tej strasznej świadomości wyłania się inna, drobniejsza myśl. Wywołana drugim zerknięciem w stronę kartki leżącej na biurku.

– Co Mary zrobiła z waszym maszynopisem?

Lenora odpowiada zdezorientowanym spojrzeniem.

– Pomogła ci napisać całą historię. – Wyobrażam sobie plik kartek, które zapisałyśmy z Lenorą i które teraz znajdują się razem z jej lekarstwami w zamkniętej kasetce pod moim łóżkiem. Skoro Mary i Lenora pisały przez kilka tygodni, to dlaczego nie znalazłam na to żadnego dowodu? Wszystkie kartki w biurku są czyste, a zapisanych nie widziałam ani w pokoju Lenory, ani w moim. – To musiał być gruby plik. Co Mary z nim zrobiła?

Odpowiedź Lenory – ukryła go – w niczym mi nie pomaga.

– Wiesz gdzie?

Tym razem jej odpowiedź jest nieco jaśniejsza.

w swoim pokoju

Złe przecucie przebiega mi dreszczem po plecach. Dawny pokój Mary teraz należy do mnie – i przez cały czas jest w nim ukryta prawda o tych morderstwach.

Prawda, która mogła się przyczynić do śmierci Mary.

Reszta wieczoru upływa dręcząco powoli. Kąpię, ubieram i podnoszę Lenorę do łóżka, nie przestając sobie powtarzać, że możemy się mylić. Może Mary naprawdę skoczyła. Może nosiła w sobie otchłań rozpacz, nad którą przestała panować. Może to tylko kolejny smutny rozdział w tragicznej historii Hope's End.

A może została zamordowana, ponieważ poznała tę historię.

Zostawiwszy Lenorę z przyciskiem alarmowym, wracam do swojego pokoju i przeprowadzam drobiazgowo poszukiwania. Skoro nadal są tutaj rzeczy Mary, to logika podpowiada, że cokolwiek ona i Lenora napisały, także wciąż tu jest. Gdzie – nie mam pojęcia. Ale jestem zdecydowana się dowiedzieć.

Zaczynam od komody i opróżniam z ubrań Mary każdą szufladę. Sprawdzam nawet za meblem i pod nim. Niczego tam nie ma.

Następne jest łóżko – zaglądam pod nie oraz między materac i skrzynię ze sprężynami. Znajduję tam jedynie swoją kasetkę. Otwieram ją kluczykiem z szuflady stolika nocnego i przeglądam zawartość: plik zapisanych na maszynie kartek i sześć buteleczek z pigułkami.

Potem zabieram się do regału z myślą, że kartki mogą być poutykane między książkami, które zostały po Mary, a później przechodzę do łazienki poszukać potencjalnych kryjówek. W obu miejscach poszukiwania nie przynoszą rezultatów.

Do szafy zaglądam na końcu, bo dokładnie ją przeszukałam zaraz po przyjeździe. Niemniej teraz sprawdzam torbę medyczną Mary, przetrząsam kieszenie jej płaszcza i rzucam okiem do stojącego na dnie pudełka, w którym kiedyś były książki, a obecnie stoi ono puste.

Wstaję, otrzepuję przód mundurka i wbijam wzrok w wolne miejsce obok pudełka. W przeciwieństwie do mojego mundurka nie jest zakurzone, jakby do niedawna coś tam stało. Zauważyłam je już pierwszego wieczoru, ale wtedy mnie to nie zastanowiło. Teraz jednak ogarnia mnie ciekawość, co też tu mogło być – i kiedy zostało zabrane. Przyglądam się uważnie. Niezakurzone miejsce ma kształt prostokąta, co sugerowałoby drugie pudełko, gdyby nie zaokrąglone rogi.

Czyli było to coś innego.

Jak walizka.

Mary była opiekunką. Wiedziała, jak jest. Pudełko i walizka to wszystko, czego potrzebujemy.

Czując buzującą w żyłach adrenalinę, chwytam własną walizkę i zanoszę ją do szafy. Oddychając nerwowo, kładę ją na pustym miejscu. Tak jak w przypadku mundurka – nie pasuje idealnie, ale wystarczająco. Kiedy wyjmuję walizkę z szafy, dostrzegam coś, co gwałtownie podnosi mi poziom adrenaliny.

Na obu końcach uchwytu znajduje się metalowe kółeczko, łączące go z samą walizką.

Każde kółeczko zbliżone jest kształtem i wielkością do metalowego krążka, który znalazłam na tarasie.

Nagle wszystko przechyla się na bok, jakby Hope's End w końcu nieuchronnie zsuwał się do oceanu. Ale to tylko zawrót głowy, gdy uświadamiam sobie, że kiedy Mary stąd odchodziła, zabrała walizkę ze sobą.

Do środka mogła schować kartki zawierające prawdę o Lenorze i tamtej nocy, kiedy zginęła jej rodzina.

A teraz nie ma ani Mary, ani walizki. Chwiejnym krokiem pokonuję korytarz i schodzę stopniami dla służby. Zauważam, że powiększyło się pęknięcie w ścianie klatki schodowej. Teraz biegnie przez całą jej wysokość, a co więcej, odchodzi od niego druga, mniejsza rysa. Na przeciwnej ścianie pojawiło się kolejne pęknięcie. Przy takim tempie niedługo cała klatka schodowa będzie przypominała pajęczynę. Wzdrygam się na myśl o pająkach, muchach i lepkich nitkach przywierających mi do skóry.

W kuchni podchodzę prosto do telefonu i wykręcam numer wydrukowany na wizytówce, którą dostałam od detektywa Vicka. Dopiero po sześciu sygnałach odbiera z półprzytomnym:

- Halo?

- Mówi Kit McDeere.

- Kit. - Słyszę szelest; zapewne detektyw sprawdza godzinę na stojącym przy łóżku budziku. Ja robię to samo na zegarze kuchennym. Jest tuż przed północą. - Wiesz, która godzina?

- Tak - odpowiadam szorstko, jasno dając mu do zrozumienia, że mam to gdzieś. - Ale pomyślałam, że chciałby pan wiedzieć, że Mary Milton nie skoczyła.

- A co twoim zdaniem ją spotkało? - pyta po chwili milczenia stropiony detektyw Vick.

Ja też milczę, starając się zebrać myśli. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powstało mi w głowie, a co dopiero że zaraz wypowiem to na głos. Jednak to robię, niespiesznie, lecz stanowczo.

- Została wypchnięta.

Rozdział 22

Zadam pytanie, którego na pewno pożałuję – mówi detektyw Vick. – Ale dlaczego uważasz, że Mary Milton została wypchnięta?

– W jej pokoju była walizka.

– I?

– Teraz jej nie ma.

– I?

– Mary wzięła ją ze sobą.

Detektyw Vick wzdycha.

– Masz dokładnie minutę, żeby mi to wyjaśnić.

Nie tracę ani sekundy, starając się go przekonać, aby uwierzył w coś nie do uwierzenia. Trudne zadanie, gdy ktoś jest tak bardzo sceptyczny. Mimo to robię, co w mojej mocy, i opowiadam mu o pustym, niezakurzonym miejscu na dnie szafy, o tym, że moim zdaniem wcześniej leżała tam walizka, którą niedawno zabrano, i o tym, dlaczego podejrzewam, że w noc swojej śmierci Mary wyszła z nią z domu.

– Gdyby planowała samobójstwo, to po co zabierałaby ze sobą walizkę?

– Nie mam pojęcia – odpowiada detektyw Vick.

– Ona wcale nie zamierzała odejść – mówię. – Dlatego wszystkie jej rzeczy nadal są tutaj. Mary chciała wrócić.

– Przypuszczam, że masz także teorię na temat tego, co się znajdowało w tej domniemanej walizce.

– Prawda o zamordowaniu rodziny Hope'ów.

Nagle skrzypnięcie sprężyn mówi mi, że detektyw właśnie usiadł w łóżku. W końcu przykułam jego niepodzielną uwagę.

– Myślę, że Mary przybyła tu z zamiarem odkrycia, co się naprawdę stało tamtej nocy – wyjaśniam. – I odkryła to. Bo Lenora jej powiedziała.

– Niech zgadnę – mówi ze znużeniem detektyw Vick. – Opisała to na maszynie.

– Tak.

– Kit, już o tym...

Przerywam mu, żeby pozbawić go okazji do kolejnego nazwania mnie kłamczuchą.

– Wiem, że pan uważa, że to zmyśliłam, ale Lenora umie pisać na maszynie. Mam cały plik kartek, który mogę panu pokazać. Wszystkie zapisała Lenora. A jeśli to nie wystarczy, jest i dowód w postaci zdjęcia. Jessie ma fotografię, na której Mary i Lenora razem piszą. Robiły to w sekrecie. Z pomocą Mary Lenora opisała wszystko, co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy zginęła jej rodzina. Myślę, że Mary zamierzała to potem ujawnić. Włożyła cały maszynopis do

walizki i wyszła z domu. Ale ktoś w Hope's End wiedział o jej planach i powstrzymał ją, nim zdążyła je zrealizować.

- Wypychając ją przez balustradę?

- Tak.

- Po co ten ktoś miałby to robić?

- Ponieważ nie chciał, żeby prawda wyszła na jaw.

Detektyw milczy. Albo zastanawia się nad tym, co mu powiedziałam, albo za chwilę się rozłączy. Okazuje się, że to pierwsze, chociaż wnikoskując z jego tonu, to drugie wciąż jest niewykluczone.

- To wszystko brzmi dość dziwacznie, Kit.

- Ja nie kłamię.

- Tego nie powiedziałem. Myślę, że szczerze wierzysz, że tak właśnie było.

- W przeciwieństwie do pana. - Skronie rozsadza mi ból. Głowa pęka mi coraz bardziej, nie wątpię, że wskutek braku snu i rosnącej frustracji. - W którą część pan nie wierzy?

- W żadną - odpowiada policjant. - Przede wszystkim czy ty wiesz, jak trudno jest wypchnąć kogoś przez balustradę?

- Nie przez tę - mówię, przypominając sobie, jak uderzyła mnie w krzyż i pozbawiła równowagi, aż się przestraszyłam, że spadnę w przepaść. - Jest niska.

- Niech ci będzie. Ale powiedziałaś też, że Mary włożyła cały maszynopis do walizki. Dokąd twoim zdaniem go zabierała?

- Najprawdopodobniej do pana. - Zgaduję na chybił trafił, kierując się wyłącznie intuicją. Lenora właśnie opowiedziała jej wszystko na temat najbardziej ponurej i tajemniczej zbrodni, jaką popełniono w tym mieście. Nie zastanawiałam się, co zrobię, kiedy Lenora skończy opowiadać mi o tym, co się wydarzyło. Ale coś mi mówi, że zaniósłabym to wyznanie na policję. - Znała prawdę o tamtej nocy.

- I to jest pierwsza z wielu luk w tej twojej teorii - mówi detektyw Vick. - Czas zgonu Mary określono na mniej więcej drugą nad ranem. Naprawdę uważasz, że o tej porze wybierała się na policję?

Kieruję wzrok za kuchenne okno. Księżyc świeci akurat na tyle jasno, by dało się wyłowić z mroku balustradę biegnącą przez całą długość tarasu. Wyobrażam sobie, jak Mary, skąpana w podobnym blasku, wypada przez nią i znika z zasięgu wzroku.

- Skąd wiadomo, o której zginęła?

- Ponieważ był odpływ - wyjaśnia Vick. - Mary zniknęła w poniedziałkową noc. Tamtego dnia odpływ zaczął się krótko po drugiej nad ranem. Gdyby była tam wtedy woda, zwłoki zostałyby porwane przez ocean. Zamiast tego Mary spadła na odsłoniętą plażę i zginęła na miejscu. Kiedy zaczął się przyływ, jej ciało przysypał piach.

Przed oczami pojawia mi się nowy obraz Mary. Tym razem nie muszę go sobie wyobrażać, bo go widziałam: jej zwłoki prawie całkowicie przykryte piaskiem i morską pianą. Zamykam oczy i odwracam się od kuchennego okna.

- Ale jej walizka zniknęła - mówię.

- Całkiem możliwe – zgadza się policjant. – Tylko że od jej śmierci do twojego przyjazdu minął tydzień. W tym czasie każdy mógł ją zabrać z pokoju. Dlaczego jesteś taka pewna, że Mary miała ją ze sobą?

- Znalazłam jej kawałek na tarasie.

- Naprawdę?

Ton lekceważenia w jego głosie nagle zastępuje zainteresowanie. Uśmiecham się pod nosem, choć on i tak tego nie widzi. Mam powód. To moja chwila triumfu.

- Metalowy haczyk łączący uchwyt z walizką. Był wygięty i leżał na posadzce, więc myślę, że uchwyt się urwał, kiedy ktoś wyszarpnął walizkę z rąk Mary.

- Wreszcie zaczynamy do czegoś dochodzić – mówi detektyw Vick. – Masz go jeszcze?

Mina mi rzednie.

- Zgubiłam go.

Nie pyta, jak to się stało, a ja wcale się nie kwapię, żeby go o tym informować. Jeśli powiem mu, że zgubiłam ten haczyk, kiedy prawie spadłam z tarasu, tym bardziej będzie przekonany, że to, co się stało z Mary, nie było morderstwem. Nie żeby w to wątpił.

- Wiedziałem – kwituje. – Chciałem dać ci kredyt zaufania. Naprawdę. Ale proszę, skończ z tymi bzdurami.

- To nie są bzdury.

- Wiem, co próbujesz zrobić, Kit. To samo co dziś po południu. Wykorzystujesz to, co spotkało Mary, coś bardzo poważnego, bardzo tragicznego, i przekręcasz tak, żeby zmniejszyć własne poczucie winy.

- Własne poczucie winy? Dalej pan sądzi, że ja to zmyślam?

- Nie winię cię – ciągnie detektyw Vick, jakbym nic nie powiedziała. – Myślę, że nawet nie jesteś świadoma, że to robisz. Ale to oczywiste. Twoja matka odebrała sobie życie. Pozostaje kwestią dyskusji, jak wielką rolę w tym odegrałaś.

- To nie jest kwestia dyskusji. To był wypadek.

- Więc nadal próbujesz mnie przekonywać.

Chce mi się krzyczeć.

I płakać.

I wyrwać telefon ze ściany, i roztrzaskać go o kuchenną podłogę. Zważywszy na jego wiek i moją wściekłość, podejrzewam, że to możliwe. Ale zdrowy rozsądek przeważa nad frustracją. Jeśli zacznę się zachowywać jak histeryczka, detektyw Vick uzna, że nią jestem. I zdaje się, że to jedyna rzecz, do której mogę go przekonać.

- Zgłaszam panu, że moim zdaniem zamordowano kobietę – mówię. – Nie powinien pan potraktować tego poważnie? Nie powinien pan tego przynajmniej zbadać?

Detektyw Vick wzdycha.

- Zbadałem to. Po rozmowie z tobą i wszystkimi innymi w tym domu doszedłem do wniosku, że Mary Milton odebrała sobie życie.

- Jak może być pan tego taki pewny?

- Według wstępnych ustaleń koronera jej obrażenia są typowe dla upadku z tej wysokości. Na ciele nie znaleziono żadnych ran obronnych, które zapewne by tam były, gdyby została

zaatakowana w taki sposób, jak sugerujesz. Kazałem swoim ludziom przeszukać teren, plażę, nawet taras. Nie znaleźli żadnych śladów po walizce ani niczego, co wskazywałoby na walkę albo morderstwo. Właściwie to w ogóle nic nie znaleźli.

- Co nie oznacza, że to się nie wydarzyło.

- Przykro mi - mówi detektyw Vick - że nie jestem kimś, kim się wydawałam.

Zaciskam palce na słuchawce, nagle skołowana.

- Co takiego?

- List samobójczy Mary. Tak napisała. „Przykro mi, że nie jestem kimś, kim się wydawałam”. Był w kieszonce jej mundurka, starannie złożony. Woda poważnie uszkodziła papier, ale tekst wciąż był czytelny. Więc daj mi teraz choć jeden powód, żeby się nie rozłączyć.

- Lenora nie zabiła swojej rodziny. - Więcej w tym desperacji niż czegokolwiek innego. Nie mam żadnego planu. Tylko nadzieję, że tak szokująca informacja każe mu mnie wysłuchać. - A przynajmniej nie sądzę, żeby to zrobiła. Jeszcze do tego nie doszliśmy.

- My?

- Ja i Lenora. Mówiłam panu, że piszemy jej historię, tak jak robiła to z Mary. Ale wiem, że pracował tu pewien mężczyzna. Ricardo Mayhew.

- Wiem - mówi detektyw Vick. - Też pracowałem w tym domu, pamiętasz?

- A wiedział pan, że Lenora była w nim zakochana? I że to on mógł zabić jej rodziców i siostrę? Jestem prawie pewna, że Lenora wiedziała, że to zrobił, i go kryła. Myślę, że teraz chce to wyznać, być może w nadziei, że go złapią, chociaż zniknął tej nocy, kiedy popełniono te morderstwa.

Gdy w końcu dopuszczam detektywa Vicka do głosu, w jego tonie słychać zaintrygowanie, ale i rezerwę.

- Jesteś co do tego pewna? - pyta.

- Ma pan dostęp do policyjnych raportów z tamtej nocy - odpowiadam. - Niech pan je przejrzy i to sprawdzi. Przekona się pan, że pozostało mnóstwo pytań, na które nie znaleziono odpowiedzi. Mary je miała. A teraz nie żyje. To nie jest bieg okoliczności. I nie ma mowy o samobójstwie.

Rozłączam się, zanim detektyw Vick zdąży znaleźć kolejną lukę w mojej teorii, wytknąć mi, że się mylę, a potem triumfalnie zaprezentować mi jakiś dowód, który potwierdza jego słowa. Wiem, że coś się tu dzieje.

I to mnie przeraża.

Bo teraz to mnie Lenora opowiada swoją historię i to ja mogę być następna.

Nie to jednak przeraża mnie najbardziej. Naprawdę mrożące krew w żyłach i straszniejsze niż cały Stephen King jest to, że Mary nie zabił jakiś przypadkowy nieznamy. Może to pokręcone, ale gdyby tak było, to byłabym spokojniejsza. Niestety ktokolwiek zepchnął ją z tarasu, dobrze znał jej zamiary.

Znał ją.

Co oznacza, że prawdopodobnie był to ktoś z Hope's End.

Nie licząc mnie i Lenory, pasują tu tylko cztery osoby: pani Baker, Archie, Carter i Jessie.

Dlaczego któreś z nich miałyby zabić Mary z powodu czegoś, co napisała Lenora, przekracza moje wyobrażenie. Korci mnie, żeby sięgnąć po telefon i jeszcze raz zadzwonić do detektywa Vicka. Musi to usłyszeć, choć bardzo wątpię, by mi uwierzył.

Do tej pory mi nie wierzył.

W żadnej sprawie.

Już mam wykręcić numer, kiedy słyszę za plecami jakiś hałas. Kroki. Przechodzące z ciemnej jadalni do kuchni. Obracam się na pięcie i widzę Cartera, który przystaje w drzwiach i unosi ręce na znak niewinności.

- Nie chciałem cię przestraszyć - mówi.

Ale przestraszył. Serce wali mi tak głośno, że chyba nawet on je słyszy. Mój niepokój wzmacnia fakt, że Carter należy do czwórki osób, które mogły zepchnąć Mary z tarasu.

Chwiejąc się lekko na nogach, wchodzi do kuchni. Pił. Przyznaje to, mówiąc przeproszająco:

- To był gówniany dzień.

Zastygła w bezruchu, wciąż trzymam dłoń na telefonie.

- Racja.

- Stałem na tarasie i usłyszałem, że ktoś rozmawia przez telefon. Pomyślałem, że wejdę i sprawdzę kto.

- Ile usłyszałeś?

- Trochę.

- Trochę czy wszystko?

- Większość - odpowiada Carter. - I rozumiem, czemu jesteś teraz taka nerwowa. Powinnaś być. Ale nie przy mnie. Ja wiedziałem, co Mary kombinuje.

- Więc mi powiedz.

- Próbowała mi pomóc. - Carter przechodzi przez kuchnię i zbliża się do mnie. Na odległość wystarczającą, abym poczuła whiskey w jego oddechu. - I to chyba moja wina, że zginęła.

- Masz dokładnie minutę, żeby mi wyjaśnić, co przez to rozumiesz. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że brzmię teraz jak detektyw Vick.

- Nie tutaj - mówi Carter.

Nie ruszam się z miejsca.

- Owszem, tutaj.

Nie mam zamiaru oddalać się stąd sam na sam z zabójcą. Jeżeli Carter nim jest. Choć jego słowa brzmią tak, jakby chciał mi coś wyznać, mowa jego ciała sugeruje coś zupełnie innego. Przygarbiony i powłóczący nogami, wydaje się niezdolny do tego, by zrobić mi krzywdę. No ale pozory mogą mylić.

- Jest coś, co powinnaś zobaczyć - dodaje. - I nie mogę pokazać ci tego tutaj. Więc będziesz musiała zaufać mi przez pięć minut.

- Powiedziałaś, że Mary ci pomagała?

- Owszem - potwierdza Carter. - A teraz ja chcę pomóc jej, odkrywając, co się naprawdę wydarzyło. Bo ona nie skoczyła. Wiem to, a sądząc po tym, co przed chwilą mówiłaś przez

telefon, ty także o tym wiesz.

Fakt, że mi wierzy, to jedyny powód, dla którego idę za nim do jego domku. Nawet wtedy zmuszam go, aby szedł kilka kroków przede mną, dzięki czemu widzę jego ręce. Gdy wchodzi do środka, zatrzymuję się zaraz za progiem, na wypadek gdybym musiała rzucić się do drzwi. Ale Carter nie robi niczego, co mogłoby mi zagrażać. Po opróżnieniu prawie pustej butelki whiskey stojącej na stole nalewa sobie filiżankę czarnej kawy, żeby wytrzeźwieć.

- Chcesz trochę? - pyta.

- Kawy czy whiskey?

- Według życzenia.

- Wołałabym zobaczyć to, co tak koniecznie chciałeś mi pokazać.

- Za chwilę. - Carter siada przy swoim stoliku na dwie osoby i upija łyk kawy. - Przede wszystkim muszę się do czegoś przyznać. Skłamałem, mówiąc, dlaczego się tu zatrudniłem.

Robię kroczek w stronę drzwi.

- Jeśli chcesz wzbudzić moje zaufanie, to źle się do tego zabierasz.

- Faktycznie - zgadza się Carter. - Ale ważne, żebyś o tym wiedziała. Pamiętasz tego stałego klienta, o którym ci opowiadałem? Tego, który tu kiedyś pracował i zaproponował mi przejęcie jego posady?

- Owszem - mówię. - I przypuszczam, że miał jakieś imię.

- Anthony - odpowiada Carter. - Choć wszyscy nazywali go Tony. No więc Tony nie tylko zaproponował mi tę pracę. On nalegał, żebym ją przyjął.

- Dlaczego?

- Pracowałem tu przez kilkadziesiąt lat. Znał wszystkie zakamarki. Pewnego dnia szperałem w pokojach nad garażem. Kiedyś mieszkała tam część służących.

- Myślałam, że mieszkali w rezydencji albo w tym domku - wtrącam.

- W czasach świetności Hope's End roilo się tu od służby. Był nawet mechanik, który zajmował się wyłącznie kolekcją packardów Winstona Hope'a. Było ich pięć. Archie mi mówił, że pani Baker musiała je sprzedać na przestrzeni lat, żeby pokryć koszty utrzymania tego miejsca.

Dziwnie jest myśleć, że niegdyś Hope's End tętniło życiem. Że zajęte były wszystkie pokoje, nawet te nad garażem. Jak mała wioska na szczycie wietrznego klifu, a wszystko to dla wygody jednej niebotycznie zamożnej rodziny.

- Po morderstwach pokoje nad garażem wykorzystywano jako składzik - podejmuje Carter po kolejnym łyku kawy. - Pudła pełne gratów z lat dwudziestych, a nawet wcześniejszych. Była zima i Tony nie miał za wiele do roboty wokół domu, więc aby nie siedzieć z założonymi rękami, postanowił zająć się opróżnieniem tych starych pudeł. W większości były tam śmieci. Zjedzone przez mole ubrania, popękane talerze, rzeczy należące do ludzi, którzy pracowali tu dawno temu. Zasadniczo wszystko, co po nich zostało, kiedy dom się wyludnił.

Carter przechodzi do sypialnej części domku i ze schowka pod materacem wyjmuję jakąś kopertę. Kiedy przynosi ją do stołu, moja ciekawość bierze górę nad ostrożnością i podchodzę bliżej.

- W jednym z tych pudeł Tony znalazł to.

Z koperty wyjmuję coś płaskiego i przesuwa to w moją stronę, wierzchem do dołu. Po kształcie i barwie sepia poznaję, że to fotografia. Stara, czego dowodzi data nagryzmołona na odwrocie.

„Wrzesień 1929”.

Podnoszę ją, odwracam i patrzę na podobiznę Lenory z lat młodości. Rozpoznaję ją bez trudu. Wszelkie wątpliwości rozwiewa otomana, na której siedzi, oraz tapeta za jej plecami. To jej pokój, bez dwóch zdań. Oglądam fotograficzną wersję portretu z korytarza.

Jedynie, co je różni, to sukienka – ta na zdjęciu jest luźna, bawełniana, nie atlasowa – a także ułożenie ciała modelki. Nie jest to wystudiowana poza z portretu. Lenora opiera się o tył otomany w sposób całkowicie pozbawiony wytworności, a jej dłonie spoczywają na zaokrąglonym brzuchu.

Drętwieję z szoku.

– Nie – szepczę. – To niemożliwe.

Ale zdjęcie nie kłamie.

Na miesiąc przed masakrą jej rodziny Lenora Hope była w ciąży.

To był wypadek, Mary.

Albo głupota.

A najpewniej jedno i drugie.

Ricky i ja byliśmy w sobie zbyt zdurzeni – i tak, owładnięci pożądaniem – aby myśleć o konsekwencjach. Nie żebym wiedziała, co może się zdarzyć. Nikomu nie przyszło do głowy, aby mnie uczyć o kwiatach i pszczołkach. Cała moja wiedza o seksie pochodziła z płyt, których uwielbiała słuchać moja siostra. Z piosenek o figlach i romansach, z których wynikało, że chodzi o nieszkodliwą zabawę.

I rzeczywiście zabawa była przednia. Ricky sprawiał mi rozkosz, której istnienia nawet nie podejrzewałam. Kiedy czujesz się z kimś tak dobrze, trudno jest myśleć o tym, że wszystko może się zepsuć.

Patrząc z perspektywy czasu, przypuszczam, że moje zajście w ciążę było nieuniknione. A tak na marginesie, choć o tych sprawach miałam ograniczone pojęcie, od razu wiedziałam, gdy to się stało. Poranne nudności, nienasycony apetyt i brak miesiączki były niezbitym dowodem na to, że jestem w ciąży. Nie wiedziałam tylko jednego – co w związku z tym zrobić.

Zwlekałam kilka tygodni, zanim powiedziałam o tym Ricky'emu, bojąc się, że źle przyjmie taką nowinę. Czytałam wiele książek o tym, jak kobiety w mojej sytuacji zostały źle potraktowane przez mężczyzn, którzy je w tę sytuację wpędzili. Obawiałam się, że będę jak jedna z tych skazanych na ciężki los bohaterek. Że Ricky mi nie uwierzy albo co gorsza, ucieknie i pozostawi mnie samą z tym kłopotem. Ku mojej uldze i zaskoczeniu był uszczęśliwiony.

– Więc cieszysz się z tego powodu? – spytałam go, gdy już wyznał mi prawdę.

– Będę ojcem – odparł. – Jestem wniebowzięty!

Jednak oboje wiedzieliśmy, że jesteśmy w delikatnej sytuacji – i to z wielu powodów. Ricky powiedział, że potrzebuje czasu, żeby się zastanowić, ja też musiałam wszystko przemyśleć.

Ta niespodziewana radość stała się zatem naszym największym sekretem. Okazało się, że zaskakująco łatwo było mi go utrzymać. Przede wszystkim nie zwracano na mnie zbyt dużej uwagi, więc właściwie nikt się nie zorientował, kiedy zaczęłam się zaokrąglać. Owszem, pokojówka matki cmokała z dezaprobatą, kiedy ją poprosiłam o poszerzenie moich ubrań o parę centymetrów. I oczywiście widziałam, jak służące tłumią znaczący chichot, kiedy prosiłam o dodatkę przy kolacji. Nie przeszkadzało mi, że wszyscy myślą, że po prostu tyję. To oznaczało, że nikt nie podejrzewa prawdy. Te pięć miesięcy było najszczęśliwszym okresem w moim życiu. Po raz pierwszy nie czułam się samotna. Zawsze miałam kogoś przy sobie – nosiłam go w brzuchu.

Wielką dumą – choć w tajemnicy – napawała mnie świadomość, że sprowadzę na świat nowe życie. Nie było już tamtej dziewczyny, która w dniu swoich urodzin rozważała skok z tarasu. Teraz byłam kobietą i miałam cel. Myśl o urodzeniu dziecka i wychowywaniu go z Rickym dawała mi nadzieję na przyszłość.

Pewnego wieczoru na początku września przemyciłam Ricky'ego do swojego pokoju, aby tę przyszłość z nim omówić. Był wtorek i dom prawie opustoszał. Panna Baker dostała wolny wieczór z resztą służby, jak zwykle co drugi wtorek, a moja siostra wyszła z koleżankami. Ojca także nie było, wyjechał w jakiejś pilnej sprawie do Bostonu. Właśnie nastąpiło załamanie londyńskiej giełdy i rosły obawy, że to samo stanie się tutaj. Ponieważ wiedziałam, że matka nie wyjdzie ze swojej sypialni – ani z oszołomienia laudanum – poczułam się na tyle pewnie, by zaprowadzić Ricky'ego na górę, gdzie mogliśmy dzielić łóżko jak prawdziwa para. Kochaliśmy się tego wieczoru. Z początku czule i ostrożnie ze względu na dziecko rosnące w moim łonie. Szybko jednak pożądanie wzięło górę, jak zawsze, i Ricky doprowadził mnie do rozkoszy, o jakiej nawet nie marzyłam.

Po wszystkim, kiedy zadowoleni leżeliśmy obok siebie, wyobrażałam sobie, że nasze życie będzie wyglądało dokładnie tak jak tego wieczoru. Tylko ja, Ricky i dziecko razem w małym domu gdzieś daleko od Hope's End.

– Chciałbym, żeby wszystko było inaczej i żebyśmy nie musieli się tak kryć – powiedział Ricky, trzymając mnie w objęciach. – Żałuję, że nie jestem lepszym człowiekiem.

Spojrzałam na niego skonsternowana.

- Co masz na myśli? Jesteś cudowny.

- A skąd - rzucił Ricky i lekceważąco pociągnął nosem. - Zaslugujesz na coś lepszego, niż mogę ci dać. Ty i nasze dziecko zasługujecie na kogoś, kto będzie mógł odpowiednio się wami zająć. Oszczędzam od wielu miesięcy, a wciąż ledwo wiąże koniec z końcem.

Próbował wysunąć się z łóżka, ale przywarłam do niego, żeby został.

- Jeśli martwisz się o pieniądze, to niepotrzebnie. Moja rodzina ma ich mnóstwo.

- Od twojego ojca nie przyjmę ani grosza - oświadczył Ricky.

Nie mówiłam o ojcu, który jak zaczynałam podejrzewać, wcale nie miał tylu pieniędzy, jak twierdził. Niedawno, przechodząc obok jego gabinetu, usłyszałam zacieklą rozmowę telefoniczną między nim a człowiekiem, który prowadził sprawy finansowe jego spółki. „Co to znaczy, że pieniędzy już nie ma? - krzyczał do słuchawki. - Co się z nimi stało?”

Chodziło mi o siebie i siostrę, miałyśmy bowiem odziedziczyć pokaźną fortunę po moich dziadkach. Za życia nie lubili mojego ojca, nie ufali mu, więc w testamencie nie zapisali swej jedynej córce niczego z obawy, że majątek zostanie roztrwoniony. Zamiast tego podzieliłi pieniądze i ustanowili zarząd powierniczy na rzecz mnie i mojej siostry, z tym że dostęp do spadku miałyśmy uzyskać po ukończeniu osiemnastego roku życia.

- Mówię o moich pieniądzach - uściśliłam. - O tych, które wkrótce dostanę.

Właściwie nie miałam co do tego pewności. Głównym powodem, dla którego wciąż nie powiedziałam rodzinie, że jestem w ciąży, była obawa, że się mnie wyrzekną. Taka reakcja wydawała mi się najprawdopodobniejsza, zważywszy na sytuację i pozycję społeczną Ricky'ego. Na dodatek poczuliśmy nieślubne dziecko, a to był już gotowy przepis na rodzicielskie rozczarowanie, złość i karę. Gdyby nie pieniądze, nie miałabym nic przeciwko temu, aby się mnie wyrzekli. Nienawidziłam Hope's End i nie chciałam mieć z tym miejscem nic wspólnego. Ten skromny domek z Rickym i naszym dzieckiem był wszystkim, czego potrzebowałam.

Ricky wydawał się wstrząśnięty perspektywą posiadania pieniędzy, których nie zarobił.

- Jakim byłbym mężczyzną, gdybym pozwolił ci nas utrzymywać?

- Takim, którego kocham - odparłam.

Wreszcie uwolnił się z moich objęć i sięgnął po spodnie.

- Mogłabyś kochać faceta pozbawionego dumy? Bo stałbym się właśnie kimś takim. Nie potrzebuję jałmużny.

Z bólem patrzyłam, jak Ricky wciąga spodnie i zaczyna krążyć po pokoju z rękami wbitymi w puste kieszenie.

- Nie chciałam cię zdenerwować - odezwałam się.

- Ale zdenerwowałaś.

- Więc zapomnijmy o moich pieniądzach. Damy sobie radę, nawet jeżeli czasem będzie nam ciężko.

Ricky zatrzymał się na tyle długo, żeby wbić we mnie wzrok.

- Ciężko? Ty nawet nie znasz znaczenia tego słowa. Przepracowałaś choć jeden dzień w życiu?

- Nigdy nie musiałam - przyznałam.

- I na tym polega wasz problem - rzekł Ricky. - Ty i twoja rodzina siedzicie beczynnym przez cały dzień i pozwalacie, by reszta odwalala za was prawdziwą robotę. Gdyby sytuacja się odwróciła, założę się, że żadne z was nie wytrzymałoby ani jednego dnia.

Nigdy nie widziałam go tak rozszoszczonego, a moją jedyną reakcją był płacz. Staralam się powstrzymać łzy, ale i tak popłynęły mi po policzkach.

Na ich widok Ricky zmiękł. Przyciągnął mnie do siebie i powiedział:

- Już dobrze. Nie trzeba płakać. Coś wymyślę. Potrzebuję tylko więcej czasu. A ty niczym się nie martw.

Skoro on tak powiedział, nie martwiłam się.

I to był błąd, Mary.

Bo było wiele powodów do zmartwień.

Nie myśl jednak, że to zwykła opowieść o młodej dziewczynie wykorzystanej i porzuconej przez okrutnego mężczyznę. Chodzi o coś więcej. Niemal każdy w Hope's End odegrał jakąś rolę w tym, co się wydarzyło - i większość zapłaciła za to srogą cenę.

Także ja.

Zwłaszcza ja.

Rozdział 23

Zleżącej na stole fotografii wyziera Lenora w odcieniach sepii. Odkąd ją zobaczyłam, minęło już kilka minut, a jednak wciąż nie potrafię otrząsnąć się z osłupienia.

Lenora była w ciąży.

I chociaż jeszcze mi tego nie ujawniła, jestem prawie pewna, że ojcem był Ricardo Mayhew. Nie potrafię tylko zrozumieć, co to ma wspólnego z Mary. Albo skoro już o tym mowa – z Carterem.

– Dlaczego ten twój znajomy, Tony, nalegał, żebyś przyjął tę pracę? – pytam. – Z powodu tego zdjęcia?

Carter przytakuje. W ciągu kilku ostatnich minut zdążył wytrzeźwieć; przypuszczam, że pomogła mu w tym kawa i poczynione wyznanie. Choć to, co wyznaje, dalekie jest od wszystkiego, czego się mogłam spodziewać.

– Zaczęłam tu pracować, bo musiałem się czegoś dowiedzieć.

– Czego?

– Czy jestem wnukiem Lenory Hope.

– Nadal nie rozumiem.

– W poranek Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku pod drzwiami kościoła episkopalnego w mieście znaleziono niemowlę – mówi Carter. – Było wyziębione i ledwo żywe. Ponieważ były święta, ksiądz, który znalazł małego, przybył do kościoła wcześniej niż zwykle. Gdyby przyszedł choć kilka minut później, dziecko by zmarło. To dlatego w kościele nazwano je bożonarodzeniowym cudem.

– To niemowlę – podchwytyję – było...

Carter, jak ja, nie potrafi oderwać wzroku od zdjęcia Lenory.

– Moim ojcem, tak. Adoptowała go należąca do wspólnoty młoda para, która nie mogła mieć własnych dzieci. Moi dziadkowie. Ojciec nigdy nie próbował odszukać swoich biologicznych rodziców, głównie dlatego, że nie miał pojęcia, od czego takie poszukiwania rozpocząć. Poza tym został dosłownie porzucony. Po co próbować odnaleźć kogoś, kto cię nie chciał? Więc moi biologiczni dziadkowie pozostali nieznani. Dopóki Tony nie znalazł tego zdjęcia.

– Dlaczego pomyślał, że Lenora jest twoją babcią?

– Przez tę datę. – Carter stuka palcem w fotografię. – W którym miesiącu ciąży wtedy była twoim zdaniem?

Przyglądam się zdjęciu.

– W szóstym?

– Też tak pomyślałem. Czyli dziewiąty miesiąc wypadalby...

– W okolicy Bożego Narodzenia.

- Właśnie.

Carter nie wchodzi w szczegóły, ale wcale nie musi. Skoro dziecko Lenory nie mieszka w Hope's End - i nic tu o nim nie wiadomo - przypuszczam, że albo zmarło przy porodzie, albo oddano je do adopcji.

- I myślisz, że Ricardo Mayhew jest ojcem - dodaję.

- Tak uważała Mary - mówi Carter, potwierdzając to, co już wiedziałam: że Lenora powiedziała Mary wszystko.

I że przynajmniej częścią swojej wiedzy Mary podzieliła się z Carterem.

Męczczyzna przechyla i opróżnia kubek z kawą.

- Poza tym to ma sens. Właściwie nie widzę innego powodu, dla którego Ricardo mógłby zabić rodzinę Lenory. Był żonatym mężczyzną przyłapanym na romansie ze starszą córką Winstona Hope'a. Albo rodzinie Hope'ów to się nie spodobało i zabił ich z urazy, albo zażądali, aby uczynił z Lenory uczciwą kobietę, a on zabił ich, by się wywinąć.

- To wyjaśnia też, dlaczego oszczędził Lenorę - uzupełniam. - Nosila jego dziecko.

Podaję, że z tego samego powodu Lenora cały czas go kryła.

- Tak czy inaczej to dlatego zacząłem tu pracować - ciągnie Carter. - To głupie, ale myślałem, że jeśli zobaczę Lenorę, jeśli staniemy twarzą w twarz, będę wiedział.

- To wcale nie jest głupie - stwierdzam, myśląc przy tym o własnym szalonym pragnieniu, by spojrzeć Lenorze w oczy, z nadzieją, że dzięki temu uzyskam choć nieznaczny wgląd we własne życie. - Choć przypuszczam, że ujrzenie jej niezbyt ci pomogło.

- Niezbyt. Nie dostrzegłem żadnego podobieństwa. Co wcale nie znaczy, że nie jesteśmy spokrewnieni.

W końcu siadam po drugiej stronie stołu. Albo ufam Carterowi na tyle, by znaleźć się w zasięgu jego ręki, albo te rewelacje o ciąży Lenory sprawiły, że zapomniałam o rozwadze. Sama nie jestem pewna.

- Nie pomyślałeś, żeby zapytać panią Baker?

- Owszem, przez dwie sekundy - odpowiada Carter. - Ale ona nie przepada za rozmowami o przeszłości. Archie też nie.

I tu ma rację. Choć oboje byli tu w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, żadne z nich nie jest typem człowieka, który chętnie omawiałby cokolwiek związanego z tamtymi czasami.

- Więc zamiast do nich poszedłeś do Mary.

- Dopiero kiedy się dowiedziałem, co kombinowały razem z Lenorą. O co chodziło z tym pisaniem na maszynie i tak dalej. - Carter milknie. Na wystarczająco długą chwilę, abym zdążyła pomyśleć, że czeka, aż się przyznam, że robię z Lenorą to samo. Niech sobie czeka. Moje zaufanie do niego ma swoje granice. - Gdy się zorientowałem, że oboje dążymy do tego samego celu, wtajemniczyłem ją we wszystko.

Teraz rozumiem, dlaczego Carter uważa, że Mary nie żyje przez niego. Sądzi, że ona za dużo wiedziała. Lenora też tak myśli. Wciąż słyszę jej odpowiedź na moje pytanie, czy według niej Mary zginęła przez to, co jej opowiedziała. Dwa ohydne stuknięcia.

- Istnieją sposoby, aby sprawdzić, czy jesteś z kimś spokrewniona – mówi Carter. – Badania krwi. Obecnie na ich podstawie rozstrzyga się sprawy o ustalenie ojcostwa. Pomyślałem, że cóż, jeśli potrafią zrobić coś takiego, to nie ma powodu myśleć, że nie da się stwierdzić, czy ktoś jest moją babcią.

- I wtedy pojawiła się Mary – wtrącam.

Carter kiwa głową, po czym opowiada mi resztę. Skontaktował się z laboratorium, w którym przeprowadzano takie badania. Potrzebne były jedynie dwie próbki krwi – jedna od niego, a druga od Lenory. Dwa tygodnie temu poszedł tam i pobrano mu krew do analizy.

- Przekonałem Mary, żeby pomogła mi z resztą. Zgodziła się pobrać krew od Lenory, abym mógł zawieźć ją do laboratorium. Potem wystarczyłoby poczekać i przekonać się, czy próbki pasują. Mary miała to zrobić tego wieczoru, kiedy...

Carter nie może się zmusić, żeby dokończyć.

Tego wieczoru, kiedy zginęła.

- Powiedziała mi, że pobierze próbkę od Lenory tuż przed położeniem jej do łóżka – podejmuje. – Zamierzałem przechować ją w lodówce i zawieźć do laboratorium z samego rana. Kiedy Mary się nie pokazała, pomyślałem, że zmieniła zdanie albo nie była w stanie tego zrobić. Później, kiedy wyglądało na to, że opuściła Hope's End na dobre, zaniepokoiłem się, że odeszła przez tę moją prośbę. Że poprosiłem ją o zbyt wiele albo postawiłem w niezręcznej sytuacji.

Co do tego nie mam wątpliwości. Spełnienie takiej prośby to nie byle co – nawet dla dyplomowanej pielęgniarki, jak Mary. Ale ona to zrobiła. Siniak, który zauważyłam na przedramieniu Lenory, wyglądał właśnie tak jak po pobraniu krwi, zwłaszcza od starszej pacjentki zażywającej antykoagulant. To oznacza, że w walizce Mary było coś więcej niż tylko maszynopis. Mogła w niej być także próbka krwi Lenory. Słyszając o moich podejrzeniach, Carter czuje się jeszcze gorzej.

- Czyli to naprawdę była moja wina.

- Nie ty zepchnąłeś Mary – mówię, jasno dając mu do zrozumienia, że zyskał moje pełne zaufanie.

- Nie, ale postawiłem ją w niebezpiecznej sytuacji.

- Nie zdawałeś sobie sprawy z ryzyka.

Carter zagląda do pustego kubka po kawie, jakby miał ochotę dolać sobie whiskey.

- A powinienem. Poprosiłem Mary, aby pomogła mi udowodnić, że jestem spokrewniony z Lenorą Hope. Niektórzy mogliby zabić, byle do tego nie dopuścić.

- Dlaczego?

- Bo jeśli naprawdę jestem wnukiem Lenory, to po jej śmierci mogę odziedziczyć wszystko – odpowiada Carter. – Hope's End. Dom, ziemię i resztę pieniędzy, jaka jej pozostała.

- A kto dostałby to teraz? – pytam. – Wiesz, czy Lenora spisała testament?

- Nie. Ale jeśli to zrobiła, to przypuszczam, że wszystko podzieliłaby między dwoje ludzi, którzy znają ją najdłużej.

Pani Baker i Archie. Kiedy ostatnim razem siedziałam tu z Carterem, zastanawiałam się na głos, dlaczego tych dwoje tu zostało. Teraz już chyba wiem – po śmierci Lenory dostaną Hope's

End.

– Więc jedno z nich zabiło Mary – mówię. – Albo zrobili to wspólnie.

Carterowi drga kącik ust, jakby chciał coś powiedzieć, ale wie, że nie powinien.

– O czym mi nie mówisz? – pytam.

– Jeszcze z jednego powodu uważam, że to moja wina. – Carter urywa, wciąż się wahając. –

Nie zamknąłem bramy.

– Kiedy?

– W tamten poniedziałek. Rano zobaczyłem, że jest otwarta. Pewnie się zacięła i nie domknęła za facetem, który przywiózł zakupy. Nie zwracałem sobie tym głowy, bo rano sam miałem przecież wyjeżdżać.

– Czyli tej nocy, kiedy zginęła Mary, główna brama była przez cały czas otwarta?

– Tak – potwierdza Carter z westchnieniem. – Każdy mógł wejść.

Czuję zawrót głowy na myśl, że lista podejrzanych, przed chwilą zawężona do zaledwie dwóch osób, nagle rozrosła się tak, że obejmuje... cóż, każdego. Dopiero kiedy oszołomienie mija, udaje mi się wykrztusić:

– Kto jeszcze wiedział, co ty i Mary planujecie?

– Tony – odpowiada Carter. – Prosiłem go, żeby nikomu nie mówił, ale nie mam gwarancji, że tego nie zrobił.

– A wiesz, czy Mary komuś powiedziała? – dopytuję, mając na myśli Jessie, która choć była z Mary najbliższą, wydaje się nie mieć o tej sprawie pojęcia. Chyba że tak świetnie udaje. Fakt, że w ogóle biorę to pod uwagę, sprawia, że ogarnia mnie jednocześnie poczucie winy i paranoi.

– Nie jestem pewien.

– A detektyw Vick? Powiedziałeś mu coś na ten temat?

– Prawie – mówi Carter i wreszcie sięga po butelkę whiskey, na co miał ochotę przez ostatnie pięć minut. Przelewa pozostałą w niej resztkę do swojego kubka i wyciąga go ku mnie, proponując mi pierwszy łyk whiskey o posmaku kawy. – Nie chciałem, żeby mnie wziął za wariata.

– Najwyraźniej ta rola przypadła mnie. – Przyjmuję kubek, pociągam łyk i krzywię się. Smakuje okropnie, ale robi, co trzeba. – I dlatego uważam, że na razie lepiej będzie siedzieć cicho. Nawet jeśli mu powiemy, wątpię, czy nam uwierzy. Zwłaszcza mnie.

– Więc co powinniśmy zrobić?

Bardzo dobre pytanie. Na które nie znam odpowiedzi. Detektyw Vick uwierzy nam najpewniej dopiero, gdy przedstawimy mu dowód, że mamy rację. Wtedy nie będzie mógł nas zignorować. Zatem teraz przychodzi mi do głowy tylko jedno: iść prosto do źródła.

– Zapytamy Lenorę – mówię do Cartera. – I przekonamy ją, żeby...

Przerywa mi dobiegający z zewnątrz hałas.

Potężny, ogłuszający, rozdzierający łoskot, który wstrząsa domkiem i całym jego wnętrzem, łącznie ze mną i z Carterem. Trzymamy się kurczowo stołu, podczas gdy rumor trwa jeszcze jedną, dwie, trzy sekundy. Kiedy się kończy, kubek Cartera leży rozbity na podłodze, a ja czuję się kompletnie rozbita psychicznie.

- Czy to było trzęsienie ziemi? - pytam.

Carter puszcza stół.

- No... chyba tak.

Wstajemy i na miękkich nogach wychodzimy przed dom, żeby zbadać przyczynę hałasu. Na tarasie stoją pani Baker, Jessie i Archie. Cała nasza piątka natychmiast orientuje się, co zaszło - część klifu między tarasem a domkiem oderwała się i zostawiła po sobie poszarpany półokrąg, który wygląda tak, jakby coś odgryzło kawał trawnika.

Razem z Carterem robimy kilka ostrożnych kroków w kierunku wyrwy, badając podłoże i bojąc się, że pod naszym ciężarem cały trawnik może runąć w dół. Co jest całkiem prawdopodobne. Zatrzymujemy się, gdy jesteśmy dość blisko, by spojrzeć przez krawędź. Daleko w dole, wśród spienionych fal, leżą wielkie kawały zwałonej ziemi.

- O w mordę - mówi Carter. - Nie jest dobrze.

Rozdział 24

Już drugi dzień z rzędu pomijam ćwiczenia Lenory i podwożę ją prosto do maszyny do pisania. Choć zdaję sobie sprawę, że to zakrawa na zaniedbanie obowiązków, brakuje mi cierpliwości.

Normalnej nocy – nie żeby jakąkolwiek noc w Hope’s End można było nazwać normalną – wyrwałabym Lenorę ze snu zaraz po wyjściu od Cartera, zaniosłabym maszynę do pisania do łóżka i zażądałabym prawdy o dziecku. Ale poprzednia noc była wyjątkowo nienormalna.

Po częściowym zawaleniu się klifu przed domkiem Carter rozsądnie postanowił zamieszkać w głównym domu, dopóki uszkodzenie nie zostanie zbadane. Nie żeby w rezydencji było bezpieczniej. Pomagając mu przenieść rzeczy do pustej sypialni na drugim piętrze, zauważyłam nowe pęknięcie przy schodach dla służby i uszkodzoną płytkę podłogową w kuchni. Same złe znaki.

Kiedy badałam ściany na klatce schodowej, nagle za moimi plecami pojawiła się Jessie.

– Co tam kombinowaliście z Carterem? – spytała szeptem.

– Tylko rozmawialiśmy – odparłam.

Puściła oko.

– No jasne. Pewnie. A jak.

– Serio.

– Odkryłaś coś jeszcze o Mary?

Przystanąłam na podeście i uważnie się jej przyjrzałam. W różowej koszuli nocnej, bez makijażu i biżuterii wydała mi się kompletnie obcą osobą. Którą przecież była.

– Nie – odparłam, po czym ruszyłam dalej.

Chciałam ufać Jessie. Naprawdę. Ze wszystkich mieszkańców Hope’s End miała najmniej powodów, by życzyć Mary śmierci, i była najlepszą kandydatką na moją sojuszniczkę. Ale skoro z kręgu podejrzanych wykluczyłam już Cartera, nie mogłam ryzykować wykluczenia kogokolwiek innego. Nawet Jessie. Choć nie jestem podejrzliwa z natury, w tym przypadku nie miałam innego wyjścia. Przypuszczam, że Mary też nie należała do podejrzliwych – i proszę, jak na tym wyszła.

Carter pewnie pomyślał tak samo, kiedy w drodze do swojego tymczasowego pokoju na drugim piętrze podszedł do moich drzwi.

– Dasz sobie radę? – zapytał półszeptem.

– Tak – odparłam, chociaż wiedziałam, o co naprawdę mu chodzi. Wyjąwszy mało prawdopodobną ewentualność, że ktoś z miasta zakradł się przez otwartą bramę i zabił Mary, ktoś pod tym dachem był mordercą. – Wszystko w porządku.

Nie było w porządku.

Koniec końców spędziłam większość nocy bezsennie, rozmyślając o Lenorze i Carterze. Zastanawiałam się też, czy Mary nie żyje, bo za dużo o nich wiedziała, i czy teraz to ja nie wiem aby zbyt wiele. Odpowiedź, której sobie udzieliłam – donośne „tak” – pociągnęła za sobą następne pytania. Jak poważne niebezpieczeństwo mi grozi? Czy powinnam natychmiast uciekać, w środku nocy, tak jak zdaniem wszystkich zrobiła Mary?

Zważywszy, że przez głowę przebiegały mi takie myśli, fakt, że w ogóle udało mi się zasnąć, można uznać za mały cud. Kiedy się obudziłam, leżąc na materacu, który ześliznął się niżej w ramie łóżka, i czując kłujące mnie w oczy promienie wschodzącego słońca, uświadomiłam sobie, że w nocy nie słyszałam żadnych tajemniczych odgłosów dobiegających z pokoju Lenory. Albo je przespałam, albo ktokolwiek – cokolwiek? – je powoduje, postanowił zrobić sobie wolne.

Tłumię ziewnięcie, układając Lenorę w pozycji do pisania. Kiedy jest gotowa, klękam obok niej i mówię:

– Lenoro, myślę, że powinniśmy porozmawiać o dziecku.

Udaje, że nie jest zaskoczona moją wiedzą.

Ale jest.

Jej twarz, wyrazista niczym u gwiazdy kina niemego, nie potrafi ukryć szoku. Widać go zwłaszcza w oczach, które jednocześnie się rozszerzają i lekko ciemnieją. To niewypowiedziana odpowiedź na moje najważniejsze pytanie: czy Carter się mylił w sprawie ciąży Lenory? Owszem, ta jej fotografia z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku jest bardzo przekonująca, ale niczego nie potwierdza.

– Wiem, że byłaś w ciąży – dodaje. – I Mary też wiedziała, prawda?

Lewa dłoń Lenory unosi się i opada dwukrotnie na maszynę do pisania. Czyli tak.

– Co się stało z tym dzieckiem?

Lenora wydaje z siebie długie, smutne westchnienie. Wystukuje jedno słowo – odeszło – po czym jej dłoń zsuwa się z klawiatury.

– Odeszło?

Dziwne, że tak krótkie słowo może kryć tyle możliwości. Lenora mogła poronić. Dziecko mogło urodzić się martwe. Albo umrzeć wkrótce po przyjściu na świat. Albo zostać opatulone i podrzucone na głównych schodach kościoła w bożonarodzeniowy poranek. To samo słowo – „odeszło” – mogło też oznaczać coś szczęśliwszego. Że dziecko się urodziło, dorosło i opuściło Hope's End, a teraz ma własną rodzinę. Tyle że sądząc po reakcji Lenory, ta ostatnia opcja nie wchodzi w grę.

– Czy to dziecko umarło? – pytam.

Nie wygląda na to, by Lenora chciała jeszcze coś napisać. Jej dłonie spoczywają na kolanach, sprawna lewa na niesprawnej prawej, a sama Lenora wbija w nie wzrok, jakby wcale mnie nie słyszała.

– Kto był ojcem? – pytam, nie dając za wygraną. – Ricky?

Wciąż żadnej odpowiedzi. Jakby nie było pytania. Jakby nie było mnie. Bez jednego słowa dobitnie dała mi do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać.

Nie mogę jej winić. Była w ciąży. Teraz dziecka nie ma. Prawdopodobnie uważa, że nie ma nic więcej do dodania.

Tyle że ma.

I powiedziała to przynajmniej jednej osobie – Mary.

Zważywszy na to, co ją spotkało, powinnam być wdzięczna Lenorze, że nie chce powiedzieć tego mnie. Może to jeszcze jedna przyczyna jej milczenia. Nie chce narażać mnie na większe niebezpieczeństwo niż to, które być może już mi grozi.

Znowu myślę o odejściu. Potrzeba mi kilku minut, żeby spakować walizkę i pudełko, chwycić torbę medyczną i wyjechać z Hope's End, nie oglądając się za siebie. Ale nie mogę się do tego zmusić. Choć nie powiedziano mi wszystkiego, to, co wiem, wystarczy, by mnie tu zatrzymać. Muszę dowiedzieć się reszty.

O masakrze rodziny Hope'ów. O ciąży Lenory. O śmierci Mary. Wszyscy ci ludzie są ze sobą spleceni w skomplikowany węzeł sekretów, kłamstw i występków, tych dawnych i tych obecnych. Jestem pewna, że jeśli zdołam go rozplątać, prawda wyjdzie na jaw. O Carterze i Mary, tak, ale przede wszystkim o Lenorze. To ona jest osobą, którą muszę zrozumieć.

Więc zostaję. Poranek upływa powoli i w milczeniu. Gdyby chodziło o inną pacjentkę, zajęłabym się lekkimi pracami domowymi, przygotowaniem lunchu albo choćby wspólnym oglądaniem telewizji. W Hope's End żadna z tych opcji nie wchodzi w grę. Spędzam więc czas, leżąc na otomanie i czytając powieść Danielle Steel, podczas gdy Lenora siedzi w wózku i wygląda przez okno.

To mi przypomina ostatnie dni mojej matki, kiedy była zbyt krucha i obolała, bym mogła przewieźć ją na kanapę w salonie. W pokoju bez telewizora i uspokajającego szumu w tle cisza stawała się tak gęsta, że prawie nie do zniesienia.

Dzisiaj nie jest aż tak źle, ale wystarczająco, żebym była wdzięczna za kilka chwil wypełnionych dźwiękiem i aktywnością. Pójście po lunch. Karmienie Lenory. Nawet zaprowadzenie jej do łazienki, bo zawsze to coś więcej niż beczynne siedzenie i rozmyślanie. Kiedy wykonuję te zajęcia, paplając bez końca, Lenora nie reaguje w żaden sposób.

Nie stuka.

A już na pewno nie pisze.

Stała się osobą, za jaką brałam ją, kiedy tu przyjechałam. Milczącą, nieruchomą, prawie nieistniejącą. Zastanawiam się, czy taka była przy wszystkich pielęgniarkach, zanim pojawiła się Mary z maszyną do pisania. A jeśli tak, to czy Lenora żałuje, że jej uległa? Czy to samo czuje w stosunku do mnie i zdecydowała, że odtąd tak będzie to wyglądało?

Bo to jest jej decyzja.

Popołudnie przy maszynie do pisania mogłoby to wszystko zakończyć. A jednak spędzamy resztę tego długiego, nudnego dnia w nieznośnym milczeniu. Ja kończę książkę. Lenora wygląda przez okno. Dzień przechodzi w zmierzch, a ten w coraz ciemniejszy wieczór.

Wreszcie pojawia się Archie z kolacją na tacy. Łosoś i bataty – dla mnie pieczone, dla Lenory tłuczone. Jako dodatek bardzo gorące bułeczki dla mnie, a dla Lenory czekoladowy milkshake.

- Pomyślałem, że pannie Hope przyda się coś na poprawę samopoczucia – wyjaśnia Archie. – Jako młoda dziewczyna wprost je uwielbiała.

Ten gest jest tak troskliwy, że na sekundę zapominam o tym, że on mógł zabić Mary. Nieważne, że wygląda równie groźnie jak pluszowy miś. Był tutaj w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku, kiedy zamordowano rodzinę Lenory, i był tu teraz, kiedy Mary spadła z klifu. Niemniej to czyni go także doskonałym źródłem informacji o obu tych nocach. Sęk w tym, żeby odkryć, czy Archie to przyjaciel czy wróg, źródło podejrzane czy potencjalnie godne zaufania. Tymczasem uznaję, że najlepiej traktować go jak wszystkie powyższe opcje w jednym.

- Nie musiałeś zadawać sobie aż tyle trudu – mówię, odbierając od niego posiłek. Ponieważ jeszcze nie przemocowałam do wózka Lenory podstawki na tacę, odstawiam ją na kredens, obok kuli śnieżnej i kasety, którą wczoraj dała mi Jessie.

- To żaden kłopot – zapewnia Archie. – Poza tym chciałem sprawdzić, jak się miewa panna Hope.

Zerkam na Lenorę, która zachowuje się tak, jakby w pokoju nie było nikogo prócz niej.

- Niezbyt dobrze.

- Jak chyba my wszyscy – mówi Archie. – Biedna Mary. Gdybym wiedział, że tak jej źle, spróbowałbym jej jakoś pomóc. A teraz jeszcze osunął się ten klif. Niezbyt szczęśliwe chwile w Hope's End.

Zastanawiam się, czy tu kiedykolwiek panowało szczęście. Z tego, co napisała Lenora, wnioskuję, że to miejsce od początku było skazane na zgubę.

- Wspominałeś, że kiedyś ty i Lenora byliście sobie bliscy.

- To prawda – mówi Archie. – Byliśmy.

- Jak bardzo?

- Chyba się przyjaźniliśmy. Chociaż ta przyjaźń wynikała bardziej z warunków zewnętrznych niż czegokolwiek innego. Byliśmy mniej więcej w tym samym wieku i mieszkaliśmy w miejscu, gdzie taki wiek był rzadkością.

- A co z Virginią? Też byliście blisko?

- Nie. Tego bym nie powiedział.

Jego odpowiedź, pokrępiająca w swej błyskawicznej szczerości, skłania mnie do tego, by kontynuować. Może to być ryzykowne – i może w ostatecznym rozrachunku tego pożałuję – ale skoro Archie jest w gadatliwym nastroju, to nie zamierzam go powstrzymywać.

Lenora zaś, jestem pewna, słucha, chociaż udaje, że wcale nie. Wyjmuję walkmana, wsuwam do środka najnowszą książkę na kasecie od Jessie i zakładam Lenorze słuchawki na uszy. Samego walkmana wtykam między jej nieruchomą prawą rękę a bok wózka, żeby się nie ześliznął.

- Nowa książka od Jessie – wyjaśniam Lenorze. – Chciałabyś jej posłuchać, kiedy będę rozmawiała z Archiem? Potem zjemy kolację.

Wiedząc, że mi nie odpowie, wciskam „odtwórz” i odwracam się do Archiego, który pyta:

- O czym jeszcze mamy rozmawiać?

Waham się, próbując jak najlepiej sformułować pytanie. Stwierdzam, że nie da się ująć tego ogólnie, więc wypalam prosto z mostu:

– Czy Lenora miała dziecko?

– Dziecko? – Archie gapi się na mnie skonsternowany, jakbym właśnie spytała, czy miała dwie głowy albo nosorożca na smyczy. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Coś na ten temat wspomniała – mówię, pokazując głową w kierunku maszyny do pisania na biurku. Uznaję, że mogę dać Archiemu do rozumienia, że Lenora umie się nią posługiwać. Być może już o tym wie.

– A co wy z tym robicie?

– Poznajemy się lepiej – odpowiadam i jest to prawda w swej najprostszej postaci. – Lubię znać ludzi, którymi się opiekuję.

Archie przygląda mi się sceptycznie.

– I powiedziała ci, że miała dziecko?

– Zrobiła aluzję.

– Musiałś ją źle zrozumieć.

– Więc Lenora nigdy nie była w ciąży? – pytam.

– Nigdy.

Archie najwyraźniej zakończył rozmowę, bo odwraca się do wyjścia. Zadaję ostatnie pytanie jego odchodzącej postaci, życząc sobie jeśli nie szczerzej odpowiedzi, to przynajmniej nieświadomej reakcji.

– Czy gdy byliście sobie bliscy, kiedykolwiek wspomniała o Ricardzie Mayhewie?

Potężna postać Archiego zatrzymuje się w drzwiach.

– Nie – odpowiada.

– Pracował tu.

– Wiem – mówi Archie. – Ale panna Hope nigdy o nim nie wspominała. Masz swoją odpowiedź. – Rusza dalej i sztywnym krokiem wychodzi na korytarz. Dopiero wtedy znowu odwraca się twarzą do mnie i w milczeniu mierzy mnie ostrzegawczym spojrzeniem. – Na twoim miejscu nie spędzałbym zbyt wiele czasu na pisaniu z panną Hope – dodaje. – Co było, to było. Rozgrzebywanie przeszłości nikomu nie wychodzi na dobre.

- Dziecko właśnie kopnęło.

- Wcale nie.

- Naprawdę, przysięgam - rzekł Archie, wciąż przyciskając dłoń do mojego napęczniałego brzucha.

Odsunęłam ją.

- Chybabym wiedziała.

Znów był wtorkowy wieczór i reszta domowej służby miała wychodne, a moja rodzina się rozproszyła. Archie często spędzał wolne wieczory w moim pokoju, gdzie razem się śmialiśmy, rozmawialiśmy i marzyliśmy o przyszłości. To był rytuał, który praktykowaliśmy prawie od początku jego pobytu w Hope's End. Gdy jednak nastał wrzesień, nasz rytuał stał się rzadkością. W ciągu kilku ostatnich miesięcy spędzaliśmy z Archie'm niewiele czasu razem. Oddalił się ode mnie, a ja martwiłam się, że stało się to z mojej winy. Strasznie go zaniedbywałam, odkąd poznałam Ricky'ego, więc moja decyzja, aby powiedzieć mu o ciąży, była próbą włączenia go na nowo do mojego życia.

Cieszył się moim szczęściem, ale był też zaniepokojony. Gdy opowiedziałam mu o swoich planach na przyszłość, udawał zadowolenie, ale na jego czole wciąż pojawiały się zmarszczki.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - zapytał. - Z kimś takim jak on?

- Czemu miałabym nie być pewna?

Archie oparł się o mnie na otomanie, tak że stykaliśmy się ramionami.

- Dobrze wiesz czemu.

- To trudna sytuacja - powiedziałam. - Ale mamy plan.

Jeszcze nie mieliśmy, lecz nie mogłam powiedzieć tego Archie'emu. Wiedziałam, że zaniepokoi się jeszcze bardziej. Zawsze uważał się za mojego obrońcę. Nawet wtedy, gdy oboje byliśmy młodszy, a on był jedynie uciekinierem, którego z litości przyjęto do pracy w kuchni. Myślałam, że to nas do siebie przyciągnęło. Byliśmy dwiema samotnymi duszami potrzebującymi kogoś, kim mogłyby się zaopiekować.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś, że ci się podoba - rzekł Archie.

- Dlaczego?

- Bo spróbowałbym cię powstrzymać.

- Przestań udawać, że ja jedna jestem w trudnej sytuacji - odrzekłam. - Wiem, co kombinujesz.

- To nie to samo - powiedział Archie i rzeczywiście nie było. Jedyną osobą w bardziej skandalicznej sytuacji niż moja był sam Archie.

- Wiedziałam, w co się pakuję, kiedy go poznałam - oświadczyłam, choć w rzeczywistości nie miałam pojęcia, jak bardzo zakocham się w Rickym ani jak szybko się to stanie.

- To jedna sprawa. Dziecko to co innego. - Archie sięgnął po aparat, który niedawno kupił. Była to ekstrawagancja, na którą z ledwością było go stać. Taki zakup wymagał miesięcy oszczędzania. - Znam kogoś, kto może pomóc, jeśli postanowisz, że nie chcesz urodzić. Lekarza.

- Skąd o nim wiesz?

- Od jednej z pokojówek. Poszła do niego, gdy zaszła w ciążę. Nie mogła zatrzymać dziecka, bo jego ojcem... - Archie urwał, zbyt delikatny, aby powiedzieć na głos prawdę, którą oboje znaliśmy.

- Był mój ojciec - dokończyłam za niego. - Wiem.

Pewnego ranka usłyszałam, jak Berniece mówi o tym w kuchni, kiedy sądziła, że w pobliżu nie ma nikogo z jaśniepaństwa. Tak nas nazywała - jaśniepaństwo - zawsze wymawiając to z drwiącym prychnięciem. Powiedziała, że jedna z nowych pokojówek została zhańbiona przez mojego ojca i zmuszona do pozbycia się dziecka, a potem wyrzucona z Hope's End.

Wydarzyło się to rok wcześniej, a że w dniu moich urodzin przyłapałam ojca w kompromitującej sytuacji, łatwo było zgadnąć, że niczego go to nie nauczyło. Choć nikt nie powiedział tego na głos, widziałam, że była to

jedna z przyczyn, dla których matka sypiała oddzielnie. Ona i ojciec prawie się nie widywali, nie wspominając o rozmawianiu.

Smutno mi się robiło, kiedy widziałam, jacy są ze sobą nieszczęśliwi. Moja siostra natomiast po prostu udawała, że wszystko jest w porządku. Wiedziałam, że udaje, bo nie można było nie zauważyć napięcia wiszącego w powietrzu w całym domu.

- Nie skończę jak moi rodzice – powiedziałam. – Już ja się o to postaram. Kocham go, Arch. Naprawdę.
- Cóż, szkoda.

Nie poczułam się zraniona jego słowami. Wiedziałam, że nie ma w nich okrucieństwa. On po prostu taki był. Miał wrażliwą duszę i mówił, co myślał – w przeciwieństwie do wszystkich innych w Hope's End.

- Gdyby sprawy miały się inaczej, wiesz, że wybrałabym ciebie – powiedziałam.
- Wiem – odparł. – Ale sprawy mają się inaczej. Ze mną i z nim. Tacy jak my i tacy jak ty i twoja siostra nie powinni się ze sobą spoufalać. Społeczeństwo na to nie pozwoli. Im dłużej to pociągniesz, tym gorzej się poczujesz, kiedy nastąpi nieuchronny koniec.

Usiadłam prosto i rzekłam stanowczo:

- To się nie skończy.

Archie podniósł ręce w geście poddania.

- Wierzę ci. Ale cokolwiek się stanie, dobrego czy złego, wiesz, że zawsze będę przy tobie.
- Dziękuję ci – powiedziałam.

Uniósł aparat, a ja westchnęłam. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam w tej chwili, było zrobienie mi zdjęcia. Mimo że Ricky przy każdym spotkaniu mówił mi, że jestem piękna, nie wydawałam się sobie taka. W szóstym miesiącu ciąży czułam się wzdęta i nerwowa. Nie mogłam nawet przyjąć odpowiedniej pozy do zdjęcia, choć Archie wcale się tym nie przejmował.

- Idealnie – powiedział, kiedy złożyłam dłonie na pękatym brzuchu.

Trzasnęła migawka i Archie przysiadł się do mnie na otomanie. Oparłam głowę na jego ramieniu, jak robiłam to setki razy przez kilka ostatnich lat. Był taki wielki, tak potężnie zbudowany. Wiedziałam, że zawsze będzie mnie chronił, bez względu na wszystko.

- Żeby było jasne – dodał Archie ni stąd, ni zowąd. – Jeżeli on albo ktoś inny kiedykolwiek cię zrani, zabiję go bez wahania.

Rozdział 25

Chwilę po wyjściu Archiego do pokoju Lenory wpada Carter. Po nieprzespanej nocy wygląda, z braku lepszego słowa, mizernie.

- Zdaje się, że drugie piętro ci nie służy - mówię.

Odpowiada ziewnięciem.

- Jak wy wszyscy tu wytrzymujecie? Przez całą noc czułem się tak, jakbym spał w łóżku z dwiema odpiłowanymi nogami.

- W tej chwili jest tu bezpieczniej niż w domku. Jak wygląda trawnik?

- Jakby ziała w nim wielka dziura - odpowiada Carter.

- Czy coś takiego już się tu kiedyś zdarzyło?

Kręci głową.

- Nie, odkąd tu jestem.

- Więc dlaczego dzieje się to teraz? - drążę.

- Bardzo dobre pytanie. Na które nie znam odpowiedzi. Poza tym wolalbym wiedzieć, czy to się powtórzy.

Kieruję wzrok ku zaciemnionemu nocą oknu, wdzięczna, że nie widać przez nie krawędzi tarasu ani fal oceanu pędzących w stronę podstawy klifu. Mimo to zastanawiam się, czy po zeszłej nocy rezydencja nie obsunęła się trochę bardziej - i ile jeszcze wytrzyma, zanim w końcu runie w dół.

Podczas gdy ja patrzę w okno, Carter wbija wzrok w Lenorę.

- Dowiedziałaś się czegoś nowego?

Sprawdzam, aby się upewnić, że wciąż słucha swojego walkmana, po czym pociągam Cartera za sobą do swojego pokoju.

- Potwierdziła, że była w ciąży - mówię.

- Co się stało z dzieckiem?

- Nie wiem. Nic więcej nie napisała. Bardzo wyraźnie dała do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać.

- Myślisz, że urodziła? - pyta Carter, unikając pytania, które naprawdę chce zadać: czy uważam, że tym dzieckiem był jego ojciec.

Przyglądam się rysom jego twarzy, próbując dopatrzeć się w nich choćby najmniejszego podobieństwa do Lenory. Nie widzę żadnego. Szczególnie w oczach. Carter ma ciepłe, orzechowe. Zupełnie inne niż zdumiewająco zielone oczy Lenory. A jednak nie mogę całkowicie wykluczyć tej możliwości. Nie mamy pojęcia, jak wyglądał Ricardo Mayhew, nie licząc słów Lenory, która opisała go jako niewiarygodnie przystojnego. Ten warunek Carter zdecydowanie spełnia.

- Nie wiem. Powiedziała mi tylko, że dziecka nie ma, odeszło, co może znaczyć cokolwiek. Nawet spytałam Archiego...

- Ufasz mu?

- Nie - odpowiadam. - Bo skłamał. Powiedział mi, że Lenora nigdy nie była w ciąży.

- Może o tym nie wiedział.

- Bardziej prawdopodobne, że nie chce, aby dowiedział się ktoś inny. Łącznie z Mary.

Carter się wzdryga, a ja się domyślam, że wyobraża sobie to samo co ja. Mary stoi z walizką w rękę na tarasie, a dwa razy większy od niej Archie rzuca się na nią.

- Nie powinnaś była go o to pytać - mówi, ścisząc głos. - Teraz się martwię, czy on sobie nie pomyśli, że za dużo wiesz.

Też się martwię. Ale z innego powodu niż Carter. Boję się, że cokolwiek zrobimy, niczego to nie zmieni. „Co było, to było - powiedział Archie. - Rozgrzebywanie przeszłości nikomu nie wychodzi na dobre”. Czy wypytywanie Lenory o dziecko, którego już przy niej nie ma, i o tę noc, kiedy wymordowano jej rodzinę, przyniesie więcej szkody niż pożytku? Czy rodzina i przyjaciele Mary poczują się lepiej, wiedząc, że przyczyną jej śmierci było morderstwo, a nie samobójstwo? Może detektyw Vick miał rację, mówiąc, że kieruje mną ukryty motyw. Że nie chodzi mi o dobro Lenory ani Mary, ani nawet Cartera.

Tylko o mnie samą.

A co się stanie, jeżeli nie uda mi się niczego dowieść?

- Nie pomyśli sobie - odpowiadam. - Bo wcale za dużo nie wiem. Mamy tylko teorie, nie fakty.

- Więc co teraz?

- Nie wiem. Może Lenora wkrótce znowu zacznie pisać.

Przechodzę z powrotem do pokoju Lenory, bo wiem, że lepiej, aby nikt nie zobaczył, jak konferuję z Carterem w moim. Pamiętam ton głosu Jessie z zeszłego wieczoru. Pełen seksualnych podtekstów. Jakby coś podejrzewała - albo była zazdrosna. Kto wie, jak Archie albo, Boże uchowaj, pani Baker by zareagowali, widząc nas tutaj razem.

- Daj mi znać, jeśli coś napisze. - Carter wychodzi na korytarz, ale przystaje w drzwiach, żeby jeszcze raz spojrzeć na Lenorę w poszukiwaniu podobieństwa, które nie istnieje.

- I bądź ostrożna. W tej chwili nie ufam nikomu oprócz ciebie.

Kiedy się rozstajemy, kolacja jest już spóźniona o kwadrans. Co znaczy, że z takim samym opóźnieniem zaczniemy wieczorne ćwiczenia, kąpiel i kładzenie do łóżka. Wracam do swojego pokoju, wyjmuję spod łóżka kasetkę i wytrząsam odpowiednią liczbę pigułek, które muszę wymieszać z kolacją Lenory. Buteleczki turlają się po maszynopisie. Zastanawiam się, czy w końcu znajdzie się tam więcej zapisanych kartek - i czy to polepszy, czy pogorszy sprawę.

Wracam do Lenory i zaczynam przygotowywać kolację. Wszystko wydaje się takie, jak było. Wózek inwalidzki. Okno. Sluchawki na uszach. Jedyne, co się zmieniło, to walkman. Taśma w środku już się nie obraca.

Kiedy zdejmuję Lenorze sluchawki, nie wydobywają się z nich żadne słowa.

- Wyłączyło się? - pytam.

Lewą ręką stuka dwa razy w podłokietnik wózka, gdzie spoczywała, jeszcze zanim włączyłam walkmana. Walkman natomiast leży dokładnie tam, gdzie go zostawiłam – między prawą ręką a bokiem wózka. Nawet gdyby w pewnej chwili Lenora poruszyła lewą ręką, nie dałaby rady sięgnąć nad kolanami i wyłączyć magnetofonu, nie zmieniając przy tym jego położenia.

– Jak to się stało?

Lenora posyła mi puste spojrzenie – jej substytut wzruszenia ramion.

Podnoszę walkmana i uważnie mu się przyglądam. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to że wyłączył się automatycznie, kiedy skończyła się pierwsza strona kasety. Wyjmuję ją, żeby ją przełożyć. Na obu szpulkach jest mnóstwo taśmy, co znaczy, że odsłuchano tylko połowę nagrania.

Ponieważ jedyną inną przyczyną przerwania odtwarzania są wyczerpane baterie, wkładam kasetę z powrotem do walkmana i wciskam „odtwórz”. Ze słuchawek, które trzymam w ręku, wydobywa się głos Jessie – stłumiony, lecz nie do pomylenia z innym. Wciskam guzik „stop”; mój umysł kręci się szybciej niż jeszcze przed chwilą szpulki w walkmanie. Skoro w kasecie nie skończyła się taśma, baterie wciąż działają, a Lenora nie użyła lewej ręki, odtwarzanie mogło zostać przerwane tylko w jeden sposób.

Lenora sama wyłączyła walkmana.

Swoją niesprawną ręką.

Rozdział 26

Jest dwudziesta druga, Lenora leży w łóżku, a ja siedzę w swoim pokoju, gapiąc się w walkmana, którego albo wyłączyła, albo nie – prawą ręką, która albo jest sprawna, albo nie. Po godzinie łamania sobie nad tym głowy wciąż nie wiem, co myśleć.

Poza jednym: że prawie niemożliwe jest, aby walkman wyłączył się przypadkiem, bez udziału prawej ręki Lenory. Wiem, bo próbowałam. Trącałam go. Uderzałam otwartą dłońią. Nawet walnęłam nim parę razy o bok krzesła, żeby sprawdzić, czy to wystarczy, aby wcisnąć przycisk „stop”. Nie wystarczyło. Nic, co Lenora mogła zrobić lewą ręką, nie było w stanie sprawić, aby walkman się wyłączył.

Teraz przyglądam się, jak szpulki kasety się kręcą, i czekam, by się przekonać, czy zatrzymają się same z jakiegokolwiek innego powodu niż te, które przysły mi do głowy. Uszkodzenie taśmy. Wadliwe działanie samego walkmana. Jakiś przypadkowy incydent, który nie zdarzył się nigdy wcześniej i nie nastąpi nigdy więcej. Ale wszystko działa dokładnie tak, jak należy, nawet kiedy raz po raz wciskam guziki.

Stop, przewiń, odtwórz, stop, przewiń, odtwórz.

Moje myśli kłębią się w podobnym rytmie.

Stop.

Lenora wyłączyła walkmana. Teraz jestem co do tego przekonana. Ale jak?

Przewiń.

Ponieważ możliwe, że jest sprawniejsza, niż daje po sobie poznać. Już mi to przyszło do głowy, kiedy sobie uświadomiłam, że wyjęto kartkę z maszyny do pisania.

Odtwórz.

Jeśli to prawda, to znaczy, że Lenora przez cały czas udaje.

Stop.

Nie mam zielonego pojęcia, po co miałyby to robić. Każdego dnia doświadczają upokorzeń. Ktoś ją karmi, kąpie, zdejmuje zabrudzoną pieluchę dla dorosłych i wyciera ją do czysta, nim założy świeżą. Nikt nie poddałby się czemuś takiemu na własne życzenie.

Przewiń.

A co z tą kartką wyjętą z maszyny do pisania? Co z krokami, które wciąż słyszę w jej pokoju? Z tą niewyraźną sylwetką w oknie i cieniem pod drzwiami? Ktoś je powoduje – i nie wierzę, że robi to duch Virginii Hope.

Odtwórz.

Co znaczy, że ich jedynym logicznym źródłem jest Lenora, która mnie okłamuje. Możliwe, że we wszystkim.

Stop.

Niekoniecznie. Może Lenora nie panuje nad możliwościami swojego ciała. To się czasem zdarza u pacjentów z paraliżem. Nagły skurcz może podziałać na organizm jak wstrząs elektryczny i mięśnie poruszają się mimowolnie, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz badałam jej odruchy. Coś takiego faktycznie mogło spowodować wyłączenie walkmana.

Mój palec wciąż spoczywa na przycisku „stop”, kiedy słyszę jakiś hałas. Głuchy łomot.

Lenora, myślę, a wtedy hałas się powtarza. Ona się kręci po pokoju. Znowu.

Wparowuję do środka. Panuje w nim cisza i bezruch niczym w grobowcu. Fale za oknami delikatnie chlupoczą o podstawę klifu. Lenora wydaje się pogrążona we śnie. Oczy ma zamknięte, leży płasko na plecach, przykryta kocem naciągniętym aż po szyję. Podchodzę na palcach do jej łóżka i słucham miarowego oddechu.

Wszystko w porządku. Poza kolejnym odgłosem. Tym razem słyszę kroki szurające o chodnik na korytarzu. Podchodzę do drzwi, uchylam je lekko i widzę panią Baker przechodzącą obok. Postać w białym szlafroku, trzymająca...

Czy to jest strzelba?

Odpowiedź na moje niewypowiedziane pytanie otrzymuję natychmiast, gdy pani Baker przystaje i wykonuje półobrót w moją stronę. W rękach naprawdę ściska strzelbę, której podwójną lufę opiera na prawym barku.

– Są na zewnątrz – mówi.

– Kto?

– Dziennikarze. Przez cały dzień sterczą przed bramą. To albo oni, albo chłopcy z miasta przeskoczyli przez mur i wałęsają się wokół domu.

Pani Baker rusza pospiesznie ku schodom dla służby, a ja idę za nią, niepewna, kto tu jest w większym niebezpieczeństwie, my czy intruzi. Jeśli to nastoletni chłopcy choć trochę podobni do tych, z którymi chodziłam do szkoły, to są raczej nieszkodliwi. Pani Baker natomiast jest uzbrojona.

Z kuchni wychodzimy na korytarz, a kiedy zerkam przez okno z widokiem na przód domu, dostrzegam jakiś ruch.

Przemykającą ciemną postać.

A potem drugą.

I jeszcze jedną.

W holu pani Baker zdecydowanym ruchem otwiera drzwi frontowe i wymaszerowuje na zewnątrz z wycelowaną przed siebie lufą. Noc jest mglista, szare opary leniwie zasnuwają trawnik. W tej pomroce przebiegają kolejne dwie postacie, podnosząc liczbę intruzów do pięciu. Wszyscy mają latarki, których snopy światła przecinają gęstą mgłę niczym lasery.

– Zabierajcie się stąd w tej chwili, jeśli wam życie miłe! – woła do nich pani Baker.

Intruzi rozbiegają się we wszystkie strony, aż na wilgotnej trawie słychać plaskanie ich kroków, a światła latarek podskakują w panice. Już w bezpiecznej odległości jeden z nich się zatrzymuje i odwraca, podświetlany z tyłu przez rozproszony we mgle księżycowy blask.

– To Lenora! – wrzeszczy, po czym dodaje: – Zabójczyni!

Sprawa jest jasna. To na pewno nie są dziennikarze.

Drugi mu wtóruje, wykrzykując: „Zabójczyni!”, a po nim do chóru dołączają pozostali. Ich głosy niosą się i odbijają echem w nocnej ciszy.

- Zabójczyni! Zabójczyni!

Intruz, który zaczął te wrzaski – najwyraźniej prowodyr – wydiera się dalej, kiedy pozostali umilkli, i do wykrzykiwanej obelgi dodaje nowy epitet.

- Zabójcza suka!

Słyszając to, aż się wzdrygam.

Jakby krzyczał do mnie.

O mnie.

Rzucam się naprzód w chłodną noc i mijam panią Baker, nie zastanawiając się nad tym, co robię ani dlaczego. Chcę tylko dorwać gnojka, który to powiedział, i zdrowo nim potrząsnąć, aby wiedział, że jestem niewinna.

Widząc, że się zbliżam, ciemna postać ratuje się ucieczką, ale jej tenisówki ślizgają się na wilgotnej od rosy trawie. To daje mi dodatkową sekundę, która wystarczy mi, aby dopaść nieproszonego gościa, nim zdąży zwiać. Robię gwałtowny wypad w przód, chwytam go za kołnierzyk koszuli i szarpnię ku sobie. Traci równowagę i pada na ziemię jak worek kartofli. Latarka wypada mu z ręki i toczy się po trawie, migocząc światłem. Wśród tych przebiegów przyciskam go do ziemi, czym zaskakuję go kompletnie, a siebie jeszcze bardziej.

A jednak oboje nas czeka jeszcze jedna niespodzianka.

Wijąc się w trawie pode mną, intruz podnosi na mnie wzrok i mówi:

- Kit?

Jest wyraźnie zszokowany, ale moje zdumienie przewyższa wszystko.

To Kenny.

- Co ty tu robisz? – pyta.

Zsuwam się z niego bez tchu i padam na trawę.

- Pracuję tu. A co ty tutaj robisz?

- Wygłupiamy się z chłopakami – odpowiada Kenny, siadając.

- Nie jesteś trochę za stary na takie bzdury, Kenny?

- No tak – mówi, szczerząc się dokładnie w taki sam sposób jak za każdym razem, kiedy przychodził pod tylne drzwi. – Ale przecież nikomu nie dzieje się krzywda.

Inaczej by śpiewał, gdyby pani Baker postrzeliła któregoś z nich, co by mnie wcale nie zdziwiło. Ktoś taki jak ona na pewno ma ciężki palec na spuście.

- Serio tu pracujesz? – pyta Kenny. – W tej rzeźni?

Wzdycham. Więc teraz tak nazywają Hope's End.

- Owszem.

- Kim się zajmujesz?

- A jak myślisz?

Kenny mruga.

- No co ty! Jaka ona jest?

- Nie jest zabójczą suką – odpowiadam.

- No, sorki za to - kaja się Kenny, wbijając wzrok w ziemię. - Nie miałem nic złego na myśli. Po prostu wszyscy tak o niej gadają.

- Mylą się.

- To jaka jest naprawdę?

- Cicha - odpowiadam, co zarazem mówi wszystko i nie zdradza niczego.

Patrzę w głąb długiego podjazdu, gdzie przy głównej bramie zebrali się koledzy Kenny'ego. Dzisiaj jest przynajmniej porządnie zamknięta. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Jeden z „chłopaków” Kenny'ego podsadza pozostałych na ceglany mur, po czym któryś z nich sięga w dół, żeby go podciągnąć. Widać wyraźnie, że brama, nie brama, dosłownie każdy mógł wejść na teren posiadłości i zabić Mary.

Z wysokości muru ktoś woła:

- Hej! Idziesz?

- Za chwilę! - odkrzykuje Kenny.

- Często to robicie? - pytam, kiedy jego kumple znikają za murem.

- Po liceum już nie - mówi Kenny, który skończył szkołę zaledwie dwa lata temu. - Ale na jednej popijawie wpadliśmy na pomysł, żeby tu przyjechać i sprawdzić, czy to, co wszyscy gadają, to prawda. No wiesz, o tej martwej opiekunce.

- Tak? - siadam prosto, autentycznie ciekawa, co się mówi w mieście o śmierci Mary. Jak dotąd poznałam tylko jedną opinię kogoś z zewnątrz: detektywa Vicka. - A co mówią?

- Że zabiła ją Lenora Hope.

No jasne. Po mieszkańcach mojego miasta nie powinnam się spodziewać niczego lepszego.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Nie bez powodu nie widziano jej od wielu lat. - Wstaję i otrzepuję zawilgoconą od trawy spódnicę mundurka. Potem wyciągam rękę i pomagam Kenny'emu się podnieść. - Ona nie może chodzić. Ani mówić. Ani w ogóle się poruszać, nie licząc lewej ręki. Jest nieszkodliwa.

- Skąd wiesz?

- Bo jestem jej opiekunką - odpowiadam. - Spędziłam z nią więcej czasu niż ty.

- Wiem, że masz mnie za głupką - mówi Kenny bez cienia złości. W jego głosie słychać raczej łagodną rezygnację, która każe mi zastanowić się nad naszą relacją, która cóż, była, jaka była. Serio nie sądziłam, że obchodzi go, co sobie myślę. Teraz nie jestem już tego taka pewna.

- Wcale nie - protestuję.

Posyła mi smutny uśmiech.

- Nie szkodzi. Jestem głupi. W wielu sprawach. Ale dzięki temu chyba czasem wyraźniej widzę coś, nad czym mądrzejsi ode mnie, tacy jak ty, za dużo główkują.

- Tacy jak ja? - powtarzam, jednocześnie mile polechtana tym, że uważa mnie za mądrą, i urażona, że jego zdaniem za dużo główkuję.

- Chodzi mi o to, że czasem fakty wchodzą człowiekowi w paradę. Jasne, jesteś opiekunką Lenory Hope, więc uważasz, że ona nie może nikogo skrzywdzić.

- Bo nie może.

- Znowu za bardzo główkujesz - mówi Kenny. - A sądząc po pozorach, każdego można źle ocenić. Ciebie, mnie, nawet Lenorę Hope. Weźmy nas. Kiedy zaczęliśmy się...

- Pieprzyć - podpowiadam, bo to właśnie robiliśmy.

- Właśnie. Ja wtedy wiedziałem, co się stało z twoją mamą i co wszyscy mówią o tobie. Ale wcale się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu czułem w kościach, że jesteś dobrą osobą.

W gardle rośnie mi gula. Od bardzo dawna nikt tak o mnie nie mówił. Fakt, że słyszę te słowa akurat od Kenny'ego, uświadamia mi, jak bardzo zraniło mnie milczenie ojca. To on powinien mi to powiedzieć. A nie facet, z którym zaczęłam sypiać tylko dlatego, że byłam spragniona kontaktu z drugim człowiekiem.

- Dziękuję - mówię.

- Nie ma sprawy - odpowiada Kenny, wzruszając ramionami. - Ale z drugiej strony czasem intuicja podpowiada ci coś innego. Więc choć Lenora wygląda, jakby niewiele mogła, to może jest z nią tak samo jak z tobą: pozory mylą.

Na pewno pomyliłam się co do Kenny'ego. Kiedy łączył nas tylko popołudniowy seks bez zobowiązań, nie miałam pojęcia, że ma w sobie tego rodzaju mądrość. Ale zanim zdążę dostrzec w nim zbyt wiele, chwyta mnie w pasie, przyciąga do siebie i niedbale całuje.

Odpycham go, zaniepokojona, że pani Baker może nadal stać w drzwiach frontowych i patrzeć.

- Nic z tego, Kenny.

- Pomyślałem, że nie zaszkodzi spróbować - mówi, błyskając szerokim uśmiechem napaleńca, który widywałam dziesiątki razy od maja. - I tak powinienem się zmywać. Trzymaj się, Kit. Jak kiedyś zmienisz zdanie, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Puszczą do mnie oko i ruszą sprintem przez trawnik w kierunku muru, na który wspina się bez najmniejszego wysiłku. Potem salutuje głupkowato, odwraca się i zeskakuje, znikając mi z oczu.

Odwracam się i obejmuję wzrokiem cały budynek Hope's End. Z punktu obserwacyjnego na trawniku wydaje się olbrzymi i pośepny. Łatwo o tym zapomnieć, kiedy jest się w środku, przemierzając jego poplamione krwią schody i krzywe korytarze. To samo dotyczy Lenory. Pamiętam strach, który czułam, wchodząc do jej pokoju po raz pierwszy. Jej reputacja ją wyprzedziła. Kiedy poznałam ją osobiście, tamto wrażenie, nawet jeśli nie osłabło, to przynajmniej złagodniało.

A teraz Kenny wszystko zmienił.

Intuicja podpowiada mi, że się myliłam, myśląc początkowo, że w Hope's End są tylko cztery osoby, które mogły zepchnąć Mary z tarasu. Jest ktoś jeszcze.

Piąta, wysoce nieprawdopodobna podejrzana.

Ale tak czy inaczej podejrzana.

Lenora.

Rozdział 27

Po powrocie do domu znajdują panią Baker wciąż w holu, a Jessie na Wielkich Schodach, nieświadomą faktu, że stoi na krwawych plamach na dywanie. Wytrzeszcza oczy na strzelbę w rękach pani Baker.

– Co się dzieje? – pyta.

– Intruzi – wyjaśnia pani Baker i rusza korytarzem w kierunku kuchni.

– Zajął się nimi – dodaje.

Jessie oddycha z ulgą.

– Czego chcieli?

– Niczego. Parę dzieciaków się wygłupiało.

Choć Kenny dzieciakiem już nie jest. Jego ostrzeżenie nadal odbija się echem w moich myślach. Owszem, to Lenora opisywała swoją historię, ale może pożałowała, że powiedziała Mary tak wiele. Albo nabrała wątpliwości. Albo nie sądziła, że Mary komuś o tym powie, i kiedy zdała sobie sprawę, że taki był plan, poczuła, że musi coś zrobić. Przychodzi mi na myśl siniak na ramieniu Lenory, obecnie już prawie zagojony. Czy Mary mogła pobrać jej krew wbrew jej woli? Czy to dlatego pobrała ją ze sprawnego lewego ramienia zamiast bezwładnego, prawego? Żeby Lenora nie mogła odrzucić zbliżającej się igły?

Ten pomysł nie pasuje do teorii, że to właśnie ona zabiła Mary. Czy mogłaby kogoś popchnąć, mając tylko jedną sprawną rękę? A jeśli tak, to jak to zrobiła, skoro nie może nawet chodzić?

Oczywiście odpowiedź brzmi, że tylko udaje bezwład nóg.

Zbyt wiele przeżyłam, aby tak od razu odrzucić pomysł, że Lenora symuluje. Po pierwsze: walkman i znikome prawdopodobieństwo, że sam się wyłączył. Po drugie: hałasy dobiegające z jej pokoju prawie co noc. Skrzywienie podłogi, odgłos kroków i szelest. Do tego cień pod łączącymi nasze pokoje drzwiami i szara, niewyraźna postać, którą ujrzałam w oknie. Dopóki nie dowiem się, co jest przyczyną niektórych, jeśli nie wszystkich tych zjawisk, Lenora musi pozostać podejrzana.

Na gorze zaglądam do jej pokoju. Mimo zamieszania przed domem Lenora wciąż śpi. Albo ukrywa fakt, że nie śpi.

Tak jak może ukrywać, że potrafi zrobić coś więcej, niż tylko poruszać lewą ręką.

Znacznie więcej.

Na przykład mówić.

I chodzić.

I kogoś popchnąć.

Jedynym sposobem, żeby się tego dowiedzieć, jest przyłapanie jej na gorącym uczynku. O ile to naprawdę jej sprawka. Bo może jednak ktoś inny każdej nocy hałasuje i krąży po jej

pokoju. Lecz jeśli tak, to chcę wiedzieć, kto to jest – i po co to robi.

Przechodzę przez pokój Lenory do mojego. Zamiast zamknąć za sobą drzwi, podpieram je stosem książek z regału. Zdejmuję mundurek, przebieram się, wpełzam do łóżka i sięgam po powieść, którą wybrałam na chybił trafił z półki. *Dom mody* Judith Krantz. Obok stoi termos napełniony pozostałą z rana kawą. Jest zimna i gorzka, czyli dokładnie taka, jakiej potrzebuję. Jeżeli dziś w nocy ktoś będzie chodził po pokoju Lenory, to będę gotowa i go nakryję.

Kładę się na łóżku pod lekkim kątem, tak żeby ani na chwilę nie spuszczać oka z otwartych drzwi. Potem moszczę się wygodnie, szykując na bezsenność. Napędzana kiepską kawą i znośną książką, czuwać przez wiele godzin.

Wystarczająco długo, aby przeczytać sto stron Judith Krantz.

Wystarczająco długo, aby potem liczyć fale rozbijające się o podnóże klifu. Wystarczająco długo, aby dać sobie spokój po doliczeniu do dwustu.

I wystarczająco długo, aby zobaczyć, jak moja matka wkrada się do pokoju przez drzwi prowadzące do pokoju Lenory.

W milczeniu podchodzi do mojego łóżka, chwiejąc się na osłabionych chorobą nogach. Jej zęby postukują niczym klawisze maszyny do pisania. Unosi kościstą rękę i wskazuje na mnie. Opada jej dolna szczęka.

Wtedy zaczyna krzyczeć.

Siadam prosto w łóżku, oczy mam nadal zamknięte, a w uszach wciąż słyszę ten dźwięk, który w moim koszmarze wydała z siebie moja matka. To nie wrzask, ale buczenie. Głośne, jednostajne i wciąż słyszalne, chociaż już nie śpię.

Otwieram oczy i nagle dociera do mnie, że mój pokój skąpany jest w czerwonej poświacie, a na stoliku nocnym buczy alarm Lenory. Patrzą na drzwi do jej pokoju.

Są zamknięte.

Wyskakuję z łóżka, czym prędzej szarpię za klamkę i wpadam do pokoju Lenory. Leży w łóżku, ale nie śpi, a jej lewa dłoń spoczywa na przycisku alarmowym. Z rozchylonych ust wydobywa się chrapliwy jęk czystego przerażenia. Oczy ma wielkie jak spodki i wpatrzone w coś po drugiej stronie pokoju.

W maszynę do pisania.

W wałek wkręcona jest świeża kartka, na której widnieją wypisane raz za razem jedno zdanie.

To wszystko twoja wina

To wszystko twoja wina

To wszystko twoja wina

To wszystko twoja wina

To wszystko twoja wina

To wszystko twoja wina

Wyszarpuję kartkę z maszyny i odwracam się do Lenory.

– Niech zgadnę. Twoja siostra?

Lenora stuka dwukrotnie.

Rozdział 28

Kto z was to zrobił? – Podnoszę kartkę tak, aby każdy zobaczył, co jest na niej napisane. – Wiem, że to ktoś z tego domu.

Wszyscy tłoczmy się w pokoju Lenory. Każda osoba mieszkająca i pracująca w Hope's End. Carter i Jessie siedzą na otomanie, Archie zaś na brzegu łóżka. Pani Baker stoi w drzwiach, z założonymi rękami i z okularami na nosie, żeby lepiej widzieć to, co zapewne uważa za załamanie nerwowe.

Zasługuję na więcej zaufania. Gdybym naprawdę była histeryczką, nie czekałabym do końca śniadania, aby zażądać zebrania się wszystkich w pokoju Lenory. Zrobiłabym to o czwartej nad ranem, zaraz po znalezieniu tej kartki.

– Kto to zrobił zdaniem panny Hope? – pyta pani Baker.

– Jej siostra.

Oczy pani Baker za okularami w kształcie kocich oczu robią się okrągłe. Archie kaszle, prawdopodobnie starając się stłumić śmiech. Carter i Jessie wyglądają na zaniepokojonych.

Albo zdezorientowanych.

Albo jedno i drugie.

Natomiast Lenora po prostu siedzi w swoim wózku przy oknie i z wyraźnym zafascynowaniem obserwuje, co się dzieje. Z uśmiechu Mona Lisy na jej twarzy wnioskuję, że dobrze się bawi. Pewnie od dawna nie miała tylu gości.

– To niemożliwe – mówi pani Baker.

– Wiem o tym – odpowiadam. – A to oznacza, że jedno z was zakradło się do tego pokoju i to zrobiło.

– Po co ktoś z nas miałby to zrobić? – To pytanie zadaje Jessie, jednocześnie obracając wokół nadgarstka jedną ze swoich licznych bransoletek.

– Nie wiem – mówię, choć tak naprawdę myślę, że wiem. Ktokolwiek to zrobił, prawdopodobnie próbuje nastraszyć Lenorę, żeby nie powiedziała mi tego wszystkiego, co zdradziła Mary.

Bo ten, kto się tu zakradł i napisał to zdanie, jest zarazem zabójcą Mary.

Ta myśl pozbawia mnie tchu.

Jestem w jednym pokoju z mordercą.

Nieważne jest to, że tego wieczoru, kiedy zginęła Mary, brama była otwarta, ani to, że jak dowiódł Kenny i jego koledzy, łatwo można sforsować mur. Zapisana na maszynie kartka w mojej dłoni nie pozostawia mi żadnych wątpliwości, że była to robota wewnętrzna.

Wodzę wzrokiem od osoby do osoby, przypatruję się ich wyrazom twarzy i mowie ciała, szukam podpowiedzi, drobnego gestu lub tik, którym jedno z nich się zdradzi. Oznaką zdenerwowania Jessie na przykład mogło być kręcenie bransoletką. Pani Baker z kolei zdjęła

okulary, które na pewno podniesie z powrotem do oczu, zanim się odezwie. Co do Archiego, to trudniej go przejrzeć. Siedzi w milczeniu i bezruchu. Poza tym jednym kaszlnięciem nie zrobił niczego, co zwróciłoby na niego uwagę. Może właśnie tak objawia się jego zdenerwowanie.

- Pozwól, że o coś zapytam – mówi pani Baker, wkładając okulary, tak jak przewidywałam. – W jaki sposób panna Hope zdołała ci przekazać, że jej zdaniem zrobiła to jej siostra?

- Odpowiedziała stukaniem, że tak.

- Czyli zapytałaś konkretnie, czy to była jej siostra?

- Dziwaczny pomysł – odzywa się Archie w końcu.

- Rzeczywiście – przytakuje pani Baker. – Pewnie przyszło ci to do głowy, kiedy już zapytałaś o nas wszystkich i otrzymałaś same zaprzeczenia.

- To nieistotne – odpowiadam. – Ważne, że wskazała na Virginię. A wszyscy wiemy, że taka opcja nie wchodzi w grę.

- Dlaczego ona tak myśli? – pyta Jessie.

Szczerze mówiąc, nie wiem. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że opowiadanie o przeszłości sprawia, że Lenora o niej śni. I te koszmary – zmyry – są uporczywe. Nawet po przebudzeniu wydają się jej realne. Tylko przez chwilę. I wtedy myśli, że jej siostra wciąż jest przy niej.

Alte jeśli to powiem, ujawnię wszystko. Kuszący pomysł. Powiedzieć im o wszystkim i zobaczyć, co się stanie. Przyznać się, że pomagam Lenorze spisać jej historię, że Mary robiła to samo i dlatego uważam, że ktoś ją zepchnął z tarasu. Nie robię tego, bo zdradziłabym także sekrety Cartera. A tego, co wnioskuję z jego rozbieganego spojrzenia, stanowczo sobie nie życzę.

- Uległa sile wpływu – oznajmia pani Baker, odpowiadając za mnie. – Coś w zachowaniu Kit albo w jej sposobie wymawiania naszych nazwisk przekonało pannę Hope, że nie takiej odpowiedzi oczekuje. Widać inaczej było z imieniem jej siostry. Panna Hope próbowała po prostu zadowolić Kit.

Nie wiedząc, jak na to zareagować, zaczynam wygładzać spódnicę mundurka. T class="spacing"o moja oznaka zdenerwowania.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Że to ty jesteś winowajczynią, moja droga – odpowiada pani Baker.

- Po co miałabym napisać coś takiego?

- Żeby zwrócić na siebie uwagę? – sugeruje Jessie, rzucając szybkie spojrzenie na Cartera, czego zapewne mam nie zauważyć.

Łypię na nią nieprzychylnym wzrokiem.

- Nie potrzebuję niczyjej uwagi.

- Więc po co tu wszyscy jesteśmy? – Pani Baker przechyla głowę w bok i przewierca mnie spojrzeniem niebieskich oczu równie kłującym jak promienie wschodzącego słońca. – To ty zażądałaś tego zebrania, aby pokazać nam tę kartkę i wmawiać, jakoby panna Hope twierdziła, że to jej siostra napisała te słowa. Po co zadawać sobie aż tyle trudu?

- Ponieważ chcę, aby ten, kto to zrobił, już tego nie powtórzył - odpowiadam. - Proszę. I żeby przestał zakradać się nocami do pokoju panny Hope.

Pani Baker nagle sztywnieje.

- Ktoś się tu zakrada?

- Tak.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Mówiłam. Rano, po pierwszej nocy, którą tu spędziłam. Powiedziałam pani, że słyszałam kroki w pokoju panny Hope, a pani odparła, że to tylko wiatr. Ale ja słyszałam je także następnej nocy. I widziałam kogoś w tym oknie. A pod drzwiami, które łączą nasze pokoje, ujrzałam poruszający się cień. To nie był wiatr. Więc albo było to któreś z was, albo sama Lenora.

Wbijam wzrok w panią Baker, w milczeniu prowokując ją do zbesztania mnie za to, że nie powiedziałam „panna Hope”. Nie robi tego. Mówi tylko:

- Jeśli to się powtórzy, chcę wiedzieć natychmiast.

Po czym wychodzi, tym samym kończąc to melodramatyczne - a przez to bezowocne - zebranie domowników.

Archie rusza za nią jako pierwszy. Potem idzie Carter, który spojrzeniem daje mi do zrozumienia, że musimy później pogadać. Jessie natomiast się ociąga. Wciąż siedząc na otomanie, mówi:

- Przepraszam, że to powiedziałam. Tak naprawdę nie myślę, że chodzi ci o uwagę.

- Ojej, wielkie dzięki.

Jessie wstaje, podchodzi bliżej i dotyka mojego ramienia.

- Chodzi mi o to, że w ogóle nie uważam, abys ty to zrobiła.

Kątem oka patrzę na Lenorę, która udaje, że wcale nie słucha każdego słowa. Zanim Jessie zdąży powiedzieć coś więcej, wciągam ją do swojego pokoju i zamykam za nami drzwi.

- To twoja sprawka? - pytam ją. - Napisałaś to i kazałaś Lenorze powiedzieć mi, że to jej siostra?

Jessie odsuwa się ode mnie w stronę regału.

- No co ty! Jak mogłaś choćby pomyśleć o czymś takim?

Bo coś podobnego już kiedyś zrobiła. W sali balowej. Z tabliczką ouija. Jakbyśmy grały w jakieś cholerne Cluedo.

- Jeśli to był jakiś żart, to...

- Powiedziałam ci, że to nie ja - przerywa mi ostro. - Skąd wiesz, że to nie Lenora? Umie pisać na maszynie, prawda?

- Nie tak. - Zerkam na trzymaną w rękę kartkę z tekstem zgodnym z zasadami pisowni i interpunkcji. - I nie bez pomocy.

- Może potrafi więcej, niż myślisz.

Wczoraj w nocy Kenny powiedział to samo. Mnie też przeszło to przez myśl, kiedy majstrowałam przy walkmanie, żeby sprawdzić, czy może się wyłączyć.

- Czy Mary... - Nie mam pojęcia, jak to ująć, żeby nie zabrzmiało, jakbym zwariowała. Czy kiedykolwiek mówiła, że Lenora jest silniejsza, niż na to wygląda? Czy kiedykolwiek przyszło

jej do głowy, że ona to wszystko udaje? – Czy Mary kiedykolwiek powiedziała, że jej zdaniem Lenora może wrócić do zdrowia?

– W jakim sensie?

W takim, by mogła chodzić, myśle. Popchnąć kogoś. Zabić.

– W jakimkolwiek – odpowiadam. – Umysłowym. Fizycznym.

– Znaczy, nauczyć się znowu chodzić? – upewnia się Jessie. – Nie. Nigdy tak nie mówiła.

– Ale to możliwe, prawda?

Jessie opiera się o regał, chowając ręce za plecami.

– Chodziło mi tylko o pisanie na maszynie. A nie żebyś sobie myślała, że Lenora biega po domu w tajemnicy przed wszystkimi. Jasne, każdy słyszał opowieści o ludziach, którzy nagle wybudzali się ze śpiączki, albo o takich, którzy byli sparaliżowani i cudownie odzyskiwali władzę w nogach. Więc pewnie może się to zdarzyć. Ale chyba nie w wieku Lenory. Nie nauczysz starego psa nowych sztuczek. I takie tam.

– A jeśli to nie jest przypadek starego psa uczącego się nowych sztuczek? – pytam. – Jeśli ktoś zna tę konkretną sztuczkę od lat młodości?

– Myślisz, że Lenora udaje? – dziwi się Jessie. – Po co miałyby to robić?

Nie przychodzi mi do głowy inna odpowiedź niż ta, że Lenora chyba lubi mieć sekrety. Przez kilkadziesiąt lat nie powiedziała nikomu, co wie o masakrze rodziny Hope'ów, dopóki nie pojawiła się Mary. A teraz, wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, nie potrafię otrząsnąć się z wrażenia, że gdy już wyjawiała opiekunce swój największy sekret, postanowiła go odzyskać.

O ile coś takiego jest w ogóle możliwe.

– Trochę się o ciebie martwię, Kit – mówi Jess. – Zachowujesz się jak Mary.

– Pod jakim względem?

– Hmm, pod każdym.

Sama też bym się o siebie martwiła, gdybym nie wiedziała tego, co wiem. Że ktoś kręcił się po pokoju Lenory. Że wielokrotnie kłamała na temat tego, kim jest ta osoba. Że wyłączyła walkmana ręką, która według powszechnej wiedzy jest niesprawna.

– Wszystko gra – uspokajam ją, choć to nieprawda.

Bo gdyby wszystko grało, to po jej wyjściu, aby odkurzyć urny w bibliotece na dole – co znaczy, że chce być jak najdalej ode mnie – nie przeniosłabym Lenory z wózka inwalidzkiego do łóżka.

Gdyby wszystko grało, nie badałabym nóg i prawej ręki Lenory w poszukiwaniu oznak sprawności ani nie obmacywałabym zeszytniałych od nieużywania mięśni.

Gdyby wszystko grało, nie łaskotałabym dłoni Lenory, czekając na jakiś skurcz, drgnięcie, bodaj namiastkę ruchu.

Kiedy robię to wszystko, Lenora obserwuje mnie z łóżka, raczej nieufnie niż podejrzliwie. Myślę, że wie, co kombinuję. Jeśli jest w stanie stawić mi opór, nie daje tego po sobie poznać. Z łatwością rozprostowuję na materacu jej bezwładną prawą rękę, kładę ją otwartą dłonią do góry i rozcapierzam palce. Kiedy wzdycha, jakby już przez to przechodziła, zastanawiam się, czy Mary też tego próbowała.

I czy to podziało.

I czy Lenora uznała potem, że Mary musi zniknąć.

W tej sytuacji następnym logicznym krokiem wydaje się zastąpienie łaskotania zadawaniem bólu, który z większym prawdopodobieństwem mógłby wymusić jakąś reakcję. No i byłoby to takie proste. Wyjąć igłę i strzykawkę z torby medycznej Mary. Wbić ją w prawą rękę Lenory. Czekać na grymas bólu.

Odpycham od siebie te myśli. Przeczą wszystkiemu, czego mnie nauczono. Nawet jeśli w tej chwili nie ufam Lenorze – i nawet jeśli nie wszystko ze mną w porządku – to nadal jestem opiekunką.

Podchodzę więc do biurka, chwytam kartkę, którą znalazłam w maszynie do pisania, i odczytuję oskarżenie wypisane od góry strony do samego dołu. Jestem tak zmęczona, że słowa zaczynają mi się rozmazywać przed oczami, a litery płaczą się i przestawiają.

To wszystko twoja wina

To wszystko wina Kit

To, co mówią, nie jest prawdą, Kit-Kat

Zgniatam kartkę w kulkę, zanoszę do łóżka i upuszczam na otwartą prawą dłoń Lenory. Mam nadzieję, że odruch zwycięży, kiedy papier uderzy o wnętrze dłoni, tak jak chwytamy coś, nawet o tym nie myśląc. Po prostu to robimy. W pewnym momencie instynkt przejmuje kontrolę.

Nie w tym przypadku. Kulka zgniecionego papieru odbija się od dłoni Lenory i spada na podłogę. Podnoszę ją i próbuję ponownie.

I jeszcze raz.

A potem ciskam nią przez cały pokój, a ona odbija się rykoszetem od okna i turla w kąt.

Potrzebuję czegoś cięższego. Czegoś, co Lenora naprawdę poczuje, gdy wyląduje to w jej dłoni.

Patrzę na otwarte drzwi między naszymi pokojami i na stos książek w miękkich oprawkach, którym je podparłam, żeby zostały otwarte, i który ktoś (Virginia? Lenora?) odepchnął, żeby je zamknąć. Chwytam jedną z powieści – *Zwyczajni ludzie* Judith Guest – i przytrzymuję grzbietem do dołu parę centymetrów nad dłonią Lenory.

Upuszczam ją.

Książka stoi prosto przez sekundę, po czym przewraca się na bok, na kciuk i palec wskazujący Lenory.

Nadal nic.

Ponieważ – jak sobie uświadamiam – nie ma dla niej znaczenia, czy ją złapie. Książka i papierowa kulka nie są wyjątkowe. Da się je zastąpić. Jeśli Lenora pozoruje swój stan, to nie zdradzi się bez ważnego powodu. Aby ją skłonić do poruszenia prawą ręką – jeśli potrafi nią poruszyć – potrzebuję większej motywacji niż kulka papieru i książka z oślimi uszami.

Rozglądam się po pokoju, rozważając i odrzucając kolejne opcje. Szczotka do włosów? Mało wartościowa. Lusterko ręczne? Zbyt nieporęczne. Walkman? Poważny kandydat. Ale i jego da się odkupić.

Moje spojrzenie łąduje na stojącej na kredensie kuli śnieżnej z wieżą Eiffla. Stereotypowy Paryż za szkłem.

Tak mi mów.

Prezent dla Lenory od jej dawno nieżyjących rodziców ma wartość sentymentalną. Prawdopodobnie wart jest też sporo pieniędzy. Choćby dlatego, że to antyk, a wątpię, by tacy ludzie jak Winston i Evangeline Hope'owie kupili dla córki tanią kulę.

Podnoszę ją, przekonana, że Lenora nigdy, przenigdy, za żadne skarby świata nie pozwoliłaby, aby tak cenna pamiątka wypadła jej z ręki. Kiedy przenoszę szklane cacko z kredensu do łóżka, parę złotych płatków podrywa się z dna wysuszonej kuli. Połyskują i wirują, gdy odwracam ją do góry nogami nad dłonią Lenory.

Leżąc płasko na plecach, Lenora wyteża wzrok, aby zobaczyć, co robię. Kiedy dostrzega złote płatki we wnętrzu śnieżnej kuli, na jej twarzy widać panikę. Oczy aż płoną, a z gardła wydobywa się charkot.

Ignorując go, mocno trzymam szklaną kulę, czekając na odpowiedni moment, by ją upuścić. Mówię sobie, że nie robię nic złego. Że Lenora może ją złapać, jeśli naprawdę tego chce. Że jest tak roztrzęsiona, bo dobrze wie, że ją zdemaskowałam.

Obie wpatrujemy się w śnieżną kulę, obserwujemy, jak złote płatki osiadają w zagłębieniu odwróconej kopuły. Kiedy ostatni płatek opada, rozluźniam uścisk.

Kula uderza w otwartą dłoń Lenory.

Wstrzymuję oddech, patrzę i czekam.

Aby zacisnęła wokół niej palce.

Aby dowiodła, że umie poruszać prawą ręką.

Czekam na chwilę, kiedy przynajmniej jedno z moich podejrzeń się potwierdzi.

Zamiast tego kula śnieżna stacza się z dłoni Lenory i turla po materacu.

A potem uderza o podłogę i rozbija się w drobny mak.

Odgłos dobiegający zza zamkniętych drzwi pokoju mojej matki był jednoznaczny.

Brzęk rozbijanego szkła.

Słyszac go, moja siostra wydała stłumiony okrzyk. Ja tylko się wzdrygnęłam, jakby to, czym właśnie rzuciła matka, miało uderzyć we mnie, a nie w ojca.

– Na litość boską, Evie – usłyszałam jego zachnięcie. – Nie dosyć już zniszczyłaś?

– Mogłabym cię spytać o to samo.

Głos mojej matki dochodził zza drzwi głośno i wyraźnie. Znak, że czuła się dobrze i była naprawdę wściekła. Zwykle po laudanum stawała się potulna i otumaniona. Ucieszyłam się, że znowu brzmi jak dawniej, chociaż wiedziałam, że to skutek najgorszej kłótni rodziców od wielu lat.

– Niczego nie zniszczyłam – odpowiedział ojciec. – Wszystko jest w porządku. Po prostu spółka przechodzi trudny okres. I dlatego tak ważne są w tej chwili pieniądze na jej dalsze prowadzenie.

Matka prychnęła szyderczo.

– Pieniądze naszych córek, chcesz powiedzieć.

– Powinny należeć do nas.

– Po moim trupie – odparła matka.

– Nie kuś mnie. – Jej słowa skłoniły ojca do riposty.

– Moi rodzice nie bez powodu ustanowili zarząd powierniczy – powiedziała matka. – Gdybyś mógł dobrać się do tych pieniędzy, wydałbyś wszystko w rok, a Lenora i Virginia zostałyby z niczym.

– Zostaną z niczym, jeśli spółka upadnie i stracimy dom.

Wymieniłyśmy z siostrą niespokojne spojrzenia. Nie miałyśmy pojęcia, że sprawy mają się aż tak źle, choć właściwie powinnyśmy były to podejrzewać. Rodzice ledwo się do siebie odzywali, więc nie było mowy o kłótniach, i dlatego kiedy odgłosy awantury odbiły się echem w korytarzu, obie podbiegłyśmy do drzwi i zaczęłyśmy podsłuchiwać. Wiedziałyśmy, że musiało stać się coś bardzo złego.

– Nawet jeśli, ich to nie dotknie – stwierdziła matka.

– A co ze mną? Nic cię to nie obejdzie, jeżeli stracę wszystko?

– Ja już straciłam wszystko – rzuciła matka. – Może i ty powinieneś? A może bardziej się martwisz o tę swoją dziewczkę? Choć powinnam raczej powiedzieć „dziwki”, bo wiele ich było przez te wszystkie lata.

– Nie udawaj niewiniątka, kochanie – odparował ojciec, a czułe słówko, którym zwykle zwracał się do mnie, teraz ociekało nieskrywanym jadłem. – Oboje znamy prawdę.

Matka odpowiedziała mu tak cicho, że obie z siostrą musiałyśmy przycisnąć uszy do drzwi, by ją usłyszeć. A nawet wtedy z ledwością zrozumiłyśmy wypowiedziane półszepem:

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Owszem, wiesz – odrzekł ojciec. – Wiem, dlaczego za mnie wyszłaś. I dobrze wiem, że Lenora nie jest moją córką.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Tak głośno, że rodzice musieli chyba usłyszeć mnie przez drzwi. Widocznie moja siostra też tak pomyślała, bo zakryła mi dłonią usta i pociągnęła mnie korytarzem do pierwszego otwartego pokoju. Wepchnęła mnie do środka akurat w momencie, kiedy otworzyły się drzwi matczynej sypialni. Tuliłyśmy się do siebie w tym zaciemnionym pokoju, serce waliło mi jak młotem, a w głowie miałam mętlik, gdy ojciec lustrował wzrokiem korytarz.

– Dziewczynki – odezwał się głosem tak srogim, że zmroziło mi krew w żyłach. – Podsłuchiwałyście?

Siostra wciąż zakrywała mi usta dłonią, kiedy ojciec mijał otwarte drzwi, ledwie parę centymetrów od nas. Zaczęłam płakać i moje łzy pociekły po jej palcach.

– Jesteście tam, mój skarbie i moje kochanie?

Kiedy minąwszy drzwi, przystanął, byłam pewna, że zaraz wpadnie do środka, chwyci nas obie za szyje i wywlecze z pokoju. Ku mojemu całkowitemu zdumieniu poszedł dalej korytarzem, w stronę Wielkich Schodów.

Gdy jego kroki ucichły, razem z siostrą w końcu wyrzwałyśmy z kryjówki i zaraz czmychnęłyśmy do mojego pokoju. Rzuciłam się na łóżko i zaczęłam szlochać bez opamiętania.

Siostra stała z założonymi rękami pod ścianą. Nie miała nastroju, by mnie pocieszać. Było dla mnie jasne, że nawet przez myśl jej to nie przeszło.

– Myślisz, że to prawda? – spytała. – Że możemy stracić Hope's End?

– Tym się martwisz? Po tym, co powiedział ojciec?

– Och, to. – Moja siostra wzruszyła ramionami. – Matka zakochała się w jednym ze służących swoich rodziców i zaszła w ciążę. On ją porzucił i musiała wyjść za ojca, aby uniknąć skandalu. Myślałam, że wiesz.

Pokręciłam głową. Nie miałam o tym pojęcia.

Jednak z perspektywy czasu myślę, że powinnam była się tego domyślić. Byłyśmy z siostrą tylko trochę do siebie podobne. Miałymy różne nosy. Inne włosy i oczy. Nie wyglądałyśmy jak siostry – raczej jak kuzynki, za które niejedną raz brali nas nieznajomi.

– No to teraz już wiesz. – Siostra umilkła, a na jej ustach pojawił się okrutny uśmiezek. – Właściwie powinnaś czuć ulgę. Teraz wiesz, skąd to masz. I że nie jesteś jedyną dzdizrą w rodzinie.

Potem wymknęła się z pokoju, zostawiając mnie samą, z uczuciem pustki i przekonaniem, że ona wie o mnie i Rickym.

I że jest tylko kwestią czasu, zanim o tym rozpowie.

Jedynie, co mi pozostało, to ją ubiec i wyznać prawdę przynajmniej jednej osobie poza Archiem. Uznałam, że najlepiej będzie powiedzieć matce. Na pewno przyjmie tę nowinę znacznie lepiej niż ojciec. Poza tym miałam nadzieję, że mnie zrozumie, skoro sama przeżyła coś podobnego. Podjąwszy decyzję, poszłam na koniec korytarza i wsunęłam się do jej sypialni. Matka była ledwie przytomna, choć trwało późne popołudnie. Promienie słońca przenikały do wnętrza między zaciągniętymi zasłonami niczym przeciekające przez szczelinę strużki wody.

– Czy to ty, moje kochanie? – wymamrotała.

Stałam w nogach łóżka, próbując dobrać odpowiednie słowa. Ale tak wiele chciałam powiedzieć – i tak wiele pytań zadać – że zdołałam tylko wypalić:

– Czy to prawda? To, co powiedział ojciec?

Z pościeli, w której zagrzebała się matka, dobiegło mnie westchnienie.

– Tak, moje kochanie.

– Więc go nie kochasz?

– Nie.

– A kiedykolwiek kochałaś?

– Nigdy. – Głos miała senny i odległy. Jak ktoś, kto mówi przez sen. – Nigdy, przenigdy. Wiedział o tym. Wiedział i zapłacił temu, którego kochałam, by uciekł i nigdy więcej się ze mną nie spotkał. Kiedy tak się stało, znalazłam się w potrzasku. Nie miałam wyboru, musiałam za niego wyjść.

Mówiła coraz mniej wyraźnie.

– Żadnego wyboru. – Mamrotanie przeszło w szept. – Wybacz, moje kochanie.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

A potem... nic.

– Mamo? – Podbiegłam do niej, chwyciłam za ramiona i mocno potrząsnęłam. Potrącona prawa ręka opadła na materac i pomiędzy palców wytoczyła się buteleczka po laudanum.

Zupełnie pusta.

Wypiła wszystko, prawdopodobnie tuż zanim wszłam do pokoju.

– Mamo?! – zawołałam i potrząsnęłam nią jeszcze mocniej, usiłując przywrócić jej przytomność. Na próżno. Matka leżała bez ruchu, a pusta buteleczka po laudanum przetoczyła się przez materac i z łoskotem uderzyła o podłogę.

Rozdział 29

Lenora ignoruje mnie na swój sposób i nie odpowiada stukaniem nawet na podstawowe pytania. Mimo to wciąż próbuję nawiązać z nią kontakt i dopytuję się, co chciałaby robić dziś wieczorem.

– Masz ochotę popisać na maszynie?

Lewa ręka Lenory nawet nie drgnie.

– Możesz posłuchać dalszego ciągu tej książki, którą nagrała ci Jessie. Chcesz?

Znowu nic.

– Albo ja ci poczytam – dodaję. – To nie będzie przyjemne dla żadnej z nas.

Tym razem przynajmniej jakoś reaguje. Kąciki jej ust unoszą się w półśmiechu. Ale ten uśmiech znika tak szybko, jak się pojawił, a na twarz Lenory powraca kamienna obojętność.

– Przepraszam – powtarzam, dzisiaj już chyba piąty raz. – Mówię szczerze. I odkupię tę kulę. Przysięgam.

Obie wiemy, że to niemożliwe. Lenora dostała ją od zamordowanych rodziców ponad pięćdziesiąt lat temu. A ja jestem podejrzliwą suką, która ją rozbiła. Nic dziwnego, że jest na mnie zła. Sama jestem na siebie wściekła. Bo myślałam, że może udawać swój stan. Bo popadłam w taką paranoję, że podejrzewałam o zabicie Mary prawie całkowicie sparaliżowaną kobietę. Bo pozwoliłam, aby przez tę paranoję straciła prawdopodobnie ostatni skarb, jaki posiadała. Teraz mogę już tylko błagać ją o przebaczenie. Nawet padam na kolana wśród połyskujących złotem płatków na podłodze. Nie mogę zapomnieć zrozpaczonego spojrzenia Lenory, gdy próbowałam ratować to, co zostało ze śnieżnej kuli. Nie dało się zrobić. Sama kula rozbiła się w drobny mak, a z paryskiej scenki przetrwało niewiele. Nawet wieża Eiffla była zniszczona – złamana na pół. Jedyne, co pozostało, to podstawka. Złoty kikut. Nie miałam wyboru, jak tylko pozamiatać okruchy i wyrzucić je do śmieci. Lenora uroniła jedną łzę.

– Proszę, proszę, przebacz mi – powiedziałam wtedy i powtarzam teraz.

W końcu Lenora odpowiada.

Pojedynczym stuknięciem w materac.

Nie.

– Co mogę zrobić, żeby ci to wynagrodzić? Zrobię wszystko, cokolwiek zechcesz.

Lenora przenosi wzrok na maszynę do pisania po drugiej stronie pokoju. Teraz chce pisać. Szybko wstaję i wkręcam czystą kartkę w wałek. Zanoszę maszynę do łóżka i kładę lewą dłoń Lenory na klawiszach.

Wciska dziesięć z nich oraz spację.

na zewnątrz

Wpatruję się z zaskoczeniem w te słowa.

- Chcesz wyjść na zewnątrz?

Stuka dwa razy w maszynę.

- Ale to niezgodne z zasadami.

Lenora wystukuje następne słowa.

no i

Nawet bez interpunkcji wiem, że to pytanie.

- Ale ty przecież nie chcesz wychodzić z domu.

chcę - pisze Lenora. I dodaje: brakuje mi tego

- Więc nigdy nie mówiłaś pani Baker, żeby nie zabierano cię na zewnątrz?

Lenora zwija dłoń w pięść, po czym uderza knykциями w maszynę do pisania, aż podskakuje masa klawiszy, z których żaden nie dociera do kartki. Wcale nie muszą. Doskonale rozumiem.

Nie.

Ale przecież pani Baker nie zabraniałyby jej spacerów bez ważnego powodu. Od razu przychodzą mi do głowy trzy. Pogoda. Kiepski stan Lenory. Kłopot ze znoszeniem ze schodów przykutej do wózka kobiety.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - pytam.

Lenora wystukuje „tak”. Żadne zaskoczenie.

- Pani Baker nie będzie zadowolona, kiedy zobaczy, co próbuję zrobić.

nie może wiedzieć

I wszystko jasne - to zdecydowanie zły pomysł. Wpadnę w kłopoty, jeśli pani Baker nas nakryje. A robi to. Nie uda mi się sprowadzić Lenory na parter i wywieźć jej przed dom, tak aby nikt tego nie zauważył. Nie wiem nawet, czy w ogóle podołam temu zadaniu. Na pewno nie sama. A kiedy ktoś mnie przyłapie, zostanę odprawiona, w konsekwencji zaś zwolniona przez pana Gurlaina. Krążę po pokoju, czując ucisk w żołądku na myśl, że będę musiała wrócić do domu ojca, gdzie na zawsze ugrzęznę w pułapce samotności i milczenia.

- Nie mogę - mówię do Lenory. - Przepraszam. To zbyt ryzykowne.

Coś pisze, gdy ja nie przestaję krążyć. Pełne zdanie, wystukane tak szybko, jak tylko można to zrobić jedną zdrową ręką.

powiem ci co się stało z dzieckiem

Lenora posyła mi zadowolone z siebie spojrzenie. Wie, że nie oprę się tej propozycji. Zastanawiam się wręcz, czy nie planowała tego od początku. Nie to, żebym rozbiła jej śnieżną kulę i poczuła się na tyle winna, aby obiecać jej wszystko. Czegoś takiego nikt nie mógłby zaplanować. Ale zdradzić mi akurat tyle szczegółów o nocy zbrodni, żebym chciała poznać ich więcej? Odmówić pisania, gdy tylko wspomniałam o dziecku? Całkiem możliwe, że Lenora zrobiła to celowo, a potem czekała na idealny moment, aby zmanipulować mnie tak, żebym dała jej to, czego chce.

Ale w tę grę grają dwie osoby.

– Będziesz musiała opowiedzieć mi resztę swojej historii – mówię. – Jeśli to zrobimy, powiesz mi wszystko, co powiedziałaś Mary. Tak jak obiecałaś.

Lenora nie odpisuje ani nie wystukuje odpowiedzi, prawdopodobnie dlatego, że jeszcze sama jej nie zna. W jej milczenie wdzierają się szybkie pukanie do drzwi, a potem głos:

– Kit? Jesteś tam?

Pani Baker.

O wilku mowa.

– Chwileczkę! – wołam, po czym taszczę maszynę do pisania z powrotem na biurko. Podchodząc do drzwi, usiłuję wkopać trochę z pozostałych na podłodze złotych płatków pod łóżko Lenory. Bezowocna próba ukrycia tego, co zrobiłam. Jedno spojrzenie na rozbitą kulę w koszu na śmieci powie pani Baker wszystko.

Otwieram drzwi, przygotowana na besztanie mnie za to, że Lenora jeszcze nie leży w łóżku, a przecież pory snu należy ściśle przestrzegać. Zamiast tego pani Baker mówi tylko:

– Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Wzdrygam się zaskoczona.

– Kto?

– Nie powiedział – odpowiada pani Baker tonem, z którego wnioskuję, że nie zapytała, bo nic jej to nie obchodzi. – Czeka przed główną bramą.

– Wyjdę się z nim spotkać – mówię i dodaję: – Jak tylko położę pannę Hope do łóżka. Dziś mamy opóźnienie.

Pani Baker uważnie omiata wzrokiem pokój, prawie węższy jak pies gończy, szukając dowodów, że coś jest nie tak. Jeżeli dostrzegła połykiwanie na podłodze albo potłuczone szkło w koszu na śmieci, to nie daje tego po sobie poznać.

– Przekaż, proszę, swojemu gościowi, aby następnym razem odwiedził cię o przyzwoitej porze – mówi, a przekroczywszy próg, dorzuca na odchodne: – Albo wcale.

Szybko przebieram Lenorę do spania i przykrywam ją kołdrą. Wkładając jej do lewej ręki przycisk alarmowy, szepczę:

– Porozmawiamy, kiedy wrócę. – Potem gaszę światło, chwytam sweter ze swojego pokoju i zbiegam na dół.

Na dworze panuje chłód, ale noc jest pogodna i na czarnym, aksamitnym niebie widać jasno połykujące gwiazdy. Idę środkiem podjazdu, zastanawiając się nie tyle nad tym, kto czeka na mnie na jego końcu, ile nad tym, po co przyszedł. Mam nadzieję, że to detektyw Vick, który na osobności, z dala od innych domowników chce mi w końcu powiedzieć, że mi wierzy. Obawiam się jednak, że to Kenny, który drugi wieczór z rzędu będzie mnie czarował, żeby mi pozwoliła zerknąć na Lenorę.

Mylę się w obu przypadkach.

Okazuje się, że po drugiej stronie bramy czeka mój ojciec, ściskając pręty niczym więzień kraty w celi. Kiedy podchodzę, wytrzeszcza na mnie oczy, jakbym to ja wpadła z niespodziewaną wizytą.

– Co to za mundurek? – pyta.

Ignoruję pytanie.

- Co tu robisz?

- Przyjechałem zabrać cię do domu.

Gdy tak nazywa to miejsce, aż przewracam oczami. Już od pół roku nie czułam się tam jak w domu.

- Kto ci powiedział, że tu jestem?

- Kenny – odpowiada ojciec. – I Rich Vick. I pół tego cholernego miasta. Myślałaś, że się nie dowiem, że opiekujesz się Lenorą Hope?

Wiedziałam, że się dowie. W końcu. Ale sądząc po jego obecnej reakcji, słusznie nie powiedziałam mu o tym, gdy wyjeżdżałam. Rzucając mu zimne spojrzenie przez pręty bramy, mówię:

- Dlaczego cię to obchodzi?

- Bo każdy, kto wie, że pracujesz u tej kobiety, pomyśli to samo, co stwierdziła policja. Niedługo wszyscy będą myśleć, że jesteś winna.

- A co ty myślisz, tato? – Ból wrzyna się w mój głos niczym nóż sprężynowy.

- To, co się stało z twoją matką, było wypadkiem – wyrzuca z siebie. Tak robią ludzie, kiedy nie chcą, by ktoś zauważył, że kłamią. Ale ojcu kiepsko to wychodzi. Nawet na mnie nie patrzy.

- Szkoda, że tak naprawdę w to nie wierzysz.

Żal i rozczarowanie ściskają mi serce, wylewają się z niego, przeciekają między żebrami. Jeśli zaraz nie odejdę, wkrótce z oczu popłyną mi łzy. Odsuwam się od bramy i ruszam podjazdem w stronę domu. Nie chcę, aby ojciec zobaczył, że płaczę z jego powodu.

- Do widzenia, tato – mówię. – Zobaczymy się, jak się zobaczymy.

- Martwię się o ciebie. Rich Vick powiedział mi, że to ty znalazłaś tę martwą dziewczynę.

- Tak – potwierdzam, nie dodając jednak, że odtąd Mary zdręcza mnie w każdej chwili przez cały dzień. Pewnie dręczyłaby mnie także w nocy, gdyby matka ustąpiła jej miejsca w moich snach.

- Powiedział mi też, że twoim zdaniem ona została zamordowana – dorzuca ojciec.

- A zdaniem Kenny'ego tak myślą wszyscy. Wszyscy z wyjątkiem twojego przyjaciela detektywa.

- Czyli miał rację? Ty naprawdę tak uważasz?

Znowu przywiera do bramy, wpatrując się we mnie przez pręty z miną wyrażającą w równej mierze niepokój i niedowierzanie. Chce, żebym zaprzeczyła. Pewnie po to, by nie wyszedł na durnia, kiedy ta wieść rozejdzie się po całym mieście jak epidemia grypy. W przeciwieństwie do niego nie mam siły na kłamstwa.

- Tak. Tak właśnie uważam.

- Więc tym bardziej powinienem cię stąd zabrać.

A moim zdaniem tym bardziej powinnam tu zostać. Skoro jedyny detektyw w mieście nie wierzy, że Mary zamordowano, to ja muszę dowieść, że tak się stało. I odkryć, kto to zrobił. Ponieważ wszystko zdaje się mieć związek z przeszłością Lenory – i z tym, ile Mary o niej wiedziała – nie mogę stąd odejść, dopóki nie poznam całej prawdy.

- Tato, wracaj do domu – mówię i znowu odwracam się w stronę Hope's End.

- Kit, zaczekaj.

Nie zatrzymuję się. Idę podjazdem, doskonale zdając sobie sprawę, że ojciec nie odrywa ode mnie wzroku z nadzieją, że się odwrócę, otworzę bramę i wrócę z nim do domu, który już nie jest moim domem. Wbijam wzrok w światła Hope's End. To też nie jest mój dom. Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że moja przyszłość zależy od tego miejsca, którym wstrząsnęły dwie tragedie.

Dwie odrębne noce.

Dzieli je dekada.

Łączy zaś jedna osoba, która - jestem tego pewna - zna wszystkie odpowiedzi, ale ich nie wyjawia, dopóki nie dostanie tego, czego chce.

Wchodzę do domu i zmierzam wprost do pokoju Lenory. Jeszcze nie śpi; jasne oczy wpatrują się w sufit.

- Umowa stoi? - pytam.

Stuka dwa razy w przycisk alarmowy.

Więc ustalone.

Zabiorę Lenorę na zewnątrz.

A w zamian poznam prawdę.

Rozdział 30

Okazja do wyjścia z Lenorą z domu nadarza się dwa dni później, kiedy reszta domowników jedzie na pogrzeb Mary Milton.

Nastrój jest żałobny, w przeciwieństwie do pogody. To wspinały jesienny dzień – być może ostatni w tym roku. Słońce zalewa niebo kaskadą promieni, które łagodzą październikowy chłód. Bezchmurne niebo jest tak niebieskie, że przychodzi mi na myśl szafiry. Atlantyk jest spokojny, a wiatr choć raz postanawia wziąć dzień wolnego.

Nie żeby pogoda miała znaczenie. Skoro nadarzyła się okazja, wyszłabym z Lenorą, nawet gdyby szalał huragan. Od przedwczoraj prawie nie reaguje na moje pytania, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. W rezultacie spędziłyśmy długie dni pełne napięcia milczenia i nieprzerwanej nudy. Obie po prostu siedziałyśmy beczynnym. Po czymś takim nawet ja chcę się wyrwać z domu.

Nikomu nie zdradziłam swojego planu. Lenorze też nie. Kusiło mnie, żeby powiedzieć Carterowi, ale zrezygnowałam, na wszelki wypadek. Ostatnie, czego bym chciała, to ryzykować, że pani Baker odkryje, co knuję, i położy temu kres.

Patrząc ze szczytu Wielkich Schodów, jak inni zbierają się do wyjścia, Archie i Carter w ciemnych garniturach, Jessie na przekór zwyczajom w białej sukience kopertowej, a pani Baker w tym, co zwykle, do czego włożyła kapelusz z szerokim rondem i okulary przeciwsłoneczne w kształcie kocich oczu. Gdy tylko wychodzą, pędzę do pokoju Lenory.

Jest zaskoczona, kiedy zaczynam pchać jej wózek w kierunku drzwi. Odrywa lewą rękę od podłokietnika i macha nią, jak przestraszony ptak trzepotałby skrzydłem. Patrzy na mnie z ogromnym znakiem zapytania wymalowanym na twarzy.

– Spełniam twoje życzenie – wyjaśniam. – Ale potem musisz wywiązać się ze swojej części umowy, jasne?

Radośnie uderza dwa razy w podłokietnik.

– Dobrze – mówię. – Zaczynamy.

Wyprowadzam wózek z pokoju, idąc tyłem. Na korytarzu Lenora aż wzdycha z emocji. Brzmi to jak pełne ulgi westchnienie kogoś, kto wstrzymywał oddech od bardzo, bardzo dawna. Kiedy wiozę ją – nadal tyłem – przez korytarz, próbuje chłonąć rozszerzonymi oczami wszystko wokół. Dywan, tapetę, każde mijane drzwi. Zastanawiam się, ile czasu minęło, odkąd ostatnio opuściła swój pokój. Parę miesięcy? Lat? Dekad?

Schody dla służby są za wąskie na wózek, więc nie mam wyboru i musimy zejść Wielkimi Schodami. W pierwszej chwili zamierzam spróbować ją podnieść, przełożyć sobie przez ramię, zejść po schodach i wynieść na dwór. Ale łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Znam swoje ograniczenia. Nawet jeśli jakimś cudem uda mi się ją znieść z Wielkich Schodów, wniesienie jej z powrotem będzie dwa razy trudniejsze. Jedyne, co mi pozostaje, to powoli zjeżdżać wózkiem ze stopnia na stopień – rzecz jasna tyłem – i być dobrej myśli.

- Trzymaj się - ostrzegam. - Będzie trzęsło.

Przechylam wózek ku sobie i modląc się w duchu, powoli zsuwam go o jeden stopień w dół. Szarpnięcie jest tak silne, że boję się, czy Lenora nie wypadnie.

- Chcesz kontynuować?

Lenora odrywa lewą dłoń od podłokietnika i odpowiada solidnym podwójnym stuknięciem. Kilka następnych kroków jest równie trudnych, ale wkrótce znajdują odpowiedni rytm. Jak na ironię lepiej schodzić szybciej niż wolniej. Zamiast co chwila się zatrzymywać i znowu ruszać, sprowadzam wózek na podest jednym ciągiem. Przez cały czas Lenora trzęsie się niczym galaretką, ale przynajmniej nie ma obawy, że wypadnie. Powtarzając ten manewr, docieramy na parter, gdzie wózek ląduje na posadzce z drzeniem i głuchym stuknięciem.

- W porządku? - pytam Lenorę.

Odpowiada mi spojrzeniem pełnym niepohamowanej radości. Jej zielone oczy tańczą, a na policzkach maluje się rumieniec ekscytacji. Gdyby tylko mogła, podejrzewam, że śmiałaby się na całe gardło.

Jedziemy w kierunku jadalni, szybko okrążamy wielki stół, mijamy równie okazały kominek i docieramy do oszklonych drzwi. Otwieram je i sprawdzam, czy na posadzce nie leżą żadne przeszkody.

Przez ostatnie dwa dni z dachu spadły kolejne gonty - istny deszcz. Jessie i Carter codziennie je usuwali, a następnego ranka pojawiały się następne. Dzisiaj taras jest czysty, dzięki czemu widzę świeże pęknięcia na jego marmurowej powierzchni. To nie wróży nic dobrego. Ale nie wystarczy, aby odwieść mnie od spełnienia życzenia Lenory.

Wracam do wózka. Zanim wjedziemy na taras, Lenora wyciąga ku mnie lewą rękę. Ujmuję ją i czuję szybki puls pod skórą.

Wyjeżdżamy na dwór.

Wiatr, słońce i morska bryza uderzają w nas jednocześnie. Lenora wciąga powietrze z wyraźnym zachwytem. Podwożę ją do samej krawędzi tarasu, aż dotyka balustrady kolanami. Zamyka oczy, kieruje twarz ku niebu i rozkoszuje się słońcem. Wiatr rozwiewa siwe kosmyki jej włosów. Gdy widzę, jak bezgranicznie uszczęśliwia ją coś tak prostego jak wyjście na dwór, ogarnia mnie jednocześnie smutek, że nie może cieszyć się tym regularnie, i wściekłość na panią Baker za to, że zamyka ją w czterech ścianach.

Staję obok wózka i opierając się o barierkę, patrzę na fale daleko w dole. Choć z pewnością piękne, mało się różnią od widoku, który Lenora może oglądać z okien swojego pokoju. Ponieważ ryzykujemy tak wiele - i ponieważ taka okazja może się już nie powtórzyć - chcę, żeby przeżyła coś innego. Coś wyjątkowego.

- Lenoro - mówię - kiedy ostatnio leżałaś na trawie i patrzyłaś w górę, na chmury?

Znam odpowiedź, mimo że Lenora nie może mi jej udzielić. Wieki temu.

Prowadzę wózek na koniec tarasu, a stamtąd po schodkach na dół i trzymając się z dala od nowej, niezabezpieczonej krawędzi klifu, zatrzymuję się na trawniku. Następnie wyjmuję Lenorę z wózka i ostrożnie kładę na plecach, twarzą ku niebu. Sama lokuję się obok niej i razem wpatrujemy się w nieskończony błękit w górze.

Leżymy tak bardzo długo. Może godzinę. Może dłużej. Nie jestem pewna, bo przysypiam, ukołysana wiatrem, falami i słońcem. Noce w Hope's End nie stały się spokojniejsze. Wciąż dręczą mnie koszmary o matce i wciąż słyszę dobiegające z sąsiedniego pokoju odgłosy, których przyczyny – choć wstaję z łóżka i zaglądam do Lenory – nie potrafię odkryć. Każdego ranka budzę się wyczerpana, mrużąc oczy przed ostrym blaskiem słońca, i stwierdzam, że materac zsunął się nieco niżej względem poprzedniej nocy.

Gdy jednak budzę się teraz, słońce stoi wyżej na niebie, a Lenora leży obok mnie, oddychając głęboko i z zadowoleniem.

– Czas porozmawiać o dziecku – zagajam.

Oddech Lenory cichnie. Znak, że nie chce rozmawiać. Ale musi. Wolałabym nie rujnować jej wyjątkowego spaceru, lecz musi dotrzymać swojej części umowy. Kiedy wydycha powietrze, pytam:

– Czy to dziecko się urodziło?

Siadam i obserwuję jej lewą rękę, którą dwukrotnie stuka w ziemię.

– Chłopiec czy dziewczynka? – pytam dalej, choć wiem, że Lenora nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie stukaniem. Zadaję je w inny sposób: – Czy to była dziewczynka?

Jedno stuknięcie.

– Czyli chłopiec?

Tym razem kiwa głową, a jej twarz rozjaśnia przeblýsk uśmiechu. Szybko jednak gaśnie, kiedy dodaję:

– Co się z nim stało? Umarł?

Jedno stuknięcie.

– Oddałaś go?

Jedno stuknięcie.

Serce mi się ściska. Nie chcę zadawać następnego pytania. Po chwili milczenia jednak to robię:

– Odebrano ci go?

Lenora także milczy, odczekuje dobre pół minuty, zanim uderza dłonią o ziemię raz i drugi.

– Wiesz, co się z nim potem stało?

Po kolejnej długiej chwili ciszy słyszę pojedyncze stuknięcie.

– Bardzo mi przykro – mówię i przysmykam powieki, aby powstrzymać łzy, które nagle napływają mi do oczu. Wręcz trudno mi sobie wyobrazić, że w tak młodym wieku zachodzę w ciążę i rodzę dziecko, które potem zostaje mi odebrane. To zbyt okrutne. Wstrząsające.

Otwieram oczy i widzę, że wyraz twarzy Lenory się nie zmienił. Jest jak skierowana ku niebu pusta maska zakrywająca głęboki ból, który z pewnością nadal odczuwa, mimo upływu lat. Jeśli okaże się, że Carter naprawdę jest jej wnukiem, to może ten ból choć częściowo złagodnieje. Na to liczę.

– Czy Mary pobrała ci krew, zanim zginęła?

Lenora stuka dwa razy, potwierdzając moje podejrzenie co do przyczyny siniaka na jej lewym ramieniu.

– Wyjaśniła ci dlaczego?

Jedno stuknięcie.

– Ale wiedziała o dziecku, prawda? Powiedziałaś jej?

Dwa stuknięcia.

– I kto zabił twoich rodziców i siostrę.

Znów stuka dwa razy, choć wolniej.

– Masz jakiś powód, że jeszcze mi tego nie powiedziałaś – mówię, bo musi tak być. Od prawie trzech dni nie napisała ani słowa. Przez ten czas mogła wyjawić mi wszystko. Do diabła, mogła to zrobić już pierwszego wieczoru. Wystarczyłoby jedno zdanie.

– Czy kiedykolwiek zamierzasz mi to powiedzieć?

Lenora się waha, jej lewa dłoń zawisa nad ziemią, jakby nie była pewna odpowiedzi. Tak właśnie się czuję. Zawieszona. I niepewna. Choć muszę dowiedzieć się prawdy, jestem świadoma niebezpieczeństwa, na jakie może mnie ona narazić. Jeśli Lenora w końcu wszystko mi wyzna, a ktoś inny się o tym dowie, mogę skończyć tak samo jak Mary.

Patrzę na koniec trawnika, gdzie znajduje się krawędź klifu. Nie ma tam żadnej barierki. Tylko pionowe urwisko nad oceanem. Lenora także jest go świadoma, nawet jeśli nie widzi go z miejsca, w którym leży. Nie da się przeoczyć jego istnienia. Przyciąga nas, prowokuje, by podejść bliżej, spojrzeć w dół, kusić los.

Nagle dociera do mnie, że właśnie to robię od chwili, gdy przyjechałam do Hope's End. Próbuję zbliżyć się do tego, co zakazane. Zobaczyć to, czego widzieć nie powinnam, odgrzebywać sprawy, których lepiej nie ruszać. A wszystko przez złudną nadzieję, że jeśli dowiodę niewinności Lenory, to sama również wydam się niewinna.

W końcu jej lewa dłoń uderza w ziemię.

Tylko raz.

Nie.

Ta odpowiedź budzi we mnie złość.

– Ale obiecałaś.

Lenora wzdryga się, jakby tego żałowała. Nie obchodzi mnie to. Zawarliśmy umowę. Ja zabieram ją na spacer – co nie było łatwym zadaniem – a ona wreszcie wyjawia mi wszystko. I choćby nie wiem co, dopilnuję, żeby tak się stało.

– Musisz dotrzymać swojej części umowy.

Lenora stanowczo uderza ręką w ziemię – jeden raz.

– Tak – upieram się. – I to zaraz.

Wstaję, a ona raz za razem uderza pięścią w trawnik, dobitnie wyrażając swoje stanowisko. Nie, nie, nie. Ignoruję to, mimo że rozumiem wszystkie oczywiste powody, dla których nie chce mi powiedzieć.

Mary.

Jej zaginiona walizka.

Jej zagrzebane w piasku zwłoki.

Tym, co różni sytuację Mary od mojej, jest fakt, że ona odeszła z historią Lenory, kiedy inni tu byli, bo błędnie sądziła, że pod osłoną nocy będzie bezpieczna. Ale teraz jest biały dzień,

a w Hope's End nie ma nikogo poza nami. Mamy doskonałą okazję, aby dokończyć to, co zaczęliśmy.

Jestem gotowa skusić los po raz ostatni.

A Lenora będzie mi w tym towarzyszyła, czy tego chce, czy nie.

Wbiegam do domu, przeskakuję po dwa stopnie schodów dla służby i wpadam do pokoju Lenory. Chwytam czystą kartkę i wkręcam ją w wałek maszyny do pisania. Ponieważ Lenora może zapisać więcej niż jedną stronę, biorę cały plik i kładę go na wierzchu maszyny, po czym zdejmuję ją z biurka.

Taszczenie jej po schodach jest trudniejsze niż przeniesienie do łóżka. Większa odległość oznacza większe obciążenie dla moich rąk i z każdym krokiem maszyna wydaje mi się coraz cięższa. Żeby czyste kartki się nie zsunęły, nachylam się i przytrzymuję plik podbródkiem. Na schodach dla służby uświadamiam sobie, że nie widzę, gdzie stawiam kroki. Schodzę powoli, stopień po stopniu. W pewnej chwili się mylę i wpadam na popękana ścianę, od której odrywa się kawałek tynku i spada na schody. Schodząc dalej, nadeptuję nań i miażdżę go z chrzęstem.

Po pokonaniu schodów przechodzę przez kuchnię, szurając nogami i czując, że maszyna robi się coraz cięższa. Ręce mam jak z galarety. Nogi też. W jadalni oddycham z ulgą, widząc, że gdy wbiegałam do domu, nie zamknęłam za sobą oszklonych drzwi. Przynajmniej jeden problem będę miała z głowy. Zmęczona i zasapana, wynoszę maszynę na taras.

Jest tam Lenora.

Nie na trawniku, gdzie ją zostawiłam, ale właśnie tu, na tarasie. Siedzi w swoim wózku inwalidzkim i patrzy na ocean.

– Jak to zro... – Głos odmawia mi posłuszeństwa, kiedy widzę ich wszystkich.

Panią Baker, Archiego, Cartera i Jessie. Stoją z boku, a ich miny są tak różne jak ich osobowości. Carter jest zaniepokojony. Jessie wygląda na umiarkowanie zaskoczona. Twarz Archiego jest obojętna. A pani Baker? Wkurzona.

Przyłapaną na gorącym uczynku, opuszczam ręce z maszyną do pisania. Czyste, niczym nieobciążone kartki porywa wiatr. Patrzę, jak wirują i ślizgają się po tarasie, po czym wzlatają w powietrze.

Wznoszą się nad balustradę.

I opadają w otchłań.

Ku skłębionej toni w dole.

Moja matka by umarła, gdybym nie weszła do jej pokoju. Tak powiedział doktor Walden, nasz rodzinny lekarz, i to było jasne. Nie było natomiast jasne, czy wypła całe laudanum przez przypadek, czy też umyślnie. Wszyscy twierdzili, że to musiał być przypadek, ale ja uważałam, że matka zamierzała odebrać sobie życie. Ona sama milczała na ten temat, czyniąc sprawę tym bardziej niepewną.

Doktor Walden był na tyle głupi albo chciwy, aby nie przerwać dopływu laudanum, a wymawiał się tym, że gwałtowne odstawienie leku przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Zalecał stopniowe odzwyczajanie się od tej substancji.

W rezultacie nic się nie zmieniło. Życie w Hope's End szybko wróciło do stanu poprzedniego. Matka wciąż zatracala się w nałogu, ojciec często wyjeżdżał w interesach, a moja siostra wypełniała swój towarzyski kalendarz, udając w ten sposób, że wszystko w porządku. Jedyne, co się zmieniło, to ja. Pod koniec września moja ciąża stawała się coraz wyraźniej widoczna. To, że zdołałam tak długo ją ukrywać, zakrawało na mały cud, który był możliwy tylko za sprawą mojej przebiegłości oraz nieuważności reszty domowników.

Ale czas się kończył. Wiedziałam, że wkrótce dalsze ukrywanie się będzie niemożliwe. Jednak do tego czasu postanowiłam utrzymać swój stan w tajemnicy przed rodziną.

Niestety sama mogłam zdziałać niewiele. Problemem stało się na przykład jedzenie. Wciąż byłam głodna, w dzień i w nocy, więc w rezultacie przybierałam na wadze, czego nie dało się ukryć nawet przed ojcem. Kazał mi przejść na dietę tak rygorystyczną, że nie mogłaby służyć żadnej kobiecie, nie wspominając o takiej, która je za dwóch. Potrzebowałam kogoś oprócz Archiego, kto przemyciłby mi odpowiednie dla mnie posiłki.

Tak samo było z ubraniami. Pokójówka matki nadal poszerzała mi sukienki, utyskując przy każdej prośbie o przeróbkę. Potrzebowałam nowych ubrań zaprojektowanych tak, aby lepiej ukrywać ciążę, a przecież nie mogłam tak po prostu wymknąć się z domu, żeby je sobie kupić. Musiał to zrobić ktoś inny.

Pozostawała jeszcze kwestia mojego zdrowia. Odkąd zaszłam w ciążę, nie badał mnie żaden lekarz. Całymi nocami leżałam bezsenne, martwiąc się, że nie wiem, czy z dzieckiem nie dzieje się nic złego. Nie ośmieliłam się jednak zwrócić do doktora Waldena. Potrzebowałam innego lekarza. Nieznajomego. Takiego, który nie powiedziałby nikomu o moim stanie.

Gdyby łączyła mnie z siostrą typowa więź, to właśnie ją poprosiłabym o pomoc. Zawsze było mi przykro, że nie jesteśmy sobie bliskie, i zawsze obwiniałam o to siebie, nie ją. W rzeczywistości nie była to niczyja wina. Po prostu się różniłyśmy. Nasze osobowości dzieliła przepaść nie do przebycia. Ja byłam podobna do matki, zawsze za dużo czułam, za dużo chciałam, za dużo potrzebowałam. Moja siostra – tak jak nasz ojciec – też miała swoje pragnienia i potrzeby, ale były nimi powierzchowne przyjemności. Samochody, stroje i społeczna akceptacja ze strony snobów takich jak oni sami. Byli nieskalani żadną emocją oprócz ambicji.

Skoro więc nie miałam godnej zaufania siostry, musiałam poszukać pomocy wśród domowej służby.

Potrzebowałam kogoś dyskretnego. Kogoś, kto umiałby utrzymać tajemnicę.

Jedyna osoba, która przyszła mi na myśl, była zarazem tą, której wyboru spodziewałabys się najmniej.

Kochanka mojego ojca.

I tak oto znalazłam się w południowym korytarzu w ostatnim dniu września. Poprzedniego dnia ojciec wrócił z Bostonu i wyglądał na bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek. Przy kolacji był w paskudnym nastroju, choć on i moja siostra raczyli się pełnym posiłkiem, a ja dostałam sałatkę, która jego zdaniem miała „przywrócić mi dziewczęcą figurę”.

Po kolacji wycofał się do oszklonej werandy. Kilka minut później wyszłam za nim i skradając się, ruszyłam w głąb korytarza. Zza zamkniętych drzwi dobiegały jakieś odgłosy. Niski, stłumiony śmiech ojca i salwy wysokiego kobiecego chichotu. Matka tak się nie śmiała. Zresztą nawet gdyby ten śmiech brzmiał tak samo – a nie brzmiał – wiedziałam, że to nie ona, bo w tej chwili była w swoim pokoju na górze, prawdopodobnie pociągając z butelki kolejny łyk laudanum.

Przemknęłam się korytarzem, który o wieczornym zmierzchu zrobił się mroczny i ponury. Ledwie rozróżniałam wiszące na ścianach portrety. Z tego akurat byłam zadowolona. Nie miałam ochoty ich oglądać.

Ojciec. Matka. Dwie posłuszne córki.

Jedno wielkie kłamstwo.

Kiedy dotarłam do oszklonej werandy, wstrzymałam oddech, bojąc się, że choćby najcichsze westchnienie zdradzi moją obecność. Stałam pod drzwiami, słuchając stękania i sapania ojca, zdeglustowana jego zwierzęcymi chuciami. Wtedy nie przyszło mi do głowy, że takie same odgłosy wydawał Ricky, kiedy byliśmy razem. Dopiero później dotarło do mnie, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Że nie ma znaczenia, czy są bogaci, czy biedni, grubi czy chudzi, starzy czy młodzi. Ich potrzeby są tak proste, że aż śmiechu warte.

Gdy te namiętne jęki dobiegły końca, umknęłam do biblioteki i udałam, że czytam książkę, na wypadek gdyby przechodzący korytarzem ojciec zajrzał do środka. Nie zajrzał oczywiście. Minął drzwi zamaszystym krokiem, zaspokojony i zadowolony, zmierzając do innej części domu.

Dopiero gdy usłyszałam, że jego kochanka opuszcza oszkloną werandę, zerwałam się z krzesła i podbiegłam do drzwi, by ją zatrzymać.

Spodziewałam się, że zobaczę kogoś takiego jak Sally, pełną nową pokojówką, albo chociaż jak zimna, zgorzkniała Berniee Mayhew. A jednak z oszklonej werandy wyłoniła się, wyglądając spódnice, kobieta, którą najmniej podejrzewałabym o romans z moim ojcem.

Zastygłam zszokowana, stojąc na środku korytarza i gapiąc się na nią, a ona patrzyła na mnie z równym zaskoczeniem.

- Pani? - spytałam.

- Tak - odparła panna Baker, dysząc z wysiłku. - Ja.

Rozdział 31

Maszyna do pisania przepadła.

Pani Baker wyjęła mi ją z rąk, kiedy ostatnia luźna kartka odfrunęła w siną dal. W pierwszej chwili pomyślałam głupio, że chce mi pomóc. Albo przynajmniej odłożyć maszynę na bok, kiedy będzie mnie besztać za ten niedozwolony spacer. Ale ona nie odezwała się ani słowem, taszcząc ciężar przez taras, i tylko kartka wkręcona w wałek powiewała na wietrze.

Potem zaś, z głośnym stęknieniem, uniosła maszynę nad balustradę i cisnęła w przepaść.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Jessie wydała okrzyk przerażenia. Nawet Lenora zareagowała, wyciągając lewą rękę najdalej, jak potrafiła, jakby tym gestem mogła zapobiec upadkowi maszyny.

Pani Baker otrzepała ręce z zadowoleniem i pomaszerowała do oszklonych drzwi. Mijając mnie, rzuciła tylko:

– Zabierz pannę Hope na górę, gdzie jej miejsce.

Carter pospieszył mi z pomocą i z Lenorą na rękach ruszył Wielkimi Schodami na piętro, a ja szłam za nimi, wlokąc wózek, który objął się głośno o każdy stopień. W pokoju Lenory Carter ostrożnie posadził ją na siedzisku i odwrócił się do mnie.

– Co twoim zdaniem teraz będzie?

– Pewnie zostanę zwolniona – odparłam. To był jedyny logiczny skutek. Tyle że to nie pani Baker będzie mnie zwalniać, a pan Gurlain, który, byłam tego pewna, z największą radością wyrzuci mnie z agencji.

– Cholera – powiedział Carter. – Tak mi przykro, Kit. To wszystko moja wina.

Tak naprawdę to ja zawiniłam. Znałam zasady, a mimo to je zламаłam – tylko dlatego, że chciałam poznać odpowiedzi, których teraz nie poznam już nigdy, skoro maszyna do pisania przepadła. Wszystkim, co uzyskałam w zamian za swoje wykroczenie, była wskazówka, która może pomóc Carterowi. Jedyna jasna strona w całej tej sytuacji.

– Lenora urodziła to dziecko – powiedziałam, wciągnąwszy go do swojego pokoju i zamknąwszy za nami drzwi, aby Lenora nie mogła nas usłyszeć. – Chłopca. Potwierdziła to.

– Co się z nim stało?

– Nie wie. Zdążyła mi tylko powiedzieć, że jej go odebrano.

Carter opadł na moje łóżko, próbując przetrwać te informacje. Nie tylko cierpienie, przez które przeszła Lenora, i okrucieństwo, które je wywołało, ale także fakt, że to wyznanie zdawało się potwierdzać jego teorię o łączącym ich pokrewieństwie.

– Więc mogę mieć rację – powiedział. – Możliwe, że jestem wnukiem Lenory.

– Bardzo możliwe.

Dosiadam się do niego na łóżku, stykamy się ramionami.

- Przykro mi, że nie udało mi się odkryć więcej.

Carter błyska tym swoim asymetrycznym uśmiechem, w którym przez kilka ostatnich dni lekko się zabijałam.

- Nie bądź śmieszna. Bez ciebie niczego bym się nie dowiedział.

- Ale teraz, kiedy już to wiesz, bądź ostrożny. Ktokolwiek zabił Mary, wciąż tu jest.

- To mógł być ktoś z zewnątrz - powiedział Carter.

Niewykluczone, choć w to wątpiłam. Byłam przekonana bardziej niż kiedykolwiek, że zabójcą Mary jest ktoś z Hope's End.

A mówiąc ściślej, kobieta, która w każdej chwili mogła mi kazać pakować manatki.

Niemniej chociaż mijały chwile, a potem godziny i choć popołudnie zmieniło się w wieczór, wciąż nie usłyszałam, że muszę odejść. Ani wtedy, gdy Archie przyniósł kolację dla mnie i dla Lenory. Ani wtedy, kiedy wkruszałam pigułki do jej posiłku, przeprowadzałam ćwiczenia na poprawę krążenia czy też ją kąpałam. Teraz kładę ją do łóżka i widzę, że jej spojrzenie biegnie w stronę biurka, które bez stojącej na nim maszyny do pisania wydaje się wielkie i puste.

To samo można powiedzieć o kredensie, na którym kiedyś stała kula śnieżna. Teraz leży tam tylko walkman. To prawdopodobnie następna rzecz, którą straci Lenora. A straciła już przecież tak wiele.

- Przykro mi, Lenoro - mówię, wkładając jej do lewej ręki przycisk alarmowy. - Wiem, jak bardzo lubiłaś jej używać. Żałuję, że nie usłyszę reszty twojej historii.

Chociaż to nie jest oficjalne pożegnanie, czuję się tak, jakby nim było. Bo rano z pewnością odejdę - może nawet wcześniej. Podejrzewam, że jestem tu jeszcze tylko dlatego, że pani Baker próbuje przekonać pana Gurlaina, żeby przysłał inną opiekunkę dla Lenory. Która w przeciwieństwie do mnie może odmówić przyjęcia tego zlecenia.

Przypuszczając, że po tym, co zrobiłam, nigdy więcej nie zobaczę Lenory, poklepuję ją po ręce i mówię:

- Opiekowanie się tobą było przyjemnością. Mam nadzieję, że będziesz zadowolona z mojej następczyni.

Potem ją zostawiam, idę do siebie i zamykam drzwi łączące nasze pokoje. Teraz muszę już tylko spakować rzeczy i czekać, aż klamka zapadnie. Nie żebym miała dużo do pakowania, bo właściwie nigdy się do końca nie rozpakowałam. Książki wciąż spoczywają w pudełku. Walizka pełna ubrań leży na komodzie. Wystarczy wyjąć kasetkę spod łóżka, zabrać z łazienki swoje kosmetyki, zdjąć mundurek i przebrać się w ciuchy, które miałam na sobie, kiedy tu przyjechałam.

Zaczynam od kasetki. Ze stolika nocnego wyjmuję klucz, a potem kłękam i wysuwam pudełko spod łóżka. Przekręcam kluczyk w zamku i podnoszę wieko. W środku znajdują się pigułki Lenory - i nic więcej.

Kartki, które razem zapisałyśmy - wszystkie - zniknęły.

Zrywam się na równe nogi, wypadam z pokoju i ciężkim krokiem przemierzam korytarz. Schody dla służby aż się trzęsą, kiedy ze złością schodzę do kuchni w poszukiwaniu pani Baker. Znajduję ją w jadalni, gdzie siedzi samotnie przy długim stole, na którym stoi niedawno

otwarta butelka wina. W pokoju panuje półmrok – rozjaśniony tylko słabym ogniem płonącym w kominku.

Migotliwy blask odbija się w okularach pani Baker, przesłaniając jej oczy, kiedy gospodyni podnosi kieliszek do ust i upija łyk wina.

– Gdzie one są? – pytam.

– Musisz wyrażać się precyzyjniej, moja droga.

– Kartki zapisane przeze mnie i Lenorę – cedzę słowa przez zaciśnięte zęby. – Wiem, że pani je ma.

– Miałam, moja droga – poprawia mnie pani Baker. – Miałam je.

Gestem wskazuje na kominek, gdzie wokół płonącego pojedynczego polana leży kilka nadpalonych skrawków papieru. Na jednym z nich dostrzegam napisane na maszynie słowo na wpół strawione przez płomień. Na ten widok zataczam się do tyłu i wpadam na jedno z jadalnianych krzeseł, które przewraca się na podłogę z głośnym stukiem.

– Nie miała pani prawa tego robić – mówię. – Te kartki należały do mnie.

– A to, co na nich było, należało do panny Hope. Co oznacza, że podlegają mojej władzy. – Pani Baker z zadowoleniem upija kolejny łyk wina. – Podobnie jak maszyna do pisania.

– Nie musiała ich pani niszczyć! – wybucham. Skoro i tak mam zostać zwolniona, nie widzę potrzeby kontrolowania złości.

Pani Baker, znacznie spokojniejsza niż ja, wskazuje głową na przewrócone krzesło i mówi:

– Usiądź na chwilę, Kit. Myślę, że przyszła pora na miłą pogawędkę.

Wbrew jej poleceniu nie ruszam się z miejsca.

– Jak chcesz. – Wzrusza ramionami. – Przypuszczam, że spodziewasz się zwolnienia.

– Tak – odpowiadam. Po co kłamać w tej sytuacji?

– Możesz odejść, jeśli chcesz. Nikt ci nie każe tu zostać.

– Ale nie każe mi pani odejść?

– Nie, moja droga – odpowiada pani Baker. – Chciałabym jednak wiedzieć, czym pomysłem było to wyjście z domu.

– Jej.

– Tak też myślałam. Szczerze mówiąc, nie dziwi mnie to. Panna Hope potrafi być bardzo... przekonująca. To logiczne, że przekonała cię do lekceważenia moich wyraźnych życzeń.

– Pani życzeń – powtarzam. – A co z życzeniami Lenory?

– Są tożsame. – Pani Baker odstawia kieliszek i przesuwa opuszką palca wzdłuż szklanej krawędzi. – Choć to oczywiste, że nie pochwalasz moich metod.

– Nie pochwalam.

– Nawet jeśli ich celem jest dobro panny Hope?

– A jest? – pytam. – Więzi ją pani w jej własnym domu. Nie ma żadnych przyjaciół. Nikt jej nie odwiedza. Widuje wyłącznie osoby, którym się płaci za opiekę nad nią. Na litość boską, nie pozwala jej pani zabierać na spacer. Nawet więźniom, w prawdziwym więzieniu, wolno wychodzić.

– A gdyby pozwoliła? Jak myślisz, co by ją spotkało? Nienawiść, ot co! Osądzanie. Ciągłe podejrzenia. Ten świat nie jest miły dla kobiet oskarżonych o przemoc. Akurat ty powinnaś to

rozumieć. Czy ludzie nie osądzają cię za to, co stało się twojej matce?

Zbyt oszołomiona, by ustać na nogach, w końcu siadam. Tyle że nie na krześle, ale obok niego. Opadam na podłogę tuż przy kominku. Gorąco trzaskającego płomienia parzy mi skórę. To jednak nic w porównaniu ze wstydem, który pali mnie w środku.

– Od kiedy pani wie? – pytam.

– Odkąd przyjechałaś. Pan Gurlain uznał za swój obowiązek powiadomić mnie o tym.

A jakże. Bez wątpienia zakładał, że to pozbawi mnie szans na pracę tutaj – oraz gdziekolwiek indziej. Nie rozumiem tylko, dlaczego to nie podziałało.

– Skoro pani wiedziała, to czemu pozwoliła mi pani tu zostać?

– Bo pomyślałam, że ty i panna Hope będziecie do siebie pasować – odpowiada pani Baker. – I miałam rację. Rozumiesz ją. Właściwie nawet ją lubisz.

Ten argument mnie zaskakuje, głównie dlatego, że nie mam pewności, czy jest słuszny. Czasami lubię Lenorę. Czasami mnie przeraża. Albo irytuje. Albo budzi moje współczucie. A potem zataczam pełny krąg i znowu chcę ją lubić.

– To nic złego, możesz to przyznać – mówi pani Baker. – Panna Hope potrafi być czarująca, kiedy odpowiada to jej potrzebom. Pozwól jednak, że coś ci wyjaśnię: jesteś dla niej niczym. Wiem, że wydaje ci się, że jest inaczej. Że łączy was wyjątkowa więź. Tak nie jest. To dla niej nic nowego, zachowuje się tak od wieków. Jest sprytniejsza, niż się wydaje, o czym z pewnością wiesz. Niektórzy uznaliby ją nawet za przebiegłą.

Kiwam głową, bo zgadzam się z tym opisem. Lenora wykorzystuje milczenie i bezruch dla swoich korzyści, wiele ukrywając i niewiele ujawniając. W rezultacie każdy najmniejszy szczegół, którego się o niej dowiadujesz, tylko zaostrza apetyt na więcej.

chcę ci opowiedzieć o wszystkim

Te słowa Lenora napisała już pierwszego wieczoru po moim przyjeździe. Od tamtego czasu umieram z ciekawości, gotowa złamać każdą regułę. I nie ma znaczenia, że minął tydzień, a ja nadal wiem tyle co nic.

– A kim jest według pani? – pytam.

– Manipulantką.

Choć pani Baker cmoka ustami, jakby smakowała to słowo niczym wino, w tonie jej głosu wyczuwam coś innego.

Niesmak.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby to z tego powodu biedna Mary zrobiła to, co zrobiła – ciągnie pani Baker. – Panna Hope sprawiła, że poczuła się potrzebna. Wyjątkowa. Kiedy Mary zdała sobie sprawę, że taka nie jest, popchnęło ją to do czynu niewyobrażalnego.

W myślach słyszę echo słów detektywa Vicka, cytującego rzekomy list samobójczy Mary.

„Przykro mi, że nie jestem kimś, kim się wydawałam”.

Czy jego treść przekazał także pani Baker? I czy ona naprawdę wierzy, że Mary się zabiła? Przyglądam się uważnie jej twarzy, szukając w niej potwierdzenia. Jest nieczytelna, zwłaszcza że odbicia płomieni z kominka wciąż tańczą w szklach okularów.

– Dlaczego pani tu została? – pytam.

– To dosyć śmiałe pytanie.

- Na które chciałabym poznać odpowiedź. Skoro pani tak bardzo nienawidzi Lenory, to czemu wciąż pani tu jest?

- Gdybym jej nienawidziła, wyjechałabym stąd wiele lat temu. A beze mnie to miejsce by się rozpadło.

Przypominam sobie sypiące się z dachu gonty, popękane ściany na klatce schodowej dla służby, kawał trawnika, który obecnie spoczywa na dnie oceanu.

- I tak się rozpada, na wypadek gdyby pani nie zauważyła.

Pani Baker przechyla i opróżnia kieliszek z winem.

- Dom byłby już rumowiskiem, gdyby nie ja. Muszę się nagimnastykować, żeby go utrzymać. Sprzedawać to i owo, aby opłacać kolejne naprawy. Opuścić to miejsce byłoby bardzo łatwo, możesz mi wierzyć. Ale panna Hope mnie potrzebuje. Zostałam, bo jestem jej oddana.

- Oddanie ma swoje granice - mówię. - Została tu pani, bo coś z tego ma, prawda?

- Wiedziałam, że jesteś bystra - odpowiada pani Baker tonem, w którym pobrzmiewa pretensja. - Tak, wiele lat temu zawarłyśmy z panną Hope umowę, która zapewnia mi pewne korzyści. Jeśli zdołam uchronić ten dom przed zniszczeniem, to po jej śmierci przejdzie na moją własność.

- Cały? - pytam.

- Ziemia. Dom. Wszystko, co się w nim znajduje.

Ogień w kominku obok mnie szybko przygasa, a jego odbicie w okularach gospodyni w końcu zanika.

Niebieskie oczy za szklami zdają się iskrzyć resztką żywego blasku. Wpatruję się w nie z niepokojem, zastanawiając się, czy pani Baker ma świadomość, jak niewiele brakuje, żeby ten plan legł w gruzach. Wystarczy, aby pojawił się ktoś, kto zakwestionuje wartość tego porozumienia. Na przykład wnuk Lenory.

Waham się, czy nie wspomnieć, że wiem, iż Lenora urodziła dziecko. Milczę, bo sądzę, że pani Baker, tak samo jak Archie, nie byłaby ze mną szczerą w tej sprawie. Poza tym nie widzę powodu, by wystawiać się na cel.

O ile już tego nie zrobiłam.

Bo jej wyznanie, że odziedziczy Hope's End, każe mi podejrzewać, że są sprawy, które pani Baker wolałaby zachować w tajemnicy za wszelką cenę.

I że miała wszelkie powody, by zabić Mary.

Panna Baker zaparzyła nam herbaty i wróciłyśmy do oszklonej oranżerii na, jak to nazwała, „miłą pogawędkę”. Jak gdyby w naszych wzajemnych stosunkach nic się nie zmieniło. Nadal byłam uczennicą, a ona prawdziwą damą, której zadaniem było uczynić mnie podobną sobie. Tyle że teraz dostrzegałam w tym groteskowość. Wiedziałam przecież, co robiła z moim ojcem w tym samym pokoju niewiele wcześniej.

– I co teraz zrobimy? – spytała, jakbyśmy w tej sytuacji obie miały coś do powiedzenia. Ona nie miała.

– Na początek może mi pani powie dlaczego – zaczęłam. – Dlaczego mój ojciec. Kocha go pani?

Panna Baker z ledwością pohamowała się od śmiechu.

– Nie, dziecko. To czysta transakcja. Ja daję mu coś, czego chce, a on nagradza mnie drobnymi dowodami wdzięczności.

Pieniędźmi, innymi słowy. Mimo swojego gadania o dobrych manierach i przyzwoitości moja guwernantka była w istocie luksusową prostytutką. Na mojej twarzy musiało odmalować się zniesmaczenie, bo panna Baker wycedziła:

– Nie waż się mnie oceniać, młoda damo. Ktoś taki jak ty, urodzony w niebotycznym bogactwie, nie ma pojęcia, jak wygląda życie reszty ludzi. Co musimy robić, by przetrwać. Zwłaszcza niezamężne kobiety jak ja. Więc tylko dbam o własną przyszłość.

– Za jaką cenę? – spytałam.

– Najwyższą, jaką zdołam uzyskać. – Panna Baker odchyliła się do tyłu, jakby prowokując mnie do dalszej krytyki. – O to ci chodziło? Chciałaś stawić mi czoło? Zawstydzisz mnie?

– Nie – odparłam. – Chciałam pokazać pani to.

Wstałam, mocno przycisnęłam tkaninę sukienki do ciała i obróciłam się tak, aby panna Baker ujrzała mój wielki brzuch z profilu.

– A to dopiero – powiedziała, odstawivszy filiżankę z herbatą na spodeczek. Ręce tak jej się trzęsły, że porcelana pobrzękiwała głośno, dopóki nie została odłożona na stół. – Od jak dawna?

– Od sześciu miesięcy.

– A ojciec?

– Nie powiem pani – odparłam, nie chcąc wciągać w to Ricky'ego. Gdyby panna Baker o nim wiedziała, mogła powiedzieć mojemu ojcu, który na pewno by go zwolnił. A wówczas nie byłoby żadnej nadziei na to, że razem z Rickim zdołamy uciąć dość pieniędzy, aby zrobić coś, co rozpaczliwie pragnęłam zrobić – uciec.

– Narzucał ci się? – spytała panna Baker.

Poczerwieniałam, kręcąc głową i patrząc pod nogi, zbyt zawstydzona, by spojrzeć jej w oczy.

– Rozumiem. – Panna Baker umilkła i odchrząknęła. – Czy on wie o twoim... kłopotcie?

– Tak.

– I co zamierza zrobić?

– Uczynić ze mnie uczciwą kobietę – odparłam, co wywołało jej smutny śmiech. Słyszac go, aż się wzdrygnęłam.

– Praktycznie wciąż jesteś dzieckiem – powiedziała. – I dobry mężczyzna by się powstrzymał. A przynajmniej powziąłby środki ostrożności.

Dotknięta jej śmiechem, który nadal odbijał się echem w oszklonej werandzie, rzuciłam jej twarde spojrzenie i zapytałam:

– Jak mój ojciec?

Panna Baker zeszytniała na swoim miejscu.

– Czego właściwie ode mnie chcesz?

– Pomocy.

Wymieniłam wszystkie aspekty potrzebnego mi wsparcia, od dostarczania odzieży ciążyowej aż po dostęp do odpowiedniej ilości jedzenia. Musiało to trwać wystarczająco długo, abyśmy z Rickim zdążyli obmyślić plan

ucieczki. Na koniec dodałam, że cała ta pomoc musi odbywać się w tajemnicy.

– To niełatwe zadanie – oceniła panna Baker. – Dlaczego uważasz, że będę skłonna cię wesprzeć?

– Bo inaczej powiem o wszystkim matce.

Kąciki ust panny Baker uniosły się w okrutnym uśmiešku.

– Twoja matka już wie.

– W takim razie powiem Berniece Mayhew – powiedziałam, doskonale zdając sobie sprawę, że to największa plotkarka z całej służby. – O pani i moim ojcu, i co razem robicie, kiedy wam się wydaje, że nikt nie patrzy. Gdy to wyjdzie na jaw, nie znajdzie pani innej pracy jako nauczycielka etykiety. Wszyscy się dowiedzą, co z pani za dama.

Panna Baker wstała naburmuszona, wyglądając, jakby chciała uderzyć mnie w twarz albo wypaść z pokoju. Albo zrobić i jedno, i drugie. Podejrzewałam, że jedynym powodem, dla którego tego nie zrobiła, była świadomość, że znalazła się w pułapce.

– Pomogę ci – powiedziała w końcu.

Uścisnęłyśmy sobie ręce. Obiecała, że dopilnuje, aby rano kupiono mi nowe ubrania, a także zorganizuje wizytę lekarza i zadba o jego dyskrecję. Powiedziałam jej, że Archie zgodził się odkładać dodatkową porcję jedzenia przy każdym posiłku, ona zaś będzie przynosiła mi talerz do pokoju.

– Kto jeszcze o tym wie? – spytała panna Baker.

– Tylko Archie – odparłam. – A teraz także pani.

Trzeba jej oddać, że nie zapytała o moją siostrę ani matkę. Była w Hope's End wystarczająco długo, by zauważyć, że żadna z nich nie przysłaby mi z pomocą.

Gdy się rozstałyśmy, poczułam nowy przypływ optymizmu, że mój plan naprawdę może się powieść. Oczywiście będzie wymagał ostrożności i być może małego uśmiechu losu. Niemniej po raz pierwszy od tygodni ujrzałam przed sobą drogę, która mogła mnie zaprowadzić daleko od Hope's End i mojej rodziny, ku jasnej, szczęśliwej przyszłości z Rickym i naszym dzieckiem.

Nie przewidziałam jednak tego, że choćbym była bardzo ostrożna, nie mogę liczyć na uśmiech losu.

I że ściskając dłoń panny Baker, w istocie zawierałam pakt z diabłem.

Rozdział 32

Wychodzę z jadalni, a pani Baker nalewa sobie kolejną lampkę. Odgłos wina lejącego się do kieliszka towarzyszy mi, gdy przechodzę przez kuchnię, a zastępuje go głośne, niechlujne siorbnięcie, kiedy docieram do schodów dla służby. Wchodząc na piętro, próbuję poskładać wszystkie elementy układanki w całość i ustalić, jak pani Baker mogła zabić Mary.

Przed wszystkim odkryła, że Lenora opowiada Mary swoją historię. Najprawdopodobniej przechodziła korytarzem, usłyszała maszynę do pisania i odgadła, co się święci. Może nawet wśliznęła się nocą do pokoju Lenory i przeczytała maszynopis.

Mogła też wiedzieć o tym, że Carter usiłuje dowieść, iż jest wnukiem Lenory. Bacznie obserwuje wszystko, co się dzieje w Hope's End. Pewnie poświęca temu więcej czasu niż czemukolwiek innemu. A to znaczy, że mogła odkryć także wspólny plan Mary i Cartera.

I wreszcie: tej nocy, kiedy Mary opuściła dom z walizką, pani Baker uderzyła.

Wyobrażam to sobie, idąc po schodach na górę.

Mary przebiega przez taras, niosąc walizkę z plikiem kilkudziesięciu zapisanych kartek i próbką krwi Lenory.

Pani Baker wyłania się z cienia domu.

Szybko.

Chwyta walizkę.

Odrywa uchwyt.

Popycha Mary.

Możliwe, że pani Baker nie miała zamiaru jej zabić. Może chciała tylko na chwilę pozbawić ją równowagi i wyrwać walizkę z ręki, co jednak skończyło się tragicznie. Mary wypadła przez balustradę i zginęła, a jej zwłoki leżały na piasku przez wiele dni. Pani Baker nie miała wyboru – musiała twierdzić, że Mary odeszła w środku nocy.

Wiem, że w dużej mierze są to domysły. I że prawda może być zupełnie różna od tego, co zrodziło się w mojej wybujałej wyobraźni. Mam świadomość tego, że pani Baker mogła nie mieć nic wspólnego ze śmiercią Mary.

Jedyne, czego jestem pewna, to że Mary opuściła Hope's End z walizką w rękę.

Że ktokolwiek ma tę walizkę teraz, najprawdopodobniej zamordował Mary.

I że najbardziej oczywistą sprawczynią jest pani Baker.

Gdy docieram do szczytu schodów, ulegam impulsowi i biegiem mijam oba pokoje, mój i Lenory, a zatrzymuję się dopiero przed drzwiami pani Baker. Chwytam za gałkę, która przekręca się w mojej dłoni. Kiedy ją puszczam, drzwi otwierają się z lekkim skrzypnięciem. Choć wiem, że to tylko kwestia przechylenia domu, nie mogę pozbyć się wrażenia, że to zaproszenie do wejścia.

Rozglądam się w obie strony korytarza, aby się upewnić, że w pobliżu nie ma nikogo.

A potem, wstrzymując oddech i modląc się w duchu, wślizguję się do środka.

Zamykam za sobą drzwi i rozglądam się po pokoju. Ma taki sam kształt i wielkość jak sypialnia Lenory, a różni się od niej tylko brakiem drzwi prowadzących do innego pokoju oraz umiejscowieniem przyległej łazienki. Ta ostatnia znajduje się po przeciwnej stronie pomieszczenia, które stanowi lustrzane odbicie pokoju Lenory.

We wnętrzu palą się już dwa światła. Oddycham z ulgą. Nie muszę ich włączać ani pamiętać o wyłączeniu przed wyjściem. Lampka na stoliku nocnym rzuca blask na nieskazitelnie zasłane łóżko pani Baker. Stojąca w kącie lampa podłogowa wystarczająco oświetla drugą połowę pokoju. Widzę komodę, zabytkową toaletkę z owalnym lustrem i kredens podobny do tego w pokoju Lenory. Zamiast walkmana stoi na nim gramofon z tubą w kształcie kwiatu lili.

Szybko i cicho otwieram szuflady komody i zaglądam do kredensu, ale nie znajduję niczego ciekawego. Walizka by się tam nie zmieściła, a gdyby pani Baker miała maszynopis, który w niej był, to podejrzewam, że spotkałby go ten sam los co kartki zapisane przeze mnie i Lenorę. Co do próbki krwi, którą Mary pobrała od Lenory, to prawdopodobnie także została zniszczona.

Na wszelki wypadek siadam przed toaletką i przeszukuję szuflady, które nie zawierają jednak niczego poza pobrządkującą biżuterią i szminkami. Na blacie stoi oprawiona w ramkę fotografia młodej pary przed wieżą Eiffla. Wokół nich pada śnieg i para tuli się do siebie pod płaszczem mężczyzny. Kobieta na zdjęciu jest, jak sądzę, pani Baker, około pięćdziesiąt lat młodsza niż osoba, która w tej chwili żłopie wino w jadalni. Mają te same oczy, ten sam nos i podbródek. Na tym jednak podobieństwo się kończy. Ta na fotografii ma włosy ułożone w popularne w latach dwudziestych fale, a na twarzy szeroki, szczery uśmiech, czyli coś, czego nigdy nie widziałam u pani Baker.

Mężczyzna jest wysoki, przystojny i około dziesięciu lat starszy niż ona. Przypuszczam, że to narzeczony pani Baker, o którym wspomniała tego dnia, kiedy tu przyjechałam. Ten, którego śmierć skłoniła ją do powrotu do Hope's End. Ze sposobu, w jaki na siebie patrzą na zdjęciu, wyraźnie wynika, że są w sobie zakochani.

Przechodzę na drugą stronę pokoju, gdzie znajdują się chyba najprawdopodobniejsze kryjówki. Pod łóżkiem. W szafie. Pod wielką umywalką w łazience, gdzie kontynuuję poszukiwania – niestety bez skutku. Ten sam rezultat osiągam po otwarciu drzwi szafy. W jej wnętrzu wisi szereg czarnych sukni, poniżej zaś stoi rząd kilku par praktycznych czarnych butów.

Ostatni przystanek robię przy łóżku. Na stoliku nocnym widzę kolejne zdjęcie oprawione w ramkę. Jest na nim ten sam mężczyzna, którego widziałam na fotografii stojącej na toalecie. Na tej stoi sam, a w mundurze wojskowym wygląda wręcz olśniewająco.

Na czworakach zaglądam pod łóżko. Zamiast walizki znajduję kilka pudełek po butach. Wyciągam jedno i otwieram je, uważając, by nie zostawić śladów na zakurzonej wieczku. W środku jest więcej fotografii. Przeglądam je i widzę młodą panią Baker w najróżniejszych sytuacjach. W atlasowej sukni i z kieliszkiem szampana wzniesionym do toastu. Spacerującą po ulicy pod rękę z dwiema innymi kobietami – usta wszystkich trzech rozchylają się

w półśmiechu. Nagą, osłoniętą jedynie dwoma wachlarzami piór, wyciągniętą na szelzongu w pomieszczeniu, które wygląda na pracownię artysty.

Wszystkie zdjęcia wyraźnie świadczą o tym, że pani Baker miała kiedyś życie poza przekrzywionymi murami Hope's End. Szczęśliwe, jak widać. Zastanawiam się, jak bardzo za nim tęskni, jak bardzo pragnie je odzyskać i jak daleko jest się w stanie posunąć, aby ten cel osiągnąć.

Odkładam fotografie do pudełka, przykrywam je wiekiem i wsuwam z powrotem pod łóżko. W następnym pudełku, zamiast zdjęć, znajduję mnóstwo rachunków i kopii zrealizowanych czeków. Na wszystkich widnieją podpisy Lenory, chociaż, rzecz jasna, wykonane ręką pani Baker.

Wydaję garść z nich i przekartkowuję je.

Rachunek za prąd. Opłacany co miesiąc, choć jest parę opóźnionych płatności i jedno ostrzeżenie z początku roku o planowanym odłączeniu.

Rachunki ze sklepu spożywczego. Opłacane jak w zegarku, w każdy wtorek, kiedy dostarczane są zakupy ze sklepu w miasteczku.

Na dnie pudełka leży stos czeków wystawionych na dom spokojnej starości Ocean View. Tysiąc dolarów wpłacany miesięcznie co najmniej od dwunastu lat.

Oczywiście słyszałam o Ocean View. To jedyny dom opieki w mieście. Nawet starałam się tam o pracę pomocy pielęgniarstwa, kiedy pan Gurlain mnie zawiesił. Dowiedziałam się, że mam zbyt wysokie kwalifikacje, co było bardziej obraźliwe, niż gdybym usłyszała prawdę – że zważywszy na moją reputację, uznali, iż zatrudnienie mnie byłoby jak zaproszenie wilka do pilnowania stada owiec. Nie rozumiem tylko, dlaczego pani Baker płaci tyle pieniędzy za dom opieki, skoro Lenora jest tutaj, pod moją opieką, a wcześniej Mary i wielu innych pielęgniarek przed nami.

Nadal przeglądam te zrealizowane czeki, kiedy moją uwagę zwraca dochodzący zza drzwi dźwięk.

Kroki.

Zbliżające się korytarzem.

Już prawie pod drzwiami.

Zakrywam pudełko wiekiem i wpycham je pod łóżko. Zrywam się na równe nogi, żeby uciec... ale dokąd?

Nie ma żadnej drogi ucieczki. Nie mogę wybiec przez drzwi, jeśli nadchodzi pani Baker, a jedyna kryjówka, jaka przychodzi mi do głowy, to łazienka, do której najprawdopodobniej uda się w pierwszej kolejności.

Czując, że zaraz zostaną przyłapani – i tym razem na pewno zwolniona – z rezygnacją zaczynam unosić ręce w geście poddania.

I wtedy mój wzrok pada na szafę.

Bez namysłu rzucam się w jej kierunku i pakuję do środka. Przykucam za identycznymi czarnymi sukienkami, przyciągam do siebie drzwi, które zamykają się w tej samej chwili, gdy otwierają się drzwi do pokoju.

Przez wąską szparę widzę panią Baker. Z jej chwiejnego kroku wnioskuję, że szybko opróżniła całą butelkę wina. Podchodzi do kredensu i włącza stojący na nim gramofon. Gdy igła dotyka płyty, pokój rozbrzmiewa głośną muzyką.

Let's Misbehave.

Pani Baker podśpiewuje pijacko, chrypiąc co drugie słowo.

– Sami... przyzwoitki.

Kiwa głową w rytm muzyki, faluje dłońmi, zaczyna śpiewać coraz głośniej.

– Wywinać... numer.

Opada na krzesło przed toaletką i szarpnięciem otwiera tę samą szufladkę, którą ja otwierałam kilka minut wcześniej. Wyjmuje z niej szminkę.

– Świat... we śnie... niegrzeczni!

Patrząc na swoje odbicie w lustrze, pani Baker przeciąga tubką po dolnej wardze, ale drżącą dłonią rozmazuje szminkę poza kontur ust. Wyciera ją kciukiem i jeszcze pogarsza sytuację. Teraz karmazynowa smuga sięga do połowy policzka. Pani Baker chichocze pod nosem, nachyla się i przypatruje pijanemu odbiciu.

Nagle coś w lustrze przyciąga jej uwagę. Widzę, jak unosi wzrok i wbija go w przestrzeń nad swoim prawym ramieniem.

Szafa.

Pani Baker odwraca się w jej stronę. Z mojego punktu widzenia wygląda to tak, jakby spoglądała wprost na mnie. Wstrzymuję oddech, niezdolna do niczego poza patrzeniem.

Jak pani Baker odstawia szminkę na blat toaletki.

Jak wstaje.

Jak robi pierwszy niepewny krok w stronę szafy.

Drugi jest nieco pewniejszy. Trzeci znacznie. Jakby trzeźwiała z każdym kolejnym ruchem. Gdy zatrzymuje się przed szafą, wszelkie ślady upicia znikają. Zostaje tylko zwykła, sroga, zupełnie trzeźwa wersja pani Baker, która właśnie wyciąga przed siebie rękę.

Dotyka drzwi szafy.

Szykuje się do ich otwarcia.

Kulę się przy wewnętrznej ścianie, wiedząc, że za chwilę zostanę przyłapaną, zwolniona i odesłana z powrotem do domu, w którym mój ojciec myśli, że zabiłam własną matkę. Ale nim pani Baker zdąży pociągnąć i otworzyć drzwi szafy, nagle przeskakuje płyta.

Muzykę zastępuje głośny, niski jęk. Rozbrzmiewa w całym domu, zaczyna się od parteru i coraz głośniejszy, wznosi ku górze.

Wiem, co to jest.

Pani Baker też wie, bo jej twarz pochmurnieje z niepokoju.

Po jęku następuje skrzypienie, trzask i kilka ostrych szarpnięć. Jakby coś uderzyło w dom. Objam się o wnętrze szafy jak zwłoki w nagle upuszczonej trumnie. Jedno skrzydło drzwi się otwiera, ukazując mnie przewróconą za rzędem długich czarnych sukni pani Baker.

Ale ona tego nie widzi, bo już jej tu nie ma. Właśnie otwiera drzwi swojego pokoju i wygląda na korytarz, przytrzymując się ściany przywiedłą dłonią, gdy Hope's End nadal dygocze.

I wtedy, równie nagle, jak się zaczęło, wszystko się kończy.

Hałasy.

Wstrząsy.

Dom cichnie i nieruchomieje.

Pani Baker znika w głębi korytarza, idzie zbadać, co i gdzie się stało. Inni mieszkańcy robią to samo. Słyszę kroki nad głową i odgłosy kogoś zbiegającego schodami dla służby.

Siedzę skulona w kącie szafy z sercem bijącym sto razy na minutę. Na wieszakach nad moją głową wciąż kołyszą się sukienki pani Baker. Dopiero kiedy nieruchomieją, wypełzam ze środka i pędzę do pokoju Lenory. Oczywiście nie śpi, na twarzy ma wyraz niepokoju, a sprawną rękę zaciska na przycisku alarmowym. Zza drzwi łączących nasze pokoje dobiega brzęczenie i wylewa się czerwony blask.

- Już jestem - mówię. - Wszystko w porządku?

Lenora puszcza przycisk i stuka dwa razy w narzutę. Potem jej spojrzenie wędruje w odległy kąt pokoju, gdzie stoi ktoś, kogo dotąd nie zauważyłam.

Archie.

Odsunął zasłony i wygląda przez okno na taras.

- Chyba to tam - odzywa się.

- To znaczy co?

Archie w końcu odwraca się ku mnie.

- Uszkodzenie. Powinniśmy tam zejść i sprawdzić, co się stało.

Ja i tak wiem, co się stało. Hope's End znalazł się o krok od runięcia w głąb oceanu.

- Co robisz w pokoju Lenory? - pytam.

Przeglądamy się sobie nawzajem nieufnie i podejrzliwie. Przypomina mi to film, który oglądałyśmy z mamą, gdy była chora. Dwa koty włamywacze, które wzajemnie przeszkodziły sobie we włamaniu do tej samej rezydencji, muszą zdecydować, czy powinny działać razem, czy osobno. W końcu postanawiają sobie zaufać. Archie podejmuje podobną decyzję.

- Przyszedłem życzyć jej dobrej nocy.

- Od kiedy to masz taki zwyczaj?

- Odkąd zachorowała - odpowiada Archie. - Zaglądam do niej każdego wieczoru, żeby zobaczyć, jak się miewa.

- Przejdźmy się - mówię.

Tak naprawdę chcę porozmawiać gdzieś, gdzie nie usłyszysz nas Lenora. Archie kiwa głową i wychodzi za mną na korytarz, gdzie przechylenie domu jest odczuwalne wyraźniej niż dotąd. A dopiero co się do niego przyzwyczaiłam.

- Każdego wieczoru? - pytam. - Mówiłeś, że ty i Lenora nie jesteście już sobie bliscy.

- Mówiłem, że nie tak jak kiedyś - poprawia mnie Archie. - I taka jest prawda. Z biegiem lat nasza relacja ewoluowała. To, że się z tym nie afiszuję, nie znaczy, że nie dbam o pannę Hope. Oboje jesteśmy po tej samej stronie, Kit. Oboje nad nią czuwamy. Po prostu robimy to w inny sposób.

- Dlaczego nie widziałam cię tu wcześniej?

- Bo to taki nasz mały sekret. Coś tylko między mną i panną Hope. Na pewno to rozumiesz.

Archie milknie, jakby chciał, żebym teraz ja zdradziła mu jeden ze swoich sekretów. Nic z tego. Bo tamten film o kocurach włamywaczach, które postanowiły sobie zaufać... kończy się tak, że jeden zdradza drugiego. Nie pozwolę, aby to samo spotkało mnie.

- O jakiej porze ją odwiedzasz?

- Zwykle tuż po tym, jak się położę, i tuż przed tym, zanim zrobię to ja.

Powoli schodzimy schodami dla służby, a pod butami chrzestczą nam kawałki tynku, które odpadły ze ścian.

- Odwiedzałeś ją kiedyś w środku nocy?

- Nie - odpowiada Archie. - Taki ranny ptaszek jak ja nie może przesiadywać do późna.

Brzmi tak szczerze, że byłabym skłonna mu uwierzyć. Tyle że równie szczerze brzmiał, kiedy kłamał, że nic nie wie o dziecku Lenory. Powiedziałabym, że w tej chwili istnieje siedemdziesiąt pięć procent szans, że mówi prawdę. Z tych obliczeń wnioskuję, że tamtym szarym, niewyraźnym kształtem, który widziałam w oknie Lenory pierwszego wieczoru po moim przyjeździe tutaj, był właśnie Archie.

Nie jestem jednak taka pewna, czy to on był źródłem nocnych hałasów w jej pokoju.

Czy to jego cień widziałam pod drzwiami.

I czy to on napisał na maszynie wiadomość, o którą Lenora obwiniała Virginie.

- Może ktoś jeszcze regularnie zakrada się do tego pokoju?

- Wątpię - mówi Archie z niejasnością, która obniża wskazania prawdometru do pięćdziesięciu procent. - Jestem pewien, że to nic takiego.

- A ja jestem pewna, że wręcz przeciwnie. - Zatrzymuję się w połowie schodów. - Czego mi nie mówisz? Kiedy powiedziałam wam wszystkim, że według Lenory to jej siostra... jej nieżyjąca siostra... pisała na maszynie w jej pokoju, nie wydawałeś się zaskoczony. Dlaczego?

- Bo to było dziwaczne - odpowiada Archie.

- A może dlatego, że coś takiego już się kiedyś zdarzyło.

Archie próbuje zejść o stopień niżej, ale blokuję mu przejście, rozkładając ramiona i zapierając się obiema dłońmi o popękane ściany klatki schodowej.

- Czy Lenora mówiła prawdę?

Już na samą myśl o czymś takim powinnam się poczuć zażenowana, ale reakcja Archiego, który się wzdyga, a potem usiłuje ukryć swój wyraz twarzy, mówi mi, że coś jest na rzeczy.

- Jest wiele spraw, o których nie wiesz - mówi, po czym łagodnie odrywa jedną z moich dłoni od ściany i omija mnie. - I lepiej, żeby tak pozostało.

- Więc to prawda? - pytam. - Duch Virginii naprawdę nawiedza Hope's End?

Archie schodzi niżej, celowo unikając mojego wzroku.

- Nawiedzenie to nie jest odpowiednie słowo. Ale tak, jej obecność jest tu wyczuwalna. W Hope's End przeszłość zawsze jest obecna.

Ruszam za nim i razem schodzimy na sam dół schodów, do kuchni, której stan wydaje się prawie nienaruszony. Spadło ledwie kilka garnków i patelni, a na podłodze leży rozbity słoik. W jadalni nad obramowaniem kominka pojawiło się duże pęknięcie, które biegnie zygzakiem w stronę sufitu. Przez obie pary otwartych oszklonych drzwi wpadają do środka rześkie

powiewy nocnego powietrza i ściszone głosy reszty domowników, którzy już wyszli na zewnątrz.

Archie i ja wychodzimy na taras, gdzie pani Baker, Carter i Jessie stoją wręcz przyciśnięci do ściany domu. W pierwszej chwili nie rozumiem dlaczego.

Potem to widzę.

Na tarasie znowu walają się gonty z dachu plus sterta cegieł, która jak przypuszczam, stanowi pozostałość po zawalonym kominie. Przez całe to pobożowisko, jakieś półtora metra od domu, biegnie zaś linia uskoku rozciągająca się od jednego końca tarasu do drugiego.

Jeden krok za tę linię mógłby sprawić, że klif, taras, a być może cały Hope's End runęłyby prosto do oceanu.

Rozdział 33

Prawdziwe rozmiary zniszczeń można ocenić dopiero rano, kiedy wszyscy gromadzimy się na tarasie niedługo po świcie. Jeśli ktoś złożył nocną wizytę w pokoju Lenory, ja tego nie słyszałam. Byłam zanadto skupiona na odgłosach fal uderzających w podstawę klifu i podmywających go centymetr po centymetrze. Leżąc w ciemnościach i wsłuchując się w miarowe odgłosy kipieli, zastanawiałam się, ile zostało nam czasu, zanim to wszystko runie. Sądząc z obecnego stanu tarasu – niewiele.

Za dnia, kiedy blask wschodzącego słońca zalewa szczelinę przecinającą taras, zniszczenia wyglądają jeszcze gorzej. Szeroki na pięć centymetrów i niewyobrażalnie głęboki rozstęp biegnie po schodkach z lewej strony aż na sam dół, do pustego basenu. Wzdłuż ciągnie się linia zniszczonych marmurowych płytek, z których obecnie wiele wystaje z tarasu pod wszelkimi możliwymi kątami.

Pani Baker przygląda się temu wszystkiemu przez okulary znużonym i smutnym wzrokiem.

– Możemy kogoś wezwać? – pyta.

Carter, który leżąc na brzuchu, badał szczelinę, podnosi się teraz i otrzępuje dżinsy.

– Żeby co zrobić?

– Naprawić to. Podeprzeć. Albo coś.

– Nie da się tego naprawić – stwierdza Carter. – Klif w końcu się zawali. A kiedy to nastąpi, Hope's End zawali się razem z nim.

– Nie pozwolę na to – mówi pani Baker, jakby miała w tej sprawie coś do powiedzenia. – Zadzwoń w parę miejsc.

Szybkim krokiem wchodzi do domu, pozostawiając resztę nas gapiących się niespokojnie na popękany taras.

– Ma urojenia – rzuca Carter.

– Totalnie – zgadza się Jessie.

Odwracam się do Archiego z nadzieją, że nasz pakt zaufania wciąż obowiązuje.

– Myślisz, że jest szansa przekonać ją, aby opuściła to miejsce?

– Opuściła Hope's End? – powtarza. – Nigdy tego nie zrobi.

– Bardziej martwię się o Lenorę. Jeśli coś takiego znowu się stanie...

– Kiedy się stanie – poprawia Jessie. – Dajcie spokój, ludzie, wiecie, że tak. I następnym razem będzie prawdopodobnie gorzej.

Wzdycham, bo się z nią zgadzam.

– Kiedy się to stanie, my wszyscy możemy w razie potrzeby uciec. Ale nie Lenora.

Archie obiecuje mi, że porozmawia o tym z panią Baker, po czym wraca do domu, aby przygotować śniadanie. Jessie szybkim krokiem rusza za nim, bez słowa obrzuciwszy długim,

pełnym niedowierzania spojrzeniem to, co zostało z tarasu.

Zostajemy sami z Carterem, oparci plecami o rezydencję. Czujemy na twarzy rześką morską bryzę.

- Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę – mówi Carter z nieśmiałością, której nie widziałam u niego wcześniej. – Cieszę się, że nadal tu jesteś.

Wiatr się wzmaga i przynosi ze sobą przenikliwy chłód ostrzegający przed nadciągającą zimą. Otulam się mocniej kardiganem, zastanawiając się, czy Hope's End będzie tu jeszcze stał, kiedy ta zima nadejdzie.

- A ja sama nie wiem. Powiedz mi szczerze, jak długo twoim zdaniem ten dom jeszcze tu postoi?

- Nie mam pojęcia. Może parę lat. A może tylko miesięcy.

- Albo godzin? – dopytuję.

- Tak, to też możliwe.

- Tęsknię za czasami, kiedy uważałam, że najstraszniejsze, co wiąże się z tym miejscem, to trzy morderstwa, które tu popełniono.

- Cztery morderstwa – poprawia mnie Carter.

- Racja. – Spuszczam głowę, zawstydzona tym, że w jednej chwili zapomniałam o Mary i o tym, co się z nią stało właśnie na tym tarasie.

- Jest coś nowego w tej sprawie? – pyta Carter. – Albo w ogóle?

Zdaję mu relację z rozmowy z panią Baker i z potajemnego przeszukania jej pokoju.

- Walizki nie ma. Ale znalazłam coś ciekawego. Znasz kogoś, kto mógłby przebywać w Ocean View?

- W tym domu opieki w mieście?

- Tak. Znalazłam pęk zrealizowanych czeków wystawianych od wielu lat. Pani Baker wysłała im tysiąc dolarów miesięcznie.

Carter wydaje z siebie ciche gwizdnięcie.

- Darowizna?

- Wątpię, by pani Baker wydawała co roku tysiące dolarów, kiedy Hope's End wygląda, jak wygląda. – Omiotam wzrokiem zniszczony taras i walający się po nim gruz. Istne pobojowisko. Pochwalam filantropię, ale w przypadku Hope's End dobroczynność naprawdę powinna zaczynać się od domu. – Nie marnowałyby takich sum, gdyby nie musiała. Ona opłaca czyjś pobyt w Ocean View.

Nagle Carter wyraźnie sztywnieje. Chwyta mnie za ramię i mówi:

- Chyba wiem, kto jest. Pamiętam, że kiedy pracowałem w barze, Tony wspomniał raz czy dwa, że parę osób, które tu kiedyś pracowały, wciąż mieszka w okolicy. A jedna z nich przebywa w Ocean View.

- Kto?

- Berniece Mayhew.

Wymieniamy spojrzenia. Pełne zaskoczenia i dezorientacji. Z jakiegoś powodu – i to przez wiele, wiele lat – pani Baker płaci za utrzymanie żony Ricarda Mayhewa.

- Dlaczego miałyby to robić? – pyta Carter.

- Nie mam pojęcia - odpowiadam. - Ale mam przeczucie, że Lenora może to wiedzieć. Carter drapie się po karku, zastanawiając się nad czymś. - Powodzenia w wyciąganiu z niej czegokolwiek bez maszyny do pisania.

To samo pomyślałam dziś rano, kiedy obudziłam się na materacu zsuniętym do połowy łóżka. Podciągnęłam go z powrotem na miejsce, wzięłam prysznic w niepokojąco nierównej wannie i włożyłam jeden z mundurków Mary, a potem zajrzałam do Lenory. Gdy weszłam do jej pokoju, instynktownie rozejrzałam się za maszyną do pisania, bo zapomniałam, że już jej nie ma. Gapiąc się na puste biurko, zdałam sobie sprawę, że komunikacja z moją podopieczną właśnie stała się znacznie trudniejsza. Niektóre odpowiedzi wymagają czegoś więcej niż tylko stukania na „tak” albo „nie”.

- Może umie pisać lewą ręką - mówię, wyrażając na głos pobożne życzenie. Nawet gdyby przed serią uderów Lenora była leworęczna, nie sądzę, by miała dość siły, aby utrzymać długopis i bazgrać nim po papierze przez dłuższy czas. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to wypisanie liter alfabetu, które następnie mogłaby wskazywać.

Co prawdę mówiąc, nie jest takim złym pomysłem.

Właściwie nie muszę nawet niczego przygotowywać.

Ktoś już to robił za mnie.

- Właśnie wymyśliłam pewien sposób - mówię i ruszam w kierunku oszklonych drzwi. - Nie będzie to pisanie, ale w razie potrzeby wystarczy.

Zostawiam Cartera na tarasie i szybkim krokiem przechodzę przez jadalnię do kuchni. Wbiegam po schodach dla służby, mijam podest na pierwszym piętrze i wchodzę od razu na drugie, czując się, jakbym szła przez gabinet śmiechu. Zataczając się niczym pijana, docieram pod pokój Jessie. Drzwi są otwarte, więc zaglądam do środka i rzucam niby to swobodnie:

- Cześć. Mogłabym pożyczyć twoją tabliczkę ouija?

Jessie, która stoi w nogach łóżka, gestem ręki wskazuje na komodę, gdzie leżą tabliczka ouija i wskaźnik.

- Możesz ją sobie wziąć. Będzie jedna rzecz mniej do spakowania.

Nagle dociera do mnie, że wszystkie szuflady komody są wysunięte, a na łóżku przed Jessie leży walizka.

- Wyjeżdżasz? - pytam.

- No.

- Dokąd pojedziesz?

- Nie wiem i mam to gdzieś. - Dla podkreślenia swoich słów Jessie zwija sweter w kulkę i upycha go w walizce. - Byle dalej stąd. Słyszałaś Cartera. Cała ta buda się rozpada. Dosłownie. Nie zamierzam czekać, aż się całkiem zawali. Ty też nie powinnaś. Szczerze mówiąc, obie powinnyśmy wyjechać zaraz po tym, jak znalazłaś Mary.

Ma rację, bez dwóch zdań. Patrząc, jak Jessie wrzuca do walizki kolejne ubrania, zastanawiam się, jak wyglądałoby w tej chwili moje życie, gdybym odeszła tamtego dnia, nie oglądając się za siebie. Ale zostałam, bo śmierć Mary i morderstwo rodziny Hope'ów bez reszty zaprzętnęły moje myśli. I teraz też zostanie, choć mądrzej byłoby pójść w ślady Jessie.

- Nie mogę zostawić Lenory - mówię i jest to zarówno prawda, jak i pretekst.

Zostają też dlatego, że nie potrafię otrząsnąć się z wrażenia, że rozwiązanie zagadki mam na wyciągnięcie ręki. To samo uczucie przyciąga mnie do komody, z której biorę tabliczkę ouija i wskaźnik.

– Tylko pożyczam – mówię, udając, że jeszcze się zobaczymy, choć najprawdopodobniej tak się nie stanie. – Zamierzam oddać.

Jessie nieoczekiwanie mnie obejmuje, a na koniec ściska po dziewczczyńsku.

– Uważaj na siebie, Kit. I dbaj o Lenorę. Obiecay mi, że zabierzesz ją stąd najszybciej, jak to możliwe.

– Dobrze.

– Na serio – mówi Jessie. – Martwię się o nią. I o ciebie.

– Obiecuję – odpowiadam. – Przysięgam.

Już mam wyjść z pokoju, kiedy Jessie woła:

– Czekaj! Zapomniałam o czymś. – Szybko podchodzi do komody i wręcza mi kasetę magnetofonową. – Końcówka książki dla Lenory. Mam nadzieję, że jej się spodoba.

– Dzięki – mówię. – Na pewno.

Chowam kasetę do kieszeni i zostawiam pakującą się Jessie, świadoma, że sama powinnam zrobić to co ona. Zamiast tego oddalam się z tabliczką ouija korytarzem, którym nikt nie powinien już chodzić, i zamierzam namówić niemą kobietę do skontaktowania się – nie z duchami, ale ich sposobem.

Pięć minut później taca na posiłki jest już doczepiona do wózka inwalidzkiego. Tabliczka ouija leży na niej, a na środku wskaźnik, na którym oparłam lewą dłoń Lenory.

– Używałaś kiedyś czegoś takiego? – pytam.

Lenora unosi wskaźnik i stuka nim jeden raz o tabliczkę.

– To łatwe. – Kładę dłoń na jej dłoni i przesuwam wskaźnikiem po planszy. – Po prostu wskazuj tym litery, które złożą się na odpowiedź. Rozumiesz?

Przygryzając w skupieniu dolną wargę, Lenora popycha wskaźnik w stronę „tak” znajdującego się w lewym górnym rogu tabliczki.

– Doskonale – mówię. – Gotowa, by odpowiedzieć na pytanie?

Wskaźnik pozostaje tam, gdzie jest, co uznaję za odpowiedź twierdzącą.

– Jak dobrze znałaś Berniece Mayhew?

Lenora sunie wskaźnikiem do dwóch lukowatych rzędów liter na środku planszy. Powoli przybliża go do T.

Potem R.

Potem O.

Potem C.

Potem H.

I wreszcie E.

– Trochę? – odczytuję na głos, aby się upewnić, że to właśnie chce powiedzieć.

Zamiast wrócić wskaźnikiem do „tak”, Lenora stuka nim dwukrotnie w planszę.

– Jaka była?

Lenora znowu przesuwając wskaźnik i literuje słowo, którego znaczenie nie wymaga potwierdzenia.

WSTREŃNA

– Więc dlaczego pani Baker co miesiąc daje jej pieniądze? – Patrząc na tabliczkę ouija, ale wskaźnik pod dłonią Lenory pozostaje nieruchomy.

– Wiedziałaś, że to robi?

Tym razem Lenora literuje odpowiedź.

TAK

– Od jak dawna?

Na planszy pod literami znajduje się rząd cyfr od zera do dziewięciu. Lenora przysuwa wskaźnik do czterech z nich, aż powstaje wymowny rok.

1929

Ponieważ z matmy nigdy nie byłam orłem, potrzebuję chwili, aby w myślach to sobie poskładać. Liczba, która mi wychodzi, wprawia mnie w osłupienie. Od tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku Berniece Mayhew otrzymała ponad sześćset tysięcy dolarów.

– Dlaczego? – Jestem zbyt oszołomiona, by lepiej sformułować to pytanie.

Wskaźnik wraca do liter, a Lenora posługuje się nim tak samo sprawnie jak maszyną do pisania. Wskazanie odpowiedzi zajmuje jej mniej więcej tyle czasu co wystukanie jej na maszynie.

BO ONA WIE

Wciąż nie rozumiem.

– Co wie?

Lenora przesuwając wskaźnikiem.

O TAMTEJ NOCY

Kiwam głową. Może mieć na myśli tylko jedną noc.

– Co o niej wie?

Lenora nie przestaje poruszać wskaźnikiem, przesuując go od litery do litery.

ONA

Wskaźnik sunie dalej. W stronę jednej ze środkowych liter w drugim rzędzie, a potem do następnej, po prawej.

TU

Nie odrywam wzroku od tabliczki, żeby nie przeoczyć żadnej litery. Boję się choćby mrugnąć.

BYŁA

Serce wali mi w piersi.

Berniece Mayhew była tamtej nocy w Hope's End.

Nie tylko przed morderstwem i po nim, ale też w jego trakcie.

Wraz z nadejściem października dalsze ukrywanie mojego stanu robiło się coraz trudniejsze, nawet z pomocą Archiego i panny Baker. Moje ciało za bardzo się zmieniło, by móc przypisać to rosnącej tuszy. Wiedziałam, że wkrótce każdy, kto tylko na mnie popatrzy, zauważy, że spodziewam się dziecka.

Nie znając innego sposobu na utrzymanie sekretu, panna Baker zaproponowała, bym wzięła przykład z matki i została w łóżku. Niechętnie, lecz się zgodziłam. Nikt, kto by wszedł do mojego pokoju i zobaczył mnie wspartą o poduszki oraz opatuloną obszernymi kocami, nie zdołałby się domyślić, że jestem w ciąży.

Pretekst do zostania w łóżku – wyczerpanie nerwowe – również był zainspirowany moją matką. Wszyscy mi uwierzyli. Jaka matka, taka córka. Nawet nieorientowany w temacie doktor Walden dał się na to nabrać. Zamiast mnie zbadać, wręczył mi tylko buteleczkę laudanum i kazał zażywać je regularnie, aby ukoić zszargane nerwy. Gdy tylko zostałam sama, wylałam ten wstrętny płyn do zlewu. Może i zachowywałam się jak matka, ale na pewno nie zamierzałam się nią stać.

Jak na ruchliwą dziewczynę, która przegrywała za każdym razem, kiedy ojciec zmuszał nas do gry polegającej na zamykaniu nas w pokojach, ze zdumiewającą łatwością przychodziło mi spędzanie większości czasu w łóżku. Bardzo szybko nauczyłam się leżeć bez ruchu, czasem całymi godzinami, i wędrować w myślach po świecie, przenosząc się w każdej chwili w dowolne miejsce.

Często kładłam dłoń na brzuchu i szeptałam do rosnącego w nim dziecka o wszystkich rzeczach, które dla nas planowałam, i wszystkich miejscach, które odwiedzimy. Paryż, to jasne, ale także inne, bardziej egzotyczne zakątki. Dżungle i góry, i tropikalne wyspy, gdzie woda błyszczą niczym szafiry.

Uważałam, że po prostu fantazjuję, lecz Archie – człowiek ciekawy z natury – czytał o takich rzeczach i stwierdził, że praktykuję medytację.

– A co to takiego? – spytałam go podczas jednej z tych rzadkich chwil, kiedy udało mu się zakraść do mojego pokoju.

– Oddzielanie umysłu od ciała – odparł, co niewiele mi wyjaśniło.

Tak czy inaczej miałam mnóstwo czasu na bujanie w obłokach. Niewiele osób mnie odwiedzało. Matka sama była przykuta do łóżka, a ojciec – zaabsorbowany problemami w interesach, o których wiedziałam bardzo niewiele – zaczął spędzać więcej czasu w Bostonie. Mijały tygodnie i nawet Archie przychodził coraz rzadziej.

Regularnie widywałam tylko dwie osoby: pannę Baker, która przynosiła mi posiłki i pilnowała, żebym wszystko zjadła, oraz moją siostrę, która wręcz upajała się opowieściami o swoim życiu towarzyskim: co robiła, z kim się spotykała i dokąd chadzała.

– Idziemy z Peterem na piknik – powiedziała dzień przed tym, kiedy wszystko się zmieniło, choć wtedy jeszcze żadna z nas nie wiedziała, że tak się stanie. – Żałuję, że nie możesz pójść z nami.

Oczywiście nie mówiła szczerze. Po prostu w ten sposób dawała mi do zrozumienia, że prowadzi beztrudne życie, którego ja mogłam tylko bardzo pragnąć. Nie miała pojęcia, że niczego mi nie brakuje. Miałam kogoś, kto mnie kochał, i jego dziecko rosnące w moim brzuchu, a w perspektywie szczęśliwą rodzinę.

Przynajmniej tak sobie powtarzałam.

Jednak w tę idyllę wkradły się wątpliwości i żadne fantazje – czy też medytacje – nie zdołały ich powstrzymać.

Prawda była taka, że w ciągu tych trzech tygodni, kiedy byłam zmuszona udawać inwalidkę, Ricky nie odwiedził mnie ani razu. Był świadom, że to fortel, aby ukryć ciążę, bo wyraźnie mu o tym powiedziałam.

Dzień w dzień i tydzień w tydzień pytałam pannę Baker, która wtedy już wiedziała o Rickym, czy próbował się ze mną zobaczyć. I za każdym razem słyszałam, że nie.

– Na pewno bardzo trudno jest mu się wymknąć – powtarzała niezmiennie.

Co do tego nie miałam wątpliwości. Niepokoiło mnie jednak, że najwyraźniej nawet nie usiłował dowiadywać się o mnie. W końcu moja cierpliwość skłęsała, a z nią także pewność, że Ricky naprawdę mnie kocha i chce tego dziecka tak bardzo jak ja.

Po części zdopingowana przechwałkami siostry o jej bujnym życiu towarzyskim, postanowiłam, że tej nocy wymknę się z pokoju, aby spotkać się z Rickym. Wątpliwości stały się nie do zniesienia.

Kiedy wieczorem panna Baker przyniosła mi kolację, ublażałam ją, aby znalazła Ricky'ego i przekazała mu, że spotkam się z nim na tarasie o północy. Tylko o tej porze mogłam wyjść z pokoju niezauważona. Niechętnie, lecz się zgodziła.

Gdy wybiła północ i byłam pewna, że wszyscy poszli już spać, cichaczem zeszedłam na dół, do kuchni, skąd miałam przejść na taras. W połowie drogi zdałam sobie sprawę, że nie jestem w kuchni sama.

Była tam też Berniece. Choć udawała, że pracuje do późna, miałam jasność, że czeka na mnie.

– Wiedziałam – rzekła, kiedy ujrzała mój zaokrąglony brzuszeczek. – Cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– A coż to ma znaczyć? – odparłam, próbując wykrzesać z siebie złość, choć czułam jedynie czysty strach.

Berniece uśmiechnęła się szyderczo.

– Żeś panna puszczalska. Jak wszystkie w tej panny rodzinie.

Oniemiałam. Wiedziałam, rzecz jasna, co służba mówi o nas za naszymi plecami. Sądziłam jednak, że za bardzo cenią sobie tę pracę, aby powiedzieć mi to prosto w twarz. Najwyraźniej jednak nie Berniece.

– Naprawdę myśli panna, że ja nie wiem, co tu się święci? – spytała. – Mąż mi się wymyka o dziwnych porach, ledwo co na mnie spojrzy i prędzej trupem padnie, niż mnie dotknie. Wiem od miesiący. Nie pierwszy raz mu się zdarzyło.

Łypnęła na mnie, jakbym budziła w niej najwyższą odrazę.

– Co zamierzasz zrobić? – spytałam, co pewnie w jej uszach zabrzmiało jak wyzwanie, choć wcale nim nie było. Ciekawił mnie, a także przerażał jej następny krok.

– Zamierzam się wzbogacić – odparła. – Będę siedziała cicho i oczy odwróce, jeśli mi panna i panny rodzina zapłacicie.

Stałam w kompletnym bezruchu, ogłuszona.

– Ile?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów powinno wystarczyć – powiedziała, nie dodając groźby, którą z pewnością miała w zanadrzu. – Na razie. Na przemyślenie ma panna czas do jutra.

Natychmiast wpadłam w panikę.

Do jutra.

To niewiele czasu. Za mało, by zaplanować naszą ucieczkę. Ale ucieczka była jedyną opcją. Co do tego nie miałam wątpliwości.

Wypadłam z kuchni i popędziłam na taras, gdzie czekał Ricky ukryty w ciemnościach. Uciszyłam go, nim się odezwał, wystraszona, że Berniece mogła pójść za mną.

– Nie tutaj – wyszeptaliśmy i pociągnęłam go do garażu, gdzie ojciec trzymał lśniące packardy, którymi nigdy nie jeździł. Usiedliśmy na tylnym siedzeniu jednego z nich, kryjąc się przed resztą świata.

– Powiesz mi, co się dzieje? – spytał Ricky.

– Ona wie – wypaliłam. – Berniece wie. I chce pieniędzy albo powie ojcu. Ale żeby zdobyć pieniądze, musiałabym sama mu powiedzieć.

– Ile chce? – W głosie Ricky'ego więcej było ciekawości niż gniewu.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. – Chciało mi się wyć. Sytuacja była tak potworna, że nie miałam pojęcia, co robić. Niezależnie od podjętej decyzji moje życie miało się nieodwołalnie zmienić. – Co my zrobimy?

Ricky miał tylko jedną odpowiedź.

– Uciekniemy – odparł. – Jutro w nocy.

Rozdział 34

Kokolwiek wybrał nazwę dla domu opieki Ocean View, wiedział, co robi. Ten przybytek faktycznie oferuje to, co obiecuje w nazwie. Z oddali. I pod warunkiem że spojrzysz między budynkami po drugiej stronie ulicy, których tyły naprawdę mają widok na ocean.

W środku znajduje się rozległy, gustowny hol, dzięki któremu to miejsce bardziej przypomina hotel niż dom opieki. Są tu palmy w donicach i pluszowe fotele, a na ścianach obrazy muszli w pastelowych odcieniach. Recepcja ciągnie się wzdłuż jednego końca holu, a za biurkiem siedzi kobieta, która wygląda na wystarczająco leciwą, żeby być rezydentką. Siwe włosy. Miętowozielony kostium ze spodniami. Zapalony papieros w ustach. Zmrużone oczy przenikające dym i przyglądające się, jak podchodzę.

– Witamy w Ocean View – mówi recepcjonistka. – W czym mogę pomóc?

Patrzę w stronę drzwi po obu stronach biurka. Jedne są zamknięte, z napisem: „Tylko dla personelu”. Drugie otwarte, a za nimi widzę jakiegoś mężczyznę pchającego balkonik po korytarzu wyłożonym bordowym chodnikiem. Wejście do Ocean View.

– Przyszłam zobaczyć się z Berniece Mayhew – mówię.

Recepcjonistka mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu, oceniając mój mundurek.

– Nie jest pani jedną z naszych pielęgniarek.

– Nie. Jestem z towarzystwa ubezpieczeniowego. – Unoszę torbę medyczną, którą ze sobą przyniosłam jako część przebrania. – Kazali mi sprawdzić jej parametry życiowe.

– Dlaczego?

– Tego mi nie powiedzieli. Wie pani, jakie są te firmy ubezpieczeniowe.

Recepcjonistka kiwa głową, zgadzając się milcząco, że owszem, firmy ubezpieczeniowe są straszne, a my dwie jesteśmy jedynie trybikami w ogromnej maszynie branży opieki zdrowotnej, która w każdym cholernym przypadku przedkłada własny zysk nad człowieka. Mimo to nieco się waha.

– Mamy własny personel medyczny, który ocenia pacjentów.

– Ja tylko robię, co mi kazano – odpowiadam.

– Rozumiem. Ale to bardzo niezwykle, że przysłali tu panią o tej porze.

– Święta racja – przytakuję. – Jak pani chce, to może zadzwonić do głównego biura. Ale na połączenie będzie pani czekała godzinę, a ja załatwię sprawę w pięć minut. Zmierzę ciśnienie, puls, temperaturę. I już mnie nie ma.

Biorę oddech, dumna z siebie – i trochę zaniepokojona – że umiem tak kłamać bez wysiłku. Recepcjonistka wydmuchuje smużkę dymu i zerka na telefon przy łokciu, zapewne zastanawiając się, ile czasu chce na to wszystko zmarnować. Najwyraźniej niezbyt dużo, bo mówi:

– Pięć minut? Nie więcej?

Więcej czasu nie mam. Nie mogłam wyjść, dopóki Archie nie przyniósł kolacji. Poprosiłam go, żeby został z Lenorą, bo muszę skoczyć do miasta załatwić coś ważnego. Powiedziałam, że nie będzie mnie tylko przez pół godziny. A ponieważ droga w jedną stronę zajęła mi kwadrans i tyle samo zajmie powrót, na rozmowę z Berniece Mayhew mogę poświęcić pięć minut, zanim Archie zacznie coś podejrzewać.

Uśmiecham się do recepcjonistki.

- To zależy od pani Mayhew. Może wystarczy mi cztery.

- Jest w skrzydle Wydmy - oznajmia kobieta i zaciąga się papierosem. - Pokój sto trzynaście.

Ruszam bordowym chodnikiem w głąb Ocean View. Tablica informacyjna tuż za drzwiami pomaga mi zorientować się w układzie budynku. Skrzydło Fale na lewo, skrzydło Wydmy na prawo, część wspólna na wprost. Skręcam w prawo, w korytarz załatujący wybielaczem, cytrynowym odświeżaczem powietrza i - tylko troszeczkę - uryną. Przy pokoju sto jedenaście zwalniam. Przy sto dwanaście poprawiam pielęgniarski czepek i wygładzam spódnicę mundurka. Następnie przyklejam uśmiech do twarzy i wkraczam do pokoju sto trzynaście.

Jest mały, ale schludny. Wystarczająco porządny, żeby tu przyjść z wizytą, ale nie jest to miejsce, w którym chciałoby się spędzić więcej czasu. A jednak Berniece Mayhew spędziła tu wiele lat. I to widać. Oparta na poduszkach i ubrana we frotowy szlafrok, wygląda na kogoś, kto nie wychodzi zbyt często na dwór. Jej gęste siwe włosy kontrastują z twarzą pociemniałą od starczych plam. Ma płaski nos i puciołowate policzki, a zamiast podbródka płat luźnej skóry, który zwisa jak mokra ścierka na kołku i kołysze się, kiedy Berniece odwraca głowę, by na mnie łypnąć.

- Coś za jedna?

- Mam na imię Kit. - Czas na kłamstwa minął w korytarzu. Teraz nie mam wyboru, muszę powiedzieć jej prawdę. - Pracuję dla Lenory Hope.

- Jesteś jej pielęgniarką?

- Coś w tym rodzaju, tak.

Berniece odwraca się z powrotem do telewizorka stojącego naprzeciw łóżka. Właśnie leci *Koło Fortuny*. Moja matka uwielbiała ten program.

- Jak się miewa Lenora? - pyta Berniece.

- Dobrze, ogólnie rzecz biorąc.

Prycha, wyraźnie rozzarowana.

- Wielka szkoda.

- Może ucieszy panią wiadomość, że jest cała sparaliżowana, nie licząc lewej ręki?

Berniece Mayhew znów na mnie spogląda, a w jej oczach widać zadowolenie.

- I cierpi?

- Raczej nie - odpowiadam.

- Wolalabym, żeby cierpiała.

Tuż za drzwiami stoi drewniane krzesło. Opadam na nie, a torbę medyczną odkładam na podłogę.

- Ciekawe, że tak pani mówi o kobiecie, której wspaniałomyślność pozwala pani tu mieszkać.

- Wydaje ci się, że o to chodzi? - pyta gorzko Berniece. - O wspaniałomyślność?

- Jedyne inne powody, jakie przychodzi mi do głowy, to zapłata za milczenie. Najpewniej za to, aby nie powiedziała pani nikomu, że Lenora Hope miała romans z pani mężem. A może dlatego, że tamtej nocy, kiedy zginęła większość rodziny Hope'ów, ujrzała pani coś, czego ujrzeć nie powinna?

Berniece Mayhew rzuca mi spojrzenie z ukosa, jakby właśnie zobaczyła mnie po raz pierwszy.

- Bystra jesteś, nie powiem. I odważna. Żeby tak tu wparować i wygadywać takie rzeczy.

- Ale to prawda, tak?

- Nie powiedziałam, że nie - cedzi Berniece.

- O czym opowie mi pani najpierw?

- Milczę od tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego. Skąd pomyśl, że teraz nagle zacznę paplać?

- Bo nie żyje ktoś jeszcze.

Berniece zwęża oczy.

- Kto?

- Poprzednia pielęgniarka Lenory - odpowiadam. - Pracownica. Taka jak ja. Taka jak pani. Myślę, że ją zamordowano. I myślę, że ma to coś wspólnego z tym, co się stało tamtej nocy w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym.

Urywam i czekam, obserwując, jak zareaguje. Mam nadzieję, że wzmianka o Mary wzbudzi jej współczucie. O ile ono w ogóle w niej drzemie. Przekonam się, czy Berniece Mayhew naprawdę jest tak wstrętna, jak twierdzi Lenora.

Staruszka znowu odwraca się w stronę telewizora, gdzie Vanna White w błyszczącej sukience żwawo odwraca litery. Ale Berniece wcale nie patrzy na ekran. Jej spojrzenie sięga gdzieś dalej. W przeszłość, którą tylko ona jest w stanie dostrzec.

- Ricardo nie był ideałem. - Berniece wzdycha, a w jej westchnieniu mieści się całe rozczarowanie, jakie kiedykolwiek przeżyła. - Wiedziałam o tym, kiedy za niego wychodziłam. Lubił się gapić na inne. Ale nie był draniem, nawet kiedy popił, czego nie mogłabym rzec o swoim ojcu. Więc nie zdziwiło mnie, kiedy ta bogata zdzira się do niego przysssała. Mogła mieć każdego z wszystkich tych młodych, co tam pracowali. Niektórzy mieli tam kwatery. Inni dochodzili z miasta. Było paru niebrzydkich. Ale żaden tak przystojny jak mój Ricardo. Pewnie dlatego tak się go uczepiła. Starczyło, że zatrzepotała rękami znad tych wielkich niebieskich ślepi i już było po nim.

- Powiedziała mu pani o tym?

- A pewnie. Czy ja wyglądam na trusie?

Muszę się zgodzić, że nie, ani trochę.

- I co on na to?

- Zaprzeczył, to jasne. Umiał kłamać jak z nut ten mój Ricardo. Wyłgać się mógł ze wszystkiego. Próbował mnie przekonywać, że nic między nimi nie ma, a ja udawałam, że mu

wierzę. Ale miałam swój plan.

Krzeseło poskrzypuje, gdy się nachylam i opieram łokcie o kolana.

– Pieniądze za milczenie.

– To mi się zdało sprawiedliwe – mówi Berniece. – Mój mąż się prowadził z jedną z jaśniepaństwa. Należało mi się coś za moje cierpienie. Więc postawiłam im ultimatum: albo zapłacą, albo rozgadam wszystkim, co z nich za ludzie.

– I musieli wybrać...

– Tej nocy, kiedy rozpętało się piekło.

Berniece opowiada, że cała służba Hope's End dostała wtedy wychodne. Podobno poza sezonem mieli wolny co drugi wtorek. Gdy nadchodził październik, nie było zbyt wiele roboty. Berniece oznajmiła mężowi, że idzie do miasta na film.

– Spytałam go, czy chce iść ze mną, chociaż wiedziałam, że nie pójdzie – mówi dalej. – Więc chwyciłam płaszcz, kapelusz i portmonek i wyszłam z domku.

– Ale nie opuściła pani Hope's End – domyślam się.

Berniece dotyka czubka nosa na znak, że mam rację.

– Czekałam na dworze, żeby zobaczyć, czy Ricardo się do niej wymknie. No i się doczekałam, bo kwadrans później wylał z domku, przeszedł przez taras, minął basen i zniknął w garażu. Z początku się nawet zdziwiłam. Bo dom taki wielki, tyle pokoi, a oni się pieprzą w garażu.

Wzdrygam się zaskoczona. O nie, Berniece Mayhew na pewno nie jest trusią. Uśmiecha się, zadowolona, że tak mnie zgorszyła.

– Ale potem zrozumiałam, co on robi – ciągnie. – Ricardo nie był głupi, choć robił wiele głupich rzeczy. Wiedział, że mam go na oku. I się domyślił, że nie poszłam do kina. Poszedł do garażu, żeby mnie zmylić.

Rozumiem, o co jej chodzi. Zamiast wejść od tyłu, poszedł do garażu i obszedł dom naokoło, do głównego wejścia.

– Natychmiast wmaszerowałam do domu, gotowa przyłapać tych dwoje na gorącym uczynku, a potem powiedzieć Winstonowi Hope'owi, co też jego córeczka wyprawia z moim mężem. Byłam pewna, że mi zapłaci. A przedtem, rzecz jasna, wyrzuci Ricarda. I mnie też, najpewniej. Więc tym bardziej musiałam zdobyć jak najwięcej pieniędzy.

– Ale nie wyszło tak, jak pani chciała.

– Nie – przyznaje cicho Berniece. – Nie wyszło.

Zerkam na zegarek. Moje pięć minut minęło. Ale jeszcze nie mogę wyjść. Dopóki nie usłyszę całej historii.

– Co się stało, kiedy weszła pani do środka? – pytam, żeby ją ponaglić.

– Dotarłam do kuchni, kiedy wpadła tam ta suka.

Domyślam się, że wspomnianą suką była Lenora.

– Wyglądała na wystraszoną – mówi Berniece. – Najpierw myślałam, że to przeze mnie. Bo wie, że ich nakryłam. Ale potem zobaczyłam jej rękę.

Krzeseło pode mną zaczyna wibrować. Spuszczam wzrok i widzę, jak podryguje moja prawa stopa, wprawiona w ruch niecierpliwością i napięciem.

- To znaczy?

- Były zakrwawione.

Stopa nieruchomieje, tak jak i reszta mojego ciała, gdy wyobrażam sobie młodą Lenorę stojącą w kuchni i jej ociekające krwią dłonie. Straszliwy widok z wielu powodów.

- Powiedziała coś?

- Nie od razu – odpowiada Berniece. – Tylko się na mnie gapiła, zaszokowana, że mnie tam widzi. A potem obie usłyszałyśmy krzyk. Dochodził z góry i odbijał się echem na schodach dla służby.

- Wie pani, kto krzyczał? – pytam.

- Albo pani Hope, albo młodsza córka. Na pewno kobieta. A gdy tak krzyczała, Lenora porwała nóż z kuchennego blatu. Potem łypnęła na mnie i powiedziała: „Wynoś się stąd, ale już”.

- Co pani odpowiedziała?

- Nic. Skinęłam głową i wyszłam. Za bardzo się bałam, żeby zrobić co innego. Ale wiedziałam, że w głębi domu dzieje się coś złego. Dopiero kiedy przyjechała policja, okazało się, jak bardzo było to złe. – Berniece spuszcza zawstydzony wzrok na swoje kolana. – Dużo o tym myślę. Gdybym wtedy nie wyszła, to może Lenora zabiłaby mnie na miejscu. A może nie doszłoby do innych zabójstw. Może kogoś dałoby się ocalić. Zwłaszcza tę młodszą córkę. Virginie. Biedactwo. I to w takim stanie.

- Dlaczego nie powiedziała pani tego policji?

- Bo chciałam chronić Ricarda – wyjaśnia Berniece ze ściśniętym gardłem. – Wiedziałam, że nie tylko Lenora odpowiadała za te zbrodnie. Ricardo też miał w tym udział. Musiał mieć. Bo nie wrócił do domu. Ani tamtej nocy, ani nigdy. Zniknął, a ja w głębi serca wiedziałam dlaczego. Że pomógł jej zabić całą rodzinę.

- Po co miałby to zrobić? – pytam. – Sama pani mówiła, że nie był draniem.

- Ale łatwo go było omotać. Pewnie go podjudziła. Widziałam, jaka z niej była manipulantka.

I znowu to słowo. To samo, którego użyła pani Baker, aby opisać Lenorę.

Manipulantka.

- Założę się, że mamila go łzawą bajeczką o swych okrutnych rodzicach i strasznym życiu; jak to się czuje więźniarką w tej wielkiej, starej rezydencji. I założę się, że Ricardo jej wierzył. Miesiącami wysłuchiwał tych bzdur, więc pewnie miał już wyprany mózg i myślał, że aby mogli być razem, reszta rodziny musi zginąć. Dlatego jej pomógł ich wymordować.

- A potem uciekł – dodaję.

- O nie, skarbie – mówi Berniece z taką zaciętością, że prawie warczy. – Lenora zabiła i jego.

Zastygam na krześle, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Próbuje sobie wyobrazić Lenorę, która popełnia te straszne rzeczy. Zabija nie tylko ojca, matkę i siostrę, ale także swojego kochanka. Tylko potwór byłby zdolny do czegoś takiego. A Lenora Hope, którą znam, nie jest potworem.

Nie żebym uważała ją za całkiem niewinną. Sama przyznała, że niewinna nie jest.

„Nie byłam grzeczną dziewczynką.

Ani trochę.

Wkrótce sama się o tym przekonasz”.

Wiem też, że pozbyła się noża, którym zamordowano jej rodziców. Nawet nie próbowała tego przede mną ukrywać. Mimo to zaczęłam myśleć, że samych morderstw nie popełniła. Nabrałam przekonania, że jej wina ogranicza się do krycia mężczyzny, który naprawdę te zbrodnie popełnił w imię źle pojętej miłości i lojalności.

Ale słowa Berniece rozbijają te przypuszczenia w pył. Jeśli mówi prawdę, to Lenora jest równie winna jak Ricardo Mayhew. A prawdopodobnie nawet bardziej, bo ona wciąż żyje, a on... zniknął.

Chyba że Berniece kłamie.

Nie jest to niemożliwe, skoro sama przed chwilą przyznała, że od kilkudziesięciu lat przyjmuje pieniądze od kobiety, która według niej zabiła jej męża.

– Jeżeli Lenora zamordowała Ricarda – mówię – to dlaczego nie znaleziono jego zwłok razem z innymi?

Berniece ma na to prostą odpowiedź.

– Zepchnęła go z tamtego tarasu. Widziałaś go. Wysokie urwisko i ocean w dole.

A jednak nadal nie widzę w tym sensu. Dlaczego Lenorze miałyby zależeć, aby jej współnik zniknął? Zwłaszcza że po jego zniknięciu wszystkie podejrzania skupiły się na niej? Więc albo Berniece kłamie jak z nut, albo niewłaściwie pojęła to, czego była świadkiem. Sądząc zaś po jej wieloletnim milczeniu, nic jej to nie obchodzi, dopóki kasa się zgadza.

– Myślę, że wcale nie dba pani o ochronę męża – mówię. – Po prostu ta zbrodnia stała się pani nowym źródłem pieniędzy za milczenie.

– I całe szczęście – stwierdza Berniece. – Bo jak się można było spodziewać, całą służbę zwolniono w ciągu tygodnia. A w każdym razie tych z nas, którzy zostali. Połowa odeszła, gdy tylko odkryła, co się stało. Lenora była zbyt zajęta przesłuchaniami, by zrobić to osobiście. Wysłała w zamian kuchcika.

– Archiego?

– Tak miał na imię. – Berniece kiwa głową. – Nigdy nie mogłam go zapamiętać. Biedny dzieciak. Dopiero co skończył osiemnaście lat, a tu kazano mu zwolnić wszystkich, z którymi pracował. Gdy przyszedł do domku, ledwo mógł mi spojrzeć w oczy. Wręczył mi tylko czek na tysiąc dolarów, wypisany osobiście przez Lenorę Hope.

Znów zerkam na zegarek. Z pięciu minut zrobiło się dziesięć. A człowiek czekający na mój powrót jest tym samym, który wręczył Berniece pierwszy czek.

– Powiedział pani, że to zapłata za milczenie?

– Nie musiał, kochanie – mówi Berniece. – Hope'owie od zawsze przekupywali ludzi. Robili tak, żeby dostać to, czego chcieli: czy chodziło o tę miksturę, którą wiecznie popijała pani Hope, czy o te ładne, młode służące, które posiadał pan Hope. I tak też uciszali te służące, kiedy któraś znalazła się w kłopotach.

– Więc wzięła pani ten czek i odeszła.

W oczach pani Berniece pojawia się zimny błysk.

– Nie całkiem. Powiedziałam mu, aby przekazał panie Hope, że tyle samo mam dostawać co miesiąc albo powiem policji, że widziałam ją z nożem tej nocy, kiedy jej rodziców zadźgano na śmierć. I jak łatwo się domyślić, taki sam czek przyszedł miesiąc później. A kolejny dwa miesiące później. Od tamtej pory pieniądze płyną bez przerwy.

Wstaję, czując się w jej towarzystwie zbrukana. Mimo to z niechęcią myślę o powrocie do Hope's End, bo wiem, że przynajmniej część z tego, co mi powiedziała, jest prawdą. Uzależnienie pani Hope i seksualne ekscesy pana Hope'a, a także rozwiązywanie wszelkich problemów pieniędzmi. Wiem o tym, bo sama pomagałam Lenorze pisać na ten temat. Stąd wniosek, że wszyscy w tym domu poza Carterem są skorumpowani.

Łącznie z Lenorą.

– Wkrótce kurek zostanie zakręcony – mówię. – Bo albo pani pójdzie na policję, albo ja.

Berniece spogląda nad moim ramieniem w stronę drzwi i twarz jej się rozjaśnia.

– Wygląda na to, że gliny już tu są.

Na moim ramieniu ląduje czyjaś dłoń, kiedy słyszę znajomy głos detektywa Vicka:

– Chodźmy, Kit. Wiesz, że nie powinno cię tutaj być.

– My tylko rozmawialiśmy – protestuję.

– To wtargnięcie. – Detektyw ściska mnie za ramię i podnosi z krzesła. – I nakłamałaś, żeby się tu dostać.

Niechętnie odwracam się do drzwi. Za detektywem stoi kobieta, z którą rozmawiałam przy recepcji. Łypie na mnie i mówi:

– Zgadnij, kto jednak zadzwonił do firmy ubezpieczeniowej. Nie mają pojęcia, kim jesteś.

– Za to ja wiem – wtrąca detektyw Vick. – Zajmę się tym. Chyba że chce pani wnieść zarzuty.

Recepcjonistka zastanawia się nad tym niepokojąco długo.

– Zrobiła pani jakąś krzywdę, pani Mayhew? – zwraca się do Berniece.

– A skąd. Zadała mi tylko parę pytań.

– A teraz musi im pani powtórzyć to, co mi pani powiedziała – mówię.

Detektyw Vick nie chce o tym słyszeć.

– Dość już tę panią wymęczyłaś, Kit. Idziemy.

Pozwala mi tylko wziąć swoją torbę medyczną i wyprowadza mnie z pokoju. Berniece posyła mi na odchodne szeroki uśmiech z przerwą między zębami.

– Pozdrów Lenorę – rzuca. – I powiedz jej, że spotkamy się w piekle.

Rozdział 35

Detektyw Vick mocno ściska mnie za nadgarstek, odprowadzając mnie do samochodu. Powinno mi pochlebiać, że widzi we mnie tak wielkie zagrożenie.

– Może mnie pan już puścić – mówię, wykręcając rękę z jego uścisku. – Nie zamierzam tam wracać, aby dalej męczyć Berniece. Choć pana gorąco do tego zachęcam. Powinien pan usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Policja rozmawiała z Berniece Mayhew pięćdziesiąt cztery lata temu.

– Więc zajrzał pan do starych akt?

– Tak. Berniece nie powiedziała nic poza tym, że jej mąż nie wrócił do domu.

– Kłamała – mówię. – Wiedziałby pan o tym, gdyby pan do niej wrócił i zrobił swoją cholerną robotę.

Gdy docieramy do mojego auta, detektyw Vick w końcu puszcza mój nadgarstek. Wnioskując z jego wkurzonej miny, spodziewam się, że posunie się o krok dalej i zakuje mnie w kajdanki. Zamiast tego mówi tylko:

– Wracaj i rób swoją cholerną robotę. Śledztwo zostaw mnie. A jeszcze lepiej zostaw to wszystko i jedź do domu. Twój tata za tobą tęskni.

Mrugam z zaskoczeniem.

– Tak powiedział?

– Nie – odpowiada detektyw Vick. – Ale przypuszczam, że czuje się teraz osamotniony.

– Na pewno nie – mówię. – Może mi pan wierzyć.

– Więc wolisz dręczyć niewinną staruszkę?

Hamuję zgryźliwy śmiech. „Niewinna” to ostatnie słowo, jakim opisałabym kobietę, która od kilkudziesięciu lat przyjmuje pieniądze za milczenie o – jak sama uważa – poczwórnym zabójstwie. Ale cóż, to i tak nic w porównaniu ze zbrodniami, które według niej popełnili jej mąż i Lenora.

– Przyszłam zapytać o Ricarda Mayhewa – wyjaśniam. – A tak na marginesie: jego żona myśli, że on to zrobił. Z pomocą Lenory. A potem Lenora zabiła jego.

– A co ty myślisz?

Opieram się o samochód, zastanawiając się nad tym pytaniem.

– Myślę, że oprócz morderstwa trzech osób i zniknięcia czwartej tamtej nocy w Hope's End stało się coś jeszcze. Coś, co albo te morderstwa spowodowało, albo było ich rezultatem.

Nie ulega wątpliwości, że Lenora była częścią tych wydarzeń. Nie potrafię tylko określić, jak wielką rolę w nich odegrała. Czy to wszystko była jej wina, jak twierdzą Berniece i tajemnicza osoba, która weszła w nocy do pokoju Lenory i napisała to oskarżenie na maszynie? Czy raczej porwała ją fala wydarzeń, nad którymi nie miała żadnej kontroli?

A narzędzie zbrodni wyrzuciła, aby złagodzić skutki, choć koniec końców została oskarżona o wszystko, co się stało?

Mam nadzieję, że zaszło to drugie. Ale obawiam się, że prawdą jest to pierwsze.

– Co jeszcze jest w raportach?

– Ktoś zadzwonił na policję parę minut po dwudziestej trzeciej we wtorek, dwudziestego dziewiątego października – odpowiada detektyw Vick. – Zgłoszono, że w Hope’s End zginęło dwoje ludzi.

Przechylałam głowę na bok.

– Dwoje?

– Tak jest w raporcie.

Ale tamtej nocy zamordowano trzy osoby. Taka rozbieżność mogła więc zaistnieć pod jednym warunkiem: ten, kto zadzwonił na policję, znalazł tylko dwa ciała.

– Kto zadzwonił?

– Lenora Hope.

Fakt, że to ona zawiadomiła policję, ma sens. Właśnie to by zrobiła, gdyby była niewinna – albo gdyby próbowała wyglądać na niewinną. Tyle że w obu przypadkach znalazłyby liczbę ofiar. Zatem albo Lenora okłamała policję, albo ktoś jeszcze żył, kiedy dzwoniła.

Sięgam w głąb pamięci i wyławiam kilka pierwszych stron zapisanych przez Lenorę. Łatwo je przywołać, bo bardzo podkreślała, że tamten moment zapamiętała najwyraźniej. I że wciąż wraca on do niej w koszmarach.

Ona na tarasie.

Obmyty deszczem zakrwawiony nóż, który następnie cisnęła do oceanu w dole.

Dobiegający z domu krzyk jej siostry.

Virginia.

To ona wciąż żyła. I wtedy Lenora poszła do garażu po kawałek sznura.

Kiedy dociera do mnie, co to oznacza, dopada mnie nagły ból głowy. Nie wygląda to zbyt dobrze dla Lenory. Wychodzi na to, że Virginia stała się przypadkową ofiarą, która znalazła się w złym miejscu w złym czasie. I ktoś uznał, że ona też musi zginąć.

Tym kimś była najprawdopodobniej Lenora, ale nie miała ona już noża, od którego zginęły jej rodzice, i potrzebowała innego narzędzia. Jeśli chodzi o sam akt powieszenia, to może dokonał go Ricardo, który następnie uciekł albo jeśli Berniece ma rację, został zepchnięty z tarasu przez Lenorę.

Z tego samego tarasu, z którego niedawno zepchnięto Mary.

– Policjanci, którzy pojawili się na miejscu zbrodni, zastali otwartą główną bramę – mówi detektyw Vick. – Kiedy weszli do domu, znaleźli Evangeline Hope na podeście klatki schodowej. Następnie funkcjonariusze przeszukali resztę domu i znaleźli Winstona Hope’a w pokoju bilardowym i Virginię Hope wiszącą na żyrandolu w sali balowej.

– Gdzie była Lenora?

– Na tarasie.

Czyli wróciła tam po zabójstwie Virginii. Ból głowy narasta. Bo im więcej się dowiaduję, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Berniece ma rację.

I że Lenora jest winna.

– Zgon pana i pani Hope'ów stwierdzono na miejscu. Virginie zabrano na górę.

– Również martwą – dodają.

Detektyw Vick kręci głową.

– Żyła jeszcze przez pół roku.

Szok.

Zakładałam, że Virginia zmarła tej samej nocy co jej rodzice. A jednak nie rozstawała się z życiem przez następne sześć miesięcy. Sama nie wiem, co gorsze – szybkie odejście, jak jej matka i ojciec, czy tak długie ociąganie się pod drzwiami śmierci, zanim w końcu przekroczy się jej próg.

– Dlaczego nikt nie podejrzewał Ricarda Mayhewa?

– Podejrzewano – odpowiada detektyw Vick. – Gdy się okazało, że zniknął i nie wraca, został podejrzanym numer jeden. Zwłaszcza kiedy odkryto, że w garażu brakuje też jednego z packardów Winstona Hope'a. Istniała możliwość, że popełnił te morderstwa, ukradł samochód i uciekł. Nie było jednak żadnego dowodu, że tak się stało. Ani że w ogóle był tamtej nocy w domu.

– Czy ktoś przynajmniej zapytał Lenorę o Ricarda?

Na parking wjeżdża jakiś samochód i światło przednich reflektorów omiata fasadę Ocean View, a potem wymizerowaną twarz detektywa Vicka. Zwykle jest chłodny i nieprzenikniony. Dzisiaj po prostu wygląda na zmęczonego.

– Owszem, pytali – odpowiada. – Twierdziła, że go nie zna. Jeden z policjantów musiał jej wyjaśnić, że chodzi o głównego dozorcę Hope's End. W raporcie napisał, że wydawała się naprawdę nie znać tego nazwiska.

– Ile razy z nią rozmawiano?

– Wielokrotnie w ciągu kilku tygodni – wyjaśnia. – Za każdym razem mówiła to samo. Niczego nie widziała, niczego nie słyszała, w domu nie było żywej duszy poza członkami jej rodziny.

Czyli skłamała przynajmniej w jednym. Bo widziała Berniece, która przyłapała ją w kuchni, gdy zakrwawionymi dłońmi chwyciła za nóż.

Tyle że to nie ma sensu. Bo jeśli Lenora naprawdę była winna, to skąd na jej rękach wzięła się krew, zanim sięgnęła po nóż? Byłoby to możliwe jedynie, gdyby użyto więcej niż jednego.

– A co z narzędziem zbrodni? – pytam. – Nigdy go nie znaleziono, prawda?

– Prawda.

– Czy policja była pewna, że użyto tylko jednego noża?

– Całkowicie – odpowiada detektyw Vick. – W kuchni nie brakowało żadnego innego, a rany na ciałach zarówno Winstona, jak i Evangeline Hope'ów były mniej więcej tej samej szerokości, co sugerowało, że zadano je tym samym narzędziem.

– Czy w domu zauważono coś niezwykłego? Cokolwiek?

– Tylko to, że pokój Virginii Hope był świeżo posprzątany. Jeden z policjantów, którzy zanieśli ją na górę, wyczuł pastę do podłóg.

Dotykam skroni, ból rozsada mi głowę. Dziwię się, że czaszka mi jeszcze nie pękła, jak taras w Hope's End.

- Czyli sprawa utknęła w martwym punkcie, bo nie zdołano udowodnić ani wykluczyć winy Ricarda, tak jak nie rozstrzygnięto o winie Lenory?

- Właśnie - potwierdza detektyw Vick. - Brzmi znajomo?

Złość przesywa mnie jak błyskawica. Poraża. Piecze.

- Pierdol się - mówię do detektywa Vicka, być może łamiąc prawo. Nie jestem na bieżąco z przepisami zabraniającymi przeklinania policjantów. Jeśli to wykroczenie, detektyw Vick nie reaguje w żaden sposób, kiedy szarpnięciem otwieram drzwi mojego escorta i siadam za kierownicą.

- Nie winię cię, wiesz? - mówi, zanim zatrzaskuję drzwi. - Twoja matka cierpiała. Rozumiem to. Moi rodzice też cierpieli, kiedy nadszedł ich czas. Ale nie złamałem prawa, usiłując to zakończyć.

- Ja też nie.

Jestem na skraju łez i sama nie wiem, czy to ze złości, żalu, czy raczej dlatego, że ostatnie pół roku było dla mnie tak cholernie trudne. Gdy przyjechałam do Hope's End, zaabsorbowałam mnie poznawaniem historii Lenory, bo rozpaczliwie pragnęłam zmienić własną żalostną egzystencję, skupiając się na cudzej. Wtedy jednak znalazłam zwłoki Mary i odtąd wszystko zaczęło się sypać.

- Nie zmusiłam matki do zażycia tych pigułek - mówię, ocierając łzę, zanim zdążyła spłynąć, bo niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żeby detektyw Vick ujrzał, jak płaczę. - Sama się zabiła. Nie tak jak Mary. Ktoś mądrzejszy od pana dawno by to pojął.

Detektywowi rozszerzają się nozdrza. To jedyny znak, że mu dogryzłam. W przeciwieństwie do mnie umie trzymać emocje na wodzy.

- Kit, mówię to po raz ostatni: Mary Milton nie została zamordowana.

- Skąd taka pewność?

Detektyw Vick wyjmuję jakiś świstek z kieszeni marynarki. Kserokopia postrzępionej i wyblakłej od zalania wodą kartki. Rzuci mi ją i mówi:

- Stąd.

Zdrętwiałymi dłońmi trzymam papier, odczytując jedno napisane na maszynie zdanie.

- Co to jest?

- Kopia listu samobójczego Mary Milton - odpowiada detektyw Vick. - Mówiłem ci, że znaleźliśmy go przy jej ciele.

Przebiegam wzrokiem stroną drugą, trzeci i czwarty raz z nadzieją, że odnajdę w tych słowach inne znaczenie. Ale za każdym cholernym razem czytam to samo:

przykro mi że nie jestem kimś kim się wydawałam

- Mary... - Urywam, wyprowadzona z równowagi brzmieniem własnego głosu. Jakbym była pod wodą. Jakbym była sto kilometrów stąd. - Mary tego nie napisała.

- Oczywiście, że napisała - mówi detektyw Vick. - Kto inny mógłby to zrobić?

Zamiast mu odpowiedzieć, usiłuję trafić kluczykiem do stacyjki, a potem z jeszcze większym trudem wyjechać z parkingu. Wreszcie odjeżdżam, pozostawiając detektywa Vicka

w obłoku spalin, wciąż nieświadomego faktu, że to, co znalazł przy zwłokach Mary, wcale nie jest listem samobójczym.

To coś innego.

Napisane przez kogoś innego.

I myślę, że doskonale wiem, co oznacza.

Rozdział 36

Ponieważ nie chciałam korzystać z interkomu, żeby po powrocie otwarto mi bramę, nie zamknęłam jej za sobą, wyjeżdżając. Wciąż jest otwarta, dzięki Bogu, więc mogę przez nią przejechać. Przystaję tylko na krótką chwilę, by wcisnąć guzik wbudowany w wewnętrzny mur, aby tym razem się zamknęła, i już pędzę do drzwi frontowych, gaszę silnik i wbiegam do środka. Dom jest irytująco cichy, kiedy zasuвам korytarzem i zatrzymuję się przy portretach rodzinnych wiszących na ścianie.

Przez chwilę patrzę na podobiznę Lenory, na jej zadarty nos, pełne wargi i zielone oczy. Mimo dzielących je wielu lat dziewczyna z portretu jest bezsprzecznie kobietą, którą się opiekuję.

Podchodzę do pierwszego obrazu w rzędzie i wbijam kluczyk samochodowy w zasłaniającą go jedwabną krepę. Gdy dziura jest wystarczająco duża, żeby wetknąć w nią palec, zaczynam rozdzierać tkaninę, która pęka ze śliskim, niemal wilgotnym odgłosem. Czy dźwięk ostrza przeciąganego po gardle Winstona Hope'a brzmiał podobnie? To właśnie on znajduje się pod tą zasłoną. Winston Hope we własnej osobie, wyglądający dokładnie tak, jak wyglądał każdy inny przedsiębiorca w tamtych czasach. Rumiany, zadowolony z siebie i pulchny od nadmiaru jedzenia, nadmiaru wina, nadmiaru wszystkiego. Tacy jak on wręcz pożerali wszystko wokół, nie zostawiając innym niczego.

Wpatrując się w tę zachłanną podobiznę Winstona Hope'a, wyraźnie widzę, że nie miał pojęcia, co szykuje mu los. Sądził zapewne, że będzie żył wiecznie. A jednak skończył zabity w pokoju po drugiej stronie korytarza, leżąc bezwładnie na stole bilardowym, a jego krew wsiąkała w zielony filc.

Przechodzę do następnego portretu i powtarzam wszystkie kroki. Wbijam, wtykam, rozdieram. Czarna tkanina rozrywa się i ukazuje Evangeline Hope. Naprawdę była piękna. Lenora nie kłamała. Alabastrowa skóra. Złociste włosy. Smukła, elegancka figura spowita w równie smukłą i elegancką sukienkę. A jednak, mimo całej swej eterycznej urody, w postaci pani Hope czuć jakiś dysonans. Jest niepokojąco blada, przez co wydaje się delikatna i krucha. Przywodzi mi na myśl usychającą lilię.

W przeciwieństwie do męża Evangeline Hope wygląda tak, jakby dobrze wiedziała, co nadciąga.

Został już tylko jeden portret.

Virginia.

Wbijam, wtykam, rozdieram. Rozpruwam krepę, dopóki moim oczom nie ukazuje się młoda kobieta nieco podobna do matki i ani trochę do ojca. Ona także jest piękna i odrobinę wyniosła. Jej uchwycony na portrecie uśmiech sprawia wrażenie wymuszonego i niemal okrutnego. No i jej oczy – lodowatoniebieskie. Wpatrując się w nie, przypominam sobie, co

Berniece Mayhew powiedziała o Ricardzie: że wystarczyło, by Lenora zatrzepotała rżęsami znad swoich wielkich niebieskich oczu, i już było po nim.

Wielkich niebieskich oczu.

Moje myśli i puls przyspieszają, kiedy pędzę do biblioteki, gdzie kieruję się prosto ku obramowaniu kominka, na którym stoją te trzy niepokojące urny.

Ojciec, matka, córka.

Trzęsącymi się dłońmi unoszę pokrywkę urny stojącej po lewej stronie.

W środku znajduje się matowy, szary proszek, który przywodzi mi na myśl coś, co powiedział ksiądz na pogrzebie mojej matki.

„Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”.

Prochy są na swoim miejscu i przesypują się niczym piasek, kiedy zamykam pokrywkę i odstawiam urnę z powrotem na obramowanie kominka.

Sięgam po drugą urnę, unoszę pokrywkę i znowu widzę prochy.

I wreszcie podchodzę do trzeciej urny, przy której moje ruchy zdają się spowalniać jak czas przy złym wspomnieniu. Sekundy rozciągają się w minuty, kiedy palce dotykają pokrywki, unoszą ją i odkładają obok. Moje zmysły wyostają się do granic możliwości, gdy ujmuję urnę.

Czuję chłód porcelany dotykającej dłoni.

Widzę drobinki kurzu unoszące się w stęchłym powietrzu.

Dociera do mnie zapach pożółkłych kartek nieotwieranych od wielu lat książek.

Na języku czuję metaliczny posmak. Zdaję sobie sprawę, że to strach przed tym, co się stanie, kiedy zajrzę do urny.

A potem zaglądam i tak głośno wciągam powietrze, że echo odbija się od bibliotecznych regałów.

Bo w środku... nie ma niczego.

Żadnych prochów.

Urna jest całkowicie pusta.

Powinłam była wiedzieć, że ta noc skończy się katastrofą. Powinłam była wyczuć to w ciężkim, burzowym powietrzu. Przez cały dzień, gdy udawałam przykutą do łóżka, słyszałam grzmoty przetaczające się nad oceanem niczym armatnie wystrzały zwiastujące zbliżającą się wrogą horde.

Nadciągała bitwa.

I nie mogło obejść się bez ofiar.

Ja jednak zignorowałam te oznaki, zbyt zajęta ucieczką, by je zauważyć. Zgodnie z naszym planem, jakkolwiek by on był, miałam zebrać jak najwięcej swoich rzeczy, gdy tylko wszyscy domownicy pójdą spać. Wtedy Ricky miał się przemknąć do garażu i ukraść kluczyki do jednego z packardów ojca. O dwudziestej drugiej, gdyby wszystko poszło po naszej myśli, on podjechałby pod drzwi frontowe, a ja wymknęłabym się z walizką. I odjechalibyśmy, nie oglądając się za siebie.

Wtedy myślałam, że to się uda.

Cała służba dostała codwutygodniowe wychodne i dlatego Ricky też sądził, że nasz plan ma szansę się powieść. Ponieważ moja matka była na okrągło odurzona laudanum, w domu nie było nikogo – oprócz siostry i ojca – kto mógłby nas przyłapać.

Nie spodziewałam się, że jedno z nich to zrobi.

Za kwadrans dwudziesta pierwsza wysliznęłam się z łóżka i szybko przebrałam. Nie miałam pojęcia, co mnie czeka tej nocy, ale w cichości ducha liczyłam, że pojedziemy do sędziego pokoju. Miałam nadzieję, że pobierzemy się z Rickym, zanim urodzi się dziecko. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała, to to, żeby uznano je za bękarta. A skoro tej nocy miałam wyjść za mąż, musiałam włożyć coś najładniejszego – różową atlasową sukienkę, w której pozowałam do urodzinowego portretu. Ledwo się w niej mieściłam, choć od tamtego czasu była wielokrotnie poszerzana, i w żadnym razie nie ukrywała mojej ciąży.

Wcisnąwszy się w sukienkę, rzuciłam walizkę na łóżko i otworzyłam ją. Potem podeszłam do szafy i wygarnęłam z niej tyle sukienek, ile zdołałam utrzymać. Kiedy odwróciłam się do walizki, ujrzałam moją siostrę. Stała w drzwiach z rękami za plecami, żebym nie zobaczyła, co w nich trzyma.

– Co robisz? – spytała, wyglądając na zachwyconą tym, że przyłapała mnie cudownie ozdrowiałą.

– Wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Nie wiem. Byle dalej stąd.

Jej oczy zaślniły.

– Uciekasz z nim, prawda?

– Tak – odparłam i wrzuciłam do walizki naręcze sukienek. Kiedy przestały mnie zasłaniać, zobaczyła to, co ukrywałam od wielu miesięcy. Błysk w jej oczach szybko zastąpił szok.

– Dobry Boże – powiedziała z rozdziawionymi ustami. – Coś ty zrobiła?

Wróciłam do szafy i chwyciłam kolejne naręcze sukienek.

– Teraz rozumiesz, dlaczego odchodzę?

W tamtej chwili potrzebowałam jej pomocy, pocieszenia, wsparcia. Tego, co siostry powinny sobie wzajemnie dawać. Ale ona rzuciła tylko:

– Ojciec nigdy na to nie pozwoli.

Na wzmiankę o ojcu stanęłam jak wryta.

– Proszę, nie mów mu – powiedziałam. – Pozwól mi po prostu odejść. I tak mnie nienawidzisz. Czy dzięki temu nie będziesz miała łatwiejszego życia? Jako jedynaczka?

– Nie kiedy nazwisko rodziny będzie zrujnowane. – Stała wyprostowana, z uniesionym podbródkiem i uśmiechem wyższości. Uważała się za lepszą ode mnie pod każdym względem, a teraz przestała to ukrywać. – Nie tylko ciebie to dotknie. Wszyscy za to zapłacimy. Pomyśl o swojej reputacji. I o mojej!

- Spodziewasz się, że tu zostanę do końca życia, niekochana i nieszczęśliwa, tylko po to, abys ty zachowała swoją cenną reputację?

- Nie - odrzekła. - Wystarczy, jeśli zadbasz o własną. Jeżeli wyjedziesz, odrzucisz całe swoje życie.

- Albo zyskam nowe - odparowałam szybko.

- Tak czy inaczej nie mogę ci na to pozwolić.

- Więc na co czekasz? Powiedz mu. I tak mnie nie powstrzymasz.

- Więc pora na jedną z naszych starych gier - powiedziała. - Pamiętasz, jak się w nią gra, prawda?

Wyciągnęła rękę zza pleców i pokazała mi, co przez cały czas w niej trzymała.

Klucz.

Do mojego pokoju.

Który można zamknąć tylko z zewnątrz.

- Nie! Proszę! - krzyknęłam, niezdolna wydobyć z siebie głosu, zanim moja siostra nie opuściła pokoju. Rzuciłam się naprzód, ale poczułam tylko tchnienie powietrza na twarzy, kiedy zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Gdy sięgnęłam do galki, było już za późno. Klucz szczęknął w zamku, nim zdążyłam ją złapać. Mimo to ją przekręciłam. Ani drgnęła.

Drzwi były zamknięte.

Spojrzałam na te po drugiej stronie pokoju, prowadzące do sypialni panny Baker. Niestety siostra pomyślała o tym samym. Usłyszałam szcęk klucza obracającego się w zamku, gdy tylko ruszyłam w ich stronę.

Byłam w pułapce.

Mimo to rzuciłam się ku nim i zaczęłam w nie walić. Po drugiej stronie diabelski śmiech mojej siostry odbijał się echem po korytarzu, kiedy pędziła, aby powiedzieć ojcu, co knuję.

- Wypuść mnie! - krzyczałam za nią. - Proszę, wypuść mnie!

Znowu rzuciłam się na drzwi i nagle poczułam, że coś we mnie puściło.

Płyn.

Wytrysnął spomiędzy moich nóg na podłogę.

Ogarnęła mnie panika, bo wiedziałam, co to oznacza: dziecko zaczynało wychodzić.

Za wcześnie.

I szybko.

Przerażona waliłam w drzwi, wołając siostrę.

- Proszę! - krzyczałam. - Proszę, Lenoro!

Rozdział 37

Zastaję panią Baker w kuchni, z korkociągiem w ręku, otwierającą butelkę caberneta stojącą na blacie. Gospodyni podnosi wzrok, zaskoczona, że wchodzę z korytarza, a nie schodami dla służby.

– Z panną Hope wszystko w porządku?

– Tak, Lenoro – odpowiadam. – Z Virginią wszystko w porządku.

Korkociąg zastyga w bezruchu. Tylko na chwilę. Potem butelka zostaje odkorkowana z cichym pyknięciem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Jej zaprzeczenie, jak na ironię, potwierdza to, co podejrzewam. Sztywność postawy, wymuszony uśmiech i stalowoniebieskie oczy stanowią idealne odwzorowanie zasłoniętego portretu wiszącego w korytarzu.

– Może to pomoże – mówię, wyjmując z kieszeni i rzucając na stół rzekomy list samobójczy Mary.

Kobieta, która udaje panią Baker, spogląda na świstek i ze stoickim spokojem nalewa sobie kieliszek wina. Kiedy to robi, zabieram korkociąg z blatu. Zważywszy na to, o czym zaraz będziemy rozmawiać, wolę, aby nie miała ostrych przedmiotów w zasięgu ręki.

Za to sama chcę mieć jakąś broń.

Korkociąg wędruje do mojej kieszeni, a Lenora Hope – ta prawdziwa – upija łyk wina i mówi:

– Powinnaś wiedzieć, co to jest?

– Mary Milton miała to w kieszeni tej nocy, kiedy zginęła. Detektyw Vick uznał to za list samobójczy. Ale nikt nie pisze na maszynie w ten sposób. Nikt poza pani siostrą. Która napisała to, wyznając Mary, kim naprawdę jest, i przeprasząc, że tak długo udawała kogoś innego.

To, czy Virginia – ta prawdziwa, żyjąca – zamierzała wyznać prawdę i mnie, nie jest do końca jasne. Myślę, że chciała. Jednak po tym, co spotkało Mary, podejrzewam, że bała się to zrobić. Ale nigdy mnie nie okłamała. Nic, co napisała, nie było kłamstwem. Kiedy spytałam, kto przebywał nocą w jej pokoju, odpowiadała zgodnie z prawdą.

Virginia.

Tak brzmiało jej prawdziwe imię.

Kiedy spytałam, kto używał maszyny do pisania w nocy, udzieliła mi tej samej, prawdziwej odpowiedzi co na pytanie, kogo bała się Mary.

Wskazała na siostrę.

Na kobietę, która teraz stoi naprzeciwko mnie, po drugiej stronie kuchennego blatu.

– Ale pani już o tym wie – dodaję. – Wiedziała pani, spychając Mary z tarasu.

Lenora ściska kieliszek tak mocno, że obawiam się, czy nie pęknie.

– Nic takiego nie zrobiłam! Sama się zabiła.

Poklepuję się po kieszeni, w której wyczuwam zaokrągloną krawędź korkociągu i jego ostry jak nóż czubek.

– Obie wiemy, że to nieprawda.

– To, co się stało z tą biedną dziewczyną, nie ma nic wspólnego ze mną.

– Ależ ma – odpowiadam. – Bo ona wiedziała, co pani ukrywa. Że pani siostra żyje, a pani jest w rzeczywistości Lenorą. Od jak dawna to trwa?

– Od dawna. – W końcu przynajmniej jedno: że pani Baker, której pierwsze imię pozostaje nieznane, jest tak naprawdę niesławną Lenorą Hope. – Niemal od czasu morderstw.

Pięćdziesiąt cztery lata. Zdumiewający szmat czasu.

– Dlaczego pani to zrobiła? – pytam. – I jak?

– Którą część? – dopytuje Lenora między potężnymi łykami z kieliszka. Wino już robi swoje. Wie, że przegrała, i jest teraz bardziej przystępna. – Upozorowanie śmierci siostry czy zmuszenie jej do przyjęcia mojej tożsamości?

– Jedno i drugie – odpowiadam, czując, jak od tego wszystkiego kręci mi się w głowie. – Co naprawdę stało się tamtej nocy?

– Mogę ci tylko powiedzieć, czego sama doświadczyłam. – Lenora wspina się na stół i siada naprzeciwko mnie, z łokciami na blacie. Jakbyśmy były najlepszymi kumpelami, które wyszły na drinka. Jakby cokolwiek z tego, co tu się dzieje, było normalne. – Byłam na górze, w swoim pokoju. Siedziałam przy toalecie i słuchałam gramofonu, udając, że wcale nie ukrywam się przed wszystkim, co złego dzieje się w tym domu.

Wyobrażam to sobie z łatwością, bo gdy szpiegowałam ją wczoraj wieczorem, robiła dokładnie to samo.

– To była długa i straszna noc – mówi. – Sporo się działo. Okropnych rzeczy. Później zrobiło się jeszcze gorzej. A potem zapadła cisza. W końcu postanowiłam zejść na dół i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Ale nie było – dopowiadam.

Kiedy Lenora kręci głową, dostrzegam wilgotny błysk w jej charakterystycznych niebieskich oczach. Łzy, które usiłuje powstrzymać.

– Na Wielkich Schodach znalazłam matkę. Martwą oczywiście. Wiedziałam od razu. Krew była... wszędzie. – Lenora urywa, wzdrygając się na to wspomnienie. – Zaczęłam krzyczeć i pobiegłam na osłep przez cały dom niczym kurczak z odciętym łbem. Mój Boże, co za okropne powiedzenie. Niemniej dobrze opisuje moją ówczesną reakcję. Biegłam i krzyczałam. Krzyczałam i biegłam. Aż wpadłam do pokoju bilardowego, gdzie zobaczyłam ojca. – Upija kolejny łyk wina, aby się wzmocnić, a ja wyobrażam sobie, jak musiała się poczuć, kiedy weszła do tego pokoju i ujrzała ojca wykrwawiającego się na stole bilardowym. – Pobiegłam do kuchni, zadzwoniłam na policję i powiedziałam, że ktoś zamordował moich rodziców.

Kiwam głową, bo to się zgadza z relacją detektywa Vicka o telefonie na policję tuż po dwudziestej trzeciej.

- Następnie poszłam poszukać Virginii. Znalazłam ją tam, powieszoną. - Lenora gestem głowy wskazuje na drzwi kuchenne i znajdującą się za nimi salę balową na końcu korytarza. - Wisiała na jednym z żyrandoli. Powinnam była spróbować ją ściągnąć. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Ale wtedy myślałam, że ona nie żyje, tak jak rodzice. W obliczu tak irracjonalnej sytuacji musiałam się zachowywać w irracjonalny sposób. Wyszłam na taras i zaczęłam krzyczeć. Ze strachu, żalu i dezorientacji. Krzyczałam, dopóki gardło nie odmówiło mi posłuszeństwa. I wtedy nadjechała policja.

Lenora przesuwając palcem wskazującym po krawędzi kieliszka, opowiadając mi o tym, jak policjanci znaleźli jej rodzinę - najprawdopodobniej martwą - i nikogo innego w domu poza nią samą.

- Patrzyli na mnie jak na wariatkę - wspomina. - Mimo że nie zrobiłam nic złego. Pierwsze słowa, jakie ode mnie usłyszeli, brzmiały: „To nie ja ich zabiłam”. Wtedy zaczęły mnie podejrzewać jeszcze bardziej. Czyli osiągnęłam cel przeciwny do zamierzonego. Posadzili mnie w jadalni i zadawali mnóstwo różnych okropnych pytań. Kto jeszcze tam był? Czy miałam powód, aby pragnąć śmierci całej rodziny? A ja przez cały czas odpowiadałam tak samo: „To nie ja. To nie ja”.

Śluchając jej, mam *déjà vu*. Przez głowę przemyka mi wspomnienie mnie samej w jakimś pokoju przesłuchań, oskarżycielskiego wzroku detektywa Vicka i monotonicznie obracających się szpul magnetofonu.

- Wtedy zdarzył się cud - ciągnie Lenora. - Jeden z policjantów krzyknął z sali balowej, że Virginia jeszcze żyje. Okazuje się, że pętla wokół jej szyi nie była właściwie pętlą. I ten byle jak zawiązany sznur prawdopodobnie ocalił jej życie. Przepuszczał akurat tyle tlenu, żeby utrzymać ją przy życiu. Z ledwością. Nikt nie spodziewał się, że przeżyje do rana, i dlatego zabrano ją na górę do jej pokoju, a nie do szpitala. - Przechyla kieliszek i opróżnia go, po czym znowu napełnia i pociąga kolejny łyk. Przygotowuje się do reszty historii. Bo choć to, co opowiedziała dotąd, jest potworne, wiem, że ciąg dalszy będzie znacznie gorszy. - Wezwano doktora Waldena, lekarza rodzinnego - podejmuje. - Stwierdził u Virginii śmierć mózgu i powiedział, że reszta organizmu obumrze wkrótce. Ale tak się nie stało. Mijały dni, tygodnie i miesiące, a ona żyła. Okazało się, że doktor Walden pomylił się w całej rozciągłości. Umysł Virginii pracował całkiem sprawnie. Zdawała się rozumieć, co się do niej mówi. To jej ciało umarło. Była sparaliżowana, unieruchomiona, nie mogła mówić ani nic robić.

- Czyli to, co mi pani powiedziała o udarach i polio, było...

- Kłamstwem - przytakuje Lenora. - Aby ukryć fakt, że to sznur zmiażdżył jej krtań, uniemożliwiając mówienie, i uszkodził kręgosłup, czym wywołał prawie całkowity paraliż.

- Po co o tym kłamać? - pytam. - Po co tyle wysiłku, żeby to wszystko ukryć?

- Nie rozumiesz, co to oznaczało dla mnie. Miałam zaledwie siedemnaście lat, byłam przerażona i zupełnie sama. Nie miałam innej rodziny ani nikogo, kto by mną pokierował. Moi rodzice nie żyli. Siostra była praktycznie w śpiączce. I nagle to ja musiałam się zająć Hope's End, interesami ojca, wszystkim. Prawnik ojca poinformował mnie, że krach na giełdzie doprowadził rodzinny biznes do ruiny. Natomiast prawnik matki oznajmił, że odziedziczę miliony po moich dziadkach, kiedy skończę osiemnaście lat, podobnie jak Virginia, jeśli tego wieku dożyje.

Lenora wpatruje się w swój kieliszek, jakby to była kryształowa kula. Ale zamiast przyszłości ma przed oczami wyłącznie przeszłość.

– Tymczasem policja ciągle nachodziła mnie ze swoimi podejrzeniami i insynuacjami – mówi. – Służba odeszła zbiorowo. Tych, którzy zostali, zwolniłam, bo się obawiałam, że myślą to samo co policja i mogą wziąć sprawę w swoje ręce. Przyjaciele opuścili mnie natychmiast. Podobnie jak Peter.

– Peter Ward? – upewniam się, przywołując w myślach portrety w korytarzu i czarną, jedwabną krepe, która obecnie zwisa z trzech z nich niczym serpentyny. – Ten malarz?

– Byliśmy zakochani – mówi Lenora. – A przynajmniej ja byłam. Po morderstwach nie chciałam mieć ze mną nic wspólnego. Nigdy więcej go nie widziałam. Musiałam zaopiekować się siostrą i posiadłością, a nie miałam nikogo, kto by mi pomógł, oprócz Archiego, który robił to wyłącznie przez wzgląd na Virginie. Wiedziałam, że o mnie nie dba ani trochę. Marzyłam, żeby znaleźć się gdzie indziej... i być kimś innym. – Lenora podnosi wzrok znad kieliszka, szukając współczucia. – Ty na pewno to rozumiesz. Wiesz, jak to jest być oskarżoną o coś, czego nie zrobiłaś. Kiedy wszyscy cię porzucają i musisz sama zmagać się ze strachem i z żalem. Czy przez ostatnie pół roku nie chciałaś wszystkiego zmienić?

Chciałam. I zmieniłam. Przyjechałam do Hope's End.

– Tak – przyznaję. – Ale moje możliwości były ograniczone.

Lenora wzdryga się tak, jakby pierwszy raz w życiu ktoś jej wytknął, że tacy jak ona mają przywileje, o których tacy jak ja mogą tylko pomarzyć.

– Moje nie – mówi. – Kiedy po pół roku stało się jasne, że policja nie ma żadnych dowodów, aby oskarżyć mnie o cokolwiek, zrozumiałam, jak mogę uciec.

– Zadbałaś o to, żeby stwierdzono zgon Virginii.

– To było łatwe – oznajmia Lenora, potakując głową. – Szczególnie z kimś takim jak przekupny doktor Walden. Zaprowadziłam go do garażu, pokazałam mu pozostałe packardy ojca i powiedziałam, że może sobie wybrać, który zechce, jeśli oficjalnie stwierdzi zgon Virginii. Dorzuciłam drugi samochód, dla żony, jeżeli dodatkowo orzeknie, że mój stan zdrowia wymaga odpoczynku i relaksu z dala od Hope's End. I w ten sposób wszystko zostało załatwione. Virginia nie żyła, a ja skończyłam osiemnaście lat i odziedziczyłam nie tylko własną, ale także jej część spadku po dziadkach. Potem wyjechałam do Europy, zgodnie z zaleceniem lekarza. Tuż przed wyjazdem zadbałam jednak o to, żeby się stać panią Baker. Virginia natomiast...

Wypuszczam powietrze, zdumiona nie tylko przebiegłością jej planu, lecz także jego okrucieństwem.

– Stała się Lenorą Hope – dopowiadam.

Widzę, że kiwasz głową, Mary.

Wiedziałaś, prawda?

Grzeczna dziewczynka.

Czułam, że przynajmniej to podejrzewasz.

Tak, w rzeczywistości nazywam się Virginia Hope, choć oficjalnie nie żyję od kilkudziesięciu lat. Uległam silnie woli mojej siostry i stałam się Lenorą.

Obawiam się, że aby wyjaśnić, jak do tego doszło, trzeba wybiec do przodu. Ale nie martw się. Wkrótce poznasz całą prawdę o tych morderstwach. Na razie jednak muszę przeskoczyć do tego, co wydarzyło się pół roku po tamtej nocy.

Przez cały ten czas byłam przykuta do łóżka, nie mogłam mówić ani poruszać żadną częścią ciała oprócz lewej ręki. Ten konował doktor Walden stwierdził u mnie śmierć mózgu, choć w rzeczywistości to właśnie mózg był jednym z moich nielicznych organów, które wciąż funkcjonowały. Od Archiego, który prawie mnie nie odstępował, wiedziałam, że moi rodzice nie żyją i że moja siostra kazała skremować ich ciała, gdy tylko prawo jej na to pozwoliło. Wiedziałam też, że to ją wszyscy obwiniają o ich śmierć, choć nie ma na to wystarczających dowodów.

Dowiedziałam się czegoś jeszcze: zmieniono mi imię.

Nie oficjalnie, rzecz jasna. W ten sposób pozostałby ślad w dokumentach, a tego moja siostra nie chciała. Zmiana miała charakter nieformalny i weszła w życie gładko jak nóż między zębra.

Pewnego dnia siostra wkroczyła do mojego pokoju bez ostrzeżenia i powiedziała:

– Nazywasz się Lenora Hope. Ja jestem panią Baker. Nigdy o tym nie zapominaj.

W pierwszej chwili poczułam się zdezorientowana. Choć byłam skrajnie osłabiona i oszołomiona, wiedziałam, że jestem Virginią. A jednak moja siostra wciąż nazywała mnie Lenorą, jakbym nie miała racji. Jakbym przez całe życie myliła się co do sprawy tak fundamentalnej jak moje własne imię.

„Jak się miewasz, Lenoro?“, pytała za każdym razem, kiedy zaglądała do mojego pokoju.

„Pora spać, Lenoro“, mawiała wieczorem.

„Czas coś przekąsić, Lenoro“, oznajmiała w porze posiłków.

Pewnego poranka, gdy się obudziłam, siedziała przy moim łóżku, trzymając mnie za rękę. Delikatnie głaskała moją dłoń, tak jak robiła to kiedyś matka. Nie patrząc na mnie, rzekła:

– Wyjeżdżam na jakiś czas, Lenoro. Nie wiem na jak długo. Archie zaopiekuje się tobą do mojego powrotu. Do widzenia, Lenoro.

I wyjechała.

Na wiele lat.

Na ile – nie jestem pewna. Czas płynie inaczej, kiedy nie mówisz, prawie się nie poruszasz i tylko obserwujesz, jak pory roku zmieniają się stopniowo za oknem.

Wróciła równie nieoczekiwanie, jak wyjechała. Pewnego dnia wmaszerowała do mojego pokoju i oznajmiła:

– Wróciłam, Lenoro. Tęskniłaś za swoją ukochaną panią Baker?

Znowu poczułam się zdezorientowana. Przez cały ten czas, kiedy jej nie było, Archie nazywał mnie Virginią. A tu nagle moja siostra znowu mówi do mnie „Lenoro“. Trwało to miesiącami.

„Jak się miewasz, Lenoro?“

„Pora spać, Lenoro“.

„Czas coś przekąsić, Lenoro“.

W końcu się poddałam. Nie miałam wyboru.

Byłam Lenorą.

Tak mnie nazywał lekarz, który zastąpił doktora Waldena, a także każda pielęgniarka, która się mną opiekowała. Tak bardzo do tego przywykłam, że czasami sama zapominałam, kim naprawdę jestem.

A co z prawdziwą Lenorą?

Oczywiście stała się panią Baker na dobre, zastępując pannę Baker, która opuściła Hope's End tuż przed morderstwami. Tylko raz przyznała, co zrobiła, a było to pewnego wieczoru kilka miesięcy po swoim powrocie. Zakradła się do mojego pokoju, przyciągnęła mnie do siebie i przytuliła. Był to pewny znak, że jest pijana. Moja siostra nigdy nie dotykała mnie na trzeźwo.

– Wybacz mi – wyszeptła. – Musiałam to zrobić. Musiałam mieć własne życie. Tylko na trochę.

Od tamtej pory trwa gra w udawanie. Że ja jestem Lenorą. Że ona jest panią Baker. Że nie jesteśmy siostrami, ale ubezwłasnowolnioną szefową i jej oddaną służącą. I tak będzie to wyglądało, dopóki jedna z nas nie umrze.

Wiem, że ona uważa, że to ja odejdę pierwsza.

Teraz moim jedynym celem w życiu, które niegdyś wypełniały marzenia i pragnienia, jest dopilnowanie, aby tak się nie stało.

Rozdział 38

Pewnie uważasz, że jestem okropna – mówi Lenora, opowiedziawszy mi szczegółowo o swoim życiu z dala od Hope's End. Spędziła dwa lata we Francji. Popijała drinki w teatrach rewiowych. Obracała się wśród artystów. Całowała z nieznanymi na ulicach Paryża. Poznała amerykańskiego wojskowego, zakochała się, zaręczyła i była zdruzgotana, kiedy zginął. Wszystkie te zdjęcia, które znalazłam w jej pokoju, pochodziły z tego innego życia.

Tego, o jakim marzyła Virginia.

Tego, które Lenora jej ukradła.

– Owszem. – Nawet gdybym skłamała, zorientowałaby się, widząc odrazę na mojej twarzy. – Tak uważam.

Okropna. Samolubna. Bez serca.

Bo Lenora nie tylko ukradła siostrze życie, którego Virginia pragnęła. Odebrała jej także szansę na jakiegokolwiek życie.

– Jak pani mogła? – mówię. – Ona była pani siostrą. Wiem, że się nie lubiłyście. Ale to była jedyna rodzina, jaka pani została.

– Czy miałam inne wyjście?

– Mogła pani powiedzieć prawdę.

Lenora z trzaskiem odstawia kieliszek, rozchlapując wino. Plamy na blacie wyglądają jak krew.

– Próbowałam! Nikt mi nie wierzył! Wszyscy uważali, że Lenora Hope wymordowała swoją rodzinę. Nie mogłam dłużej być nią. Stałabym się więźniem w tym domu, tak jak moja siostra. I co by komu z tego przyszło? Virginia nie może mówić ani chodzić. A dzięki temu, że przyjęła moją tożsamość...

– Wbrew swojej woli – wtrącam.

– Tak, wbrew swojej woli. Ale dzięki temu przynajmniej jedna z nas mogła nacieszyć się odrobiną wolności. Przynajmniej jedna z nas mogła na chwilę uciec z Hope's End.

– Dlaczego pani wróciła?

– Europa się zmieniała – mówi Lenora, osuszając rozlane wino mankietem rękawa; czarna tkanina łąpczywie chłonie czerwony płyn. – Zbierało się na burzę i wszyscy wiedzieli, że jest tylko kwestią czasu, kiedy się rozpęta i ogarnie cały kontynent. Wyjechałam i wróciłam tutaj, udając pannę Baker, guwernantkę marnotrawną, która powraca do posiadłości pilnie potrzebującej jej pomocy. Moja siostra była Lenorą Hope, nieszczęsną ofiarą polio i licznych udarów. Ponieważ trzymałyśmy się na uboczu, nikt nie wiedział, że to kłamstwo. Nikt oprócz Archiego, który rozumiał korzyści płynące z milczenia.

– Dlaczego nie wyjechała pani ponownie po zakończeniu wojny?

- Wtedy nie miałam już na to ochoty. - Lenora wzrusza ramionami. - Ani, szczerze mówiąc, pieniędzy. Zasoby, które odziedziczyłam, nie były nieskończone. Utrzymywanie tego miejsca jest kosztowne. A zachowanie wszystkiego w sekrecie wymagało dodatkowych, lecz niezbędnych nakładów.

- Na przykład opłacanie milczenia Berniece Mayhew - uzupełniam.

Lenora niechętnie potakuje, wyraźnie pod wrażeniem, że o tym wiem.

- Tamtej nocy widziała mnie w kuchni, jak brałam nóż. I nie, nie użyłam go, żeby zabić rodziców.

- Więc dlaczego wydała pani tyle pieniędzy, żeby uciszyć Berniece?

- Bo chociaż jestem niewinna, jej zeznanie stanowiłoby dowód, którego potrzebowała policja, aby oskarżyć mnie o wielokrotne zabójstwo. Wiedziałam o tym, podobnie jak Berniece, więc jej płaciłam. Ale teraz pieniądze się kończą. Nie będzie dla mnie ostatniego aktu. Uciekłam. Nie na długo. Ale wystarczyło.

- Może dla pani - mówię z goryczą. - Virginia nie dostała nawet tego.

Lenora zakłada ręce na piersi i rzuca mi jedno ze swoich zimnych spojrzeń.

- Gdyby moja siostra chciała, ale naprawdę chciała takiego życia jak moje, to nie próbowałaby go sobie odebrać.

- Co to znaczy?

- Moja droga, a jak twoim zdaniem Virginia znalazła się na końcu sznura zwisającego z żyrandola?

Wzdrygam się, jakby piorun we mnie strzelił.

- Sama się powiesiła? Skąd pani wie?

- Pod żyrandolem było krzesło - wyjaśnia Lenora. - Przypuszczam, że na nim stanęła, żeby przywiązać koniec sznura do jednego z ramion żyrandola. Potem drugi koniec związała sobie wokół szyi i zeskoczyła z krzesła. Żyrandol ledwo ją utrzymał.

Przypominam sobie wycieczkę tropem zbrodni, na którą zabrała mnie Jessie. Zauważyłam wtedy, że żyrandol jest przekrzywiony i wisi niżej niż inne, jakby częściowo wyrwany z sufitu.

- Nie była wtedy w ciąży?

- Nie - odpowiada Lenora szorstkim tonem. - Już nie.

Czekam na ciąg dalszy. Nie następuje.

- Dlaczego policja nie podejrzewała, że Virginia próbowała się zabić, jeśli było tam krzesło? Lenora wpatruje się we mnie bez jednego mrugnięcia.

- Nie było go tam, kiedy przyjechali.

Tym razem ciąg dalszy nie jest konieczny. Doskonale rozumiem, co ma na myśli - zamiast pomóc siostrze, Lenora odsunęła krzesło, aby policja się nie dowiedziała, że Virginia się zabiła. Na taką myśl aż się wzdrygam i cofam o kilka kroków, żeby znaleźć się jak najdalej od Lenory. Do tej chwili prawie byłam w stanie wykrzesać z siebie odrobinę współczucia dla niej. Ale coś takiego? To było potworne.

- Zrobiłam to, aby ją chronić - mówi, bez wątpienia wiedząc, co myślę, bo nawet nie próbuję tego ukryć.

- Jak miałyby ją to ochronić? - pytam. - Próbowwała się zabić, a jedyne, co pani zrobiła, to usiłowała to ukryć.

- Gdybym tego nie zrobiła, policja poznałaby prawdę - stwierdza lodowato Lenora. - Bo tak samo jak ja odgadliby powód, dla którego Virginia próbowała popełnić samobójstwo.

Cofam się o kolejny krok, tym razem spowodowany czystym szokiem.

- Pani myśli, że Virginia zamordowała waszych rodziców.

- Ja wiem, że ich zamordowała. - Stalowy głos Lenory zaczyna drżeć, jakby ociosywany dłutem. - I szczerze mówiąc, nie dziwię się, zważywszy na to, co jej zrobiliśmy.

- „My”, czyli kto?

- Ja - wyjaśnia Lenora i podkreśla to słowo, upijając łyk wina i głośno je przełykając. - Mój ojciec. Prawdziwa panna Baker. Po tym, co zrobiliśmy, dziwi mnie tylko, że nie pozabijała nas wszystkich.

Urodziłam na podłodze w swoim pokoju.

To jedna z niewielu rzeczy, które pamiętam.

Poród zaczął się tak szybko, że nie zdążyłam dojść do łóżka. Musiałam położyć się w kałuży, która powstała na podłodze, i uderzałam głową o ścianę, zwijając się bólu.

Nigdy nie zapomnę jeszcze jednego – tej męczarni, którą wtedy przeżyłam. Jakbym została rozdarta na pół, zrzuciła skórę i odrodziła się w ogniu czystej udręki.

Były przy mnie tylko moja siostra i panna Baker, które nadbiegły, by mi pomóc, gdy usłyszały moje krzyki. Żadna z nich nie wiedziała, co robić. Więc parlałam. Krzyczałam. Cierpiałam.

W pewnym momencie, wyczerpana i oszalała z bólu, odpłynęłam. Moje ciało wciąż parło, krzyczało i cierpiało, ale mój umysł znalazł się gdzieś indziej. Widziałam siebie i Ricky'ego na wzgórzu obsypanym polnymi kwiatami, a w oddali rysowały się ośnieżone szczyty gór. Staliśmy w promieniach słońca, trzymałam w ramionach nasze dziecko, a z otaczających nas sosen dolatywały trele ptaków, które śpiewały tylko dla nas.

Dopiero gdy ten ptasi śpiew zmienił się w płacz, wróciłam do rzeczywistości. Zadziałał instynkt matki. Wiedziłam, że urodziło się moje dziecko.

I że mnie potrzebuje.

Że mój syn mnie potrzebuje.

Zobaczyłam, że to chłopiec, kiedy moja siostra wróciła z kuchni z nożem rzeźniczym, którym przecięła pepowinę. Mój synek był taki maleńki. Taki kruchy. A gdy na niego spojrzałam, poczułam miłość tak potężną, że aż się przeraziłam. Cały świat poza nim przestał się liczyć. Byłam jego matką i wiedziłam, że zrobię wszystko, aby go ochronić. Wreszcie miałam cel w życiu: kochać własne dziecko bardziej niż wszystko inne. Kiedy to sobie uświadomiłam, byłam szczęśliwa jak nigdy.

To szczęście opuściło mnie w chwili, gdy zobaczyłam, że jest z nami także mój ojciec. Podczas całego porodu krążył po przyległym pokoju, należącym do panny Baker, skąd nie wyrżał ani razu, dopóki nie usłyszał płaczu noworodka. Gdy moja siostra już miała podać mi mojego synka, powiedział:

– Lenoro, zanieś dziecko do drugiego pokoju.

Zamarła. W przeciwieństwie do mojego synka w jej ramionach. Wiercił się, kopał i płakał. Jedną rączkę wyciągał do mnie, jakby już wiedział, że jestem jego matką i że powinien się znaleźć w moich pustych objęciach. Ja też wyciągałam ręce, tak mocno, aż nasze palce się zetknęły.

Tylko na sekundę.

Więcej nie było mi dane.

– Lenoro – powiedział mój ojciec jeszcze bardziej stanowczo. – Zabierz stąd dziecko.

– Nie może go chociaż potrzymać?

Ojciec pokręcił głową.

– To tylko pogorszy sprawę.

– Ale ona jest jego matką – stwierdziła moja siostra.

– Nie – odparł ojciec. – Nigdy nie miała dziecka. A to dziecko nie jest Hope'em. Nic tu się nie wydarzyło. Więc zabieraj tego bękarta do drugiego pokoju albo ja go zabiorę i zrzucę z tarasu. A potem wyrzeknę się i ciebie, i twojej siostry.

Lenora nie mogła się zmusić, by na mnie spojrzeć, gdy wynosiła mojego syna z pokoju, chociaż błagałam ją, żeby została.

– Nie, Lenoro! Proszę, proszę, nie idź! Proszę, daj mi go!

Chciałam za nią pobiec, ale nie byłam w stanie. Moje ciało było za słabe. Wysiłek związany z wydaniem na świat nowego życia wyzwał mnie z sił. Mimo to próbowałam, nie przestając krzyczeć.

– Proszę, Lenoro! Oddaj mi moje dziecko!

Ale jej już nie było, a zamknięte drzwi między pokojami stłumiły dziecięcy płacz. Panna Baker chwyciła mojego ojca za ramiona i potrząsnęła nim.

– Winstonie, nie możesz tego zrobić – wysyczała. – To barbarzyństwo.

– Tak będzie najlepiej – odrzekł mój ojciec. – Ta rodzina nie może pozwolić sobie na kolejny skandal.

– Ale Virginia jest twoją córką. Jedyną prawowitą. A jeśli odbierzesz jej to dziecko, stracisz ją na zawsze.

– Nie będzie kolejnego bękarta w tej rodzinie – wycedził mój ojciec.

– Powiedział ten, który zapewne sam spłodził niejednego – odparowała panna Baker.

Ignorując ten przytyk, ojciec ukląkł przy mnie, nieporuszony moją rozpaczą. Choć nadal szlochałam, powiedział:

– Przykro mi, kochanie. Sama to na siebie sprowadziłaś.

– Proszę. – Mój głos stał tak szybko jak ciało. – Proszę, pozwól mi go zatrzymać. Będę grzeczną dziewczynką. Już nigdy nie zrobię niczego złego.

Ujął mój podbródek.

– Kochanie, zrobiłaś dość złego na całe życie.

Wyczerpanie zalewało mnie potężnymi falami i myślałam, że pęknięte serce zaraz mnie zabije. Miałam nadzieję, że tak się stanie. Śmierć zdawała mi się lepsza niż ta niewyobrażalna rozpacz. A jednak wciąż żyłam, kiedy panna Baker przebiegała mnie w czystą koszulę nocną i kładła do łóżka. Gdy sprzątała bałagan, którego narobiłam na podłodze, nasłuchiwałam płaczu mojego synka w drugim pokoju.

Panowała tam cisza.

Płakałam tylko ja.

Panna Baker, skończywszy sprzątanie, uściśnęła moją rękę.

– Nie martw się, Virginio. Coś wymyślę i nakłonię go do zmiany zdania.

Byłam zbyt zmęczona – i zbyt przybita – aby odpowiedzieć. Wyczerpana i pogrążona w rozpacz, czułam się tak, jakby wciągała mnie czarna otchłań, z której nie ma wyjścia. Ostatnie słowa, jakie usłyszałam z ust panny Baker, brzmiały:

– Przysięgam ci, że nie odbierze ci tego dziecka na zawsze.

Kłamała.

Nie zobaczyłam jej – ani mojego dziecka – nigdy więcej.

Rozdział 39

Sądziłam, że nie mogło być gorzej. Że Virginia już dość wycierpiała.

Myliliam się.

Bo Lenora mówi dalej, opowiada o wszystkim, co przeżyła jej siostra, poznaję każdy szczegół. Poród na podłodze. Odebranie jej dziecka, zanim zdążyła je przytulić. Nonszalancką pogardę ojca w obliczu jej rozpacz. To wszystko jest tak tragiczne, że wręcz zapiera mi dech.

- Powinna była pani go powstrzymać - udaje mi się wykrztusić mimo nagłego ucisku w klatce piersiowej. - Postawić mu się.

- Chciałam - mówi łamiącym się głosem Lenora. - Wierz mi, że chciałam. Ale nie znałaś mojego ojca. Był zdolny do wielkiego okrucieństwa. Bałam się, że on naprawdę zabije to dziecko. I byłam pewna, że spełni swoją groźbę i się mnie wyrzeknie. Nie byłam jego córką. Nie prawdziwą.

- Ale ona była pani siostrą!

- Tylko z nazwiska. Nigdy nie byliśmy sobie bliskie. Różniłyśmy się tak jak lato i zima.

Trafne porównanie. Patrząc na Lenorę Hope, widzę tylko lodowaty chłód. Na piętrze leży Virginia, ciepła i rozedrgana jak lipcowe popołudnie. Dwie siostry, które - jak te dwie pory roku - nigdy się do siebie naprawdę nie zbliżyły. Zawsze coś je dzieliło.

Więc Lenora zaniósła dziecko do pokoju, który wówczas należał do panny Baker, a teraz do mnie. Ukołysała je i uciszyła płacz, dając mu posać mały palec. Czekwała na ojca, który miał przyjść i powiedzieć jej, co robić.

On jednak, według Lenory, się nie pojawił.

- W końcu do pokoju weszła panna Baker i zaczęła pakować swoje rzeczy - podejmuje Lenora. - Kiedy spytałam ją, co robi, odparła: „Wyjeżdżam oczywiście. Z dzieckiem”.

Lenora zauważa moje zaskoczenie i kręci głową.

- Nie jest tak, jak myślisz. Mimo swoich wad panna Baker była dobrą kobietą. Przekonała ojca, aby zrobił to co zawsze: rozwiązał problem pieniędzmi. W zamian za pewną sumę i jeden z jego packardów miała przejąć opiekę nad dzieckiem. Zamierzała być jego tymczasową matką, do czasu, aż Virginia będzie mogła odzyskać syna. Zgodziłam się jej pomóc, pod warunkiem że ojciec nigdy nie dowie się o moim udziale. Potem odjechała w noc, zabierając dziecko ze sobą.

- Wie pani, dokąd pojechała?

Lenora kiwa głową.

- Do Kanady.

Przechodzi mi przez myśl, że Carter się myli co do swojego prawdziwego pochodzenia. Nie ma szans, aby dziecko Virginii było tym samym, które podrzucono pod drzwi kościoła w bożonarodzeniowy poranek. Nie jest spokrewniony z rodziną Hope'ów bardziej niż ja.

Zdaje się, że przy okazji ten fakt uniewinnia Lenorę, którą dotąd uważałam za sprawczynię. Skoro Carter nie jest spokrewniony z Virginią, to nic nie odziedziczy. Nie było zatem powodu, aby Lenora przeszkadzała jemu i Mary w odkryciu prawdy.

– Panna Baker napisała do mnie kilka tygodni po morderstwach – mówi Lenora. – Słyszała, co się stało, i uznała, że w tych okolicznościach najlepiej, jeśli będzie nadal wychowywała to dziecko jak własne. Nie protestowałam.

Wpatruję się w nią zaszokowana.

– Ale to był pani siostrzeniec.

– A co twoim zdaniem powinnam była zrobić?

– Zatrzymać go! – wykrzykuję. – Wychować. Kochać. A już na pewno pozwolić, aby mogła go kochać Virginia.

– I cóż byłoby to za życie? Dla Virginii i jej dziecka? Nie mogła go wziąć na ręce, nie wspominając o karmieniu. Nie mogła do niego mówić, bawić się z nim ani zajmować nim w żaden sposób.

– Coś by pani wymyśliła.

– Niby co? – prychna Lenora. – Miałam siedemnaście lat. Nic nie wiedziałam o opiekowaniu się niemowlęciem.

– To nie powód, żeby pozwalać na rozłąkę siostry i jej dziecka! – Gniew kotłuje mi się w piersi niczym fale rozbijające się o podstawę klifu bezpośrednio pod nami. – Jak mogła pani być taka okrutna?

– Okrutna? – powtarza Lenora. – Wręcz przeciwnie, zapewniam cię. Trzymanie tego dziecka z dala od naszej rodziny było najwyższym aktem dobroci. Dzięki mnie i panie Baker dorastało bez świadomości, że jego prawdziwa matka jest morderczynią.

– I z tego powodu karze pani Virginie.

– Zasluguje na karę! Musi zapłacić za to, co zrobiła. Ale także ją chronię. Od zawsze. Pomyśl, co czekałoby kobietę w jej stanie, gdyby policja dowiedziała się, co zrobiła.

Kręcę głową. To nie jest wystarczający powód. Szczególnie że poza jej próbą samobójczą nic nie wskazuje na to, że Virginia zabiła rodziców.

– Dlaczego jest pani tego taka pewna? A Ricardo Mayhew?

– Co Ricardo Mayhew?

– On i Virginia mieli romans – mówię. – To on był ojcem dziecka. A Berniece Mayhew przysła tu za nim tamtej nocy.

Lenora wybuchła śmiechem. To ostatnia reakcja, jakiej bym się spodziewała. Nie ma nic zabawnego w tym, że obwiniała siostrę o zbrodnię, których ta być może wcale nie popełniła. A mimo to Lenora nadal rechocze, bardziej z niedowierzaniem niż rozbawieniem.

– To niemożliwe – oznajmia.

– Dlaczego?

Słyszę kroki dobiegające ze schodów dla służby. Sekundę później w kuchni pojawia się Archie. Nie mam pojęcia, jak długo tam był ani ile usłyszał. Wiem tylko, że wystarczająco dużo, aby odpowiedzieć na moje pytanie.

– Ponieważ Ricardo był tamtej nocy ze mną.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co ma na myśli. A wtedy jestem w stanie wykrztusić tylko:

– Och. Wy dwaj byliście...

– Kochankami – uzupełnia Archie, oszczędzając mi konieczności powiedzenia tego na głos.

W ciągu następnych kilku sekund w mojej głowie rodzi się masa pytań. Archie nie daje mi czasu, by zadać choć jedno z nich.

– Byłem równie zaskoczony jak ty teraz – mówi. – Przede wszystkim dlatego, że był żonaty, choć w tamtych czasach, jak mi się zdaje, tak się zwykle robiło. Inaczej niż dzisiaj, kiedy jest nieco więcej wolności. Wtedy trzeba się było z tym kryć. Zwłaszcza ktoś taki jak ja. Ledwo skończyłem osiemnaście lat. Jeden błąd i całe moje życie mogło lec w gruzach.

Archie opowiada mi, jak on i Ricardo spotykali się potajemnie, gdy tylko mogli się wymknąć. Nie było łatwo. Ricardo mieszkał w domku z żoną. Archie zajmował jeden z pokoi nad garażem, gdzie zwykle się spotykali.

– Mówiliśmy, że to nasze miłosne gniazdko. – Przez twarz Archiego przemyka czuły uśmiech, który zaraz błędnie pod zmarszczonymi brwiami. – I tam właśnie byliśmy tamtej nocy.

Okazuje się, że Berniece była w błędzie, sądząc, że jej mąż chce ją zmylić, idąc do garażu, zanim wśliznął się do rezydencji przez drzwi frontowe. Ale cóż, Berniece myliła się co do wielu rzeczy, także w tym, z kim naprawdę romansował jej mąż.

– Ponieważ wszyscy mieli tego wieczoru wychodne, a Berniece poszła do kina, wiedzieliśmy, że mamy kilka godzin tylko dla siebie – kontynuuje Archie. – Ale Ricardo był zdenerwowany. Powiedział, że Berniece oskarżyła go o romans z Lenorą.

– Co było czystym absurdem – wtrąca Lenora. – Ja nawet nie wiedziałam, kim on jest.

– Kazała mu to zakończyć – dodaje Archie. – Po tym, jak zaszantażują Winstona Hope'a. Ricardo nie chciał mieć nic wspólnego z jej planem, który był niemoralny i niezgodny z faktami. Bał się, że w końcu doprowadzi do ujawnienia prawdy o nas dwóch. Dla każdego z nas byłaby to katastrofa. Ale Ricardo miał własny plan. Poprosił mnie, żebym z nim uciekł.

– Tamtej nocy?

– Natychmiast. Chciał pojechać na zachód. Może do Kalifornii. Powiedział, że podobno ludzie są tam bardziej tolerancyjni. I że mielibyśmy szansę na wspólne szczęście. Ale ja miałem więcej rozumu. – Archie podchodzi do stołka, powłócząc nogami. Siada przygarbiony, jakby smutne wspomnienia dosłownie go przytłaczały. – Ucieczka nigdy nie jest tak prosta, jak się wydaje. Wiem, bo już to kiedyś zrobiłem; uciekłem od rodziny, która nienawidziła mnie za to, że jestem inny, nie taki jak większość chłopców. Na szczęście trafiłem tutaj i poznałem Virginie.

– Ona wiedziała? – pytam.

Archie odpowiada skinieniem głowy.

– Między innymi dlatego tak bardzo ją kochałem. Nie osądzała mnie. Ani nie zawstydziała. Ani, dzięki Bogu, nie próbowała mnie zmieniać. Po prostu mnie zaakceptowała. I nie mogłem jej opuścić. Nie kiedy była w ciąży. Nie kiedy mnie potrzebowała. Bo Ricardo powiedział mi coś jeszcze – że poprzedniego wieczoru Berniece ją widziała i zdała sobie sprawę z jej stanu. To

znaczyło, że wkrótce dowiedzą się o nim wszyscy, a wtedy Virginia będzie mnie potrzebowała bardziej niż kiedykolwiek.

- Więc zostałeś - mówię, mając na myśli nie tylko tamtą noc, ale także wszystkie inne, które nastąpiły po niej. Przez dziesiątki lat zakradał się nocami do pokoju Virginii, aby sprawdzać, jak się miewa, i życzyć jej miłych snów.

- Zostałem - przyznaje Archie. - A Ricardo wyjechał. Nigdy więcej się do mnie nie odezwał.

Jego smutna historia utwierdza mnie w przekonaniu, że nad Hope's End ciąży jakieś przekleństwo. Albo po prostu pech. A może to wszystko jest karą za pychę Winstona Hope'a, która kazała mu wybudować tę rezydencję nad krawędzią urwiska, wbrew świadomości, że jej runięcie do oceanu jest tylko kwestią czasu. Bez względu na przyczynę nikt z domowników nie zaznał tu życia, jakiego pragnął. Nikomu nie było pisane szczęśliwe zakończenie. Ani Archie, ani Lenorze, a już na pewno nie Virginii. A jednak, mimo że teraz już znałam tragiczne losy ich wszystkich, jedno pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

- Kim wobec tego był Ricky?

- Jednym z miejscowych chłopców zatrudnionych tymczasowo do pomocy - wyjaśnia Archie. - Wielu takich najmowano, coraz to inni przychodzili i odchodzili. Virginia nigdy mi nie zdradziła jego nazwiska. Imienia też nie. Mówiła o nim, używając zdrobnienia, więc po morderstwach nie można go było namierzyć. Podejrzewam, że wtedy już nie chciał dać się odnaleźć.

Kłębi się we mnie dziwna mieszanka emocji. Rozczarowanie faktem, że Ricky nie był tym, kim sądziłam. W ogóle nie był ważny. Ot, zwykły chłopak, który wykorzystał dziewczynę tak rozpaczliwie samotną, że oddała swoją niewinność, a koniec końców także i wolność.

Jednak Virginia nie była bez winy. Jestem na nią zła. Nie za jej naiwność. Kiedy pojawił się Ricky, była tylko dzieckiem. Z wielu rzeczy nie zdawała sobie sprawy. Ale to, co zrobiła swoim rodzicom, było tak niewyobrażalnie potworne, że jednocześnie jej nienawidzę, współczuję i mimo tego, czego się tu dziś dowiedziałam, wciąż żywię nadzieję, że Archie i Lenora się mylą.

Więc to chyba ja jestem tą naiwną.

- Ale te morderstwa mógł popełnić ktoś inny niż Virginia, prawda?

- Nie było tu nikogo innego, kto mógłby to zrobić, Kit - mówi Archie z westchnieniem. - I wiem, że odtąd inaczej będziesz ją postrzegać. Sam bardzo długo zastanawiałem się, dlaczego to zrobiła. Ale pogodziłem się z myślą, że nigdy się tego nie dowiem. Nie pochwalam jej czynu, co nie znaczy, że jej nienawidzę. Można kogoś kochać, jednocześnie nienawidząc czegoś, co zrobił.

- Ja wciąż próbuję się z tym pogodzić - mówi Lenora, gdy spotykają się nasze spojrzenia. Rozumiem, co chce mi powiedzieć: ona wie, że ja wiem, że to ona pisała na maszynie w środku nocy, zapewniając całą stronę tym samym oskarżeniem:

To wszystko twoja wina

Czuję się, jakbym utknęła między młotem a kowadłem - już pogodziłam się z faktem, że Virginia zamordowała swoich rodziców, a jednak wciąż trzymam się ostatniego skrawka nadziei, że było inaczej.

- Ale dlaczego jesteście tak absolutnie pewni, że to ona? - pytam.

- Ponieważ ją widziałam - odpowiada Lenora. - Później tej samej nocy, po odjeździe panny Baker z dzieckiem, usłyszałam, jak Virginia wychodzi ze swojego pokoju. Poszłam zobaczyć, dokąd idzie, i widziałam, jak schodzi z Wielkich Schodów.

- To nie dowodzi jej winy.

Lenora sięga po swój kieliszek, a zanim go opróżnia, mówi:

- Dowodzi, skoro w rękę trzymała nóż.

Do dzisiaj nie jestem pewna, jakim cudem zdołałam wygramolić się z łóżka i wyjść z pokoju. Czysta siła woli, jak sądzę, wyzwolona dziką determinacją matki. Gdy tylko jednak zsunęłam się z łóżka, moje ciało nadal przesywał ból. Nogi ugięły się pode mną i przez chwilę myślałam, że zaraz upadnę na podłogę. Udało mi się utrzymać równowagę i przewyciężyć udrękę, bo musiałam znaleźć swoje dziecko.

Zanim wyszłam z pokoju, dostrzegłam coś na stoliku nocnym.

Nóż.

Ten sam, którym przecięto pępowinę łączącą mnie z dzieckiem. Teraz leżał zapomniany wśród zamieszania po porodzie. Wzięłam go, wmawiając sobie, że potrzebuję czegoś do obrony. Przeciwno czemu – nie wiedziałam. Może przeciw ojcu. Albo mojej siostrze bądź pannie Baker. W głębi ducha wiedziałam jednak, że chodzi o coś wręcz przeciwnego.

Potrzebowałam narzędzia walki.

A jeśli ktoś potrzebował ochrony, był to mój ojciec.

Z nożem w dłoni wyszłam z pokoju i pokonując ból, ruszyłam w głąb korytarza, po czym zaczęłam schodzić, utykając, z Wielkich Schodów. Na podeście zatrzymałam się i nasłuchiwałam. Z pokoju bilardowego dobiegały głosy. Jeden należał do mojego ojca. Drugi do Ricky'ego. I choć nie słyszałam, o czym rozmawiają, obaj byli wyraźnie rozgniewani.

Wolno pokonałam pozostałe stopnie, stawiając ostrożne kroki, by nie hałasować. Musiałam poznać treść ich rozmowy, nim zdecyduję, czy ujawnić swoją obecność. Gdyby głosy się uspokoiły, mogłoby to oznaczać, że Ricky zdołał przekonać mojego ojca, by pozwolił nam się pobrać, zatrzymać dziecko i żyć długo i szczęśliwie.

Powinna była wiedzieć, że takie rzeczy dzieją się tylko w bajkach. Bo nie było żadnego szczęśliwego zakończenia. Nie dla mnie.

Kiedy dotarłam na parter, kątem oka dostrzegłam stojącą u szczytu Wielkich Schodów Lenore.

– Virginio – wyszeptła, nerwowo chwytając się balustrady. – Co ty wyprawiasz?

Nie odpowiedziałam.

Wkrótce i tak miała się tego dowiedzieć.

Idąc w stronę pokoju bilardowego, usłyszałam jej kroki na korytarzu pierwszego piętra. Oczywiście uciekała. Zbyt tchórzliwa, żeby stawić czoło krzywdzie, do której powstania się przyczyniła. Gdyby tylko pozwoliła mi uciec, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło.

Przed sobą też słyszałam hałasy, z których jasno wynikało, że sytuacja wciąż jest napięta. Głos mojego ojca brzmiał jeszcze głośniejszy, wylewał się z pokoju bilardowego i niósł echem po korytarzu.

Zanim dotarłam pod drzwi, przystanąłam na moment pod czterema portretami. Ojciec chciał, aby te obrazy ukazywały nas jako jedną, wielką, szczęśliwą rodzinę, dumną ze swej pozycji społecznej i zadowoloną z życia.

Aby osiągnąć ten efekt, powinien był poprosić Petera Warda, by namalował nas razem. By stworzył wielkie płótno ukazujące wszystkich czworo w starannie zainscenizowanych pozach w jednym z licznych luksusowych pokoi Hope's End.

Zamiast tego Peter namalował nas oddzielnie. W ten sposób, zupełnie przypadkowo, przedstawił naszą rodzinę taką, jaka była – czworo obcych sobie ludzi, skrajnie samotnych, uwięzionych w złoonych ramach, z których żadne nie potrafi albo nie chce się wyrwać.

Oprócz mnie, postanowiłam.

Byłam zdecydowana opuścić to miejsce na zawsze.

Ze swoim dzieckiem.

Choćby po trupach.

Zacisnęłam palce na nożu, odwróciłam się i wkroczyłam do pokoju bilardowego.

Rozdział 40

Na gorze kobieta, którą uważałam za Lenorę Hope, leży w łóżku, ale całkowicie obudzona, jakby wiedziała, że przyjdę.

Nie jestem zdziwiona.

Zawsze miałam wrażenie, że jest bardziej świadoma, niż się wydaje. Prawdopodobnie wiedziała, że ta chwila nadejdzie, już od mojego pierwszego wieczoru w tym domu, kiedy wystukała na maszynie do pisania te intrygujące słowa.

chcę ci opowiedzieć o wszystkim

Nie zrobiła tego, ale ja i tak się wszystkiego dowiedziałam. Do chwili, gdy z nożem w dłoni ruszyła na poszukiwanie ojca.

- Pobiegłam zaalarmować matkę, która była jak zwykle odurzona – mówiła Lenora. - Nikt nie zadał sobie trudu, by powiedzieć jej o Virginii, nagłym porodzie, nakazie ojca, by zabrać dziecko. Nie miała o niczym pojęcia. Ale gdy opowiedziałam jej, co się stało... i co jak się obawiałam, jeszcze miało się stać... nagle jej umysł jakby się wyostrzył. Poklepała mnie po policzku i rzekła: „Nie martw się, skarbie. Zajmę się tym”. To była ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek do mnie powiedziała.

Wtedy w kuchni zapadło milczenie. Choć żadna z nas tego nie przyznała, wiedziałam, że w tym momencie obie, Lenora i ja, wspominałyśmy ostatnie słowa naszych matek.

„Proszę, Kit-Kat. Proszę. Wezmę tylko jedną. Obiecuję”.

- Nie sądzę, aby Virginia zamierzała ją zabić – odezwała się w końcu Lenora. - Myślę, że jej jedynym celem był ojciec, a matka stała się przypadkową ofiarą. I podejrzewam, że moja siostra poczuła się z tego powodu tak bardzo winna, że targnęła się na swoje życie.

- To dlatego zgadzałem się na to wszystko przez tyle lat – powiedział Archie. - Tutaj Virginia jest bezpieczna. Tutaj nikt nie wie, co zrobiła. To dla jej dobra. Głęboko w to wierzę.

- Dlatego nie pozwalałam, by zabierano ją na spacer – dodała Lenora. - I dlatego zawsze mówimy o niej „panna Hope”. Gdyby inni dowiedzieli się, kim jest i co zrobiła... i co my wciąż robimy... to mogłoby ją zniszczyć. Wyobraź sobie Virginie, jak marnieje w jakimś państwowym zakładzie. Tu przynajmniej jest w domu.

Alle Hope's End nie jest domem. To klatka zbudowana z sekretów. A Virginia nie jest jedyną osobą, która się w niej znalazła. Tkwią w niej także Lenora i Archie.

Nie chcę utknąć tu z nimi. Dlatego teraz stoję w nogach łóżka Virginii. Czas się pożegnać.

- Wiem, kim jesteś – mówię do niej.

Patrzy na mnie bez zaskoczenia. W jej oczach dostrzegam wręcz błysk satysfakcji, jakby była ze mnie dumna, że wszystko rozgryzłam.

- I wiem, że zamordowałaś swoich rodziców.

Virginia unosi lewą rękę, gotowa wystukać odpowiedź.

- Nie - protestuję, bo nie jestem w nastroju na zaprzeczenia. Ale potwierdzenia też nie chcę usłyszeć.

W pewnym sensie od pierwszej nocy, którą spędziłam w tym domu, nic się nie zmieniło. Choć przypuszczałam, że jest winna, nie byłam pewna, czy chcę się dowiedzieć, czy mam rację. Gdy zaczęło się pisanie na maszynie, sytuacja uległa odwróceniu. Zaczęłam zakładać, że jest niewinna, i za wszelką cenę usiłowałam tego dowieść. Okazuje się, że oszukiwałam samą siebie, wierząc w to, co chciałam, aby było prawdą, choć w głębi ducha wiedziałam, że nią nie jest.

Prawdopodobnie tak właśnie czuł się mój ojciec, zanim przestał ze mną rozmawiać. Z gazetą w rękę i niedowierzaniem w oczach wmawiał sobie, że prawdą jest coś wręcz przeciwnego niż to, co czuje w głębi ducha.

„To, co mówią, nie jest prawdą, Kit-Kat”.

- Rozumiem, dlaczego poczułaś, że musisz to zrobić - mówię do Virginii. - Miałaś swoje powody. I mam nadzieję, że teraz tego żałujesz. Miałaś mnóstwo czasu, żeby przemyśleć to, co zrobiłaś. I żałuję tylko...

Urywam, bo nie potrafię nazwać swoich uczuć. Jeśli istnieje słowo, którym mogłabym wyrazić, że czuję się jednocześnie zdradzona i zawiedziona, a przy tym jest mi głupio, to jeszcze się go nie nauczyłam. Bo prawda jest taka, że polubiłam Virginie. Nadal ją lubię, wbrew wszystkiemu. I dlatego to takie trudne.

Całkiem możliwe, że Mary zareagowała tak samo, kiedy odkryła prawdę, i dlatego Virginia poczuła się zmuszona do napisania tych przeprosin:

przykro mi że nie jestem kimś, kim się wydawałam

- Żałuję tylko, że sama mi o tym nie powiedziałaś - mówię.

Zamiast tego dostawałam jedynie aluzje i półprawdy. Co prawda nigdy mnie wprost nie okłamała, ale też nigdy nie wyznała mi całej prawdy. A mogła to zrobić z łatwością. Wystarczyłoby proste zdanie wystukane jej lewą ręką, w którym napisałaby, że jest Virginie Hope, że wszystko, co mi się wydaje, że wiem, to kłamstwo, i że jest winna.

Gdyby to zrobiła, być może bym została. Moja praca polegała na opiece nad zabójczynią. Wiedziałam to od początku. I sądzę, że mogłabym to robić tak długo, jak byłoby to konieczne. Ale teraz? Nie sądzę, abym jeszcze kiedykolwiek zaufała bądź uwierzyła Virginii.

A to oznacza, że mogę zrobić tylko jedno: wyjechać.

- Żegnaj, Virginio - mówię. - Mam nadzieję, że twoja następna opiekunka nie będzie próbowała dociekać prawdy.

Macham do niej smutno i przechodzę do swojego pokoju, zmuszając się, by więcej na nią nie patrzeć. Mimo to czuję, jak śledzi mnie palące spojrzenie jej zielonych oczu. A potem, tak jak obiecałam, odchodzę, nawet się nie pakując.

Bez walizki z ubraniami.

Bez pudełka pełnego książek.

Bez torby medycznej.

Postanawiam poprosić Cartera, żeby przywiózł mi je później. Albo po prostu zostaną tutaj, razem z rzeczami Mary. Powiększy się kolekcja mienia porzuconego przez byłą opiekunkę,

którą zastanie tu nowa nieszczęsnica.

Jedynie, co zabieram, to kluczyki samochodowe, które ściskam w dłoni, zbiegając po schodach dla służby. Kuchnia jest pusta, dzięki Bogu. Nie wiem, dokąd poszli Lenora czy Archie, i nic mnie to nie obchodzi. Nie jestem w nastroju na ponowne spotkanie z nimi. Podchodzę do telefonu wiszącego na ścianie i szybko wykręcam numer. Mam świadomość, że któreś z nich może w każdej chwili tu wejść, a sygnał w słuchawce powtarza się raz za razem.

Kiedy ojciec w końcu odbiera, wydaje się półprzytomny i zdezorientowany. Zerkam na zegar kuchenny. Jest prawie północ. Obudziłam go.

- Tato - odzywam się.

- Kit-Kat?

W sercu, które od dłuższej chwili wali jak młotem, nagle czuję piknięcie radości. Nie miałam pojęcia, jak bardzo zależało mi na tym, by to usłyszeć.

- Mogę przyjechać do domu? Teraz?

- Oczywiście. Co się dzieje? Wydajesz się przestraszona.

- Nie mogę tu dłużej zostać - odpowiadam. - Muszę uciec z tego miejsca. I od nich.

- Od nich?

- Od Lenory i Virginii. Obie cały czas kłamią. A ja nie mogę w tym uczestniczyć.

To jednak nie wszystko. Jest coś jeszcze.

Muszę coś wyznać.

- Kiedy przyjadę do domu, muszę ci o czymś powiedzieć. O tym, co stało się z mamą.

Rozłączam się, żeby nie powiedzieć mu całej reszty. Tego nie można zrobić przez telefon. Muszę porozmawiać z nim osobiście, twarzą w twarz. Powinnam to zrobić pół roku temu.

„To, co mówią, nie jest prawdą, Kit-Kat”.

A jednak jest.

Wszystko.

Wspomnienia o tamtej nocy zalewają mnie, kiedy wychodzę z kuchni, truchtem pokonuję korytarz i dopadam drzwi frontowych.

Moja matka cierpiała tak straszliwie, że ledwie można to opisać. Ból nie tyle ją przytłaczał, ile spalał. Była nim opętana.

Mnie dosłownie skręcało z wyczerpania, niepokoju i bolesnej empatii, gdy czekałam, aż środki przeciwbólowe zaczną działać; wręcz rozpaczliwie pragnęłam ulżyć jej w bólu chociaż trochę. Głaskałam ją po włosach. Szeptalam kojąco do ucha. Modliłam się do Boga, w którego sama nie wiem, czy wierzyłam, aby jakkolwiek skrócił jej cierpienie.

W końcu ból zelżał. Wciąż trwał, rzecz jasna, ale raczej się tlił, niż palił żywym ogniem. Fentanyl złagodził go na tyle, by matka mogła odpocząć, co wówczas było wszystkim, na co mogłam żywić rozsądną nadzieję.

Gdy tylko zasnęła, sięgnęłam po buteleczkę fentanylu, aby odnieść ją do kasetki pod moim łóżkiem. Ledwo zacisnęłam wokół niej palce, kiedy poczułam dłoń matki przytrzymującą moją dłoń.

- Zostaw je - wyszeptała.

- Wiesz, że nie wolno mi tego zrobić.

- Tylko dzisiaj. - Jej głos był chrapliwy, wymęczony. Powoli, lecz pewnie zaczynał pęcznieć nowym bólem. - Na wypadek gdybym tego potrzebowała.

- Mamo, nie mogę.

Zacisnęła palce na mojej dłoni ze zdumiewającą siłą jak na kogoś tak całkowicie wyczerpanego. Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że to nie była jej siła, lecz siła bólu, który nią zawiadnął i poruszał jak marionetką.

- Proszę, Kit-Kat - wyszeptala. - Proszę.

To, co czułam w środku, było jak przeciąganie liny, które zdawało się trwać godzinami, choć trwało ledwie sekundy. Część mnie żądała, bym przestrzegala procedury, zrobiła to, co należy, opiekowała się nią w odpowiedzialny sposób, tak jak mnie wyszkolono. Ale druga część wiedziała, że moja matka cierpi - i że mogę jej pomóc złagodzić ból.

- Wezmę tylko jedną - dodała. - Obiecuję.

Tylko jedna pigułka.

To nie było nic złego.

Więcej, niż zalecono, ale czasami trzeba złamać zasady.

To, uznałam, była taka chwila.

- Tylko jedną - zastrzegłam.

A potem położyłam buteleczkę na stoliku nocnym. Choć jestem pewna, że zrobiłam to prawie bezgłośnie, we wspomnieniach słyszę tak głośny huk jak teraz, gdy zatrząskuję za sobą frontowe drzwi Hope's End.

Tamtej nocy położyłam się z przyprawiającym o mdłości uczuciem, że matka zamierza połknąć wszystkie pigułki znajdujące się w tej buteleczce. Może podpowiadał mi to szósty zmysł. A może było to przecucie. Mimo to wmówiłam sobie, że będzie miała więcej rozsądku, i zignorowałam fakt, że skrajne cierpienie może przyćmić jej osąd. Chciałam uważać, że celowo nie przedawkuje, więc tak właśnie myślałam.

I w rezultacie moja matka nie żyje.

Wszystko przeze mnie.

Wskakuję do samochodu i odjeżdżam, niepewnie trzymając kierownicę trzęsącymi się rękami. Nie chcę potraktować ojca tak samo, jak Virginia potraktowała mnie. Nie chcę udawać, że jestem niewinna. Skazywać go na dręczące wątpliwości do końca życia. Wbijać między nas klin, aż w końcu staniemy się dokładnie tacy sami jak siostry Hope - utknieni w błędnym kole podejrzeń i winy.

Prawda mnie wyzwoli - nawet jeśli zaprowadzi mnie do więzienia.

Zatrzymuję samochód przed bramą, która blokuje wyjazd niczym kraty więziennej celi. Wsiadam i naciskam wbudowany w mur guzik. Kiedy wracam do auta, brama otwiera się, poskrzypując.

A potem zgrzyta.

I nieruchomieje.

Walę z irytacją w dach escorta. Tylko nie to. Nie teraz.

Gdy maszeruję z powrotem do bramy, zdecydowana otworzyć ją silnym pchnięciem, słyszę za sobą kroki w trawie - szybkie i wściekłe - oraz zdyszany głos Cartera:

- Kit? Dokąd się wybierasz?

Odwracam się na pięcie i mrużę oczy w blasku przednich reflektorów, gdy z mroku wyłania się Carter.

- Usłyszałem odjeżdżający samochód i przybiegłem, żeby cię jeszcze złapać. Ty wyjeżdżasz?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo się myliłam – odpowiadam. – Oboje się myliliśmy.

Ciągnę za bramę, zapomniawszy, przed czym ostrzegał mnie Carter, kiedy tu przyjechałam. To miejsce potrafi kąsać.

Przynajmniej w tym miał rację. Bo przy kolejnym szarpnięciu dotykam niewłaściwego miejsca w niewłaściwym czasie. Niezła metafora mojego życia. Palce mam już owinięte wokół jednego z prętów, kiedy to czuję – przerdzewiały kawałek kutego żelaza wyszlifowany słonym powietrzem w ostry jak brzytwa kolec.

Metal przebija skórę mojej lewej dłoni. Z głośnym przekleństwem odrywam dłoń i badam ranę. Choć niewielka, jest wystarczająco głęboka, by krwawić. Ale przynajmniej nie ucierpiałam na próżno. Brama otwiera się wreszcie na tyle szeroko, żeby samochód zdołał przez nią przejechać.

- Myliliśmy się co do czego? – pyta Carter.

- Lenora nie jest twoją babcią. Nawet nie jest Lenorą. To Virginia. Siostra Lenory.

Twarz Cartera blednie, a on zatacza się do tyłu, jakby ktoś właśnie go postrzelił.

- Nie... nie rozumiem.

Ruszam w kierunku escorta.

- Wsiadaj, to ci opowiem.

Carter nawet nie drgnie, kiedy siadam za kierownicą i rozgrzewam silnik. Rozumiem jego szok, tak jak rozumiem, że muszę opuścić to miejsce, nim zdąży wyrządzić jeszcze większą krzywdę.

Nie tylko mnie, ale i Carterowi.

- Jedź ze mną – mówię. – Tylko na tę jedną noc. Wyjedźmy stąd i...

Nie mam pojęcia, co zrobimy. Coś się wymyśli. Wyobrażam sobie, jak Ricardo Mayhew powiedział to samo Archieму pięćdziesiąt cztery lata temu, namawiając ukochanego mężczyznę do ucieczki z Hope's End.

Archie został.

Carter nie.

Bez słowa otwiera drzwi od strony pasażera i wskakuje do środka. Wciskam pedał gazu i przejeżdżamy przez bramę, zostawiając za sobą Hope's End.

Rozdział 41

Czy ja dobrze rozumiem? – upewnia się Carter. – Pani Baker to w rzeczywistości Lenora Hope. A Lenora to naprawdę Virginia Hope. I to ona zabiła swoich rodziców?

– Zgadza się.

Jedziemy od dziesięciu minut i przez ten czas już zdążyłam opowiedzieć mu o wszystkim, czego się dowiedziałam podczas tej długiej, pokręconej nocy. Mimo to wciąż jest oszołomiony, co doskonale rozumiem. Wiem, że to sporo do przełknięcia, bo z tego wszystkiego wynika, że zjawił się w Hope's End niepotrzebnie.

– I nie jestem spokrewniony z żadną z nich – mówi Carter z westchnieniem, godząc się z faktem, że jego biologiczna rodzina nadal pozostaje tajemnicą.

– Przykro mi. Wiem, jak bardzo chciałeś wiedzieć.

– Myślałem, że wiem. – Carter spogląda na skarłowaciałe sosny migające za oknem samochodu, kiedy zjeżdżamy z Klifów w stronę miasta. – Czasowo wszystko pasowało idealnie.

Żadne z nas nie wzięło pod uwagę możliwości przedwczesnego porodu, który jak się dowiedziałam podczas szkolenia dla opiekunek, zdarza się częściej u nastoletnich matek. W rezultacie dziecko Virginii żyje zapewne gdzieś w Kanadzie, nieświadome, kim jest i co zrobiła jego matka, a Carter, który zna obie te odpowiedzi, wciąż nie ma pojęcia, kim może być jego prawdziwa babcia. A Mary przypłaciła to wszystko życiem – oto straszna prawda, która chwilowo poszła tej nocy w zapomnienie.

– Nie mogę przestać myśleć o Mary – mówię. – Że została zabita bez żadnego powodu.

Carter odrywa wzrok od okna.

– Wciąż uważasz, że ją zepchnięto? – pyta.

– A ty nie?

– Sam już nie wiem. – Znowu wzdycha. – Nie jestem wnukiem Lenory... to znaczy Virginii. Więc po co ktoś miałby ją z tego powodu zabijać?

– Ale znała wszystkie inne tajemnice tego miejsca – mówię. – Prawdziwą tożsamość Lenory. Przewinienie Virginii. Fakt, że obie kłamią na ten temat od kilkudziesięciu lat. Ktoś uznał, że musi ją powstrzymać przed ujawnieniem tego wszystkiego.

– Czyli zostają Archie albo Lenora.

– Może – mówię. – Ale nie sądzę.

Oboje, Lenora i Archie, zdradzili mi dzisiaj wszystkie swoje sekrety. Owszem, Lenorę do tego zmusiłam, mówiąc jej, że wiem, iż wcale nie jest panią Baker. Ale potem oboje otwarcie wyznali mi całą prawdę. Zrobili to, co Virginia obiecała mi mojego pierwszego wieczoru w Hope's End – opowiedzieli o wszystkim.

Nie kazali mi natomiast przysięgać, że zachowam to w tajemnicy, ani w żaden sposób mi nie grozili. Jeżeli wcześniej fakt poznania prawdy przez Mary skłonił jedno z nich do jej

zamordowania, to dlaczego ja nadal żyję?

Bo nie stanowią dla nich zagrożenia.

I wątpię, by stanowiła je Mary.

A jednak komuś zagrażała.

Lewa dłoń ześlizguje mi się z kierownicy, zostawiając na niej ślad krwi, lepkiej i gorącej. Prowadząc prawą ręką, zerkam na ranę. Nadal krwawi i prawdopodobnie jest zakażona, ale przeżyję.

Co nie zmienia faktu, że tę bramę powinno się przetopić i zeżłomować.

Wycieram dłoń o spódnicę mundurka, nie przejmując się, że zostanie plama. Już nigdy tego stroju nie włożę. Właściwie już nigdy nie będę opiekunką, gdy tylko pan Gurlain dowie się, że zrezygnowałam z posady w Hope's End, a raczej stamtąd ucieklam, nawet nie zamykając za sobą tej cholernej bramy.

Nagle przychodzi mi do głowy inna myśl, o innym dniu, kiedy brama też była otwarta.

- Hej, Carter - odzywam się. - Mówiłeś, że kiedy zastałeś otwartą bramę?

- Tego dnia, kiedy zginęła Mary.

- No tak, ale jaki to był dzień tygodnia?

- Poniedziałek.

- A godzina?

- Późny ranek. Dlaczego pytasz?

Carter uznał wtedy, że była otwarta, bo nie domknął jej za dostawcą. Ale Archie powiedział mi, że zakupy są dostarczane we wtorki, co potwierdziły wszystkie rachunki, które znalazłam pod łóżkiem Lenory.

To oznacza, że bramę otwarto z innego powodu.

Nie po to, by ktoś mógł wejść i wyjść, ale żeby ktoś mógł wyjść i wrócić niezauważony. Sama tak właśnie zrobiłam dzisiaj wieczorem. Wyjeżdżając do domu opieki Ocean View, zostawiłam bramę otwartą, żeby nie musiała dzwonić do głównego domu i prosić o wpuszczenie mnie na teren posiadłości.

Skoro brama była niezamknięta w poniedziałek rano, to możliwe, że stała otworem od poprzedniej nocy.

- Laboratorium już miało próbkę twojej krwi, tak? - pytam.

- Tak. Pobrali ją tydzień wcześniej. Potrzebowali tylko krwi Virginii.

- Którą Mary miała zdobyć w poniedziałek wieczorem, żebyś mógł ją zawieźć następnego dnia.

- Do czego jednak nie doszło - przypomina mi Carter.

Wjeżdżamy do miasta; ulice, które znam przez całe życie, oświetla słaby blask latarni. Mijamy Ocean View, gdzie Berniece Mayhew zapewne ogląda w tej chwili telewizję, i przejeżdżamy obok Agencji Opieki Domowej Gurlaina. Skracam w prawo, do domu mojego ojca, dwie przecznice dalej. Powinam się zastanawiać, co mu powiem, kiedy dojadę na miejsce, ale mój umysł jest zaabsorbowany czymś innym.

- Ile trwa badanie próbki krwi?

- Około jednego dnia - odpowiada Carter.

- Więc gdyby ktoś zawiózł próbkę do laboratorium, powiedzmy, w niedzielę wieczorem, wyniki byłyby gotowe w poniedziałek wieczorem?

- Chyba tak. - Carter przygląda mi się z miejsca pasażera. - Dlaczego tak cię to interesuje?

Bo mam wrażenie, że tak właśnie się stało. Ktoś opuścił Hope's End w niedzielę wieczorem, nie zamykając bramy, aby móc wrócić bez zwracania na siebie uwagi. Carter zauważył otwartą bramę w poniedziałek rano. Potem zostawił ją otwartą przez noc, bo zamierzał pojechać do laboratorium we wtorek rano. Być może ktoś jeszcze skorzystał wtedy z okazji i przejechał niezauważony tam i z powrotem.

Na przykład Mary.

Która wróciła z laboratorium w poniedziałkowy wieczór.

Z wynikami analizy krwi przeprowadzonej na próbce, którą zawiózła tam poprzedniego wieczoru.

Wciskam hamulec i samochód zatrzymuje się z piskiem opon na środku ulicy. Carter, nagle rzucony do przodu wskutek gwałtownego hamowania, patrzy na mnie, opierając się jedną ręką o deskę rozdzielczą.

- Co ty wyprawiasz?

- To byłeś ty - mówię.

Gdy Mary została zepchnięta z tarasu, wcale nie wyjeżdżała z maszynopisem Virginii i próbką jej krwi do analizy ukrytymi w walizce.

Ona właśnie wróciła z wynikami.

- Wiedziałeś, że Virginia nie jest twoją babcią - mówię. - Mary pobrała jej krew i zawiózła próbkę do laboratorium jeden dzień wcześniej. Analiza twojej krwi była już zrobiona, więc mogli dość szybko je porównać. Wykluczono istnienie pokrewieństwa. A kiedy Mary ci o tym powiedziała...

- Zabiłem ją? - przerywa mi Carter. - Niby po co?

Bo chciał Hope's End. Zmienił pracę, mieszkanie, całe swoje życie. Tylko dlatego, że mógł być wnukiem niesławnej Lenory Hope i pewnego dnia odziedziczyć cały jej majątek. Kiedy Mary powiedziała mu, że nie są spokrewnieni, zrobił wszystko, aby ten fakt ukryć.

- Zrobiłeś to - mówię. - Zabiłeś Mary.

- Czy ja ci wyglądam na zabójcę?

Nie, nie wyglądam. Ale Virginia też nie. A jednak jest winny, tak samo jak ona. Jedyna różnica między nimi to ta, że ona jest teraz niegroźna.

W przeciwieństwie do Cartera.

Rzucam spojrzenie w głąb ulicy i rozważam swoje możliwości. Dom ojca stoi przy następnej przecznicy. Widzę ciepłe, zapraszające światło na werandzie. Mogę puścić się pędem w jego stronę z nadzieją, że Carter mnie nie dogoni, albo zmusić go, aby wysiadł z escorta, i szybko pokonać samochodem resztę drogi do domu. Wybieram plan B. Pozostanie we wnętrzu auta wydaje się najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

Wsadzam prawą rękę do kieszeni i znajduję korkociąg. Wyciągam go i wycelowuję ostry czubek w bok Cartera. Na ten widok podnosi rękę.

- Jezu, Kit. Nie musisz tego robić.

- Wysiadaaj – rzucam.

Trzymając ręce tak, żebym je widziała, Carter odpina swój pas bezpieczeństwa i pociąga za kłamał drzwi od strony pasażera. Otwierają się z ostrzegawczym piknięciem, bo silnik wciąż chodzi.

- Popelniasz błąd – mówi. – Przysięgam, że tego nie zrobiłem.

- Nie wierzę ci!

Ogarnia mnie gniew, krew tętni mi w żyłach, a skaleczenie na dłoni zaczyna pulsować. Okłamał mnie. Jak Virginia. Ból wywołany tą podwójną zdradą piecze niczym oparzenie trzeciego stopnia. Dżgam powietrze korkociągiem, zmuszając Cartera do cofnięcia się bliżej otwartych drzwi.

- Kit, proszę!

Znowu dżgam korkociągiem, tym razem robiąc wypad, tak że ostry czubek niemal dosięga szyi Cartera. Zaatakowany wytacza się z samochodu i stojąc na ulicy, woła za mną, kiedy czym prędzej odjeżdżam z bujającymi się jak złamane skrzydło drzwiami.

Zdając sobie sprawę, że Carter wciąż może mnie bez trudu dogonić, nie wjeżdżam na podjazd, tylko ładuję się przez chodnik na trawnik przed domem i hamuję z poślizgiem tuż przed frontowymi drzwiami. Wyskakuję z samochodu, słysząc głośnie i szybkie kroki, których echo niesie się po ulicy za moimi plecami.

- Kit, zaczekaj! – woła Carter.

Robię wręcz przeciwnie – ruszam pędem do drzwi frontowych, gwałtownym ruchem je otwieram i zaraz za sobą zatraskuję. Carter dopada ich w momencie, kiedy przekręcą zamek. Wali w nie, ciągle błagając:

- Kit, proszę! Nic nie rozumiesz!

Odsuwam się od drzwi, niepewna, co robić. Potrzebuję telefonu, żeby zadzwonić do detektywa Vicka, oraz wody utlenionej i bandaża, żeby opatrzyć rękę. I muszę znaleźć ojca, by w końcu wyznać mu prawdę o śmierci matki. Idę do salonu, spodziewając się zastać tam ojca zatopionego w jego fotelu La-Z-Boy i czekającego na mnie, tak jak kiedyś, gdy byłam nastolatką. Tyle że fotel jest pusty. Jak cały salon. I najwyraźniej reszta domu.

- Tato?

Idę korytarzem do sypialni, którą kiedyś dzielił z matką, a teraz sypia w niej sam. Zaglądam do środka i widzę walizkę na łóżku.

Która nie należy do niego. Jest mniejsza niż jego sfatygowana waliza, którą pamiętam z licznych wakacji rodzinnych.

Jest też ładniejsza. Z dobrej jakości skóry w kolorze ciemnego brandy. Jedyną skazą jest oderwany uchwyt, który zwisa beładnie, trzymając się tylko z jednej strony. Moje pole widzenia się zwęża i zewsząd napiera ciemność, aż mam wrażenie, jakbym wpatrywała się w głąb tunelu kolejowego. Ale na jego końcu nie widać światełka. Całą uwagę skupiam na wieku walizki, a w głowie mam coraz większy mętlik. Ręka drży mi tak bardzo, że ledwie udaje mi się je podnieść.

W środku widzę probówkę wypełnioną krwią i plik zapisanych na maszynie kartek. Przebiegam wzrokiem pierwszą linijkę na wierzchniej stronie.

To, co pamiętam najwyraźniej – i co wciąż wraca do mnie w koszmarach – to chwile, kiedy było już prawie po wszystkim.

Z gardła wrywa mi się szloch. Nie słyszę go, bo w uszach zbyt głośno dudni mi serce. Szok. Dziwne, że w ogóle bije, gdyż mam wrażenie, że zamarło mi w piersi.

Bo wiem, co zrobił mój ojciec, aby zdobyć tę walizkę.

I wiem dlaczego.

Przez całe życie wszyscy zwracali się do niego wyłącznie per „Pat”.

Ale naprawdę ma na imię Patrick.

Patrick McDeere.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że druga połowa jego imienia również może stanowić zdrobienie.

Ricky.

Ricky siedział w jednym ze skórzanych foteli przed kominkiem. Mój ojciec stał obok drugiego, zwrócony plecami do drzwi. Żaden z nich nie zauważył, jak wkradłam się do pokoju z błyszczącym nożem w wyciągniętej przed sobą ręką. Zdali sobie sprawę z mojej obecności dopiero, kiedy spytałam:

– Gdzie moje dziecko?

– Nie ma go, Virginio – odparł mój ojciec, nadal stojąc plecami do mnie, jakbym nie była warta nawet tego, by się do mnie odwrócić.

– Odzyskaj je.

– Na to już za późno, kochanie.

– Nie nazywaj mnie tak! – warknęłam, zaciskając dłoń wokół trzonka noża. – Nigdy więcej nie waż się tak mnie nazywać! A teraz mów, co się stało z moim synem.

– Zabrała go panna Baker. I już nie wróci.

– Co to znaczy?

– Że odeszła na dobre. – Ojciec powiedział to tak, jakby to była najrozsądniejsza rzecz na świecie. – Zgodziła się opuścić Hope's End z dzieckiem, znaleźć mu dobry dom i nigdy więcej nikomu nie wspomnieć o tym incydencie.

Przeszły mnie gorący, piekący ból. Zdałam sobie sprawę, że tak boli zdrada. Poczulałam się wtedy taka głupia. Tak bezdennie głupia, że uznałam pannę Baker za godną zaufania, podczas gdy jej zależało wyłącznie na sobie.

– Za ile? – spytałam, bo wiedziałam, że była jakaś cena.

– Nie tak dużo jak Patrick. – Mój ojciec spojrział na Ricky'ego. – Dobrze zapamiętałem, nieprawdaż? Patrick McDeere?

Ricky ciężko przelknął ślinę i skinął głową.

– Za pięćdziesiąt tysięcy dolarów pan McDeere wyjedzie, nigdy nie wróci i nigdy słowa nie piśnie o swoim bękarcie. Czyż nie tak, synu?

– Tak, proszę pana – wymamrotał Ricky, nie patrząc w moją stronę.

– Zmusiłeś go do tego – powiedziałam do ojca, po czym zwróciłam się do Ricky'ego: – Powiedz mu, że się nie zgadzasz.

Mój ojciec w końcu się odwrócił i popatrzył na moją udreconą twarz, ale zaraz potem jego spojrzenie przeskoczyło na dłoń, w której nadal ściskałam nóż.

– Posłuchaj, Virginio – odezwał się, nie odrywając oczu od ostrza. – To zupełnie niepotrzebne.

Ja z kolei nie spuszczałam oka z Ricky'ego.

– Powiedz mu! Powiedz mu, że mnie kochasz, że ucieknemy, odnajdziemy nasze dziecko i będziemy szczęśliwą rodziną.

– Ale on tego nie chce – wtrącił mój ojciec. – Prawda, synu?

– Kłamiesz! – I znowu zwróciłam się do Ricky'ego: – Powiedz mi, że on kłamie!

Ricky zaczął omiatać wzrokiem wszystko wokół. Nierozpalony kominek, swoje dlonie, dywanik ze skóry zebrzy pod stopami. Patrzył na wszystko, tylko nie na mnie.

– To prawda, Ginny – wymamrotał. – Przepraszam.

– Widzisz? – Ton mojego ojca zabrzmiał szokująco chępliwie. Nagle zdałam sobie sprawę, że on rozkoszuje się tą najgorszą chwilą w moim życiu. – Wiem, że teraz cierpisz, ale tak będzie najlepiej. Przecież nie chcesz, żeby taki śmieć jak on pociągnął cię za sobą na dno.

– Ale...

Tylko tyle zdołałam wykrztusić. Szok i rozpacz zacisnęły mi gardło. Nie uciszyły jednak noża w mojej dłoni.

Chciałam się rzucić na nich obu, nie dbając o to, którego zranię, jeśli tylko zadam komuś ból. Lecz zanim zdołałam zrobić krok, powstrzymał mnie łagodny uścisk na ramieniu tej ręki, w której trzymałam nóż.

Matka.

Zapewne wezwana przez moją siostrę.

Byłam zaskoczona, że nie leży w łóżku i że chodzi o własnych siłach, ona natomiast wcale nie wydawała się oszołomiona moim widokiem z nożem w ręku. Choć odzyskała przytomność pierwszy raz od wielu tygodni, doskonale wiedziała, co właśnie zawisło w powietrzu w pokoju bilardowym.

– Nie rób tego, kochanie – rzekła i z niepokojącą siłą wyluskała nóż z moich zaciśniętych palców. – Oni nie są wariaci tego, abyś z ich powodu zniszczyła swoje młode życie.

Pozwoliłam jej wyjąć mi nóż z ręki i osunęłam się na nią, szlochając. W jednej ręce trzymając nóż, a drugą gaskając mnie po włosach, zwróciła się do ojca.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, Winstonie? Cena poszła w górę. Jeśli dobrze pamiętam, zapłaciłeś tylko dwadzieścia pięć tysięcy, aby się pozbyć mężczyzny, którego kochałam.

– Mimo to przyjął pieniądze – odrzekł ojciec bez śladu łagodności w głosie. – Możesz mnie za to krytykować, ile chcesz... i pewnie nieraz to robiłaś... ale to była najlepsza rzecz, jaka mogła ci się przytrafić. Dzięki temu mogłaś wyjść za małż, udawać, że Lenora to moje dziecko, i zachować ceną reputację.

Jego słowa sprawiły, że w mojej matce nagle coś pękło. Widziałam, jak to następuje. Oczy jej pociemniały, a ciało zeszytniało. Stała bez słowa i bez ruchu, przypominając mi zegar, który niepokojąco zatrzymał się o północy.

A jednak jakaś jej cząstka nie przestała w niej tykać. To też widziałam. Coś jakby sprężyło się w jej umyśle, gotowe do skoku.

I nagle skoczyła.

Ku ojcu.

Z nożem w ręku.

Nie zatrzymała się, dopóki nie wbiła ostrza w jego bok.

Ojciec nie krzyknął, gdy nóż się w nim zagłębił. Ja zrobiłam to za niego, wydając z siebie ostry pisk, który poniósł się po pokoju piekielnym echem. Wciąż go słyszałam, gdy matka wyszarpnęła nóż z wnętrzości ojca, a on chwycił się za ranę i zatoczył na stół bilardowy. Spomiędzy jego palców sączyła się krew.

– Proszę, zabierz moją córkę z pokoju – powiedziała matka do Ricky'ego głosem tak spokojnym jak wiosenny poranek. – Teraz.

Ricky zerwał się z fotela i ujął mnie za rękę, choć nie miałam najmniejszej ochoty czuć jego dotyku. Byłam jednak zbyt oszołomiona i przerażona, by zrobić cokolwiek, i pozwoliłam mu wyprowadzić się z pokoju na korytarz, a stamtąd do holu.

– To sen, prawda? – powiedziałam bardziej do siebie niż do Ricky'ego. – To tylko straszny sen.

A jednak ten koszmar na jawie trwał, bo z pokoju bilardowego dobiegł nas chrapliwy charkot. Matka pojawiła się parę chwil później, wciąż trzymając w ręku nóż, teraz już karmazynowy. Krew pokrywała jej koszulę nocną i skapywała z dłoni wielkimi kroplami na podłogę holu.

Wyrwałam się z uścisku Ricky'ego i rzuciłam ku Wielkim Schodom, niczego nie pragnąc mocniej, niż znaleźć się na górze, leżeć w łóżku i być pogrążoną w głębokim śnie, by móc obudzić się następnego dnia ze świadomością, że to wszystko nigdy się nie wydarzyło. Matka zrobiła kilka kroków, powłóczęc nogami jak odurzona. Może też myślała, że to sen. Straszny, potworny, krwawy koszmar.

Gdy jednak wspięła się po schodach na podest, gdzie stał Ricky, przekonałam się, że to wszystko jest aż nazbyt realne – i że krew, którą matka jest uwalana, należy nie tylko do ojca.

Ale również do niej.

Przez rozcięcie w koszuli nocnej widać było otwartą ranę brzucha. Gdy tylko ją zobaczyłam, zrozumiałam, że matka zadała cios także sobie.

– Mamo! – krzyknęłam i ruszyłam z powrotem na dół.

Ricky, który wciąż stał na podeście, zawołał szorstko:

– Nie zbliżaj się, Ginny!

W pół drogi do niego stanęłam jak wryta, skonsternowana i przestraszona. Patrzyłam, jak Ricky podchodzi do mojej matki i wyjmuje jej z rąk umazany krwią nóż.

– Proszę – wyszeptwała do niego. – Proszę, skróć moją udękę.

Ricky pokręcił głową.

– Pani nie wie, co mówi.

– Wiem doskonale – rzuciła ostro. – Nie znasz mnie. Nie wiesz, ile wycierpiałam. Skąd miałbyś to wiedzieć? Jesteś tylko gnuśnym, bezwartościowym łajdakiem, który nigdy niczego nie osiągnie.

W jej oczach pojawiła się iskra determinacji, która mnie zaniepokoiła. Wiedziałam, co próbuje zrobić – i że Ricky się na to nabiera.

– Niech pani tak o mnie nie mówi – powiedział.

– Dlaczego? – spytała. – To przecież prawda. Urodziłeś się nikim, jesteś nikim i umrzesz nikim. Jesteś nic niewart.

Ricky zeszytniał, wszystkie mięśnie miał napięte.

– Nieprawda.

– Więc mi to udowodnij – zażądała. – Pokaż, że jesteś mężczyzną, a nie zwykłym...

Krzyknęłam, gdy z wysokości schodów ujrzałam, jak coś błysnęło w rękę Ricky'ego.

Nóż.

Reszta wydarzyła się tak szybko, że ledwie to sobie przypominam. Widać los się nade mną zlitował. To, co pamiętam... odgłos noża przesywającego pierś matki, jej bezwładne osunięcie się na podest... jest wystarczająco potworne.

Gdy było po wszystkim, zbiegłam ze schodów i przywarłam do boku matki. Było jasne, że jej rany są śmiertelne. Twarz miała błądą, wręcz białą, i wszędzie była krew. Wsiąkała w moją koszulę nocną, kiedy krzyczałam do Ricky'ego, żeby wezwał pomoc.

– Pomóż nam! Proszę!

Wciąż trzymał w rękę nóż. Przez chwilę wpatrywał się weń z niedowierzaniem, a potem spojrzał wprost na mnie i na moją umierającą matkę.

– Prze... przepraszam – wymamrotał. – Ja nie chciałem...

– Odejdź – wyszeptałam ochryple.

– Naprawdę, Ginny. Musisz mi uwierzyć.

– Wynos się! – Tym razem ryknęłam głosem pełnym bólu, gniewu i strachu.

Ricky upuścił nóż i wybiegł przez drzwi frontowe w ciemną noc.

Chwilę po tym, jak odszedł, odeszła też moja matka. Poczułam ostatnie uderzenie jej pulsu. Trzymałam ją za rękę i nie wypuściłam, nawet wtedy, gdy skóra stała się zimna. Nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić. Moi rodzice nie żyli. Dziecka nie było. Człowiek, którego do niedawna kochałam, uciekł. Jak ma dalej żyć ktoś, kto stracił wszystko?

Jedyne, co zdołało oderwać mnie od zwłok mojej matki, to nóż, który ją zabił. Wciąż leżał na posadzce holu, połyskując w świetle, jakby ze mnie drwił.

„No, weź mnie – zdawał się szeptać. – Musisz to zrobić, teraz. To dla ciebie najlepsze wyjście”.

Podeszłam, podniosłam go i przez chwilę zastanawiałam się, czy wbić go sobie w serce. Nie zrobiłam tego z obawy, że kiedy ostrze zatopi się w mojej piersi, nie znajdzie tam serca, które miało przebić.

Wyszłam więc na taras i opierając się porywom wiatru oraz strugom deszczu, cisnęłam nóż do oceanu. Coś, czym wyrządzono tyle krzywdy, zasługiwało, by znaleźć się tam, gdzie nikt tego nie znajdzie.

Mimo to nadal chciałam odebrać sobie życie. Choć nie, to nie całkiem tak. Czulałam, że muszę to zrobić. I tak wydawało mi się, że wszystko skończone. Nadzieje i marzenia, które pielęgnowałam w sercu, rozwiły się jak dym. Została po nich mroczna próżnia, z której nie widziałam wyjścia. Może i moje ciało wciąż żyło, ale dusza była martwa.

Najszybciej i najprościej byłoby rzucić się z tarasu, ale wtedy przepadałabym tak jak ten nóż, który właśnie cisnęłam we wzburzone fale. A ja chciałam, by mnie znaleziono, żeby ludzie zrozumieli głębię mojej rozpacz.

Postanowiłam pójść do garażu, gdzie przechowywano sznur. Chwyciłam długi zwój i wróciłam z nim do domu, do sali balowej. Wybrałam to miejsce, bo wydawało mi się najbardziej do mnie podobne. Piękne, owszem, ale także puste i zaniedbane.

Usłyszałam, że Lenora rozmawia w kuchni przez telefon, gorączkowo wzywając policję. Powinnam była wziąć pod uwagę, jak na nią wpłynie ta tragedia. To byli także jej rodzice. A w każdym razie matka. A ja byłam jej siostrą. Mimo to samolubnie ani razu nie pomyślałam, czy będzie opłakiwała ich albo mnie. Nie pomyślałam też o Archim, który na pewno bardzo by za mną tęsknił.

Wypchnęłam z głowy wszelkie myśli, stanęłam na krześle i podrzucałam sznur tak długo, aż kilka razy owinął się wokół jednego z ramion żyrandola. Potem zawiązałam sobie na szyi pętlę – najlepiej, jak umiałam.

Szarpnęłam za sznur, aby się upewnić, że nie odplącze się z żyrandola, zamknęłam oczy, wzięłam oddech, myśląc, że robię to po raz ostatni, i zeskokczyłam z krzesła.

I to już cała historia, Mary.

Nie tego się spodziewałaś, prawda? Ja też nie. Ale skoro już ją poznałaś, zrób z nią, co zechcesz. Opowiedz ją światu. Albo zachowaj dla siebie.

Teraz jest w twoich rękach.

Mam jednak nadzieję, że podzielił się nią z innymi, że ją rozgłosisz i jakimś cudem dotrze do mojego syna, gdziekolwiek jest. I że choć na krótko ponownie się spotkamy.

Rozdział 42

W oczach mam łzy i ledwo co widzę, jadąc z powrotem do Hope's End. Zaciskam palce na kierownicy, jakby to mogło poprawić mi widoczność. Przez głowę przebiega mi myśl, żeby przestać wyteżać wzrok. W ten sposób może zjadę z drogi, runę w przepaść, do oceanu, i uniknę konfrontacji z ojcem. Kusząca perspektywa, zważywszy na wszystko, co w tej chwili wiem.

Ale wtedy postąpiłabym jak Virginia.

Próbowałabym się zabić z powodu tego, co zrobił mój ojciec.

Ona przetrwała.

Ja też zamierzam.

Nie mam żadnego planu, nie wiem, co zrobię, kiedy dotrę do Hope's End. Nawet nie jestem pewna, czy właśnie tam pojechał ojciec, choć to najprawdopodobniejsza opcja. Zdradziłam mu przez telefon, że Virginia żyje, i przypadkowo go do niej doprowadziłam.

Ocieram oczy, mocniej chwytam kierownicę i dociskam pedał gazu, wjeżdżając swoim rozklekotanym escortem coraz wyżej w górę Klifów. Po drodze wypatruję Cartera, na wypadek gdyby postanowił odbyć tę długą wyprawę powrotną do Hope's End na piechotę. Gdy minął pierwszy szok wywołany świadomością, że to mój ojciec zabił Mary, pobiegłam do drzwi frontowych, mając nadzieję, że Carter wciąż tam czeka. Ale już go nie było. Moja pomyłka co do niego i wyrzucenie go z samochodu to jeden z większych błędów, które dziś popełniłam.

Żałuję też, że pośpiesznie przeczytałam znaleziony w walizce Mary maszynopis. Był o wiele dłuższy niż ten, który Virginia zdążyła napisać ze mną. To była naprawdę cała historia. Nie mogłam przerwać lektury, choć z żalu kręciło mi się w głowie.

Teraz rozumiem, dlaczego Virginia tak niechętnie ją opowiadała. Nie chciała być tą, która mi powie, kim jest mój ojciec.

I co zrobił.

A zrobił Virginii dziecko. Przyjął pieniądze od Winstona Hope'a, żeby na zawsze wyjechać. Zasztyletował Evangeline Hope z gniewu i litości. Zabił Mary, bo o tym wszystkim wiedziała.

Z tym najtrudniej mi się pogodzić – z faktem, że wciąż jest zdolny do popełnienia morderstwa. Nie mogę pozbyć się myśli, że czał się w cieniu rezydencji, aby uderzyć, jak tylko ujrzał Mary skradającą się przez taras. Wiem, że szła zobaczyć się z Carterem, bo w jej walizce znalazłam fiolkę z krwią Virginii.

Mój ojciec chwycił walizkę, a Mary popchnął i patrzył, jak wypada przez balustradę prosto w otchłań w dole.

Obawiam się, że Virginia będzie jego następną ofiarą.

Zwłaszcza kiedy docieram do Hope's End i widzę pikap ojca zaparkowany przed wciąż otwartą bramą. Nie umyka mi fakt, że resztę drogi postanowił przebyć pieszo. Wolał podkraść

się pod dom niezauważony, co prawdopodobnie zrobił też tamtej nocy, kiedy zabił Mary.

Ja nie mam powodu, by się ukrywać, więc się nie zatrzymuję.

Mijam bramę.

Jadę podjazdem.

Dojeżdżam do drzwi frontowych Hope's End, gdzie stoi Archie, zalany blaskiem przednich reflektorów niczym aktor na scenie. Na jego twarzy pojawia się ulga, kiedy widzi, że to ja wysiadam z samochodu.

– Ktoś tu jest – mówi ponaglącym szeptem. – Widziałem, jak idzie podjazdem.

– Wiesz, gdzie jest teraz?

Archie kręci głową.

– Cóż, i tak wiem, dokąd zmierza.

– Kto to jest?

– Ricky. – Urywam, po czym ostrożnie, żeby nie przytłoczyć go nadmiarem informacji, czego sama doświadczyłam dziś wielokrotnie, dodaję: – Który jest także moim ojcem.

Zanim Archie zdąży zareagować, wciskam mu do ręki kluczyki.

– Jedź do miasta. Idź na policję i spytaj o detektywa Vicka. On będzie wiedział, co robić.

– Ale co z tobą?

Ruszam po schodkach do drzwi.

– Nic mi nie będzie.

Nie boję się, że ojciec mnie skrzywdzi. Nie sądzę, aby posunął się do czegoś takiego. A skoro mnie nie zabije, to nie jest w stanie zranić mnie bardziej, niż już to zrobił. Obawiam się o Virginie. Jest całkowicie bezbronna – i stanowi dla niego ostatnie zagrożenie.

Zgodnie z planem, który ułożyłam na poczekaniu, zamierzam zapewnić Virginii bezpieczeństwo, a potem odwrócić uwagę ojca, żeby nie zdążył jej skrzywdzić, zanim przyjedzie detektyw Vick. Gdy Archie odjeżdża moim samochodem, wchodzę do Hope's End, gdzie wkrótce nastąpi zderzenie przeszłości Virginii z moją teraźniejszością.

Stojąc w holu, rozglądam się za jakąś oznaką, że ojciec tu jest. Może być wszędzie, także na zewnątrz. Niemniej wyczuwam go tutaj – jego cień z przeszłości, podążający swoimi śladami sprzed pięćdziesięciu czterech lat.

Stoi dokładnie tu, gdzie stoję ja.

Kipi z upokorzenia, wstydu i wściekłości.

Wbijają nóż w ciało Evangeline Hope.

To wyobrażenie jest tak sugestywne, że prawie słyszę ten straszny odgłos, jakby jego echo rozbrzmiewało w tym holu od tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku.

Nie słyszę za to dźwięków z teraźniejszości. Żadnych kroków ani poskrzypywania podłogi. To może znaczyć, że wszystko w porządku.

Albo że przyjechałam za późno.

Ta myśl popycha mnie w głąb korytarza, w stronę kuchni i schodów dla służby. Nie mogę się przemóc, by wejść na górę po Wielkich Schodach, splamionych krwią rozlaną przez mojego ojca. Nie żeby schody dla służby były lepsze. Jęczą pod moimi stopami, kiedy się po nich wspinam, jakby się mogły zawalić w każdej chwili. Co jest całkiem realne. Na ich szczycie

natychmiast odczuwam przechylenie domu. Podczas mojej krótkiej nieobecności stan jeszcze się pogorszył.

Skradam się korytarzem, dostosowując postawę ciała do nachylenia podłogi. Sięgam do kieszeni i wyjmuję korkociąg. Nie do wiary. To mój ojciec. Człowiek, który mnie wychował. Nie mogę sobie wyobrazić, żebym musiała się przed nim bronić. A jednak w tych okolicznościach czuję, że tak trzeba.

Zamiast wejść do pokoju Virginii, daję nura do własnego i ze zdumieniem odkrywam, jak inny mi się wydaje. Podłoga jest zauważalnie bardziej pochyła, co zmusza mnie do ostrożnego stawiania każdego kroku. Podchodząc do drzwi prowadzących do pokoju Virginii, zauważam, że materac zsunął się do nóg łóżka. Parę książek spadło z półki i wydaje się, że lustro na ścianie krzywo wisi, choć w rzeczywistości to reszta pokoju jest przechylona.

Drzwi do pokoju Virginii są zamknięte. Czy to sprawa mojego ojca, czy coraz większego przechyłu budynku – to się jeszcze okaże. Zaciskając palce na korkociągu, otwieram drzwi ze skrzyknięciem i zaglądam do środka.

W pokoju panuje półmrok rozjaśniany jedynie blaskiem księżycy wpadającym przez okna chylące się niebezpiecznie w stronę oceanu. W tym przytłumionym świetle widzę Virginie leżącą w łóżku, obudzoną i czujną.

Podbiegam do niej i szepczę:

– Mój ojciec tu idzie.

Wie, że mówię o Rickym.

Wiedziała od naszego pierwszego spotkania, kiedy ledwo zwracała na mnie uwagę, dopóki nie przedstawiłam się imieniem i nazwiskiem. Wtedy nagle się zainteresowała.

– Zabiorę cię stąd.

Odkładam korkociąg na stolik nocny i przywożę wózek inwalidzki z kąta. Szybciej byłoby wziąć ją na ręce i znieść ze schodów, ale znam swoje ograniczenia. Jedyna możliwość to wzięcie jej na dół z Wielkich Schodów w taki sam sposób jak podczas naszej niefortunnej wycieczki na dwór.

Ujmuję ją pod pachy i zaczynam przenosić z łóżka na wózek. Jestem w połowie drogi, kiedy słyszę dobiegający z korytarza hałas. Virginia też go słyszy i rzuca mi przestraszone spojrzenie. Obie rozpoznajemy ten odgłos.

Kroki.

Idące po schodach dla służby na górę.

Powoli.

Niepewnie.

Gdy tylko się rozlegają, wiem, że nadchodzi mój ojciec.

Zastygam na moment. Nie wiem, co robić. Nawet jeżeli zdążę posadzić Virginie na wózek, zanim on wejdzie do pokoju, na pewno zobaczy, jak próbuję ją stąd wywieźć. Ale pozostanie tu, gdzie jesteśmy, to także zły pomysł. A podtrzymując Virginie w pionie, nie dam rady obronić ani jej, ani siebie. Jej życie dosłownie spoczywa w moich rękach.

Virginia kiwa głową w kierunku ciemnego zakątka między ścianą a otomaną po drugiej stronie pokoju. Choć jest tam tak ciasno, że staruszka ledwo się wciśnie, może wystarczyć

miejsca, aby ją ukryć, jeśli mój ojciec tylko zajrzy do pokoju i pójdzie dalej. Poza tym jego kroki na skrzypiących schodkach są coraz głośniejsze, więc nie mamy innego wyjścia.

Zaciągam Virginię do kąta pod przeciwległą ścianą i tam ją zostawiam. Potem rzucam się do własnej kryjówki – swojego pokoju. Wciskam się w ciemny zakamarek, także z nadzieją, że pozostanę niezauważona. Przez otwarte drzwi widzę Virginię na podłodze obok otomany. Też w cieniu, ale nie najlepiej ukrytą.

Z korytarza tuż za moimi drzwiami dobiega mnie jakiś dźwięk.

Ojciec mija moją sypialnię, kierując się do pokoju Virginii.

Oczywiście wie, gdzie się znajduje.

Już tu był.

Gdy w końcu wchodzi do środka, muszę zakryć usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Przez cały ten czas w głębi ducha liczyłam, że się mylę, że to nie on, że mimo walizki Mary i tego maszynopisu to jednak nie będzie prawda.

Ale jego obecność tutaj wyklucza wszelkie wątpliwości.

Mój ojciec natychmiast dostrzega Virginię. Nie jest to trudne. Jej niezdolne do ruchu nogi wystają z ciemnego kąta, do którego ją wepchnęłam.

– Hej, Ginny – mówi. – Wieki minęły.

Głos ma spokojny, ciepły, niemal rozbawiony. Jak ktoś, kto spotyka dawno utraconą miłość. W innych okolicznościach jego słowa można by uznać za romantyczne. Jednak w tej sytuacji mrożą krew w żyłach.

– Podnieśmy cię z tej podłogi – dodaje.

Pochyla się, bierze Virginię na ręce i znosi ją do łóżka. Tak samo robił z mamą, kiedy choroba ją osłabiła. Przenosił ją z kanapy w salonie do ich sypialni. Serce mi topnieje, gdy patrzę, jak teraz trzyma w ramionach Virginię. A jednak nie opuszcza mnie świadomość, że człowiek okazujący taką czułość jest także zdolny do strasznych uczynków.

– Wciąż umiesz zaskoczyć faceta, Ginny – mówi, kładąc ją na łóżku. – To ci trzeba przyznać.

Sam przysiadł na krawędzi i ku mojemu zaskoczeniu ujmuje dłoni Virginii.

Prawą dłoń.

Wstrzymuję oddech, czekając, aż powie mi, że wie, że tu jestem i żeby mi się pokazała. Ale on zwraca się tylko do Virginii.

– Przez wszystkie te lata myślałem, że nie żyjesz. „Na kawałku sznura siostrę powiesiła”. Nie tak to idzie? W przeciwieństwie do wszystkich wiedziałem, że to nie Lenora. Wiedziałem, że sama to sobie zrobiłaś. Ale tak czy inaczej byłaś martwa. To dlatego nigdy nie wyjechałem z miasta. Nigdy nie czułem, że muszę się ukrywać. A już na pewno nigdy się nie bałem, że komuś powiedziałaś, co naprawdę się wtedy stało. Więc zostałem. Założyłem firmę. Poznałem wspaniałą kobietę. Urodziła nam się córka.

Kiedy to mówi, krew zastyga mi w żyłach.

Wie, że tu jestem.

Przypomina mi, po czyjej stronie powinnam być.

- Czuję się winny z powodu tego, co się stało - ciągnie. - I jeśli ma to jakieś znaczenie, naprawdę cię kochałem. A w każdym razie tak myślałem. I zamierzałem zachować się względem ciebie uczciwie. Ale byliśmy tacy młodzi, a ja tak bardzo się bałem. Kiedy twój ojciec powiedział mi, że dziecka już nie ma, i zaproponował pieniądze, poczułem ulgę. Przynajmniej znalazło się wyjście z tej sytuacji, chociaż wiedziałem, że sprawi ci ból. I naprawdę czasem o nim myślę. O naszym synu. Mam nadzieję, że jest szczęśliwy. Nie sądzę, aby to było możliwe, gdybyśmy zostali razem. To i tak by nie przetrwało, Ginny. Za bardzo się różniliśmy. - Delikatnie ściska jej dłoń, jakby chciał, żeby to do niej dotarło. - A co do twojej matki, to nie chciałem jej skrzywdzić, Ginny. Przysięgam. Ale coś we mnie pękło i nie panowałem nad sobą. Dużo myślałem o tamtej nocy. Nie ma dnia, abym nie żałował tego, co zrobiłem. Ale nauczyłem się z tym żyć. I wiedziałem, że choć popełniłem wielki błąd, nie zostanę za niego ukarany. I nagle w moim domu zjawiała się ta twoja pielęgniarka z pytaniem, czy zgodzę się na badanie krwi.

Jakimś cudem udaje mi się nie krzyknąć. W gardle rośnie mi wielka gęsia skórka. Przełykam ją, gdy sobie uświadamiam, skąd się tam wzięła.

Mary była w naszym domu.

W niedzielę wieczorem nie pojechała do laboratorium, tylko zobaczyć się z moim ojcem.

A ja tam wtedy byłem.

To właśnie ona z nim rozmawiała. Nie jego dziewczyna, o której nie chciał mi powiedzieć, ale Mary, z którą wiązała się jeszcze większa tajemnica. A kiedy następnej nocy wymknął się z domu, zrobił to, aby przyjechać tutaj.

- Powiedziała mi, że wie, że jako szesnastolatek pracowałem w Hope's End - ciągnie ojciec. - Wiedziała, że z Virginią Hope łączył mnie związek i że jestem ojcem jej dziecka, które jej odebrano, ale być może ma ono własne dziecko, które teraz chce się dowiedzieć, kim są jego prawdziwi dziadkowie. Wtedy zdałem sobie sprawę, że ty nadal żyjesz. Jesteś jedyną osobą, od której mogła się tego dowiedzieć. Boże, szkoda, że jej nie widziałas. Jaka była z siebie zadowolona. Dumna, że jest taka sprytna. A przecież nie wiedziała nawet połowy prawdy.

- Ale ja znam całą.

W przeciwieństwie do okrzyku zdumienia tych słów nie zdołałam stłumić. Za dużo wiem, by pozostać w ukryciu, i za dużo usłyszałam, by milczeć. Gdy wchodzę do pokoju Virginii, widzę, jak ręce ojca obejmują jej szyję i lekko się zaciskają.

- Ani kroku dalej, Kit-Kat - mówi. - Nie zrobię ci krzywdy i myślę, że o tym wiesz. Ale skrzywdzę ją, jeśli się zbliżysz.

Na widok jego dłoni - wielkich i silnych - wokół szyi Virginii staję jak wryta. Ale nie okazuję strachu. Strach można wyczuć. On mnie tego nauczył.

- Nikt więcej nie musi ucierpieć, tato - mówię. - Możesz to zakończyć.

Ojciec odwraca się do mnie z tym samym spojrzeniem, które miał w oczach tamtego ranka, kiedy w gazecie pojawił się artykuł o mnie. Jest w nim poczucie krzywdy, zdrady i wstydu.

- Nie jestem pewien, czy mogę, Kit-Kat. Za głęboko w tym ugrzęzłem.

- Dlaczego zabiłeś Mary? Skoro nie wiedziała wszystkiego, to po co było ją zabijać?

- Bo wiedziała wystarczająco dużo. Nie o morderstwach. A jeśli tak, to o tym nie wspomniała. - Znowu odwraca się do Virginii. - Opowiedziałas jej resztę, dopiero kiedy wróciła ode mnie. Wiem, bo później o tym przeczytałem. Napisałaś tak wiele stron... Preczytałem je wszystkie. Naprawdę jesteś dobrą pisarką, Ginny. Zawsze miałaś zadatki. Ale nie powinnaś była mówić jej wszystkiego. Nie powinnaś była zdradzać mojego cholernego nazwiska. Chociaż i bez tego wiedziałem, że ta dziewczyna stanowi problem. Więc się zgodziłem na to jej głupie badanie. Ale nie w domu. Nie przy córce. Powiedziałem, że następnego dnia późnym wieczorem przyjadę tu, do Hope's End, i kazałem jej zostawić otwartą bramę. Czekałem na nią na tarasie, w tym samym miejscu, w którym pierwszy raz spotkałem ciebie, Ginny. I kiedy przyszła z tą swoją walizką, zrobiłem to, co musiałem.

- A teraz? - pytam. - Co zamierzasz zrobić teraz?

- Nie wiem - odpowiada mój ojciec, choć jego dłonie wciąż oplatają szyję Virginii. - Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Więc przestań, tato. Proszę.

- Nie mogę. - Zaczyna zaciskać palce. - Nie mogę ryzykować, że powie komuś jeszcze.

- Nie powie - zapewniam go. - Nie może.

Ignoruje mnie.

- Przepraszam, Ginny - szepcze, gdy oczy Virginii wychodzą z orbit i zaczynają łzawić, a z jej gardła wydobywa się zduszony charkot. - Bardzo przepraszam.

- Tato, przestań!

Rzucam się na niego, próbując go powstrzymać. Choć ma siedemdziesiąt lat, jest wystarczająco silny, aby odepchnąć mnie jedną ręką. Zataczam się do tyłu na wózek inwalidzki i przewracam się razem z nim. Leżąc na podłodze, widzę, jak dłonie ojca znów wyciągają się ku szyi Virginii.

Oplatają ją. Ściskają.

I wtedy zauważam ręce Virginii.

Prawa leży na łóżku, nieruchoma.

Lewa trzyma korkociąg, który chwyciła ze stolika nocnego.

Z całej siły, jaką jest w stanie z siebie wykrzesać, Virginia robi zamach, korkociąg przecina powietrze i wbija się w bok brzucha napastnika. Mój ojciec wyje z bólu i odrywa dłonie od gardła Virginii. Patrzy na swój bok, z którego wystaje korkociąg, a na koszuli wokół niego wykwitają ciemne plamy krwi.

Nim zdąży go dotknąć, zrywam się z podłogi, wyciągam rękę i łapię za uchwyt. Szarpnięcie i korkociąg wysuwa się z ciała z chlupotem krwi. Wymachując nim jak nożem sprężynowym, rzucam ostro:

- Nie dotykaj jej więcej.

Ojciec przyciska dłoń do skaleczenia. Jest ranny, ale nie poważnie. Nawet wyrywa mu się smutny chichot.

- Chyba na to zasłużyłem.

- Tak - odpowiadam, zszokowana tym, że w jednej sylabie można zawrzeć pół roku goryczy i rozczarowania.

– Gdybym był lepszym ojcem, nie trafiłabyś tutaj. Nie poznałabyś Ginny. Nic byś o tym nie wiedziała.

– Odrząciłeś mnie. – Usiłuję ukryć swój smutek, ale na próżno, bo głos mi się łamie. – Potrzebowałam cię, tato. Kiedy mama umarła, to cię, kurwa, potrzebowałam! Bo to, co jej się stało, było straszne. Ale... – Urywam, niepewna, czy zdołam powiedzieć to, co powiedzieć trzeba.

Nawet teraz.

Nawet tutaj.

– Ale miałeś rację, że we mnie wątpiłeś. Zostawiłam te pigułki na wierzchu. I choć mama przysięgała, że weźmie tylko jedną, ja wiedziałam, że może połknąć je wszystkie.

– Nie – mówi ojciec. – Nie mów tak, Kit-Kat.

– Ale to prawda.

– Nie. Nie powinnaś się obwiniać. Robisz to przeze mnie. Nie powinienem był cię tym obarczać ani pozwalać, aby to zaszło tak daleko. Powinienem był wszystko wyznać i zatrzymać ten obłąd, gdy tylko opublikowali tamten artykuł.

Nagle nie jestem już w Hope's End. To przeklęte miejsce znika mi sprzed oczu, a ja widzę swój dom i siedzącego przy kuchennym stole ojca z gazetą w ręku. Podnosi na mnie zwiłgotniałe oczy i mówi: „To, co mówią, nie jest prawdą, Kit-Kat”.

Nie powiedział tego, bo chciał, żeby to była prawda.

Powiedział to, bo to była prawda.

Wiedział, że nie podałam matce tych pigułek.

Bo on to zrobił.

Rozdział 43

Szok i rozpacz.

To wszystko, co czuję.

Nie gniew. Nie smutek. Tylko te dwie skrajności – szok i rozpacz – żywiące się sobą nawzajem, zlewające się w coś, czego nie potrafię opisać, bo nigdy dotąd tego nie czułam, i modłę się, żeby nikt inny nie musiał tego doświadczać. Mam wrażenie, jakby każda część mnie – mózg, serce, płuca – została wyrwana z mojego wnętrza, jakbym była kompletnie pusta.

To, że wciąż stoję, to jakiś cud.

Nie mogę myśleć.

Nie mogę mówić.

Nie mogę się ruszać.

Mój ojciec, wciąż dysponujący wszystkimi tymi zdolnościami, robi krok w moją stronę, rozkładając ręce, jakby chciał mnie objąć, ale wie, że jeśli to zrobi, rozpadnę się na kawałki.

– Przepraszam, Kit-Kat – mówi. – Wiem, że chciałaś być z nią dłużej. Ja też. Ale ona tak bardzo cierpiała. Cały ten ból. Zrozumiałem, dlaczego zostawiłaś te pigułki na wierzchu. Bo już nie mogłaś znieść jej cierpienia. Żadne z nas nie mogło. Więc postanowiłem położyć mu kres.

Nie chcę tego słuchać. A jednak, choć wszystkie funkcje ciała mnie zawiodły, pozostał mi słuch. Nie mam wyboru, muszę wysłuchać każdego słowa.

– Nie zmusiłem jej do tego. Połknęła je z własnej woli. Oboje wiedzieliśmy, że tak będzie lepiej. Nie chciałem jednak, żadne z nas tego nie chciało, aby obwiniono o to ciebie. Kiedy tak się stało, nie wiedziałem, co robić. Ale możesz mi wierzyć, że nie pozwoliłbym, aby Richard Vick cię aresztował, Kit-Kat. Poprzysiągłem sobie, że się przyznam, jeśli do tego dojdzie. Tak się nie stało. Więc milczałem, bo wiedziałem, że znenawidziłabyś mnie, gdybyś się o tym dowiedziała.

Ma rację, nienawidzę go. W końcu trzecia emocja, i to taka, która przyćmiewa szok i rozpacz. Te dwie stają się tylko szumem w tle, gdy na pierwszy plan wychodzi nienawiść. Ale to nienawiść pełna bólu. Ostra i paląca. Jakby to mnie właśnie dźgnięto.

Sama nie wiem, co boli mnie bardziej – to, że on i matka postanowili zakończyć jej życie, nie mówiąc mi o tym, a przez to odmawiając szansy na pożegnanie, czy raczej to, że milczał, kiedy przyszła po mnie policja, kiedy wszczęto oficjalne dochodzenie i kiedy zawieszono mnie w pracy.

– To dlatego nie potrafiłem z tobą potem rozmawiać – ciągnie ojciec. – Nie mogłem spojrzeć ci w oczy, wiedząc, co zrobiłem i że to przeze mnie cierpisz.

Wreszcie udaje mi się odzyskać głos.

- A jednak tego nie przerwałeś. Pozwoliłeś, aby wszyscy myśleli, że zabiłam własną matkę.
Gorzej: pozwoliłeś, żebym sama tak myślała.

- To był błąd - mówi. - Myliłem się.

Robi kolejny krok w moją stronę, krzywiąc się z bólu, gdy dotyka swego boku. W każdej innej sytuacji włączyłby mi się instynkt opiekunki. Obejrzałabym ranę, postarałabym się ją oczyścić i zatrzymać krwawienie. A jednak stoję w kompletnym bezruchu. Jego rana jest niczym w porównaniu z moją.

Być może stałabym tak bez końca, gdyby nie pewien odgłos, który dobiega z korytarza. Ostry szczęk wieńczący ładowanie strzelby, po którym do pokoju wkracza Lenora Hope. Na ten dźwięk mój ojciec unosi ręce i odwraca się w jej stronę.

- Witaj, Lenoro - mówi.

Lenora wycelowuje lufę w jego pierś.

- Coś ty za jeden? Skąd się tu wzięłaś?

- Jestem Patrick.

W przeciwieństwie do mnie Lenora z łatwością łączy imię mojego ojca z chłopcem, którego jej siostra kochała wiele lat temu. Mimo upływu lat pamięta nawet, że to on, a nie Virginia, jest odpowiedzialny - przynajmniej częściowo - za przemoc, która doprowadziła do śmierci jej rodziców.

- To przez ciebie - mówi.

Ojciec odpowiada krótkim skinieniem głowy.

- W dużej mierze tak.

- Daj mi choć jeden powód, żebym cię teraz nie zastrzeliła.

- Moja córka nie powinna tego oglądać - odpowiada mój ojciec, wskazując mnie ruchem głowy.

Lenora spogląda na mnie zdumiona.

- Wiedziałaś?

Kręcę głową. Patrząc na mnie, opuszcza strzelbę i lufa mierzy teraz w podłogę. Ojciec natychmiast korzysta z okazji, rzuca się naprzód i wypycha Lenorę na korytarz.

- Nie! - krzyczę, choć sama właściwie nie wiem do kogo. I nie przestaję tego robić, chociaż oboje mnie ignorują, zbyt zdeterminowani, by się nawzajem pokonać. Mogę tylko wybiec za nimi, nadal krzycząc i patrząc na rozgrywającą się przede mną scenę jak na wypadek samochodowy odtwarzany w zwolnionym tempie.

Mój ojciec rzuca się na Lenorę.

Wpada na nią. Lufa strzelby porusza się, unosi, wypala.

Następuje huk i uderzenie gorąca. Kawał ściany za moim ojcem eksploduje cząstkami tynku, drewna i tapety. Mój ojciec i Lenora, wciąż zwarci ze sobą, zbliżają się do szczytu Wielkich Schodów.

On się zatrzymuje. Ona nie.

Spada na plecy i wypuszczając z rąk strzelbę, koziołkuje po schodach aż na sam podest. Przeciskam się obok ojca i zbiegam z Wielkich Schodów, ale zatrzymuję się już po kilku stopniach, bo nagle czuję coś dziwnego.

Cała klatka schodowa drży.

Tak jak i cały dom.

Rozglądam się z nagłym przestraszaniem. Żyrandol w holu kołysze się w przód i w tył. Na górze, na drugim piętrze, z łoskotem przewracają się meble. Z dołu, z głębi ziemi, dobiega niski pomruk, jak gdyby budziła się tam jakaś bestia. Instykt podpowiada mi, że zostały minuty, może sekundy.

A potem Hope's End runie.

– Niech pani ucieka z domu! – wołam do Lenory. – Ja idę po Virginie.

Odwracam się i ruszam po schodach na górę. Trzęsą się tak bardzo, że nie daję rady ustać na nogach i muszę wchodzić na czworakach.

Docieram w ten sposób na pierwsze piętro, gdzie mijam ojca i gramolę się dalej.

– Co ty wyprawiasz?! – woła, próbując przekrzyczeć coraz głośniejszy pomruk ziemi i towarzyszący mu ogłuszający łoskot.

– Ratuje Virginie!

– Nie zdążysz!

Chwyta mnie za ramiona. Usiłuję mu się wyrwać.

– Zdążę, jeśli mi pomożesz!

Patrzmy sobie w oczy. To jedno spojrzenie wyraża poczucie winy i żal nagromadzone przez całe życie. Nie potrzeba słów.

– Proszę – mówię. – Jesteś mi to winien. Jesteś to winien jej.

Mruga gwałtownie, jakby wyrwany z transu. Potem rozluźnia uścisk i w milczeniu rusza do sypialni Virginii.

Wbiegam za nim do środka; pokój buja się jak zepsuta karuzela w wesołym miasteczku. Przechył, dotąd często odczuwalny, lecz rzadko widoczny, odszedł w niepamięć. Teraz podłoga jest jak równia pochyła, a pokój zmienił się w tor przeszkód. Wszystkie meble, łącznie z łóżkiem, na którym wciąż leży Virginia, zaczęły zsuwać się w stronę okien.

Mój ojciec chwyta ją za ramiona, a ja za nogi. Podnosimy ją wspólnymi siłami i wynosimy z pokoju, czując, jak cały dom się kołysze. Słyszę, jak za moimi plecami puste łóżko zsuwa się po podłodze i z głuchym odgłosem uderza w ścianę.

W korytarzu wazony spadają z piedestałów i roztrzaskują się na podłodze, a obrazy kołyszą się na ścianach.

Z zewnątrz dobiega łoskot cegieł spadających na dach i taras z walących się jeden po drugim kominów Hope's End.

Zbiegamy z Wielkich Schodów, starając się nie upuścić Virginii, bo schody też się chybczą i uciekają spod stóp. Na podeście ojciec zarzuca ją sobie na ramię, więc mam wolne ręce, aby pomóc Lenorze.

Ona jednak nie chce się ruszyć.

– Musimy uciekać! – krzyczę. – Już!

Lenora kręci głową.

– Nigdzie nie idę.

Jej słowa są tak niedorzeczne, że w pierwszej chwili myślę, że to żart, choć nie ma nic zabawnego w tym, że Hope's End właśnie wali się w gruzy. Kiedy jednak Lenora nawet nie próbuje dotrzeć do drzwi, zdaję sobie sprawę, że jest śmiertelnie poważna.

– Nie mogę opuścić tego domu – mówi. – I nie opuszczę.

– Lenoro, posłuchaj mnie – mówię, potrząsając ją za ramiona, żeby wbić jej trochę rozsądku do głowy. – Umrzesz, jeśli tu zostaniesz.

Niepotrzebnie tracę czas i strzępię sobie język. Przecież ona to wszystko wie.

– Ja już stąd kiedyś uciekałam. Teraz kolej Virginii. – Lenora dotyka mojej dłoni i posyła mi smutny uśmiech. – Czekala wystarczająco długo. Zaopekuj się nią, Kit.

Lenora Hope odpycha mnie lekko, nim zdążę zareagować. Nie ma czasu na dyskusję. Mogę już tylko zbiec po Wielkich Schodach i przeskakując nad zygzakami pęknięć w posadzce holu, dogonić ojca z Virginią na dworze.

Niesie ją, dopóki nie docieramy do miejsca, gdzie grunt już nie drży nam pod stopami. Wtedy kładzie ją na trawie, a ja przyklękam obok niej i szukam oznak obrażeń. Niesamowicie, ale nie licząc rany w boku mojego ojca, cała nasza trójka wyszła z tego bez szwanku.

Sięgam ręką do jego koszuli.

– To poważna rana? – pytam.

Odsuwa moją dłoń. Robi to łagodnie, powoli, jakby rozkoszował się tym dotykiem.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Kit-Kat – mówi i całuje mnie w policzek. – Zawsze taka byłaś. Powinienem być częściej ci to mówić. Teraz tego żałuję. I wielu innych rzeczy. Ale ty? Ty zawsze byłaś moją dumą i radością.

A potem odwraca się w stronę domu i bez wahania wchodzi do środka.

Podrywam się, by za nim pobiec, ale Virginia chwytą mnie za nadgarstek i kurczowo zaściska palce, przypominając mi, że wciąż jestem jej opiekunką. Mogę tylko krzyknąć, prosząc ojca, żeby zawrócił, i patrzeć przez wciąż otwarte drzwi, jak dołącza do Lenory na Wielkich Schodach. Nie spoglądają na siebie i nie pocieszają się nawzajem.

Po prostu siedzą.

Gdy wokół nich spadają odłamki sufitu.

Gdy witrażowe okno nad podestem rozpada się pod wpływem naprężenia.

Gdy cały dom dygocze, jakby miotają nim przedśmiertne drgawki.

W końcu mój ojciec i Lenora splatają dłonie i wtedy widzę ich po raz ostatni, bo nagle drzwi frontowe się zatrząskują.

A potem, wśród pomruków, trzasków i ogłuszającego rumoru, Hope's End idzie za przykładem osuwającego się klifu i wpada do oceanu.

Rozdział 44

Z pokoju Virginii płynie muzyka.

The Go-Go's podoba jej się bardziej, niż sądziłam.

A może po prostu cieszy ją to, co dla niej nowe. Długo nie miała dostępu do nowoczesnej technologii, więc teraz ekscytuje się wszystkim tym, co ja znam od lat i dlatego nie robi na mnie wrażenia. Przede wszystkim mój boombox. Przeważnie gra bez przerwy. Ale także telewizor, który wprawił ją w zachwyt, kiedy włączyłam go jej po raz pierwszy. Przez całą noc oglądała wszystkie programy jak leci. Tak samo zareagowała, gdy ją zabrałam do kina na *Powrót Jedi*, choć żadna z nas nie rozumiała, o co w tym filmie, do diabła, chodzi. Po prostu rozkoszowaaliśmy się widowiskiem.

Przystając w drzwiach nowego pokoju Virginii. Kiedyś należał do mnie, ale teraz w niczym nie przypomina miejsca, w którym dorastałam. Archie i Kenny pomogli mi pozbyć się tej ohydnej kwiecistej tapety i pomalować ściany na kojący odcień lawendy. Moje stare meble zastąpiły sprzęty bardziej odpowiadające potrzebom Virginii. Nowy podnośnik. Nowoczesny wózek inwalidzki. Podarowane przez miejscowy szpital łóżko, którego oparcie Virginia może podnosić i opuszczać przy pomocy naciskanego lewą ręką guzika.

Ja przeniosłam się do dawnej sypialni rodziców. Na taką zmianę nie byłam przygotowana. Przez kilka pierwszych nocy dziwnie mi było spać po drugiej stronie korytarza, w większym łóżku i większym pokoju niż kiedykolwiek przedtem. Ale przyzwyczajam się z każdym dniem coraz bardziej. Jak dotąd miałam tylko dwa koszmary o matce.

Ani jednego o ojcu.

I mam nadzieję, że tak pozostanie.

Po tym, co się wydarzyło w Hope's End, było oczywiste, że Virginia zamieszka ze mną. W końcu wciąż jestem jej opiekunką. Poza tym nie miała się gdzie podziać. Mogła zostać albo u mnie, albo w domu opieki w stylu Ocean View.

Pierwsze dni były ciężkie i pełne napięcia. Obie przeżywałyśmy żalobę. Virginia straciła siostrę i jedyny dom, jaki знаła. Ja straciłam ojca, jedynego pozostałego mi rodzica, oraz złudzenie tego, kim był. Po dwóch miesiącach życie stało się nieco bardziej znośne.

Dobrze, że wciąż mamy wsparcie Archiego. Dostał pracę w kuchni eleganckiego hotelu dwa miasta dalej i zagląda do nas co wieczór po zakończeniu swojej zmiany. A to znacznie więcej, niż można powiedzieć o reszcie dawnych mieszkańców Hope's End. Jessie jakby się rozplynęła w powietrzu i nie raczyła się do nas odezwać, nawet kiedy to, co się stało, trafiło na nagłówki gazet na całym świecie.

Co do Cartera, to cóż, kiepsko mu idzie wybaczenie i puszczenie urazy w niepamięć. Nie winię go, serio. Przecież oskarżyłam go o morderstwo i zostawiłam na lodzie, daleko od domu. Gdy wreszcie dotarł do Hope's End, cała posiadłość nie istniała już od kilku godzin. To, co

niegdyś było jego domkiem, stało się częścią olbrzymiej sterty gruzu zaśmiecającej spienioną wodę Atlantyku.

Próbowałam go przeprosić – tamtej nocy i drugi raz później, kiedy poszłam do baru, w którym zaczął pracować na pół etatu. Powiedział, że rozumie, dlaczego go podejrzewałam. Dodał nawet, że mi wybacza. Ale wiedziałam, że jego słowa nie były zupełnie szczerze. Zrobił to, bo po prostu chciał, żebym już się wyniosła.

Więc to zrobiłam. I on też, bo wkrótce potem wyjechał z miasta, żeby odszukać swoją biologiczną rodzinę. Życzę mu szczęścia. Mam nadzieję, że znajdzie zakończenie, którego potrzebuje.

Sobie życzę tego samego.

Podobnie jak Carter jestem kiepska w wybaczeniu. Mimo że ojciec pomógł mi uratować Virginie, nadal nienawidzę go za to, co zrobił, tak jak nienawidzę siebie za to, że wciąż go kocham. Teraz wiem, że Archie miał rację: można czuć jedno i drugie naraz. Kiedy przyjdzie wieczorem, powinnam go spytać, jak sobie z tym radził.

Tymczasem jednak muszę się skupić na Virginii. Wśród jej nowych rzeczy jest elektryczna maszyna do pisania, której używa sporadycznie, głównie jako dodatkowego narzędzia komunikacji. Jak dotąd nie okazywała chęci do opisanie reszty swojej historii. Myślę, że nie czuje takiej potrzeby, skoro i tak wszyscy już ją znają.

Pierwsze morderstwa w Hope's End zostały przyćmione przez historyczny krach na giełdzie i początek wielkiego kryzysu, ale tym razem media nie odpuściły. Sensacyjne doniesienia o zawałeniu się rezydencji, winie mojego ojca i Virginii Hope, która przez kilkadziesiąt lat żyła pod nazwiskiem swojej siostry, były wszędzie. Nadal zdarzają się telefony od dziennikarzy proszących o rozmowę z Virginią.

Moja standardowa odpowiedź brzmi wówczas: „Przykro mi, nie może w tej chwili rozmawiać”.

Czasem jednak wołałabym, żeby mogła. Myślę, że dobrze by jej zrobiło wyrażenie tego, co czuje w związku z tym, co ją spotkało. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak zdołała to wszystko znieść: odebranie jej dziecka, zabicie matki przez jej kochanka i ukrywanie jej przez własną siostrę. Moja osobista trauma wydaje się przy tym dziecinną igraszką.

Jednak w tej chwili Virginia promienieje wyłącznie szczęściem, siedząc w swoim wózku i słuchając miarowego rytmu odtwarzanej piosenki.

Our Lips Are Sealed.

To jedna z jej ulubionych.

– Wezmę szybki prysznic – mówię, kiedy przyłapuje mój wzrok. – Potrzebujesz czegoś?

Virginia odpowiada pojedynczym stuknięciem i wraca do słuchania muzyki. Idę do łazienki, gdzie odkręcam wodę pod prysznicem i czekam, aż popłynie ciepła. Wtedy przychodzi mi do głowy ta sama myśl co zawsze, gdy jestem sama i nie mam nic do roboty.

Gdzieś tam mam przyrodniego brata.

Być może.

Nigdy się nie dowiem, czy nadal żyje. A jeśli tak, to gdzie jest. Ani czy ma własną rodzinę. Wspólnie z Archie'm próbujemy się dowiedzieć, co stało się z prawdziwą panną Baker, bo

mamy nadzieję, że ta informacja może nas doprowadzić do syna Virginii, a mojego przyrodniego brata. Trzymamy te poszukiwania w tajemnicy przed Virginią, żeby niepotrzebnie nie wzbudzać w niej nadziei.

Jak dotąd ta dyskrecja jest uzasadniona. Udało nam się odkryć, że około tysiąc dziewięćset trzydziestego roku panna Baker wyszła za mąż i się przeprowadziła. Dokąd, tego nie wiemy. Nazwiska jej męża również nie znamy. W tej chwili możemy jedynie czekać i mieć nadzieję, że dotrze do nas więcej informacji.

Myszę, że to by Virginie ucieszyło.

Mnie też.

Chociaż formalnie nie jesteśmy spokrewnione, jest jedyną rodziną, jaka mi pozostała.

Go-Go's wciąż grają, kiedy wychodzę spod prysznic. Muzyka niesie się po korytarzu, kiedy się wycieram i wkładam dzisiejszy mundurek. Dżinsy, wygodną bluzkę i rozpinany sweter. Koniec z pielęgniarzką bielą.

Przechodzę przez korytarz, przeczesując palcami wciąż wilgotne włosy.

– Hej, Virginio, jaki smak owsianki chciałabyś na...

Zastygam w progu. Choć muzyka wciąż gra, a wózek inwalidzki stoi tam, gdzie go zostawiłam, samej Virginii nie ma. Głupio rozglądam się po pokoju, jakby ona tylko się gdzieś zapodziała, a nie całkiem zniknęła.

Przy drzwiach frontowych znajduje się stolik, na który zwykle odkładam korespondencję i kluczyki samochodowe. Teraz leży na nim pojedyncza kartka, a na niej widnieje sześć napisanych na maszynie linijek.

Wstrzymuję oddech.

Podnoszę kartkę i zaczynam czytać.

Virginia Hope sześćdziesiąt dziewięć lat miała,
Gdy do swej opiekunki liścik napisała.
Dziękuję, kochana, żeś mnie ocaliła,
Ale czas, bym Cię od siebie uwolniła.
Odchodzę zatem z podniesionym czołem,
Dumna, że wszystkich wywiodłam w pole.

Moja najdroższa Kit,

mam nadzieję, że nie jesteś zaskoczona tym listem. I w głębi ducha wiedziałaś, że jeszcze się z Tobą skontaktuję. Widzisz, moje odejście w taki, a nie inny sposób było najlepszym rozwiązaniem, choć bardzo źle się z tym czułam. Bałam się jednak, jak zareagujesz, kiedy dowiesz się prawdy.

Niemniej zawsze podejrzewałaś, że jestem sprawniejsza, niż dają po sobie poznać. Moje milczenie i bezruch sprawiały, że dla większości ludzi byłam prawie niewidzialna.

Ale Ty, Kit, naprawdę mnie widziałaś.

I już znasz prawdę. Umiem chodzić, mówić i władać całym swoim ciałem. W tej chwili zapewne się zastanawiasz, dlaczego tak długo udawałam, że tego nie potrafię. Powodów jest wiele, a głównym ten, że zabrakło mi woli życia.

Jak wszyscy inni byłam zaskoczona faktem, że przeżyłam próbę samobójczą. Byłam też rozczarowana. Zdarzył się cud, ale ja żałowałam, że nie umarłam. Wolałabym nie żyć. Tak bardzo pragnęłam słodkiej ulgi śmierci, że udawałam martwą. Po prostu leżałam bez ruchu, próbując nie oddychać.

Doktor Walden był głupi, być może jednak nie pomylił się w swojej diagnozie aż tak bardzo. Bo coś naprawdę było ze mną nie tak, choć nadal nie jestem pewna, czy pod względem fizycznym, psychicznym, czy emocjonalnym. Możliwe, że pod każdym po trochu, co dało efekt paraliżujący, choć tak naprawdę sparaliżowana nie byłam. Wiem tylko, że czułam się pozbawiona życia, niema i odrętwiała. I w takim stanie trwałam.

Być może pozostałabym taka na zawsze, gdyby nie Archie, który mnie nie odstępował. „W końcu ci się polepszy, Ginny – szeptał mi często. – Jestem tego pewny. A wtedy odnajdziemy twojego syna”.

Zaczęłam się zastanawiać, czy ma rację i czy to możliwe, że pewnego dnia znajdę swojego synka. Im więcej o tym myślałam, tym wyraźniej czułam, że gdzieś w środku wciąż tli się iskierka dawnej mnie.

Nie wyjawiając tego Archie'emu, postanowiłam zmusić swe ciało do odzyskania sprawności. Zaczęłam od poruszania palcami u lewej ręki, a w końcu po wielu, wielu latach mogłam – w tajemnicy – chodzić po pokoju.

Przypuszczam, że pierwsze pytanie, jakie przychodzi ci do głowy, brzmi: dlaczego nie opuściłam wtedy Hope's End?

Chciałam to zrobić. Chciałam tak wielu rzeczy. Podróżować. Biegać, tańczyć i śpiewać. Wychowywać dziecko, które tak okrutnie mi ukradziono.

Ale obawiałam się tego, co jest za murami Hope's End. Wiedziałałam, że świat bardzo się zmienił od czasów mojej młodości. Bałam się, że nie zdołam się w nim odnaleźć. A Hope's End znałam i ta swojskość napawała mnie otuchą. Nawet więzienie staje się twoją ostoją, jeśli nie znasz niczego poza nim.

Drugie pytanie, które na pewno sobie w tej chwili zadajesz, to dlaczego nie powiedziałam przynajmniej Archie'emu, że umiem się poruszać, chodzić i mówić.

Odpowiedź na nie jest nieco bardziej samolubna. Nie powiedziałam mu, bo się bałam, że jeśli będzie o tym wiedział ktoś jeszcze, to dowie się i moja siostra. A po jej powrocie z Europy, gdzie prowadziła życie, o jakim od dawna marzyłam, chciałam ją ukarać. Oto brutalna prawda na ten temat.

Na początku myślałam o tym, żeby ją po prostu zabić. Za to morderstwo z radością wzięłabym na siebie winę.

Ale śmierć jest szybka.

A ja chciałam, aby jej kara trwała bardzo, bardzo długo.

Stałam się więc jarzmem, za które mnie uważała. Sądziła, że to ona karze mnie, trzymając nas obie w tym domu. W rzeczywistości karała tylko siebie, a ja z przyjemnością na to patrzyłam. Możesz to uznać za pewną odmianę gry, do której zmuszał nas ojciec. W końcu wygrałam. Trzymałam Lenorę w jej pokoju przez ponad pięćdziesiąt lat.

Ale nie chodziło wyłącznie o urazę, jaką żywiłam do siostry. Zostałam w Hope's End głównie dlatego, że chciałam być w miejscu, w razie gdyby mój syn kiedykolwiek postanowił mnie tam szukać. Bałam się, że jeśli

odejdę, nigdy nie dowie się, gdzie jestem, i nigdy nie zdoła mnie odnaleźć.

Nadzieja na to spotkanie była dla mnie wystarczającym powodem, by czekać.

Postanowiłam zatem nadal udawać bezradną, choć mogłam tak wiele. Zdumiewające, że nikt tego nie zauważył, nawet te wszystkie pielęgniarki, które miałam przed sobą. Było ich tyle, że zapomniałam imiona i twarze większości z nich. Podejrzewam, że też byłam dla nich niewarta zapamiętania, bo rzadko która zwracała na mnie większą uwagę. Owszem, wywiązywały się z podstawowego obowiązku utrzymywania mnie przy życiu. Ale zaledwie kilka traktowało mnie jak prawdziwego człowieka. Kogoś, kto myśli, czuje i ma w sobie ciekawość. Przypuszczam, że w pewnym stopniu przyczyniło się do tego moje milczenie. Kiedy się nie odzywasz, to cię ignorują. Więc byłam ignorowana.

Oczywiście prawie wszystkie te pielęgniarki panicznie się mnie bały. Nie winię ich, naprawdę. Też bym się bała, zważywszy na te liczne pogłoski krążące na mój temat. Żadna nie była zainteresowana poznamieniem prawdy. Nawet te, które uważały mnie za wartą odrobiny życzliwości i paru słów rozmowy.

Wszystko się zmieniło, kiedy pojawiła się Mary. Biedna, kochana Mary. Ona też mnie widziała, jak ty. I tak jak ty była ciekawa. Tak bardzo, że kupiła maszynę do pisania z nadzieją, że nauczę się jej używać i w końcu opiszę swoją historię.

I tak się stało, jak dobrze wiesz.

Zaluję, że nie mogłam zrobić tego samego dla Ciebie, Kit. Zasługiwałaś na poznanie prawdy. Ale nie umiałam się zmusić do tego, żeby obarczyć Cię wiadomościami o Twoim ojcu. Więc Cię zwodziłam, robiłam uniki i wprowadzałam Cię w błąd, chociaż wiedziałam, że nie da się przed tym uciec, że pewnego dnia i tak się dowiesz.

Bardzo mi przykro, że stało się to w taki, a nie inny sposób – i że spotkało Cię to wszystko, co nastąpiło potem. Nie zasłużyłaś na to. Fakt, że tak świetnie sobie z tym poradziłaś, dobrze świadczy o Twoim charakterze.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Mary uczyła mnie pisać na maszynie, nastąpiło jeszcze jedno niezwykle zdarzenie.

Dostałam zdumiewające urządzenie zwane walkmanem. Była w nim kasetka z nagraniem książki, którą czytała Jessie, nowa pokojówka w Hope's End. Choć potajemnie czytywałam sobie w nocy, przyjemnie było móc cieszyć się książką jawnie, że tak powiem. Rodzaj historii był mi obojętny. Po prostu lubiłam posłuchać dobrej opowieści.

Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy w połowie tej pierwszej kasety lektorka nagle przerwała czytanie. W jednej chwili słuchałam Północy i Południa Johna Jakesa. W następnej Jessie zaczęła mówić normalnie.

„Wiem, że nie jesteś Lenorą Hope, ale jej siostrą Virginią. Wiem sporo o tobie. Chyba więcej niż ktokolwiek inny”.

I odtąd tak to wyglądało – między mną a Jessie trwała jednostronna rozmowa, prowadzona za pośrednictwem wiadomości, które nagrywała między rozdzielami.

„Myślę, że nie zabiłaś swoich rodziców. A nawet jeśli to zrobiłaś, to z tego, co mi mówiono, sami się doigrali. Przynajmniej twój ojciec”.

„Nie powiedziałam Mary, ale jestem raczej pewna, że umiesz się poruszać, a może też i mówić. Ciekawe, jak brzmi twój głos”.

Wreszcie usłyszałam tę najważniejszą wiadomość:

„A przy okazji, jestem twoją wnuczką”.

Jessie opowiedziała mi o swoim ojcu, który miał na imię Marcel. Wychował się w kochającej rodzinie, pod opieką panny Baker i jej męża. Grał w hokeja, uwielbiał czytać i doskonale malował. Po studiach podjął pracę jako grafik reklamowy w Toronto. Ożenił się dopiero po trzydziestce, kiedy zakochał się w pewnej artystce. Mieli jedno dziecko, Jessie, i wspólnie wiedli szczęśliwe życie, ciesząc się każdą jego chwilą, do czasu, gdy Marcel zmarł z powodu choroby w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku.

Po śmierci ojca Jessie dowiedziała się prawdy o jego rodzicach od panny Baker, kobiety, którą zawsze nazywała babcią. Zabawiła się w detektyw i dowiedziała się, że w Hope's End potrzebna jest pokojówka, więc postarała się o tę posadę. Zamierzała spróbować odkryć, kim jestem i czy naprawdę zabiłam swoich rodziców, jak wszyscy twierdzili.

Tym, co odkryła, byłam ja.

Smutno mi, że nie miałam okazji poznać syna, ale wiem, że życie nie zawsze spełnia nasze największe marzenia. Mimo to szczęście potrafi jakoś się wśliznąć i obecnie jestem przeszczęśliwa, że mogłam poznać swoją wnuczkę. Te hałasy, które z pewnością słyszałaś nocami, to była Jessie, która przychodziła do mojego pokoju po północy, abyśmy mogły szeptem planować ucieczkę. Wszystkie te plany spełzły na niczym, bo najpierw zamordowano Mary, potem przyjechałaś ty, a wreszcie Hope's End runął w przepaść. (Niezły sposób na uwolnienie się z tego miejsca, nawiasem mówiąc!)

Poza tym Jessie musiała wrócić do Kanady, kiedy umarła panna Baker. Kolejne rozczarowanie. Żałuję, że nie zdążyłam jej podziękować za opiekę nad moim synem, choć koniec końców był bardziej jej dzieckiem niż moim.

Z Twojego domu zniknęłam w dniu, w którym Jessie zajrzała przez okno do mojego pokoju. Wpuściłam ją do środka, a ona szybko przedstawiła mi nowy plan – wyjechać natychmiast.

I tak zrobiliśmy – wymknęliśmy się do jej samochodu, który zaparkowała na ulicy. Kiedy do niego wsiadaliśmy, wręczyła mi podrobiony paszport z moim prawdziwym nazwiskiem.

– Dokąd chcesz pojechać, babciu? – spytała.

Spojrzałam przez przednią szybę na ten wspaniały, wielki świat, którego nie było mi dane doświadczyć aż do tej chwili.

– Wszędzie – odparłam.

Nim dojechałyśmy na lotnisko, zawęziłam cel podróży do Paryża. Właśnie tam teraz piszę na maszynie ten list, w mieszkaniu na najwyższym piętrze z widokiem na wieżę Eiffla.

Proszę, nie gniewaj się na mnie za to, że tak Cię zostawiłam. Błagam. Życie potraktowało nas w taki sposób, że obie mamy dość innych powodów do gniewu. Oszczędźmy sobie tego nawzajem.

Chciałam Ci wszystko wyznać, moja droga. Nie zrobiłam tego, bo obawiałam się, że nie pozwolił mi odejść albo będziesz zła, że tak wiele przed Tobą ukrywałam przez cały ten czas, kiedy się mną opiekowałaś. I tak, samolubnie pragnęłam spędzić trochę czasu sam na sam z moją wnuczką.

Która, nie zapominaj o tym, jest także twoją bratanicą.

Ty też zasługujesz, by lepiej ją poznać.

I na to, by w końcu móc cieszyć się życiem, które należy do Ciebie i nikogo więcej.

W tym celu załączam dwa bilety lotnicze w jedną stronę do Paryża. Jeden dla Ciebie, a drugi dla Archiego, któremu – w co nie wątpię – pokażesz ten list. Wasz samolot odlatuje pierwszego lutego. Mam szczerą nadzieję, że oboje będziecie na jego pokładzie.

Do zobaczenia!

Virginia

VIRGINIA HOPE ZMARŁA W WIEKU 101 LAT

RZYM (AP) – Virginia Hope, kluczowa postać jednej z najbardziej sensacyjnych zbrodni XX wieku, zmarła w poniedziałek w swojej willi w Porto Vergogna na Wybrzeżu Amalfitańskim we Włoszech. Miała 101 lat.

Jej rzekome morderstwo, wraz z tragiczną śmiercią zamożnych rodziców, Winstona i Evangeline Hope'ów, poruszyło opinię publiczną w 1929 roku, a 54 lata później ponownie trafiło na nagłówki gazet, gdy ujawniono, że Virginia Hope nadal żyje i że narzucono jej przyjęcie tożsamości jej starszej siostry Lenory. Jeszcze większy rozgłos zyskała, przyznawszy, że choć uważano ją za niemą i sparaliżowaną, przez wiele lat tylko ten stan udawała.

„Czy była to największa mistyfikacja stulecia? – napisała w bestsellerowych wspomnieniach wydanych pod tytułem *Życie w bezruchu*. – Nie sądzę. Ale miło jest myśleć, że mieści się przynajmniej w pierwszej dziesiątce”.

Dowcip ze szczyptą fanfaronady uczynił z niej bywalczynię cyklu programów talk-show, których widzowie chłonęli szczegóły jej historii jakby żywcem wyjętej z tabloidów. Gdy David Letterman zapytał ją, dlaczego teraz tak chętnie się wypowiada, choć przez dziesiątki lat udawała, że nie umie mówić, odparła: „Ja tylko nadrabiam stracony czas, złotko”. Kiedy akurat nie brylowała w mediach, Hope spędzała czas na podróżach dookoła świata i w rezultacie odwiedziła wszystkie siedem kontynentów, łącznie z Antarktydą, gdzie na pewien czas ustanowiła rekord jako najstarsza kobieta, która tam dotarła. Hope odeszła, pozostawiając swoich bliskich: wnuczkę Jessicę wraz z mężem Robertem, prawnuczkę Mary Hope Oxford oraz oddaną przyjaciółkę, opiekunkę i towarzyszkę podróży Kittredge McDeere.

Podziękowania

Choć na okładce widnieje moje nazwisko (pseudonim), niniejsza książka nie powstałaby bez ciężkiej pracy i oddania wielu innych ludzi działających za kulisami. Dziękuję Mai Ziv, mojej niesamowitej redaktorce, i fantastycznej ekipie w Dutton i Penguin Random House, w tym (ale nie wyłącznie): Emily Canders, Stephanie Cooper, Caroline Payne, Lexy Cassoli, Amandzie Walker, Benowi Lee, Johnowi Parsleyowi, Christine Ball oraz Ivanowi Heldowi. Przynależność do rodziny wydawnictwa Dutton to spełnienie wydawniczych marzeń.

To samo można powiedzieć o mojej agentce Michelle Brower i wszystkich w Trellis Literary Management oraz Aevitas Creative Management.

Dziękuję licznym członkom rodziny, przyjaciółom i przyjaciółkom, a także innym autorom i autorkom za pomoc, wsparcie i inspirację, którymi obdarzają mnie na co dzień. Pisanie książki to długi, samotny proces, a Wasza obecność na zewnątrz mojej pisarskiej pieczary pomaga mi bardziej, niż możecie sobie wyobrazić. Szczególne podziękowania składam Michaelowi Liviowi, który po raz kolejny pomógł mi przeżywać stres, napięcie, ale także radość płynące z tworzenia nowej książki. Bez Ciebie naprawdę nie dałbym rady.

Chciałbym też wyrazić uznanie licznym opiekunkom i opiekunom pracującym w szpitalach, domach opieki oraz prywatnych domach pacjentów i pacjentek. Ci często niedoceniani bohaterzy i bohaterki pielęgnują chorych i pocieszają cierpiących każdego dnia, wykonując swoją pracę z należytą starannością, godnością i dumą. Jesteście kimś, kto się troszczy i komu zależy. Dziękuję Wam.

O autorze

Riley Sager to autor siedmiu bestsellerowych powieści, z których dwie najnowsze to *Tylko przetrwaj noc* i *Dom po drugiej stronie jeziora*. Urodził się w Pensylwanii, obecnie mieszka w Princeton w stanie New Jersey.

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

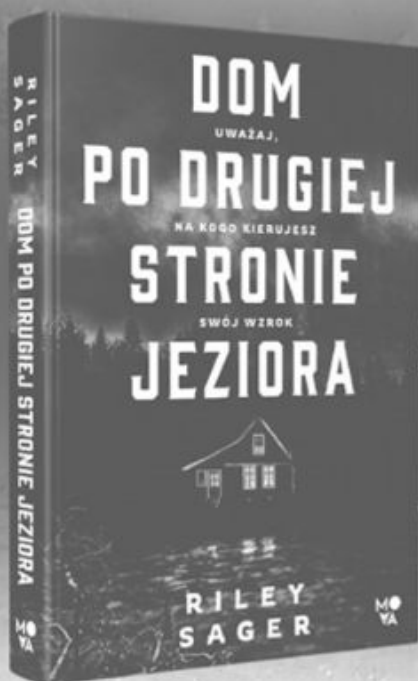
[Podziękowania](#)

[O autorze](#)

[Propozycje wydawnicze](#)

WYDAWNICTWO MOVA POLECA:

**UWAŻAJ,
NA KOGO KIERUJESZ SWÓJ WZROK...**



Dostępna również jako:



E-BOOK



AUDIOBOOK



wydawnictwokobiece.pl



kobiece

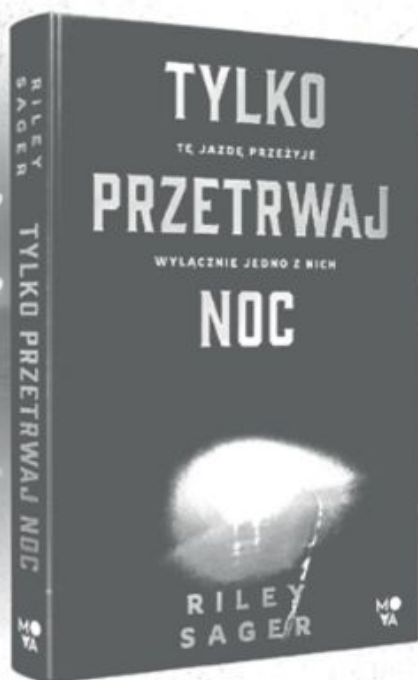


wydawnictwo.kobiece



WYDAWNICTWO MOVA POLECA:

ABY PRZEŻYĆ,
MUSISZ ZROBIĆ JEDNĄ RZECZ –
PRZETRWAĆ NOC.



Dostępna również jako:



E-BOOK



AUDIOBOOK

 wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

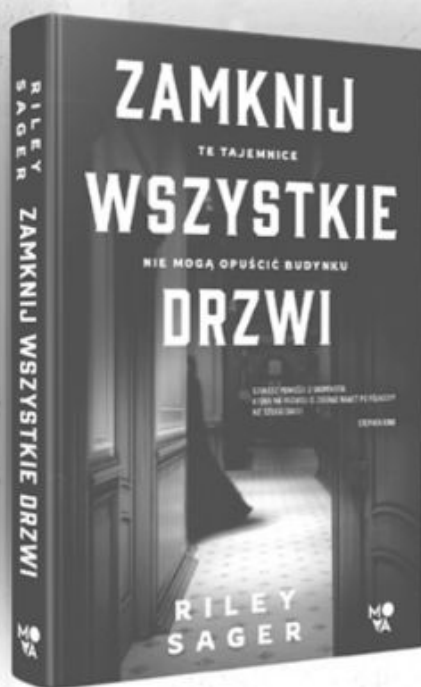
 [wydawnictwo.kobiece](#)



WYDAWNICTWO MOVA POLECA:

ZAMIESZKAJ ZA DARMO W LUKSUSOWYM APARTAMENCIE
NA MANHATTANIE!

TYLKO CZY PRZEŻYJESZ WYSTARCZAJĄCO DŁUGO,
ABY SIĘ TYM CIESZYĆ?



Dostępna również jako:



E-BOOK



AUDIOBOOK

-  wydawnictwokobiece.pl
-  [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)
-  [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)



WYDAWNICTWO MOVA POLECA:

**KAŻDY DOM MA JAKĄS HISTORIĘ
I JAKIEŚ SEKRETY.
NIEKTÓRE SĄ NAPRAWDĘ PRZERAŻAJĄCE.**



Dostępna również jako:




E-BOOK



AUDIOBOOK

 wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)

MOVA

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova